



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

3(13) 2010

ISSN 1898-1801



Foto. Leszek Janeczek



Zabytek z okładki

Młyn (ok.1915 r.) nad rzeką Wolicą w Wólce Orłowskiej w gminie Izbica. Pierwotnie napędzany wodą przy użyciu zachowanej do dzisiaj turbiny Francisa. Przed II wojną światową jego zarządcami byli Żydzi, prawdopodobnie Sznajdmanowie, natomiast jednym z pierwszych właścicieli - niejaki Janiec. Młyn czynny do roku 1975, do nagłej śmierci ostatniego właściciela i młynarza Stanisława Wójcika, którego spadkobiercą jest syn Zbigniew.



Spis treści

Słowo redaktora	2
A. D. Misiura	
Nagrobek Tadzia Hartwiga... ..	3
Agnieszka Szykuła-Zygawska	
Ciekawostki o krasnostawskich starostach królewskich	4
Kazimierz Stolecki	
Diecezja chełmska z katedrą w Krasnymstawie... ..	21
Zbigniew Atras	
Morowe zarazy w naszej historii	27
Kazimierz Stolecki	
Borowica - niezwykła wieś	31
Jan Henryk Cichosz	
Moje życie należy do narodu żydowskiego w Polsce i dlatego mu je oddaję	33
Zbigniew Atras	
Wspomnienie o Jadwidze Wolskiej z d. Czerniejewskiej ps. „Jaga”	39
Józef Dąbski	
Sto piętnaście dokumentów na sto piętnaście lat	41
Artur Borzęcki	
Ostatnia walka V Brygady... (wywiad)	43
Grzegorz Polikowski	
Poezja	54
Lidia Kosk	
Ojciec	55
Krzysztof Kulig	
Kolejny koniec świata	58
Edward Siekierzyński	
Marduk z Babilonu	60
Lech Brywczyński	
Poezja	68
Aldona Kubik	
Świat według Adama	69
Michał Domański	
Legenda o trzech dębach	70
Legenda o podziemiach krasnostawskich	71
Legenda o Krasnymstawie	72
Legenda o pochodzeniu nazwy Siennica Różana	73
Jak to było z kupcem, wiedźmą i rybą	74
Legenda o Krasnymstawie	75
Legenda o kowalu żyjącym w dawnym Krasnymstawie	75
Legenda o Latyczowie	76
Legenda o dzielnych władcach Szczekarzewa	77
O królowej Śniegu, czarodzieju i zamrożonym jeziorze	77
Źródło w Łukaszówce	78
Poeta Polska zatroskany	78
Longin Jan Okoń	
Poezja	79
Leszek Franciszek Rak	
Pielgrzym słowa	81
Urszula Gierszon	

Spis treści

Było tego dużo więcej... ..	82
Kazimierz Bolesław Malinowski	
Poezja lirycznego reportażu	84
Zbigniew Waldemar Okoń	
Poezja	86
Maria Brzezińska	
Niezwykła antologia poezji patriotycznej	87
Longin Jan Okoń	
Jak Ojczyźnie służyć	88
Edward Franciszek Cimek	
Poezja	89
Literatura religijna	90
Tadeusz Polanowski	
Prawie wszystko może być metaforą... ..	91
Kazimierz Bolesław Malinowski	
Poezja	92
Iwona Chudoba	
Suplement kulinarny	93
Agnieszka Szykuła-Zygawska	
Zamojska historia o kawie z herbata	93
Agnieszka Szykuła-Zygawska	
Odszczekuję	95
Kazimierz Bolesław Malinowski	
Satyra	97
Monika Maciejewska (debiut)	
Warto żyć pięknie	97
Marek Szymaniak	
Zero złudzeń	98
Marek Szymaniak	
Filmowe podróże „Iluzjonu”	99
Ewa Magdziarz	
Krzepki Mrozek	101
Henryk Radej	
Popowstaniowe impresje w biegu	103
Aleksandra Nizioł	
Radecznica jakiej nie znamy	104
Wiesław Bojarczuk	
Udział Polaków w kampaniach napoleońskich	107
Mariusz Kargul	
Ruch ochrony przyrody w II Rzeczypospolitej	112
Lucjan Cimek	
Nauvoo - miasto mormonów	113
Wojtek Mięzał	
Literatura i rzeczywistość	116
Chińskie wspomnienia	117
Eliza Bogusz-Wójcik, Bartosz Wójcik	
Poezja chińska	126
Angkor Wat - cudo świata	128
Wiesław Krajewski	
Order Nestorii	130



NR 3(13) 2010 NESTOR Czasopismo Artystyczne

Wydawca:

Oficyna Wydawnicza „ELIPSA”

ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. 82-576 6009,

Konfederacja NESTOR

www.nestor-krasnystaw.pl

e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

„TamagaGraf”, ul. Szymanowicza 29, Krasnystaw

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie,

Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny),

Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)

Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)

Henryk Wróbel (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Alicja Wiech

Mariusz Kargul

Dariusz Włodarczyk

Henryk Radej

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.

Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.

Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.



Słowo redaktora



Papież Jan Paweł II umierał w domu i nikt nie doradzał, aby ziemską pielgrzymkę zakończył akurat w szpitalu, a tym bardziej - w jakimś hospicjum. Nikomu też na szczęście, nie przychodzi do głowy przesadzać drzew do lasu, jakoby tam, jakimś uproszczonym porządkiem, miało być dla nich najwłaściwsze miejsce. Od niepamiętnych czasów w naszym ojczystym krajobrazie spotykamy nader często wotum w postaci przydrożnego krzyża. Ten przedwieczny symbol życia, charakterystyczny dla wielu religii, a szczególnie jako znak odkupienia dla chrześcijaństwa, towarzyszy nam nieprzerwanie i nawet komuniści oraz świadkowie Jehowy nigdy nie dążyli, aby go zamykać w obrębie cmentarza albo w murach kościoła. Nikt też nie zaprzeczy, że krzyż to niekończące się spektrum symboliki, w którym odbija się człowiek i jego życie. On po prostu jest, a ludzie nie mają żadnego powodu aby się go obawiać... ale może przestańmy w ten sposób rozliczać sumienia.

Podczas niedawnej podróży do Lwowa odwiedziłem Cmentarz Łyczakowski, jeden z najstarszych (1786) z istniejących w Europie. Mój pierwszy znicz zapłonął przed popiersiem Marii Konopnickiej (1842-1910), akurat w stulecie śmierci poetki. Inny przypadek wybitnemu malarzowi Arturowi Grottgerowi (1837-1867) w miejscu, które za życia wybrał na wieczny spoczynek. Spotkałem jeszcze wiele nazwisk znanych Polaków i tysiące polskich grobów, łącznie z przylegającymi kwaterami Orląt Lwowskich. Nic dziwnego, bo to przecież polski cmentarz w polskim mieście (od 1340 roku). Zamknięty jest od lat, a mimo tego oszpeciły go, miejscami późniejsze niezrozumiałe pochówki komunistycznych notabli, a ostatnio - nawet banderowców. Szkoda, że wspaniały polski Lwów nie jest w granicach naszej ojczyzny, co aż nadto wyraźnie można wyczytać z oczu lwowian.

Do znamienitych polskich nekropolii pozakościelnych zaliczamy jeszcze warszawski cmentarz Powązkowski (1790), krakowski cmentarz Rakowicki (1801-1802) i wileński cmentarz Na Rossie (1769). Polakom szczególnie bliskie sercu są groby żołnierzy pod Monte Cassino i słynny paryski Père-Lachaise (1804), na którym - obok Fryderyka Chopina - nie brakuje innych narodowych znakomitości. Zataczając coraz ciśniejsze kręgi, zajrzyjmy na stary krasnostawski

cmentarz (1805-1820?). Na nim też nie brakuje ciekawych i zabytkowych nagrobków niosących świadectwo dziedzictwa i historii naszej małej ojczyzny. Zależy nam na tych wartościach, ponieważ to głównie dzięki nim trwają kultury i nie giną narody. Nasz cmentarz, z braku miejsc eksploatowany jest do granic przyzwoitości. Apele o jego poszerzenie na razie pozostają bez echa, ale mamy nadzieję, że coś się wkrótce zmieni, podobnie jak w sprawie odbudowy miejscowego kompleksu podworskiego zwanego *Starostwem*. Pragniemy, aby dla Nestora te cele były priorytetem. Tymczasem zapoznajmy się na najbliższej stronie z pierwszą perełką naszej nekropolii - nagrobkiem Tadzia Hartwiga.

W części historycznej przedstawiamy w encyklopedycznym porządku prejadę starostów krasnostawskich i dalsze dzieje diecezji chełmskiej ze stolicą w Krasnymstawie, co potwierdza ówczesną niebywałą świetność naszego grodu, nimcy Polski sprzed 1939 roku. Kontynuując spacer Kresami Wschodnimi, odświeżamy związki z Wilnem poprzez ostatni z cyklu wywiad z żołnierzem V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. Poznamy interesującą historię Szmula Zygielbojma, Żyda z Krasnegostawu, który stał się bohaterem świata, i któremu nawet inne miasta fundują tablice pamiątkowe.

Prezentowana twórczość literacka to zróżnicowana oferta. Autorami są zarówno dojrzały twórcy, jak i debiutanci. Wśród nich znane z mediów nazwiska, ale nie będę uprzedzał faktów - rozszyfrujecie Państwo sami. Ubiegłoroczne zainteresowanie Czytelników skłoniło nas i dzisiaj do opublikowania legend krasnostawskich jako plonu tegorocznej edycji konkursu organizowanego dla dzieci przez bibliotekę powiatową. Recenzje to także i jak zwykle interesujące strony, dzięki naszym mistrzom pióra.

Wędrówka rozpoczęta po okolicznych miejscowościach takich jak Borowica czy Radecznicza poprowadzi nas znacznie dalej, bo *oregońskim* szlakiem mormonów, później przez zaskakujące Angkor Wat w Kambodży, a następnie Chin z próbką tamtejszej poezji. Wszystko tym cenniejsze, bo specjalnie dla Nestora i do tego w większości przygotowane przez nowych korespondentów.

Zapraszam do lektury oraz do odwiedzania naszej strony internetowej:

www.nestor-krasnostaw.pl

Andrzej David Misiura

PS

Zespół współredaktorów i sympatyków Nestora pracuje nad odtworzeniem bryły dawnego zamku w Krasnymstawie oraz innych obiektów historycznych. Pierwsze rysunki wykonał już Tadeusz Kiciński - zastępca red. naczelnego, a pełną wizualizację chcielibyśmy przedstawić niezależnie od tego czy dotrą do nas kopie dokumentów wywiezionych przez Szwedów w latach 1655-1660. Proszę spodziewać się wielu niespodzianek!

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Nagrobek Tadzia Hartwiga z lubelskiego zakładu kamieniarskiego J. Nowaka na krasnostawskim cmentarzu parafialnym

W południowo-wschodniej części cmentarza parafialnego w Krasnymstawie znajduje się nagrobek Tadzia Hartwiga (ur. 1920, zm. 5 X 1929 r.). Przed płytą nagrobną usytuowano wykonane w kamieniu przedstawienie chłopca ukazanego na tle wysokiego obelisku. Postać stoi na niewielkim wzniesieniu, *en trois quarts* do widza, w jednej ręce trzyma na wysokości bioder bukiet róż, drugą, w której trzyma gałązkę róży, opiera o skałę. Chłopiec o prostych, jeszcze dziecięcych rysach twarzy i smutnym spojrzeniu jest przedstawiony boso, ubrany w sięgającą powyżej kolan tunikę, szczepioną pod szyją kokardką. Na sięgającym wy-



Pomniki nagrobne wykonywane przez J. Nowaka były dość popularne na terenie ówczesnej guberni lubelskiej. Najwięcej prac tego autora, zarówno pomników jak i płyt nagrobnych, znajduje się na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. Ok. 1900 roku w warsztacie Cyngrosa-Nowaka został wykonany nagrobek Czemińskiego, z uszkodzoną obecnie tablicą. Nagrobek tworzy rzeźba zwróconego profilem w lewo anioła, który opiera się o krzyż na skałkach. Na kolanie rozpościera wstęgę z girlandą kwiatową, kierując ku niej spojrzenie. Bujna girlanda zwisa również z krzyża. W kontrapoście ujęto postać anioła na pomniku Izabeli Tymińskiej z 1909 r. Ukazany pod postacią dziewczynki anioł zawiesza wieniec z róż na krzyżu, drugą ręką przytrzymując wstęgę. Sygnatura J. Nowaka znajduje się także na nagrobku przedstawiającym geniusza. Jest to nagi chłopiec, który wspierając się na postumencie, pisze na wysokiej steli: *Bóg tak chciał*. W 1917 r. J. Nowak wykonał pomnik na grobie Michała Kłopotowskiego. Pojawia się tutaj smutna żałobnica z głową nakrytą welonem. Stoi profilem do widza, obejmując krzyż. Z ręki zwisa gałązka palmy. Noga wsparta na skałę ukazuje bucik z kokardką, wystający spod długiej sukni. Z zakładu kamieniarskiego J. Nowaka pochodzi też płyta przed posągiem na grobie Marii Głogowskiej z 1919 roku (figurę wykonał J. Gerczak).

Jeszcze jedną ciekawą figurą z warsztatu J. Nowaka jest figura dziewczynki na grobie Jakóbowskich, będąca repliką nagrobka Jaczewskiej, uznanego polskiego twórcy Konstantego Laszczki (1865-1956). Dziewczynka siedząca na skałe odznacza się subtelnością wyrazu i prostotą kompozycji. Wygląda tak, jakby przysiadła na chwilę w polu na podwiniętych nogach i przechyliła głowę, podpierając ją ręką aby wsłuchać się w jakąś piosenkę. Sukienka dziewczynki jest skromna, a jej fałdy podkreślają jedynie układ sylwetki. Jedyną dekoracją kompozycji jest gałązka palmy i delikatna wic bluszczu na wielkim krzyżu.

Krasnystaw, cmentarz parafialny, nagrobek Tadzia Hartwiga, 1929 r., warsztat kamieniarski J. Nowaka z Lublina, fot. A. Szykuła-Żygawska 2010.



sokości jego głowy, zwężającym się obelisku, który ma kształt skały wyryto napis, niżej: TADZIO/HARTWIG/ ZASNAŁ NA WIEKI 5 X 1929/ W 9 WIOŚNIE ŻYCIA. Wyżej, na wysokości ramion chłopca wyryto ukośnie: ŚMIERĆ MI GO CZARNA WZIĘŁA NIELITOŚNIE/ JUŻ NIE WRÓCI ANI NIE UROŚNIE. W dolnym rogu wzniesienia, na którym usytuowano figurę, przy stopie chłopca znajduje się inskrypcja: J. NOWAK/ LUBLIN.

W oparciu o ten zapis możliwe jest ustalenie autora tego nagrobka oraz miejsce jego wykonania. Został on wykonany w zakładzie kamieniarskim J. Nowaka w Lublinie. Twórca ten współpracował przez pewien czas z warsztatem W. Cyngrosa.

Mając na uwadze czas wykonania nagrobków na cmentarzach w Oszczowie, Lublinie i Krasnymstawie, można ustalić, że zakład był czynny co najmniej od 1900 roku. Krasnostawska praca powstała prawie 30 lat później. Rzeźby z tego zakładu pozostają pod wpływem secesyjnej sztuki sepulkralnej, modnej na tych terenach od ok. 1900 roku do lat 40. XX wieku. Jednym z popularniejszych wątków tej sztuki są motywy skrzydlatych geniuszów, płaczków i żałobników oraz – tak jak w Krasnymstawie – dzieci. Figury powstałe w zakładzie J. Nowaka charakteryzuje swoboda i malowniczość kompozycji oraz staranne opracowanie detalu.

Na cmentarzach obecnego województwa lubelskiego, położonych w pewnej odległości od dużych ośrodków parafialnych, figury takie należą do rzadkości. Jedyny odnaleziony nagrobek wykonany w 1902 roku w zakładzie J. Nowaka znajduje się na cmentarzu parafialnym w Oszczowie (gmina Dołhobyczów). Nagrobki te są

najczęściej fundacją zamożnej rodziny, która w szczególny sposób chciała upamiętnić zmarłą osobę.

W związku z tym, że zostały wykonane ponad 50 lat temu wpisane są do rejestru zabytków.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

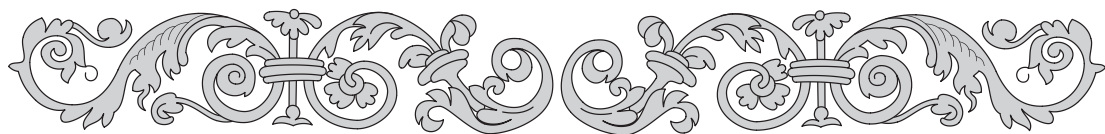
Bibliografia

M. Gmifer, B. Kotowki, K. Kucharska, B. Laskowska, L. Popek, *Cmentarz rzymskokatolicki przy ul. Lipowej w Lublinie*, Lublin 1990.

Katalog Zabytków Sztuki w Polsce, T. VIII, *Województwo Lubelskie*, red. R. Brykowski, E. Smulikowska,

Z. Winiarz, z: 8, *Powiat krasnostawski*, opr. T. Sulerzyńska, F. Uniechowska, E. Rowińska, Warszawa 1964.

D. Kawałko, *Cmentarze województwa zamojskiego*, Zamość 1994.



Kazimierz Stolecki

Ciekawostki o krasnostawskich starostach królewskich

W dawnej Polsce, starostwa stanowiły ośrodki zarządu dóbr królewskich. Starostowie reprezentowali królewską władzę, a mianowani byli przez królów w nagrodę za wybitne zasługi położone dla kraju. Urząd przekazywano: „do wiernych rąk”, w dzierżawę, w zastaw lub jako dożywocie. Bywało, że król nadawał starościę prawo do dziedziczenia lub przekazania urzędu innej osobie. Starostwo zwykle przynosiło znaczne dochody, z których czwartą część (kwartę) oddawano do skarbu państwa. Krasnostawskie starostwo należało do bogatych, a starostowie należeli do społecznej elity. Wielu z nich było ludźmi wybitnymi i piastowało także inne eksponowane urzędy nadworne, centralne i wojskowe z najwyższymi włączając, jak: chorążym wielki koronny, marszałek trybunału koronnego, hetman wielki koronny. Kilku starostów skupiało w swoim ręku kilka starostw (Stanisław „Rewera” Potocki miał ich 13, Andrzej Tęczyński - 10, a Mikołaj Daniłowicz - 7). Wielu starostów znamy z kart historii. Byli to ludzie z krwi i kości, o wielkich zaletach, ale niekie-

dy także o ludzkich słabościach i wadach. Godzi się wspomnieć ludzi, których starania przyczyniły się do znaczącej roli, jaką Krasnostaw odegrał w naszej historii.

Poczet krasnostawskich starostów przedstawiono w tabeli. Poczet ten jest jednak niedoskonały. Dane źródłowe bywają zawodne, zwłaszcza te, które dotyczą odleglejszych czasów. Nieścisłe bywają informacje odnoszące się do: osób, imion, dat i miejsc. Bywało, że dziadek, ojciec i syn mieli takie same imiona - Jan, żyli w tym samym czasie i z dzisiejszej perspektywy kilku wieków, trudni są do rozróżnienia. Niektórzy, mniemający się starostami, w rzeczywistości nimi nie byli (tzw. „rzekom”). Trudno uwierzyć, ale nie są znane daty urodzenia starostów nawet tych, pochodzących z magnackich rodów, jak Mniszchów czy Potockich. Lista starostów jest więc w trakcie „stawiania się” i wymaga uzupełniania i korygowania w miarę odnajdywania nowych informacji.

Średnia długość urzędowania krasnostawskiego starosty wyniosła 12,5 roku. Najdłuższe, ponad dwudziestoletnie kadencje przypadły w udziale sześciu starostom. Byli to: Feliks Wincenty Potocki (38 lat), Michał Potocki (34), Feliks Kazimierz Potocki (27) Jan Hryćkiewicz Kierdej (26), Kazimierz Krasieński (24)

Lp.	Imię i Nazwisko	Herb	Żył		Pełnił urząd	
1.	Jan HRYCOWICZ KIERDEJ	Kierdeja	1400	<1462.11.25	1433.01.28	1459.10.23
2.	Zygmunt Grzegorz KIERDEJ	Kierdeja	1430	1499.03.05	1466	1478.01.01
3.	Jan z PRZYTYKA	Janina	1450 (?)	1510.04.12	1479.07.12	1480.09.18
4.	Grzegorz z ŻARCZYC	Nowina			1483.06.09	
5.	Mikołaj z OSTROWA MINOREK	Rawicz	1420	<1501.03.06	1484.02.28	1487.10.30
6.	Jan PILECKI	Leliwa	1450	1496.08-12		1492.10.17
7.	Jan Feliks RZESZOWSKI	Półkozic	1468	<1513.03.11	1492.10.17	1495.01.12
8.	Mikołaj PILECKI	Leliwa	1480	<1527.03.08	1503.12.06	1515.10.27
9.	Andrzej TECZYŃSKI	Topór	1470	1536.01.02	1515.10.27	1533.03.31
10.	Wincenty z SZAMOTUŁ WIDWA	Nałęcz	1470	1528.04.21	1516.03.31	1525.02.10
11.	Jan TECZYŃSKI	Topór	1492	1541.04.04	1525.11.06	1541.04.04
12.	Mikołaj BOGUSZ	Półkozic	1492	1560.09.06	1542.04.20	1560.04.06
	Mikołaj HERBURT ODNOWSKI	Herburt	1482	1555.05.	1550	1555.05.
13.	Mikołaj ŁASKI	Korab	1530 (?)	1572.01.30	1561.01.25	1569.08.12
14.	Jan MNISZECH	Mniszech	1541	1612	1572	1590.04.26
15.	Paweł UCHAŃSKI	Radwan	1522	1590.02.18	1574.11.22	1575.04.11
16.	Mikołaj MNISZECH	Mniszech	1560 (?)	1594.10.25	1590.04.26	1594.10.25
17.	Jan MNISZECH	Mniszech	1560 (?)	1612 (?)	1594.10.25	1611.11.09
18.	Stefan SNOPKOWSKI	Rawicz	1550 (?)	1622.03.13	1613.10.26	1622.03.13
19.	Mikołaj DANIŁOWICZ	Sas	1558	1624.05.30	1622.03.22	1624.05.30
20.	Jakub SOBIESKI	Janina	1580	1646.06.23	1624.07.20	1644.07.
21.	Krzysztof STOIŃSKI	Janina	1600 (?)		1642.09.15	1644.05.02
22.	Marek SOBIESKI	Janina	1628.05.24	1652.06.02	1644.07.	1651.08.01
23.	Stanisław „Rewera” POTOCKI	Pilawa Srebrna	1579	1667.02.27	1654.05.24	1659.05.25
24.	Feliks Kazimierz POTOCKI	Pilawa Srebrna	1647	1702.05.15	1659.09.09	1686.01.03
25.	Michał POTOCKI	Pilawa Srebrna	1663	1749.12.02	1686.01.03	1720.02.29
26.	Feliks Wincenty POTOCKI	Pilawa Srebrna	1692	1766	1720.02.29	1758.10.19
27.	Kazimierz KRAŚIŃSKI	Ślepowron	1725	1802.09.25	1758.10.19	1782.01.22
28.	Tomasz STAMIROWSKI	Półkozic	1720 (?)	1788 (?)	1782.01.22	1786.03.21
29.	August KICKI z żoną Marianną	Gozdawa	1754	1824.08.27	1786.03.21	1794.03.14

i Jakub Sobieski (20). Najkrócej urzędowali: Jan Feliks Rzeszowski (3), Mikołaj z Ostrowa Minorek (3), Krzysztof Stoiński (2), Mikołaj Daniłowicz (2), Paweł Uchański (1) i Jan z Przytyka (1). Najmłodszymi starostami obejmującymi urząd byli: Feliks Kazimierz Potocki (w wieku lat 12), Marek Sobieski (16), Mikołaj Pilecki, Stefan Snopkowski, Michał Potocki (po 23 lata), Jan Feliks Rzeszowski (24). Zaś najstarszymi ustępującymi z urzędu byli: Mikołaj Herburt Odnowski (w wieku lat 73), Stanisław Potocki „Rewera” (70(80?)), Mikołaj Daniłowicz, Feliks Wincenty Potocki, Tomasz Stamirowski (po lat 66).

JAN HRYCKO (HRICZKO), JAN HRYCOWICZ KIERDEJ, KIERDEJOWICZ Z POMORZAN I WINNIK. HRICZKO (IOHANNES HRICZKONIS) KYERDEY (KYERDEOWICZ) DE POMARZANI (VYNNIKI). *Pochodzenie Kierdejów, wnosząc z nazwiska, zdaje się być tatarskie, ale już w 1402 r. Hrycko Kierdejowicz był starostą podolskim.* Herb Kierdeja miał być nadany Kierdejowi, synowi chana perekopskiego. Jan pochodził ze spolonizowanej rodziny bojarskiej, zasłużonej w staraniach i walkach na rzecz polskiego panowania na ziemiach ruskich, która dysponowała tam wielkimi dobrami, a jej przedsta-

wiciele zajmowali wysokie urzędy administracyjne i godności ziemskie województw ruskiego i podolskiego.

Jan, nazywany Hryćkiem (Grzegorzem), był trzecim synem Griczki, Hricki, Hriczki, Hryczki, Hryćki, Hryszki, Ryczki, Ryski, Ryszki czyli Grzegorza, starosty podolskiego i Klary nieznanego nazwiska. Był trzykrotnie żonaty: z Jadwigą z Brzeżan, drugiej żony nie znamy z nazwiska ani imienia, trzecią była Klara nieznanego nazwiska.

W 1433 roku Jan otrzymał od króla Jagiełły w dzierżawę na cztery lata zamki: Chełm, Lubomłę, Hrubieszów i Krasnystaw. Starosta ratneński (1431), chełmski (1431-1436 i 1441), krasnostawski (1433-1462), trembowelski (1449), kasztelan lwowski (1434-1438), wojewoda podolski (1439-44). Należał do bliskich współpracowników trzech królów: Władysława Jagiełły, Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka.

Stronnik Polski przeciw Litwie, utrzymał Podole przy Polsce. Stronnik Jagiełły. Kilkakrotnie pokonał stronników ks. Świdrygiełły. Brał wraz z Buczackim udział w zajęciu Podola dla Korony. Opanował Kamieniec i twierdze Smotrycz i Skale.

W 1431 opanował zamki w Zbarażu i Włodzimierzu Wołyńskim. Brał udział w wyprawie na Krzemieniec, pokonał wojska ruskich książąt Wasyla i Bałabana. Organizował obronę ziemi chełmskiej, obsadził załogami Lubomłę i Ratno. W roku 1433 pokonał w bitwie pod Hrubieszowem księcia Aleksandra Nosa, zwolennika Świdrygiełły. Długosz opisał to następującymi słowami: *Hrycko, kiedy ów Nos zdradą zająwszy zamek w Łucku, czynił łupieskie wyprawy na ziemię chełmską, zaszedł mu drogę w pobliżu Rubieszowa nad rzeką Bugiem i stoczył z nim żwawą bitwę, w której za łaską bożą wszystkich ów tłum najeźdźców rozgromił, samego księcia zmusił do ucieczki i mnóstwo ludzi zabrał w niewolę. Od tego czasu ziemia chełmska wolną była od napaści i odzyskała pokój żądany.* W 1440 r. towarzyszył do Litwy Kazimierzowi IV, obranemu wielkim księciem. Był jednym z najbardziej wpływowych przywódców szlachty czerwonorusko-podolskiej.

ZYGMUNT GRZEGORZ (HRICZKO) KIERDEJ, KIERDEJOWICZ Z POMORZAN, syn ww. Jana Grzegorza i jego żony nieznanego nazwiska i imienia, żonaty z Heleną Strumiłówną, a następnie z Dorotą z Sienna Oleską.

Starosta trembowelski (1462-71), krasnostawski (1466-78). Król wykupił starostwo z jego rąk przed 12.06.1478.

Zygmunt zginął wiosną 1498, broniąc zamku pomorzańskiego w czasie najazdu tureckiego. Jego 9-letni syn Jan (ok. 1490-po 1557) zabrany w jasyr i odesłany do Stambułu, przetrwał naukę w korpusie janczarów. Przygotowanie do służby państwowej odbywał pod okiem wielkiego wezyra Ibrahima, a po przejściu na islam, od roku 1531, rozpoczął karierę dyplomatyczną w służbie sułtana, jako Said-bej. Bywał posłem sułtana do polskich królów, po raz pierwszy w 1530 roku, przywożąc list sułtana do króla Zygmunta I. W roku 1832 procesował się o dobra pomorzańskie, lecz sprawę przegrał. Bywał w Polsce również i później. Ostatnie zapiski sięgają roku 1557.

JAN Z PRZYTYKA I PODŁODOWA (PODŁODOWSKI). Pochodził z jednej z zamożniejszych w XV i XVI stuleciu rodzin małopolskich, która w drugiej połowie XVII stulecia, podupadłszy na majątku, straciła dawne znaczenie. Przytyk, majątek w województwie sandomierskim, a rodzina nazwisko wzięła od Podłodowa, wsi w województwie bełskim.

Jan był żonaty z nieznanego imienia Chlewicką.

Dworzanin króla Kazimierza Jagiellończyka, starosta krasnostawski (1479-1494), kasztelan żarnowski (1479-1494), sekretarz królewski (1486), kasztelan radomski (1494-1495).

Przytyk. Przywilej Kazimierza Jagiellończyka, dany na sejmie w Radomiu we wto-

rek po Wniebowzięciu Pańskim 1488 r.: *mając wzgląd na wierne służby Jana z Podłodowa kaszt. Żarnowskiego, nadajemy nowo przez niego założonemu miasteczku Przithik, leżącemu tuż przy dawnym mieście tegoż nazwiska, własności pomienionego Jana, jarmarki: na ś. Wit i ś. Mikołaj, targi zaś w dni poniedziałkowe. 30.09.1494 Król Jana Podłodowskiego z Przytyka, kasztelana radomskiego, po śmierci Stanisława z Szydłowca vacantem (kasztelanii żarnowskiej?) obdarowuje.*

MIKOŁAJ Z OSTROWA I PRZYTOCZNA (OSTROWSKI) MINOREK, MINOR zwany też **KAZIMIERSKI** z Ostrowca Świętokrzyskiego. Stara rodzina z województwa sieradzkiego. Dziewięciu senatorów w latach 1279-1831.

Mikołaj był synem Warsza, kasztelana radomskiego i Elżbiety z Rąbłowa, żonaty z Zofią Pilecką. Brat biskupa chełmskiego Jana Kazimierskiego. Zmarł nie zostawiając potomków.

Mikołaj, dworzanin królewski, starosta lubelski (1483-1500), krasnostawski (1484-87), kasztelan biecki (1484-94), tenutariusz kazimierski i wawolnicki. Wojewoda lubelski (1494-97), sandomierski (1497-1500), komisarz królewski.

Uczestniczył w mołdawskiej wyprawie Jana Olbrachta skończonej klęską wojsk polskich. Król po tej wyprawie skonfiskował wiele ziemskich majątków szlachty, która na wyprawę się nie stawiła. Mikołaj otrzymał skonfiskowane wsie w ziemi lubelskiej. Jednak nie umiał zarządzać dużym majątkiem. Popadł w kłopoty finansowe i zastawiał i wyprzedawał swoje wsie.

JAN Z PILCZY (PILCY) PILECKI. *Dom ten pierwsze początki swoje koło roku 1400, gdy Wincenty Granowski, kasztelan Nakielski, pojął Elżbietę, córkę Ottona z Pilczy Toporczyka, wojewody Sandomierskiego; że Pilce z nią wziął w posagu, od niej Pileckim się pisać począł i jego syn z potomstwem: ta potem Elżbieta po śmierci Wincentego, była żoną Króla Władysława Jagiełły 1415.*

Jan, syn starosty krakowskiego Jana Granowskiego i Jadwigi Kurowskiej, żonaty był dwukrotnie: z Zofią nieznanego nazwiska i Barbarą nieznanego nazwiska. Jan był prawnikiem Elżbiety Granowskiej (po owdowieniu - królowej polskiej, trzeciej żony Władysława Jagiełły). Jan miał synów: Jana, starostę lubelskiego i parczewskiego, oraz Stanisława i Mikołaja, *ale ci bez zostawienia sukcesorów po mieczu, zesłi z tego świata.*

Kasztelan: biecki (1476-1479), sądecki (1479-84), wiślicki (1484-85), wojewoda ruski (1485-96), starosta: krasnostawski (-1492), przemyski (1494-96). Właściciel ziem m.in. w województwie rzeszowskim (Tyczyn i okolice, Łańcut i okolice).

Znalazł się w gronie zaufanych królewskich. W maju 1489 przebywał w Krakowie, gdzie świadcował na licznych dokumentach królewskich.

Poparł wybór Jana Olbrachta na króla Polski (1492). W październiku 1492, towarzyszył Olbrachtowi w wyprawie przeciwko Tatarom. W r. 1490, jako komisarz królewski rozgraniczał dobra w ziemi przemyskiej, a następnie wziął udział w obradach majowego sejmiku piotrkowskiego i czerwcowym sejmie krakowskim. W lipcu 1491 przebywał z królem w Nowym Korczyniu, był na wrześnieowym sejmie radomskim. Król zezwolił na odkupienie tenuty krasnostawskiej (05.11.1491), mianował go starostą przemyskim. Jan odsprzedał tenutę krasnostawską kanonikowi krakowskiemu Janowi Rzeszowskiemu (1492). 05.11.1494 król zezwolił na powrotny wykup starostwa przez Pileckiego. W 1496 wziął udział w obradach sejmiku piotrkowskiego; był świadkiem na aktach potwierdzenia statutów nieszawskich i nadania ziemi czerskiej mazowieckiemu księciu Konradowi III. Przyjął na swój dwór w Pilicy humanistę Biernata z Lublina (1492), który bardzo sobie chwalił pobyt u Jana, także i u jego syna, również Jana, z racji wielości ksiąg w zamkowej bibliotece. 24.09.1494 *Marcissius, dzierżawca miasta Przedbórz, chcąc dobra swoje w przypadku śmierci dobrze zarządzanymi uczynić, Jana z Pilczy, wojewodę ruskiego, Jana z Przytyku, kasztelana radomskiego, Żegotę Suchodolskiego i Adama Orłowskiego, krewnych swoich, protektorami (opiekunami) dóbr swoich naznaczył był.*

JAN FELIKS RZESZOWSKI Z RZESZOWA (PRZYBYSZÓWKI (PRZYBYSZOWCA) I OGRODZIENIA), z rodziny pochodzącej od Jana Pakosława, który w nagrodę za usług, jakie oddał Kazimierzowi Wielkiemu w podbiciu Rusi Czerwonej i wyrugowanie z niej Tatarów, dostał miasto Rzeszów (1354).

Jan był najstarszym synem Jana, kasztelana przemyskiego i Barbary Tęczyńskiej. Bezzenny. Umarł w Gnieźnie, pochowany w kościele metropolitalnym.

Kanonik krakowski (1483) i gnieźnieński (1509), proboszcz przemyski, prepozyt przemyski i w Księżu Wielkim. Starosta krasnostawski (1492-95).

W 1478 biskup krakowski Jan Rzeszowski uzyskał dla swego bratanka, dziesięcioletniego wówczas Jana Feliksa, ekspektatywę papieską na prebendę w dowolnej diecezji razem z dyspensą od przeszkody wieku. W 1480 Jan wstąpił na Akademię Krakowską i uzyskał kanonię krakowską. Prepozyt przemyski (1488-95). Pisarz królewski (1490). Wojewoda ruski, Jan Pilecki, za zgodą króla, odstąpił Janowi tenutę krasnostawską (16.10.1492). Jan Feliks był właścicielem zamku Ogrodzieniec i Zawiercia (1492). *Jan Feliks Rzeszowski, prepozyt przemyski i kanonik krakowski, z Przybyszówki a właściciel Ogrodzięcia, akta własności dóbr swoich i miasto*

Ogrodzieniec ze wsiami: Klucze, Rodaki, Niegowanice, Wysoka, Wiesiołka, Rokitno, Kielkowice, Parkoszwice, Rudniki, Zagórzany, Góra, Nadolice, Włodowice wraz z wójtostwami oraz kopalnią, czyli rudą, zwaną Czystowska (Cisowska), w powiecie lełowieckim położonymi, na wieś Zawiercie z dopłatą 8000 florenów z Janem z Pilczy, wojewodą ziemi ruskiej, zamienił.

MIKOŁAJ Z PILCZY PILECKI, syn ww. Jana Pileckiego i Zofii, był żonaty z Magdaleną Jarosławską.

Po ojcu otrzymał tenutę krasnostawską (1503-15). Należał do zaufanych dworzan królewskich (1508). Kasztelan: przemyski (1508-10), wiślicki (1510-11), wojewoda bełski (1511-27), senator (1510-20).

W r. 1506 był na grudniowym sejmie piotrkowskim i podpisał akt elekcji króla Zygmunta. Jako komisarz królewski, rozpatrywał spory graniczne szlachty sanockiej (1511). Odznaczył się w bitwie przeciw Tatarom pod Wiśniowcem (28.04.1512). Brał udział w wojnie z Moskwą (1514). Ze swoim orszakiem witał pod Krakowem Bonę Sforzę i wziął udział w królewskich uroczystościach weselnych (1518). Mikołaj, w podziale ojcowizny, otrzymał Ogrodzieniec z zamkiem, Włodowice z 13 wsiami, miasteczko Kosinę i 10 wsi w ziemi przemyskiej oraz Krasnystaw i 13 wsi w ziemi lubelskiej.

ANDRZEJ TĘCZYŃSKI Z TĘCZYNA (TENCZYNA). *Dom ten w Koronie Polskiej bez wątpienia jeden z najcelniejszych, przeciw skąpo i o nich nasi historycy piszą. Pisali się z Tęczyń, dawniejszych zaś ich przodków, znajdziesz pod herbem Topór w roku 1325. Rodzina Tęczyńskich w XVI wieku miała tak wielką renomę, że Jan Baptysta Tęczyński zaręczony był ze szwedzką królową Cecylią Wazówną (1563). Jednak małżeństwo nie doszło do skutku z przyczyn tragicznych. Męska linia rodu Tęczyńskich wygasła w roku 1637.*

Andrzej, syn Zbigniewa, podstolego sandomierskiego i Katarzyny Pleszewskiej, żonaty był z Katarzyną z Sienna.

Andrzej, dworzanin królewski (1503), podkomorzy sandomierski (1510-11), referendarz koronny (1510-12), sekretarz Zygmunta Starogo (1511), kasztelan biecki (1511-15), podkomorzy krakowski (1515-17), wojewoda: lubelski (1515-20), sandomierski (1520-27), krakowski (1527-33) *za wielkie zasługi, jakie oddał Ojczyźnie w czeskich i węgierskich interesach.* Kasztelan krakowski (1533-36). Andrzej miał w ręku 10 starostw: chełmskie (1513-19) i (1522-35), ratneńskie (1513), krasnostawskie (1515-36) (od przynajmniej 1526 r. do 1536 był starostą wspólnie ze stryjecznym bratem Janem), bełskie (1519-36), tyszowieckie (1519), hrubieszowskie (1513-36), sokalskie (1519-36), trembowelskie (1530-36), ojcowskie (1525-36).

Hrabia Świętego Imperium Rzymskiego od Karola cesarza zaszczycony (1527).

Członek komisji kodyfikacyjnych i senator. Założył własną szkołę dworską. Człowiek o imponującej aktywności. *Mąż mały wzrostem, ale wielki umysłem, nauki wielkiej i zawołany mówca. W radzie królewskiej Demostenesowi i Cyceronowi wielce podobny.* Andrzej był mecenasem Jakuba Uchańskiego, późniejszego prymasa Polski, który został jednym z zarządców rozległych dóbr wojewody. Tęczyński zorientował się w zdolnościach Jakuba i umieścił go przy boku Sebastiana Branickiego referendarza koronnego, przyszłego biskupa poznańskiego.

WINCENTY ŚWIDWA Z SZAMOTUŁ, SZAMOTULSKI. *Dom w Wielkiej Polsce i dziełami i honorami kiedyś w Polszcze wstawiony. Starożytność jednak Szamotulskich głęboko w niepamięci zagrzebła, Dobrogost wojewoda Poznański, za książęciem Władysławem Laskonogim, poległ w r. 1226.*

Wincenty, syn wojewody poznańskiego Jana, żonaty z Dorotą Gardzina-Lubrańską.

Kasztelan starosta ruski lwowski (1496), starosta krasnostawski (1516-25), kasztelan gnieźnieński (1518-28), kaliski (1525-27), senator ok. 1520. Właściciel Turobina (1518).

JAN TĘCZYŃSKI Z TĘCZYNA (TENCZYNA). Stryjeczny brat ww. Andrzeja, syn Mikołaja, miecznika krakowskiego i Aleksandry Sudymontowiczówny, żonaty z Katarzyną Łaską.

Podkomorzy chełmski (1515-28), miecznik krakowski (1518-29), kasztelan chełmski (1525) (nie objął), starosta: bełski (1519-41), chełmski (1523-41), krasnostawski (1525-41), hrubieszowski, lubomelski, ratneński, tyszowiecki (1524-41). Wojewoda: bełski (1528-33), podolski (1533-35), ruski (1535-37), sandomierski (1537-41). Uczestniczył razem z bratem Andrzejem w komisji sejmowej do kodyfikacji prawa (1526-28). Jeden z najbogatszych ludzi w ówczesnej Polsce, pozostawił olbrzymi majątek i dwie córki. Jego nagrobek znajduje się w Książu Wielkim, którego był właścicielem.

MIKOŁAJ BOGUSZ Z ZIEMBLIC, KOŚCIELCA, BOGUSZOWEJ WOLI. Początki rodziny sięgają czasów piastowskich. *Podług świadectwa Długosza i innych kronikarzy i heraldyków, jej protoplasta Bogusz (Bogusław) w połowie XI stulecia żyjący, był synem rycerza Stawisza, któremu król Bolesław Chrobry w roku 1022 wynagradzając zasługi rycerskie nadał znaczne majątki i herb Półkozic. Pisali się z Ziemblic, z których czytam Bogusza w roku 1044 wojennymi dziełami wstawionego.* Pochodził z linii, osiadłej z końcem XV wieku w powiecie radomskim, pierwotnie w Woli Kowalskiej, a następnie w Woli Markowej, Piotrowicach i Sandowicach. Gniazdem Boguszów-Półkuziów

była jednak ziemia wiślicka, gdzie leżą Ziemblice. Mikołaj, obok dziedzicznych dóbr w powiecie radomskim, posiadał także wieś Kościelec w powiecie proszowskim, którą nabył (około 1552).

Mikołaj, syn Jana i Anny Małęczyńskiej. Zmarł bezżennie.

Był dworzaninem króla Zygmunta I i przełożonym dworu (*praefectus curiae*) biskupa Piotra Tomickiego. Sekretarz królewski, wojski lubelski (1539-60), starosta malborski i krasnostawski (1542-60) (od 1550 wspólnie z Mikołajem Odnowskim), wojski radomski (1585-1600+). Jako mąż zaufania króla Zygmunta Augusta, był posłem do sułtana tureckiego Sulejmana I (1549/1550). Zygmunt August w dokumencie wystawionym w Krakowie dnia 20 lipca 1549, dał mu w roczną dzierżawę dobra starostwa krasnostawskiego, którą w razie wcześniejszej jego śmierci, przed upływem terminu dzierżawy, przedłużył na rzecz sukcesorów.

Będąc już chorym, Mikołaj wniósł do krakowskich ksiąg grodzkich zapis na rzecz swych bratanków, Jana, Stanisława i Mikołaja, przekazał im w spadku swe dobra dziedziczne. *Kościelec, Wolę Boguszową v. Markową i Wolę Kowalską, jak również i starostwo krasnostawskie, które król Zygmunt August dozwolił 1560 r. jego sukcesorom, do terminu dzierżawy wytrzymać, zapisał bratankom swoim. Kościół S. Salwatora na Zwierzyńcu w Krakowie. Znajduje się tu grobowiec kamienny w smaku szesnastego stulecia, wyobrażający w wielkości naturalnej, wspartego na ręce Mikołaja Bogusza, starostę krasnostawskiego, męża doświadczonego w bitwach i w pokoju. W kościele OO. Dominikanów w Krakowie, w kaplicy Św. Tomasza (drugiej na prawo od wejścia), zwraca uwagę piękny renesansowy nagrobek Mikołaja Bogusza, herbu Połukoza. Autora jego nie znamy, nie ulega jednakże wątpliwości, że wykuta w piaskowcu postać rycerza w zbroi, jest dziełem mistrza włoskiego, prawdopodobnie, słynnego Gianmaria Padovano, twórcy pomnika biskupa Piotra Gamrata i Zygmunta Starego.*

Mikołaj pozostawił ślad w literaturze polskiej, wspomniany przez Łukasza Górnickiego w utworze *Dworzanin Polski*, gdzie pochwała się jego statecznością i rozum.

MIKOŁAJ HERBURT ODNOWSKI Z ODNOWA (pod Kulikowem, obecnie na Ukrainie) i **FULSZTYNA**, z rodziny pochodzącej z Moraw. Władysław Opolczyk objawszy wielkorządztwo Rusi sprowadził tu braci Herburtów, powierzył im straż kilku grodów i znacznymi wyposażył dobrami. *Nadał dwom członkom tego rodu Dobromił, Chyrów, i liczne okoliczne włości (1374). Przy Dobromiłu zbudowali zamek Fulsztyn przypominający dawną*

ich siedzibę i od niego się pisali, następnie od różnych swych posiadłości nosiły gałęzie tego domu nazwy: Dobromilskich, Odnowskich, Mierzyńskich i Bruchnalskich. Mikołaj był z linii Odnowskich (od Odnowa, Udnowa pod Lwowem). Ród Herburtów wygaś na Janie Lwie, a Fulsztyn około 1653 roku przeszedł w ręce Daniłowiczów. Z rodu Herburtów po kądzieli, byli: król Jan III Sobieski, hetman i kanclerz wielki koronny Jan Zamojski, i jego prawnuk, król Michał Korybut Wiśniowiecki, Mikołaj Rej.

Mikołaj był synem Piotra, podkomorzego lwowskiego i Beaty Romanowskiej, żonaty z Anną Ligęzówną. Zmarł bezdzietnie. Pochowany w katedrze lwowskiej, gdzie jest jego renesansowa brązowa płyta nagrobna.

Dworzanin królewski, podkomorzy lwowski (1530-35), kasztelan przemyski (1535-52), starosta ruski lwowski (1537-55), rzekomy krasnostawski (1550-55) (być może wspólnie z Mikołajem Boguszem), wojewoda sandomierski (1553-54), krakowski (1554-55+). Doradca królowej Bony.

W Zboiskach wybudował nowy zamek (1529), który przetrwał ponad sto lat, do najazdu księcia Jerzego Rakoczego. Był właścicielem kilku wsi w Bieszczadach i Beskidzie Niskim: Kalnicy, położonej na pograniczu Pasma Połoniny Wetlińskiej, Dołżycy, Jawornika, Roztoki Dolnej, Tokarni (1539), Oslawic (1540). Był fundatorem gotycko-renesansowego kościoła św. Mikołaja w Kulikowie, jednego z najstarszych w okolicach Lwowa (1538). Udzielił królowi pożyczki 18 tysięcy florenów, którą król zabezpieczył mu na mieście i starostwie krasnostawskim. Jego siostrzeńcem był Mikołaj Rej, któremu *wieś był dał, dziedziczną, którą zwano Dziwiąciele. A ten to Mikołaj Odnowski był mu bratem bliskim, i dał mu był swe prawo jeszcze za żywota swego.* W roku 1560, przed oddaniem starostwa Mikołajowi Łaskiemu, administratorem był Andrzej Owadowski jak i starostw: kamienieckiego, lwowskiego i przemyskiego.

MIKOŁAJ ŁASKI Z ŁASKA. Przodkowie w XIV wieku pochodzili z Radlic (1382). Przy końcu tego stulecia jedna linia Radliców od majątku Łask w sieradzkim, przyjęła nazwisko z Łaska, a następnie Łaskich. Od początku XVI wieku Łascy stali się jedną z najmocniejszych rodzin.

Mikołaj był synem Stanisława, wojewody sieradzkiego i Beaty Odrowążówny, żonaty z Zofią Śmigielką. Zmarł bezpotomnie.

Sekretarz Zygmunta Augusta, krajczy nadworny koronny (1558), starosta krasnostawski (1561-72) i malborski (1563), wojewoda kaliski (1563). Odziedziczył Łask (1564).

Był tym spośród urzędników dworskich i ziemskich czasów Zygmunta Augusta, którzy posługiwali się językiem niemieckim. W 1563 r. był jednym z czterech „starszych” nad królewskim dwo-

rem, miał prawo do utrzymania ośmiu koni. Podpis Łaskiego widnieje na akcie sejmowym w Lublinie 05.03.1569, którym król Zygmunt August *przywraca i wciela do Korony polskiej Podlasie i Wołyń*. Był na pogrzebie króla. Mikołaj Rej w *Zwierzyńcu* stawiał go młodzieży za przykład: *Podziwuj się w młodości zacnemu człowieku! Acz ten dom sławny w Polsce zawsze był od wieku, Ale wierz mi, w swych leciech i ten go nie zelżył, A musi to rozemnać, kto mu się przypatrzył, Dworstwu, kształtom, postawam, cnotam, obyczajom, Że bywał w podziwieniu z tym i innym krajom. A młodzi ludzie pewnie mogliby przykład brać, Jego się pięknym sprawom pilnie przypatrować.*

JAN MNISZECH Z WIELKICH KOŃCZYC.

Z rodziny czeskiej (morawskiej) z Wielkich Kończyc na Ossowicy o przydomku Wandalin, od 1533 osiedlonej w Polsce. *Mikołaj Mniszech* (ojciec Jana) w *Czechach* pochodzący, z rozmaitych powodów, *najbardziej zaś gniewu Ferdynanda I Cesarza schronił się do Polski za Zygmunta I i do niej przeniósł swoje dostatki. Przymioty wyborne i związki małżeńskie, zawarte z znakomitymi Polskimi domami, drogę mu do pierwszych dostojności utorowały.* Sześciu senatorów w latach 1583-1793. Starostami krasnostawskimi byli Mniszchowie z drugiego i trzeciego pokolenia po przybyciu do Polski.

Jan, syn Mikołaja i Barbary Kamienieckiej, był żonaty z Jadwigą Firlejówną. Pozostawił dwu bezpotomnych synów.

Po ojcu został starostą łukowskim (1556-72). Z tym tytułem zapisał się 1560 na uniwersytet w Królewcu, dokąd udał się z młodszym bratem Jerzym pod opieką dwóch luteranckich ministrów. Przenieśli się oni na uniwersytet w Lipsku (1563). Starosta krasnostawski (1572-90).

Jan, w sierpniu 1574 roku, został wypędzony z Krasnegostawu przez starostę drohobyckiego Pawła Uchańskiego i wiódł z nim wieloletni spór o starostwo, zakończony w lutym 1590 śmiercią Uchańskiego w Konstantynopolu podczas misji dyplomatycznej. Opis wydarzeń znajdujemy w skardze sejmowej 04.09.1574: *Stanisław Gostomski Kasztelan Sochaczewski skarżył się na Pawła Uchańskiego, że ten ostatni przed kilkoma dniami przemocą i podstępem wypędził Jana Mniszcha ze starostwa Krasnostawskiego. Bronili Mniszcha Posłowie kilku sąsiednich województw, ofiarując mu wszelką pomoc do odebrania starostwa, jeżeliby nie zyskał sprawiedliwości, jakoż Mniszech obległ rzeczywiście Uchańskiego w Krasnymstawie z wojskiem, częścią zaciężnem, częścią z ochotników złożonem, i głodem a działami do ostateczności prawie doprowadził, lecz skończyło się na tem, że stanął rozejm pomiędzy stronami aż*

do konwokacji Warszawskiej, na której miano spór ten rozstrzygnąć. Jan sprawował urzędy starosty krasnostawskiego do kwietnia 1590 roku, kiedy zrezygnował na rzecz syna Mikołaja i powrócił na urząd starosty krasnostawskiego w październiku 1594 po śmierci syna Mikołaja. 26.04.1590 *Król zgadza się by Jan Mniszech z Wielkich Kuńczyc, starosta krasnostawski, mógł ustąpić dożywotnich praw do starostwa krasnostawskiego na korzyść Mikołaja Mniszcha, swojego syna. Jako nowy starosta, Mikołaj Mniszech zobowiązany płacić corocznie na św. Jana Chrzciela 300 złotych do skarbu koronnego.* Po ucieczce Henryka Walezego, został wypędzony z Krasnegostawu przez Pawła Uchańskiego. Podczas sejmiku elekcyjnego 1587, Jan opowiedział się za kandydaturą królewicza szwedzkiego Zygmunta Wazy. W marcu 1606, wraz z jednym ze swych synów (prawdopodobnie Mikołajem), wziął udział w wyprawie brataniacy Maryny (żony Dymitra Samozwańca) do Moskwy i został tam uwięziony. Rozejm zawarty między Rzplitą a Moskwą 23.07.1608, uwolnił zatrzymanych Polaków.

PAWEŁ UCHAŃSKI ZE SŁUŻEWA. *Dom starożytny, którego przodek Gotard walczył zwycięsko z Jadrzyngami i Prusakami na ten czas jeszcze poganami, w nagrodę swoich czynów otrzymał od Konrada księcia Mazowieckiego dobra Służewo (1241). Rodzina w Płockiem i Bełżkiem. Dawniej ze Służewa.*

Paweł był synem Arnulfa, późniejszego wojewody płockiego i Zofii Kopytowskiej, bratankiem prymasa Jakuba. Żonaty dwukrotnie: z kobietą nieznanego nazwiska ani imienia oraz z Anną Herburtówną (w Samborze 1571). Nazywał siebie szwagrem Jana Zamoyskiego. Nie pozostawił męskiego sukcesora. Zmarł w Stambule. Pochowany w kościele Wniebowzięcia NMP w Uchaniach, gdzie ma nagrobek wyobrażający leżącego rycerza w pełnej zbroi rycerskiej, z żoną Anną z Herburtów w habcie. Nagrobek późnorennesansowy, piaskowcowy, z alabastrowymi postaciami zmarłych i inkrustacjami marmurowymi. Jego córka, Helena wniosła dziedzictwo w posagu Mikołajowi Daniłowiczowi, staroście krasnostawskiemu.

Kasztelan bełski (1575), wojewoda bełski (1588-90+). Starosta gnieźnieński (1588), krasnostawski (1574-75).

Podczas pobytu z misją dyplomatyczną w Rzymie w grudniu 1579, został zaszczycony przez papieża Grzegorza XIII honorową misją wręczenia Stefanowi Batoremu poświęconego miecza. Starostwo krasnostawskie otrzymał prawdopodobnie z nadania Henryka Walezego (1574-75). Wiódł o nie zbrojny spór z Janem Mniszchem. Starostwo drohobyckie, otrzymał od Stefana

Batorego, król oceniając wysoko działania Uchańskiego w czasie bezkrólewia i początkowym okresie panowania rozciągnął dożywocie na Annę, żonę Pawła. Prawo poboru podymnego (zwanego też poradnym) w województwach poznańskim i kaliskim. Po ucieczce Henryka Walezego z Polski w czerwcu 1574 roku, nastąpiło kolejne bezkrólewie. Jego ofiarą padł też Jan Mniszech, który w sierpniu 1574 roku został wypędzony z Krasnegostawu przez starostę drohobyckiego Pawła Uchańskiego. Prawdopodobnie Uchański wyrobił sobie przywileje na starostwo krasnostawskie u Walezego, który, hojną ręką rozdawał pieniądze i urzędy. Mniszech nie zamierzał rezygnować z tak intratnego stanowiska i dlatego przy pomocy okolicznej szlachty i oddziału żołnierzy zaciężnych próbował zbrojnie odbić zamek krasnostawski. Gdy mu się to nie udało, odwołał się do konwokacji warszawskiej. Paweł Uchański pozostał przy Krasnymstawie do połowy 1576 roku. Wtedy też wyjechał zagranicę, z czego skorzystał Jan Mniszech najeżdżając Krasnystaw i zajmując zamek. Wiosną 1580 roku Uchański ponownie opanował i zrabował zamek krasnostawski i zabrał w nim rozmaite ruchomości, przybory wojenne, papiery i kwity królewskie z opłaconej kontrybucji wojennej z ziemi Chełmskiej, w dodatku zaś dwieście korcy jęczmienia. Mniszech wniósł sprawę do Trybunału Lubelskiego, ten zaś odesłał ją do sejmiku. Wyroku sejmiku nie mamy: wiemy tylko, że 08.03.1581 Mniszech wypłacił Uchańskiemu 8727 złp, a sprawa między nimi została umorzona.

Paweł zasłużył się królowi Zygmuntovi III, posłował na swój koszt do króla elekta. *Król podwyższył roczną pensję Pawła Uchańskiego ze Służewa, wojewody bełskiego, starosty drohobyckiego, z dwóch do czterech tysięcy złotych.* (16.06.1588). Paweł zasłużył się, ponosząc znaczne koszty na poselstwo do sułtana. Pensję dwóch tysięcy złotych pobierał z dochodów cel ruskich, została ona podwojona i wypłacana na święto Oczyszczenia NMP (2 VII). 29.04.1589: Zapis do ksiąg kancelarii koronnej na korzyść Pawła Uchańskiego dotyczący zamku i wsi: Uchanie, Wola Uchańska oraz wsi przynależnych. Uchański był przedstawicielem Polski w Turcji (1589), skąd sprowadził tytoń do botanicznych zbiorów Anny Jagiellonki. Sejm polski uznał, że tytoń jest nieszkodliwy i ustanowił podatek od jego uprawy i używania. W czasie ostatniej misji do sułtana, Paweł złamał prawą nogę w stawie biodrowym i kość goleniową, spadając z konia, idługo chorował we Lwowie. Po wyzdrowieniu pojechał dalej i 26 lutego 1590 przybył do Stambułu. Zmarł jednak na powikłania (gangrenę) 6 marca 1590 r.

MIKOŁAJ MNISZECH, syn ww. Jana Mniszcha i Jadwigi Firlejówny, żonaty z Zofią Działyńską. Zaufany sługa i dworzanin Zygmunta Augusta. Z cesji ojca starosta krasnostawski (1590-1594).

JAN MNISZECH, brat ww. Mikołaja. Dworzanin królewski, starosta: krasnostawski (1594-1611), jasielski. Wziął udział w wyprawie Maryny (1606.03), która wyszła za Dymitra Samozwańca i na Kremlu została koronowana carową Rosji (1606). Zmarł bezżennie.

HIERONIM I JAKUB IGNACY MNISZCHOWIE, rzekomi starostowie krasnostawscy. Informacja spotykana w literaturze, że syn Jana, Hieronim, w 1612 r. był starostą krasnostawskim, nie znajduje potwierdzenia źródłowego, a także informacje, że starostą był Jakub Ignacy Mniszech, zmarły 1700 r. Prawdopodobnie byli oni dzierżawcami starostwa od Potockich.

STEFAN SNOPKOWSKI, pochodził z rodziny, która wg Kaspra Niesieckiego, stanowiła gałąź Ożarówskich, a przyjęła nazwisko od dóbr Snopków w Lubelskiem.

Syn Jakuba i nieznanego imienia Herburtówny (kuzyn Sobieskich). Zmarł bezpotomnie. Ostatni po mieczu potomek Snopkowskich.

Stefan, dworzanin króla Zygmunta III Wazy. **Chorąży wielki koronny** (1615-21), starosta krasnostawski (1613-22).

W 1601 r. znajdował się na dworze królewskim w grupie pacholąt, dwa lata później zaliczono go do młodszych pokojowców, doszedł do stanowiska dworzanina. Studia na uniwersytecie padewskim (1605). Wrócił do Polski (1606), być może w związku ze śmiercią ojca. Pobierał żołd w wysokości 3000 złp na 100-konną rotę (06.07-06.10.1609), wypłacany z podatków województwa lubelskiego. Brał udział w wojnie moskiewskiej jako rotmistrz chorągwi kopijników (1609-11), towarzyszył królowi na czele chorągwi kopijników w wyprawie na Smoleńsk (1612). Tytułem wynagrodzenia za służby, otrzymał: tenutę tarnogórską (1611), starostwo krasnostawskie (1613), rohatyńskie (1614), tarnogrodzkie, kolskie. Zygmunt III przyznał mu kolejne dzierżawy królewszczyzn - bohusławską i kaniowską (1620 i 08.03.1621).

W roku 1620 lubelski trybunał skazał na karę śmierci kilku prawosławnych mieszkańców Krasnegostawu pod zarzutem samowolnego wywiezienia z miasta księży unickich, tylko humanitarna postawa starosty Stefana wybrała ich od śmierci. 26.10.1613 *Zygmunt III, król polski, nadaje Stefanowi Snopkowskiemu, swemu dworzaninowi, starostwo krasnostawskie wakujące po śmierci Jana Mniszcha*. 10.03.1615 *Zygmunt III, król polski, nadaje Stefanowi Snopkowskiemu, staroście krasnostawskiemu, urząd chorążego wakujący po śmierci Sebastiana Sobieskiego*. Właściciel Gardzienic.

MIKOŁAJ DANIHOWICZ Z ZADEREWIEC (w powiecie żydaczowskim) **NA ŻUROWIE**. Rodzina z Żurawa na Rusi, choć najstarszym jej gniazdem rodzinnym były Zaderewce w Żydaczowskim. Zdobyła sobie od początku XVI stulecia stanowisko magnackie i posiadała najwyższe w kraju urzędy i dostojęstwa, a przez połączenie z Herburtami, Żółkiewskimi i z królewską gałęzią Sobieskich, zapisała się w dziejach naszego narodu, ale wkrótce potem zgasła. Ostatniego po mieczu potomka młodszej gałęzi Daniłowiczów, ścięto w niewoli tatarskiej (1636).

Mikołaj, syn Stanisława, chorążego lwowskiego i Katarzyny Anny Tarłówny, żonaty z Heleną Uchańską, córką Pawła starosty krasnostawskiego, która wniosła w posagu Uchanie. Zmarł bezpotomnie.

Otrzymał staranne wykształcenie (uniwersytet w Dillingen 1581). Starosta drohobycki (1599), czerwonołódzki (1607), chełmski (1609-17), bielski (1610), samborski (1615), krasnostawski (1622-24). **Marszałek sejmu** (1593), **Oboźny koronny** (1606-09), kasztelan lwowski (1614-16), podskarbi nadworny koronny (1610-16), **Podskarbi wielki koronny** (1616-24) (znane są monety „półtoraki” z herbem Daniłowicza - Sas).

Gorliwy katolik. W czasie rokoszu, stanął po stronie króla, za co spadły na niego liczne łaski. Mikołajowi przypadło kierowanie ważną strefą polityczną i gospodarczą w okresie trudnym dla Rzeczypospolitej. Bywało, że ratował skarb koronny własnymi funduszami. Początkowo poświęcił się służbie wojskowej. Jeździł w orszaku króla Zygmunta III do Szwecji (1593). Jako oboźny koronny stawał przy królu w czasie rokoszu zebrzydowskiego i przez dziewięć lat walecznie porucznikował pod hetmanem Janem Zamoyskim. Brał udział w wyprawie cecorskiej w 1595 roku oraz w wojnie z Michałem Walecznym - hospodarem wołoskim (1599-1600). W 1607 posłował do Turcji, gdzie był przedstawicielem Polski (1601-13). Kupił Uchanie, Wołę Uchańską i Wysokie (1599). *W Uchaniach, gdzie znakomity niegdyś mąż, Mikołaj Daniłowicz, podskarbi Królestwa, kościół przewspaniały zbudował i różnymi bardzo kosztownymi darami, jak i srebrnymi sprzętami wielce ubogacił. Również pałac okazały można tutaj zobaczyć i bardzo piękne ogrody, co powszechnie jest wszystkim magnatom Sarmacji. Kolegiatę oo. Jezuitów w Lublinie pokrył miedzią, dla zakonów i ubogich odznaczał się niemal królewską hojnością. Wzniósł w Warszawie kamienicę (1621), zniszczoną w czasie potopu szwedzkiego, która odbudowana, pomieściła Bibliotekę Żałuskich. Od niego w Warszawie ulica, przy której wystawił wspaniały pałac, nazwana została Daniłowiczowską. Za młodu, związał się z*

Herburtami, pod hasłem obrony swobód szlacheckich, przeciwko zamysłom króla. Na sejmie 1593, mimo swej młodości (miał 35 lat), zostawszy Marszałkiem Izby Seymowej, w obwinianiu Zygmunta z zapalem się unosił. Lecz gdy rokosz wybuchnął, z nim się łączyć nie chciał, owszem w obronie króla stanął. Siedem Starostw dostąpił posiadał: Chełmskie, Drohobyckie, Krasnostawskie, Samborskie, Parczowskie, Bielskie i Czerwonogrodzkie. Prawy senator i mężny żołnierz, wielbiony i poważany od Zygmunta III i od całego narodu. Spokrewniony był z Mikołajem Rejem i spowinowacony z Janem Kochanowskim. Syn Mikołaja, Jan Mikołaj, był żupnikiem krakowskim (1640-42) i podskarbis wielkim koronnym, należał do najbogatszych wielmożów Rzeczypospolitej. Ufundował kompleks kościelno-klasztorny sióstr karmelitanek lubelskich.

JAKUB SOBIESKI. *Dokumenta, jakie z wielkim trudem dały się zebrać, pozwalają zacząć rodowód tej rodziny, od Sebastjana Sobieskiego, który w r. 1523 trzymał zastawę, wójtostwo w Pilaszkowicach. Żaden jednakże z Sobieskich, nie pisał się z Sobieszyna lub Sobieskiej Woli wyjąwszy Stanisława. On to, zdaje się założył Sobieską Wolę. Z synów Sebastjana, Wojciech, już w r. 1582 pisał się z Sobieszyna. Podwaliny magnackiej potęgi rodu, położył Marek, ojciec Jakuba.*

Jakub, syn Marka, wojewody lubelskiego (1597-1605) i Jadwigi Snopkowskiej, był żonaty z Marianną ks. Wiśniowiecką, a następnie z Zofią Teofilą Daniłowiczówną, bratanicą starosty krasnostawskiego Mikołaja Daniłowicza. Ojciec króla Jana III. Zmarł i pochowany w Żółtkwi.

Dworzanin królewski (1624), krajczy koronny (1628-36), podczasy koronny (1636-38), starosta: krasnostawski (1624-44), trembowelski (1624), jaworowski (1633-39), krechowicki (1641), wojewoda: bełski (1638-41), ruski (1641-46), kasztelan krakowski (1646-46+).

Uczestnik wypraw wojennych przeciwko Moskwie (1617-18) i Turkom (1621). Marszałek sejmowy (1623-1632). Autor diariusza *Commentariorum Chotinensis belli libri tres* (1646). Nauki: Akademia Zamojska, następnie 1604 studia na Akademii Krakowskiej i 1607 w Paryżu. Ważną częścią edukacji była nauka języków obcych: francuskiego, włoskiego i hiszpańskiego, poznanie kultury i zwyczajów francuskich. Przebywał we Francji, Anglii, Niderlandach, Niemczech, Hiszpanii, Portugalii, Sabaudii, Włoszech i Austrii. W czasie podróży był na dworach królewskich: króla Henryka IV, króla Anglii Jakuba I Stuarta, namiestnika Niderlandów Maurycego Orańskiego, króla hiszpańskiego Filipa III,

papieża Pawła V i cesarza Macieja I. Nauką wielką, wyborną wymową w radzie, odwagą osobistą i mężstwem w boju, sławny, od młodych lat bawił się sztuką rycerską, której rozwinienia pod panowaniem Zygmunta III tak obszerne miał pole. Władysławowi królewiczowi idącemu na wojnę z Moskwą do rady 1618 r. był dodany, idąc do szturmowania stolicy dla wysadzenia bramy tamże ranny 1619 r. był komisarzem do traktowania o pokój. W wojnie chocimskiej 1620 r. z sejmu, jako komisarz wojenny przydany Chodkiewiczowi. Gdy siły ogromne Osmana sułtana mądrą wytrwałością i odwagą hetmana wyniszczone i znużone zostały, delegowany Sobieski do traktowania o pokój z wielkim wezyrem takowy ułożył i dokończył i na lat 50 spokojne polityczne stosunki z Portą ottomańską ustalił. Tę samą wiekopomną wojnę, której ukończenia anniwersarz 10 października Polacy aż do zgaśnięcia dawnej Polski, obchodzili, pięknym piórem opisał i 1646 r. wydał pod tytułem: *Commentarius belli Chotinensis cum Turcis anno 1620 i 1621*. Tą zręcznością zmusił Kozaków do posłuszeństwa pod Kurokowem i ze Szwedami w Inflantach rzeczy uspokoił. Po 30-letniej wojnie w Niemczech, która z powodu różnowierzących tak okropnie Europę zakłóciła, jako poseł Władysława IV w Munster godnie zastępując króla tego władzę, podówczas dla północnej Europy pokój Westfalski podpisał. Z gładkiej i płynnej wymowy słynął i łaskę marszałkowską na czterech sejmach 1623, 1626, 1628 oraz na elekcyjnym 1632 r. piastował. Sejmowi żadnego nie opuścił i każde zgromadzenie narodowe ważną przysługą dla kraju odznaczył, łaskę marszałkowską w trybunale koronnym także cztery razy podnosił, wymiarem sprawiedliwości i szczerstwem jednaniem stron, słynął. Kupił Żłoczów, Pomorzany, Zborów i Jezierzyn, a tak potem, gdy król Jan w spadku i przez okup posiadał Żółkiew, Olesko, Janów, Jaworów i inne włości Sobieskich, prawie wokoło otaczały Lwów. Napisał także dzieło i zostawił w rękopiśmie, które wydrukowane zostało w r. 1784: *Instrukcja dana panu Orchowskiemu z strony wychowania synów Jana i Marka, gdy ich ojciec w obce kraje wyprawiał: jak się mają doskonalić we wszystkich naukach prócz tańców, których nauczą się łącznie w kraju w harcu z Tatarami*. W 1613 dworzanin królewicza Władysława Wazy. W 1617-18 na czele własnej chorągwi husarskiej uczestniczył w moskiewskiej wyprawie królewicza Władysława IV: przy oblężeniu tej stolicy, idąc pieszo dla wywalenia bramy (Kremla), został ciężko raniony. Uczestniczył w działaniach wojennych pod Chocimiem. Jako poseł wołyński na sejm 1623 został po raz pierwszy marszałkiem izby. Na czele własnej chorągwi rozgromił czambuły tatarskie pod Haliczem. Dostał bogate starostwo krasnostawskie, o które zabiegał. 20.07.1624 Zygmunt III, król polski, nadaje

Jakubowi Sobieskiemu, staroście trembo-welskiemu, starostwo krasnostawskie po Mikołaju Daniłowiczu. 03.10.1628 Zygmunt III, król polski, nadaje Jakubowi Sobieskiemu, staroście krasnostawskiemu urząd krajczego koronnego po Mikołaju Sieniawskim. Na sejmie koronacyjnym Władysław dostał starostwo jaworowskie (1633), jako nagrodę za zasługi. Zasiadł w senacie 1639. Obowiązki publiczne łączył z towarzyskimi, ceniony mówca często bywał na weselach, chrzcinach i pogrzebach. Jego mowy krążyły w licznych odpisach i służyły, jako wzór do naśladowania. Pozostawił diariusze o dużej wartości historycznej, napisane z talentem i znajomością realiów. Pamiętnikarz, dyplomata, parlamentarzysta.

22.05.164. przebywający w stolicy Jakub Sobieski, zażądał od króla zaniechania planów wojennych. Po gwałtownej rozmowie, w czasie której podobno został przez Władysława IV znieważony, wyjechał z Warszawy i przez Lublin oraz Krasnystaw dotarł do Żółkwi, gdzie zmarł 13.06.1646 przeżywszy 56 lat. Podobno, co najmniej od roku Sobieski czuł się źle, a intensywne podróże i ciężkie przeżycia nadwreżyły jego zdrowie.

KRZYSZTOF STOIŃSKI, na Stojeszynie w Lubelskiem, albo jak inni ich piszą Stojęński ze Stojeszyna, albo nazwali ich Stojęskimi. Piszą się także Stojęcki, Stojęski i Stojęwski.

Krzysztof, syn Jana, sędziego grodzkiego lubelskiego i nieznanego imienia Żulińskiej.

Krzysztof, podstarości (1639-49) i starosta krasnostawski (1642-44). Pod Beresteczkiem (1651) poległ dwaj jego synowie: Stanisław i Mikołaj. Będąc podstarościm, otrzymał starostwo krasnostawskie po 31.05.1641 od Jakuba Sobieskiego z zastrzeżeniem, że gdy jego syn Marek do lat przyjdzie, Krzysztof sceduje mu starostwo. Starostą sądowym nazywany jeszcze w końcu roku 1648.

MAREK SOBIESKI, syn ww. Jakuba Sobieskiego i Zofii Teofili Daniłowiczówny, starszy brat króla Jana III. Zginął bezżennie w bardzo młodym wieku 24 lat, zamordowany po bitwie pod Batochem (1652). Matka ufundowała klasztor Dominikanów w Żółkwi zadłużwszy nawet część majątku. Marka i matkę pochowano w tym kościele Dominikanów.

Z cesji ojca starosta krasnostawski (1644-52) i jaworowski. Rotmistrz wojsk koronnych.

Marek i Jan pozostawali pod silnym wpływem matki Zofii, która mawiała, że *gdyby tak, który z synów miał ująć z potrzeby, nigdybym go za syna nie miała*. Wczesne dzieciństwo spędził Marek w rodowych majątnościach Żółkiewskich, dziedziczonych przez matkę Teofilę. W dzieciństwie ciężko chorował w Krasnymstawie i był bliski

śmierci (25.01.1635, 27.05.1637). Ojciec sprowadził lekarza z Zamościa. W liście do Zamoyskiego prosił o przysłanie „doktora Duńczyka”. Marek wyzdrowiał. Dwa lata później znowu był bliski śmierci. Dziecko leżało nieprzytomne, nie dając oznak życia, podobno nie wyczuwano już pulsu. Jakub z bólem patrzył jak zrozpaczona Teofila *przytulała dziecko sądząc, że nie żyje*. Znowu sprowadzono doktora i za sprawą Boga stał się niemal cud - Marek wyzdrowiał. W wieku dwunastu lat został wraz z bratem Janem wysłany po wiedzę do stołecznego Krakowa. W ciągu pięcioletniego kształcenia, Marek i Jan ukończyli Kolegium Nowodworskiego w Krakowie, a potem dwa lata studiowali na Wydziale Filozoficznym Akademii Krakowskiej, pozostając pod pieczęcią Pawła Orchowskiego. Otrzymali wykształcenie klasyczne, umiejętność formułowania po łacinie wypowiedzi ustnych i pisemnych. Marek subtelne i z połotem pisał listy w ramach ćwiczeń gramatycznych. Radził sobie dobrze z przemowami na tematy polityczne. Jedną z pierwszych była oracja, w zastępstwie ojca wygłoszona na pogrzebie biskupa krakowskiego - Jakuba Zadziką. Marek dostąpił szczytu wygłoszenia laudacji na cześć króla Władysława IV, który przybył do Krakowa w kwietniu 1643 r. na przenosiny Szkół Nowodworskich do nowej siedziby. W jednej z mów „wojskowych” poświęconej zagrożeniu Europy przez Turków, stwierdzał: *w chwili obecnej nie nauka, lecz oręż jest głównym nakazem każdego Polaka*. Słowom tym został wierny do końca życia. Kolejnym etapem edukacji młodych magnatów stała się peregrynacja po Europie Zachodniej. Wyjazd za granicę, nastąpił 21 lutego 1646 r. *Z Żółkwi obróciliśmy się na Zamoście, Krasnystaw, Lublin, Kazimierz, Radomie, Kalisz, Krotoszyn: do Poznania przyjchaliśmy 19 Martii; tam tydzień zmieszkałiśmy. 25 Martii do miasteczka Pniowa, 26 Martii do Międzyrzecza, 27 Martii także z furmankiem granicę Polską przejechałiśmy. Znak tej granicy: miedza przez pole. 28 Martii do miasta Frankfort. 30 Martii na nocleg do Berlina*. Podróż rozpoczęli od Paryża, gdzie na pół roku podjęli studia humanistyczne, doskonaląc się w szermierce i jeździe konnej. Bracia zaznajamiali się z galanterią i konwenansami dworu francuskiego oraz doskonalili znajomość języka francuskiego. Po opuszczeniu Francji i miesięcznym pobycie w Anglii, Sobiescy dotarli do Niderlandów, by zapoznać się z najbardziej rozwiniętą sztuką fortyfikacji. *Po czasie nauk w Paryżu, puścili się oni byli do Włoch i Stambułu, tam się uczyli poznać tę potęgę, którą zwyciężać mieli. Obeznac się chcieli z prawdziwym źródłem siły otomańskiej, ale ciąg kłesk familijnych i krajowych, przerywa ich naukową wycieczkę i do powrotu zmusza.*

Sobiescy przybywają do Żółkwi i zastają po zmarłym ojcu niezgasłe męstwo w matce w te słowa ich spotykającej: „który z was z placu nieprzyjacielowi ustąpi, ten się już synem moim więcej nazywać nie będzie”. Wyrazy te wielkie wrażenie na synach zrobiły.

Marek był postem ziem ruskich na sejm elekcyjny króla Jana Kazimierza na jesieni 1648 r. Uczestniczył w uroczystościach koronacyjnych i odbył przy tej okazji sejmie. 18.01.1649 *Pan Starosta Krasnostawski wystąpił bardzo świetnie strojno. Wr. 1649. Marek Sobieski z Janem, bratem swoim pod nowo obranym królem Janem Kazimierzem walczył pod Zborowem i Zbarażem. Jan Kazimierz, widząc niepospolite zdolności tych dwóch braci, w nagrodę ich zasług Marka mianował starostą Krasnostawskim, półkownikiem i rotmistrzem wojska kwarcianego, Jana zaś chorążym koronnym. Marek z bratem Janem, zaciągnął własną chorągiew pod komendę Jeremiego Wiśniowieckiego (100-konna rota husarska od 1649, komput wojska - chorągiew usarska 100 koni JMPana Starosty Krasnostawskiego, uchwalona na sejmie XII 1549). Walczył przeciwko Tatarom i Kozakom, m.in. pod Zborowem (1649) i w obronie Zbaraża (1649). W bitwie pod Beresteczkiem (1651) wyróżnił się męstwem i cudownie uniknął śmierci zagarnięty przez Tatarów, odbity przez Polaków. Ponoć uratował go wówczas Jerzy Lubomirski. Zginął w bardzo młodym wieku 24 lat, zamordowany po bitwie pod Batochem (1652) Marek Sobieski starosta krasnostawski wielkiej nadziei i oczekiwania młodzieniec, brat starszy Jana od Tatarzyna Kantymiera był zabity. Ta Batowska bitwa, po której pięć tysięcy jeńców samej prawie szlachty wymordowano, całą Polskę okryła żałobą, i można powiedzieć, że od niej poczyna się przyćmienie uroku potęgi polskiej i zwątpienie narodu o siebie. Tragedię opisał król Jan III Sobieski: Krwią swą Marek, starosta krasnostawski, starszy brat mój, skropił pola ukraińskie i nieszczerne, a co największa i wielkiej konsyderacyjej i politywania godna, że ściety, a nie rozegrzany w bitwie był, ale nazajutrz, jako mówią, w zimnej krwi, przykładem okrucieństwa nigdy niesłychanym. Pomiędzy zginionymi znajdował się starosta krasnostawski Marek Sobieski, i byłby niewątpliwie znalazł się także młodszy brat Jan. Tak przynajmniej mniemał on o tem przez całe życie. W swoim liście, po wzmiance o klęsce batowskiej i śmierci brata Marka dodaje ukoronowany już wtedy Jan: Mnie fata albo raczej wola Boża od tej zachowały zguby, złożywszy mię pod ten czas ciężką we Lwowie chorobą. Mówiono, że Jan ocalał skutkiem ciężkiej rany, odniesionej w*

pojedyunku, z której musiał się leczyć we Lwowie. Jan miał się zakochać w córce ochmistrza Pawła Orchowskiego. Podejrzewano, że to o nią pojedykował się z Kazimierzem Pacem. W wyniku pojedyunku, Jan leżał chory we Lwowie i nie stawiał się na polu bitwy pod Batochem. Zrozpaczona śmiercią pierworodnego matka nie przebaczyła nigdy młodszemu synowi, że w skutek jakiegoś romansu, który uważała za niegodny, zajął miejsce bardziej kochanego Marka. Tragiczne wypadki z młodości, miały silny wpływ na postawę Jana i całą jego późniejszą działalność.

STANISŁAW POTOCKI „REWERA” (NA PODHAJCACH). Z małopolskiej rodziny magnackiej, która wzięła nazwę z Potoka w Księstwie. Trzydziestu ośmiu senatorów w latach 1607-1831.

Stanisław, drugi syn Andrzeja, podczaszego podolskiego i Zofii Piaseckiej, był żonaty z Zofią Kalinowską. Zmarł we Lwowie. Podkomorzy podolski (1621-28), kasztelan kamieniecki (1628-31), podczaszy (1636-55), starosta halicki i kołomyjski (1627-46), chełmski (1653-74), krasnostawski (1654-59 - przekazał starostwo synowi Feliksowi), starosta sokalski (1655?-67), ropczycki (1656-67), doliński i medycki (1659-67), grodecki (1659-67), barski (1665-67), drabimski, latyczowski, kasztelan kamieniecki (1628-31), wojewoda: braclawski (1631-36), kijowski (1655-58), krakowski (1658-67), hetman: polny (1652-54), **hetman wielki koronny** (1654-67+).

Przydomek Rewera pochodzi od łacińskich słów „re vera” (zaiste, zaprawdę), które często zwykł był mawiać. *Pierwszy z Potockich na łono kościoła powrócił się. Studia w Bazylei i na uniwersytecie w Lejdzie (1606). Po odbytych z wielkim postępem naukach w kraju, w Niderlandach i Francji, z obcych akademii prosto do obozu się udał, gdzie go ojciec z młodości do twardego życia zaprawiał. Ziemia była łożem jego, wojtek wezglowiem, suchar pokarmem, szyszak mu zaś służył do napoju za puchar. Był to mąż surowej cnoty, w utrzymaniu karności wojskowej ostry, w mowie rzetelny. Zasłużonych hojnie nagradzał, lubił okazałość, lecz miękkości nie cierpiał; wojna stanowiła jedyny żywioł jego i pole do działań. Co miał w sercu to i w uśmiech, a co mówił to i czynił. Obrońca praw tronu w jego sporach z demokracją szlachecką, wróg wszelkich nadużyć, intrgów i buntów, ulubionemu synowi Feliksowi nigdy nie przebaczył, że wziął udział w rokoszu teścia Jerzego Lubomirskiego. Całe życie spędził w siodle. Walczył w 46 bitwach, w 36 zwycięskich, a jako dowódca - w 22. Podczas wojny ze Szwedami w Prusach Królewskich (1626-27) z chorągwią husarską, był pułkownikiem jazdy. Walczył m.in. pod Cecorą (1620) i Chocimiem (1631). Uczestniczył w elekcji Władysława Wazy (1632).*

Miał w wojsku kwarcianym chorągiew husarską (1647-48). Pokonał wojska kozackie i rosyjskie pod Ochmatowem (1655). W 1655 poddał się Szwedom. *Stanisław Potocki złożył przysięgę na wierność Karolowi Gustawowi i choć w grudniu 1655 roku odstąpił od niego, nigdy do końca nie odzyskał wiarygodności w oczach Jana Kazimierza.* Wraz z Jerzym Lubomirskim, powstrzymał rosyjską armię Szeremietiewa, zmuszając ją do kapitulacji pod Cudnowem (1660), co uważane jest za największe zwycięstwo Stanisława. W latach 1665-66 walczył przeciwko konfederatom Lubomirskiego. W roku 1665 starosta Stanisław otrzymał ciekawy list następującej, treści: *Do Stanisława Potockiego. Jaśnie Wielmożnemu JM Panu na Podhajcach Potockiemu Wojewodzie Kijowskiemu Hetmanowi Koronnemu Staroście Krasnostawskiemu, Sokalskiemu przyjacielskie pozdrowienia zdrowia dobrego powinszowanie. List ode mnie, Chana Tatarskiego, Mechmet Giereia ze Światyna 13.11.1665.* Ciekawostką jest spreczny rok urodzin, jaki podają źródła, różniący się o lat 10. Stąd, ostatnią swoją bitwę Rewera stoczył w wieku lat 76 (lub 86, w co niektórzy wątpią). *Stanisław Rewera Potocki, upatrzył dogodnie miejsce na twierdzą we wsi swojej Zabłocie zwanej, a leżącej między dwiema Bystrzycami, które opadał do Worony wpadają. Począł więc wznosić tu mury, sypać wały obronne.* I choć zamiaru nie zrealizował, najstarszy syn Andrzej, około roku 1656 założył miasto Stanisławów na pamiątkę i ku uczczeniu sławnego inicjatora.

FELIKS (FELICJAN, SZCZĘSNY) KAZIMIERZ POTOCKI Z POTOKA na Podhajcach i Krystynopolu, młodszy syn „Rewery” i Zofii Kalinowskiej, żonaty z Krystyną ks. Lubomirską, a następnie z Konstancją Różą Łosiówną. Umarł w Krystynopolu, pochowany w kościele św. Ducha w klasztorze Bernardynów.

Podstoli koronny (1664-69), kasztelan krakowski (1702), starosta: krasnostawski (1659-86), w 1686 przekazał starostwo synowi Michałowi, bełski (1697-1702 +), hrubieszowski, ropczycki, sokalski (1659), tłumacki, wojewoda: sieradzki (1669-82), kijowski (1682) i krakowski (1682-1702), hetman polny koronny (1692-1702). **Hetman wielki koronny** (1702), jednak niedługo cieszył się tą godnością, albowiem umarł w trzy dni po odebraniu wielkiej buławy. W dywizji swego ojca dowodził pułkiem jazdy (1660). Walczył pod rozkazami Czarnieckiego, Lubomirskiego i Sobieskiego, uczestnicząc we wszystkich ważniejszych kampaniach poczynawszy od wojny szwedzkiej 1655-1660 r. Na czele pułku jazdy brał udział w wyprawie cudnowskiej (14.10.1660), gdzie w dywizji ojca, dowodził pułkiem. W walce szczególnie wyróżniła się chorągiew husarska het-

mana, zapewne prowadzona przez Potockiego. Pułk ów trzykrotnie odrzucił przeciwnika, następnie walcie przyczynił się do zmuszenia taboru moskiewsko-kozackiego do zboczenia z drogi. Z bratem Andrzejem *na największe narażając się ognie, mężnie sobie poczynali, pod Potockim trzech koni postrzelono.* Przy regimencie swego ojca miał chorągiew dragońską (1667-1673), przekształconą na pieszą 1674. Na przełomie VIII/IX, wyprawiony przez ojca (2000 jazdy) przeciw kozackiemu pułkowi Werteleckiego, połączył się z wysłanym przez Lubomirskiego pułkiem Sokolnickiego (2000 żołnierzy). Obaj zdobyli ufortyfikowany obóz i rozbili grupę. Pod Lubarem w czasie pierwszych starć z armią Szeremietiewa z *ochoty swojej*, przybył na plac boju i wyróżnił się nadzwyczajnym męstwem (14 IX). W dniach 6 i 26 IX uczestniczył w walkach na czele pułku, 26IX wyróżnił się męstwem. Brał udział w walkach na Ukrainie (1664), w bitwie pod Podhajcami (1667) i pod Chocimiem dowodził swoim pułkiem jazdy (10-11.11.1673), zapewne w grupie brata Andrzeja. W czasie wyprawy wiedeńskiej dowodził pułkiem złożonym z czterech chorągwi. W bitwie pod Wiedniem na czele tego pułku walczył na lewym skrzydle armii koronnej (12.09.1683). W bitwie zginął Stanisław, jego 24-letni bratanek. W pierwszej bitwie pod Parkanami dowodził lewym skrzydłem armii polskiej (07.10.1683). Na czele swego pułku brał udział w mołdawskich wyprawach króla Jana III Sobieskiego (1686, 1691). W 1692 r. otrzymał buławę polną koronną. W tym samym roku brał udział w kampanii wojennej przeciwko Tatarom oraz w budowie Okopów św. Trójcy.

Zapis kronikarski tak sławił odwagę starosty: *D. 9 7bris 1660. Był tamże z ochoty swojej JP. Starosta krasnostawski Feliks Kazimierz Potocki, z niektórym towarzystwem ochotnym, i znacznie dodawał ochoty naszym, sam na harc wypadając, i dzielnie, jako dobry kawaler stawając. D. 23 7bris. Tego dnia JP. Starosta krasnostawski, jako zawsze za każdym huczkiem ledwie nie był pierwszym na harcu, zbiegłszy się z Tatarzynem, szwankował koń pod nim i pod Tatarem za spólnem starciem się, w oczach blisko harcujących Moskwy... D. 28 7bris JP. Starosta krasnostawski za opatrnością Boską, z podziwieniem wszystkich incolumes z tak wielkiego wyśli ognia. D. 14 8bris Chorągiew usarska JP. Wojewody krakowskiego, z półkiem tegoż Jmci, który przywodził strenuissime stawając i bynajmniej się nie szanując JP. Starosta krasnostawski, trzy razy tak mocno wsparła nieprzyjaciela kopie złożywyszy a nie skruszywyszy, że tył podawać musiał. PP. Starostowie halicki i krasnostawski resolutissime stawając, i na największe narażając się ognie, mężnie sobie poczynali. [...] Jeszcze za Jana Kazimierza, zaczął*

swój zawód wojenny walcząc wespół z żołnierzami w szeregach przeciw Moskwie, r. 1660, pod Cudnowem. Pod okiem Jerzego Lubomirskiego Marszałka, wojował z Węgrami, będąc także uczestnikiem wypraw wojennych Stefana Czarneckiego przeciw Kozakom i Moskwie. Z 2000 ludzi swoich pobił 20000 Kozaków pod Międzyrzeczem i dobył Woronkowa, za co mu też miejsce w nagrodzie Jan Kazimierz darował. Sprawował urzędy Podstolego Koronnego, Marszałka izby poselskiej i r. 1669 Wojewody sieradzkiego. Elekcja Króla JMCI Michała pod łaską JMP Szczęsnego Potockiego Podstolego na ten czas Koronnego (1669). Odznaczył się i pod Janem Sobieskim, mianowicie r. 1673 w wyprawie tureckiej pod Chocimiem, gdzie z bratem swym Andrzejem uciekającemu Hussejnowi baszy most odjął i drogę zastąpił. Towarzyszył Janowi III, w wyprawach na Turki pod Wiedeń, r. 1683, oraz na Tatary pod Niemirowem, Komarnem, Kałuszem i Podhajcami, gdzie z małą garstką swoich nierównie liczniejsze hufce tatarskie rozpedził i pobił. Bój pod Podhajcami 08-09.09.1698, kiedy wystąpił z obroną Rusi przeciwko Tatarom, był ostatnim czynem wojennym hetmana. Było to ostatnie starcie epoki wojen polsko-tureckich, zakończonej pokojem w Karłowicach (1699).

Feliks był człowiekiem bardzo pobożnym, podobnie jak żona Krystyna z Lubomirskich, na której cześć wznosił Krystynopol, zaliczony do miasteczek (1692). Fundator oo. bernardynów w Krystynopolu 1695. Był dobroczyńcą krasnostawskiego klasztoru Augustianów, ufundował klasztor Dominikanów w Hrubieszowie, brygidkom sokalskim wznosił kościół i klasztor.

W roku 1661, podczas lustracji dóbr królewskich zapisano: *Tego starostwa jest posesorem WJMP Szczęsny z Potoka Potocki, krasnostawski, sokalski etc. starosta, za konsensem KJM Jana Kazimierza. Jest w tym mieście zamek nad rzeką Wieprzem murem wkoło obwiedziony. Brama jest z przyjazdu Maksymilianowską nazwana, w której było izdeb 2 i kownat 2 i górne mieszkania funditus popalone i w niwecz obrócone, de novo potrzeba restaurować. Z tej bramy Maksymilianowskiej idąc, drzwi do pokoiów osmi, w którech się sądy odprawowały, i te spalone i wniwecz obrócone. Ganki dookoła i baszt 3 i te popalone. W samym murze zamek, w którym są na dole izby: stołowa i drugie pokojowe z kownatami, alkierzami; także i górne takowe izby z pokojowemi kownatami i alkierzami. Skłepy także dolne pod temiż izbami murowane. Do tych izdeb teraz piece, okna, posadzki, kominy i wszystkie necessaria preparują i gotują, bo przez ogień ten zamek był spustoszony i zrujnowany został, który WJMP starosta naprawuje.*

MICHAŁ POTOCKI, najstarszy syn Feliksa Kazimierza i Krystyny ks. Lubomirskiej, na Sędziszowie i Czerlenicy, dwukrotnie żonaty: z Zofią Anielą Czarniecką (bratanicą hetmana Stefana), która wniosła w wianie Gardzienice, a następnie z Marcjaną ks. Ogińską.

Pisarz polny koronny (1703-26), **marszałek Trybunału Koronnego** (1695, 1723, 1745), wojewoda wołyński (1726-49+), senator (1730). Z cesji ojca został starostą sokalskim i krasnostawskim (1686-1720), starostwo przekazał synowi Feliksowi.

Michał miał w charakterze jakiś dualizm. Za młodu znany był z gwałtownego, wybuchowego temperamentu i awanturnictwa, skutkiem czego dopuszczał się czynów, dziś powiedzielibyśmy - nieakceptowalnych. Z drugiej zaś strony, był niezwykle dzielnym wojownikiem i hojnym darczyńcą. Od 1687 miał chorągiew husarską. 09.09.1698 dzielnie stawał w bitwie pod Podhajcami: *Aż jm. p. starosta krasnostawski z ochotnikami officyerów i kompaniej swojej dał znowu sołtanowi kilka razy odpór mężnie się z ordą kilka godzin ucierając.* Opiekował się kolegiami jezuickimi w Kaliszu, Łucku i Krasnymstawie. Fundował oo. kapucynów w Sędziszowie 1741. W 1745 podarował krasnostawskiemu kolegium trzysta pięknie oprawnych ksiąg. Całe prawie młode życie spędził wpośród obozów, a stare lata uleciały mu na pobożności i szlacheckich ucztach. 30.01.1695 stał się bohaterem skandalu obyczajowego na pokojach królowej Marii Kazimierzy: *W wieczór zaś podczas grania bassety jmp. starosta krasnostawski spiwszy się bardzo, bestyjalskie na pokojach królowej jm. czynił akcje, wzięwszy naturalia ad manus nie tylko mężatkom, ale i pannom one prezentował ad ocula i o stół nimi kilka razy uderzył. Do jmp podkomorzynej kor. przyszedłszy tak się z nią mocował, że na palcu jej obrączki połamał, drugie od niego ledwo pociękały.*

Głośna i groźna dla Michała była sprawa, kiedy to dał się ponieść temperamentowi, wszczynając tumult w obozie wojskowym podczas chwilowej nieobecności króla. Sprawa ta była szeroko komentowana i pozostawia kilka sprzecznych opisów, w których Potocki: bądź spoliczkował, uderzył, poczęstował buchem lub nawet zabił królewskiego pocłeczніка. 24. Września 1698, Wołynianie dowiedziawszy się, że Sasi znani z dokazywań i rabunków, idąc na Litwę na zimowe leże, znowu przez Wołyń maszerować będą, wysłali do króla deputację, która go miała prosić, aby pochód wojska saskiego inaczej obrócił. Z deputacją przyszedł także **Michał Potocki** starosta krasnostawski, syn hetmana polnego. Deputacja ta spotkała przed namiotem królewskim Przebendowskiego, z którym o celu poselstwa

swego rozmawiać poczęła. Nie wiadomo jak, od słów przyszło do zwady, a od zwady do bicia i starosta krasnostawski występujący ze zbytnią gorliwością, uderzył Przebendowskiego obuchem. Żołnierze polscy stojący niedaleko, jakby czekając hasła, rzucili się na wojewodę malborskiego, tak że się zaledwie schronić zdołał między Sasów będących w pobliżu. Stąd wpadł Przebendowski do namiotu królewskiego wołając po francusku: „Królu na nasze życie godzą!” August, który sobie dnia tego dobrze podochocił, kazał w pierwszym napadzie gniewu, uważając obrazę swego faworyta za własną, przenieść natychmiast swój namiot do obozu Saskiego stojącego opodal i sam także zaraz tam ruszył. Wodzowie posłyszawszy hałas, wybiegli z namiotów i starali się przywrócić spokojność, lecz zamiast znaleźć posłuszeństwo, usłyszeli tylko głosy żałujące, że wojewoda malborski żywo wyszedł, że takiego króla jak Augusta, wcale za króla uważać nie można. Zdawało się, że rozlew krwi nieuchronny. Król ze swej strony także się gotował do bitwy. Wojewoda malborski, choć obrażony, zapewniał jednak króla, chcąc jak się zdaje uniknąć wstydu, że go starosta krasnostawski wcale nie uderzył. Wojewoda krakowski rozgniewany na syna za nierozważny postępek, nie chciał go wcale przypuścić do siebie a wszyscy inni Potoccy, aby nie uchodzić za współników starosty krasnostawskiego, wyjechali natychmiast z obozu. [...] Wyprawa skończyła się na gorszącej scenie w obozie pod Brzeżanami, gdzie Michał Potocki starosta krasnostawski poczęstował obuchem zausznika króla Augusta, Jana Przebendowskiego wojewodę malborskiego natenczas i ledwo nie zabił w ten sposób. [...] P. był raz czy dwa skropiony po plecach obuchem, [...] wydano pozwy przed sąd hetmański o tumult obozowy. W obozie stał się wielki rozruch wobec króla. W ostatnich dniach września jpp. Potoccy mając pewną o niesłuszne do króla doniesienie urazę do jpp. Przebendowskiego wojewody malborskiego przez podstawionego starostę krasnostawskiego, tą go nakarmili konfuzją, że pomieniony starosta dwa razy senatorowi obuchem dał, wreszcie za nim i towarzystwo ręcznie a raczej obuchami w rękę będącemi wywijało, i gdyby nie umknął się do namiotu królewicza Alexandra, pewnie by była z niego nie wiem, komu ofiara. Ten p. Przebendowski jest to człowiek małej wartości, u króla pierwszy i najpierwszy, który jako wszystko na się i za się wziął, zaledwie mogąc wystarczyć tak się wielu albo i wszystkim naprzykrzył. Tymczasem wojsko w bunt poszło, bo to zrobiwszy p. starosta krasnostawski naszedł na namioty wielkiego hetmana koronnego Jabłonowskiego z towarzystwem wołając: „Tyś nam dał Niemca króla, tyś nas szotom zaprzedał”. Król widząc, do czego się ma, namioty swoje z obozu koronnego do

wojska saskiego przeniósł. Sądzić miano p. starostę i innych, wreszcie nakazano milczenie. Starosta krasnostawski upił się i z towarzystwa pijanych nachodzi namioty królewskie pytając się szpetnymi słowami, gdzie jest Prebendowski, który nic sobie nie będąc złego ani z Potockim zwady żadnej nie mając, wyszedł z namiotu; alic go zaraz obuchem przywił a towarzystwo do szabel, co on widząc nazad do namiotów królewskich skoczył. A gardekurowie namiotów pilnujący muszkietami zasłonili i nie dali szalonym wejścia do namiotu; on zaś do chorągwi królewskiej przybiegłszy chciał chorągiew porwać i w kotły bić kazał, ale go nie usłuchała chorągiew królewska, tylko inne chorągwie w kotły biły i kilkaset towarzystwa na koń wsiadło. Michał oskarżony został o zbrodnię obrażonego majestatu i miał być sądzony za to, że na namioty królewskie w obozie naszedł i na senatora królowi jegości się porwał. Pozew Michała Potockiego na sąd wojskowy na 20.10.1698, wydał kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, ze Lwowa 15.10.1698 Król wojsko rozporządziwszy pojechał do Lwowa i stał w kamienicy królewskiej. Podczas tej rezydencji we Lwowie mój ojciec starości krasnostawskiemu wydał pozwy przed swój sąd hetmański o tumult obozowy; zasiadało nas z kilkadziesiąt pułkowników, i sam ojciec jego hetman polny. Dano na inkwizycje, ale matka jego zacna i święta dama Krystyna Lubomska, zebrawszy cały szczyk pań, tak długo mordowały łzami i ukłonami króla, że musiał się dać król przeprosić i darować mu wszystko; ale Prebendowski wojewoda malborski, nie chciał żadną miarą dać się przeprosić, żeby mu dał parol bić się na pistolety. W rok potem na sejmie wyjeżdżali, ale się im bić nie dano.

W latach 1712-15 nie angażował się w działalność publiczną. Z zadowoleniem powitał zawiązanie konfederacji tarnogrodzkiej. Jego popularność była na tyle duża, iż poważnie aspirował do funkcji marszałka. Z początkiem 1716 r. przyprowadził do obozu znaczną partię ludzi (ok. 1500). Tuż po traktacie rawskim rozbił Sasów pod Tomaszowem tak, że na trzy mile drogę trupem usłał. Wyciął pod Belzem znaczny oddział saski, ponosząc niewielkie straty, 10.II t.r. został rozbity przez Sasów pod Sokalem. Wprowadził swą dywizję do Lwowa i aresztował hetmana Sieniawskiego (3.IV). Powiększył wówczas swą dywizję o 1500 ludzi hetmańskich. Sasom nie udało się odbić więźnia, jednakże na polecenie feldmarszałka Flemminga w marcu i kwietniu 1716 spustoszone dobra Potockiego, pałac Sędziszów z okolicznymi wsiami. Dywizja Potockiego niszczyła wówczas majątki Sieniawskiego. Po rozpoczęciu rokowań lubelskich pomiędzy przedstawicielami dworu i konfederatami (13.06.1716) ze swą dywizją rozlokował się w pobliżu generalnego obozu,

śledząc obrady. Ostatecznie jego dobra zostały zwolnione na 5 lat od podatków i uznano roszczenia wobec skarbu w wysokości 30000 złp. Dn. 17. I podpisano projekt zagwarantowania bezpieczeństwa Potockim, żądając jednakże, by w ślad innych dowódców wydał deklarację o rozwiązaniu oddziałów, które nie pomieściły się w nowym kompucie.

Wiele lat później, Michał stanął na czele obrażonych o zapisy w „Herbarzu” Kaspra Niesieckiego i ze *znaczłą liczbą szlachty wołyńskiej zaniósł do grodu w Krasnymstawie manifest (1743). Niesieckiego ścigała mściwa nienawiść, znieważano go, wybito okna w całym Kolegium. Całoroczna zgryzota, obawa dalszej, podkopała zwątlone pracą zdrowie i przyprowadziła Niesieckiego o śmierć przedwczesną. [...] Michał Potocki Wojewoda Wołyński, w r. 1743 z niemałą liczbą obywateli, w Grodzie Krasnostawskim zaniósł dwa manifesta: jeden przeciw niedopełnionemu obowiązkowi przy nadaniu Indygenatu; a drugi przeciw samemu dziełu Niesieckiego, wielorakie błędy w nim okazując. Lecz i na tem jeszcze nie dosyć mając, z temiż obywatelami, napisał List do Generała Jezuitów, z oskarżeniem Niesieckiego; które to przeciwności, właśnie pod tenczas, gdy ostatni tom dzieła swojego wydał, to jest r. 1743, starganego ogromną pracą, o śmierć przyprowadziły.*

Nie cierpiać Niemców i całej dynastii Saskiej i raz, w początkach panowania Augusta II, w wyprawie pod Brzeżany, zemścił się za Rzplite wydaną Sasom na panu Przebendowskim, bo go wybił prawie w oczach Królewskich a sprawa ta wiele zgorszenia w obozie sprawiła pomiędzy rycerstwem i jenerałami saskimi. Potem serdecznie, z całym ogniem miłości, Michał Potocki popierał sprawę Stanisława Leszczyńskiego, za to potem nieraz w Konfederacjach Sasi zniszczyli mu dobra. Na Trybunałach pisał pamiętne wyroki przeciw dyssydentom i heretykom, i koronował ciągle cudowne obrazy Najświętszej Panny, rozrzucone po różnych kościołach na Rusi. Król na przeproszenie przysłał mu patent na Województwo Wołyńskie i prosił, żeby zatrzymał z Senatorstwem Pisarstwo Polne Koronne, na którym się wślawił tyłą rycerskimi czynami. Ale jednak, kiedy przyszło do rugowania dynastii niemieckiej z tronu, po śmierci Augusta II, Potocki marszałkował swojemu województwu, i tego jeszcze machał szablą. Do ostatnich lat w tym dzielnym starcu wiał duch młodzięńczy i zapał hetmański odziedziczony po ojcach. Wojewoda kochał Rzplite, jaką znał i jaką widział, i nie chciał słyszeć w Polsce o żadnych zmianach, chociażby nawet w powierzchowności ubioru. Wierny tej zasadzie, kiedy się pasy zagaściły, że to była moda, nigdy się pasem pan Wojewoda nie przewiązywał i nosił zawsze żupan

otwarty, a do karabeli tylko, używał paska. Zwyczajem pańskim dużo kościołów wystawił Bogu. Jako człowiek gorący, otwarty i serdeczny, całe życie swoje postępował pod jedną chorągwią, i nie oglądał się w tym na żadne przewidzenia przyszłości.

FELIKS (WINCENTY) POTOCKI, syn Michała ww. i Zofii Anieli Czarnieckiej, urodzony w Krasnymstawie, żonaty z Marianną Daniłowiczówną. Nie pozostawił spadkobierców po mieczu. Dobra wojsławickie odziedziczyła córka Humbelina Kurdwanowska.

Starosta krasnostawski (1720), kasztelan słoński (1762), senator ok. 1760, hrabia. Właściciel Gardzienic i Wojsławic.

KAZIMIERZ JAN KRASIŃSKI, hrabia na Krasnem. Z dawnej i zamożnej rodziny mazowieckiej, której rodowym gniazdem była wieś Krasne w ziemi ciechanowskiej.

Kazimierz, syn Antoniego, kasztelana zakroczymskiego i Barbary Zielińskiej. Trzykrotnie żonaty z: I° Eustacją Elżbietą Potocką, II° Elżbietą Potocką (siostrą Eustachii), III° Anną hr. Ossolińską (1782) (córką jego i Anny była Elżbieta Marianna z Krasińskich Jaraczewska, znana wówczas powieściopisarka). Urodzony w Krasnymstawie. Zięć Feliksa Potockiego, bratanek sufragana chełmskiego Jana Chryzostoma Krasińskiego. Pochowany w Zegrzu.

Kazimierz, **Oboźny wielki koronny** (1763-94) ostatni w Rzeczypospolitej. Kawaler Orderu Orła Białego (1763). Z ziemią chełmską podpisał elekcję Stanisława Augusta (1764). Starosta przasnyski (1751) i nowomiejski (1752), krasnostawski (1758-82) (w 1771 opłacał kwarty w ilości złp. 6873, a hybryny złp. 1909), pułkownik wojsk koronnych (1756), generał porucznik wojsk koronnych. Poseł na sejm warszawski (1748), pułkownik wojsk koronnych (1756), następnie generał lejtnant. **Marszałek Trybunału Koronnego, marszałek sejmu zwyczajnego** w Warszawie 30.09.1782.

Pan na Radziejowicach, Zegrzu, Krasnosielsku, tenutariusz na Bóbrce, Bucniowie, Dobrzankowie, Sochocinie i Dzierżążnie, fundator kościoła w Krasnosielsku. W młodości przebywał na dworze króla Ludwika XV, a następnie kształcił się w szkole kadetów w Luneville u króla Stanisława Leszczyńskiego, od którego otrzymał tytuł szambelana (1747). Po śmierci Augusta III popierał Sasów. Podpisał elekcję Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764) był lojalny wobec nowego króla. Od teścia, Feliksa Potockiego, otrzymał Radziejowice i Wolę Pękoszewską, z funduszków jezuickich - Niemienice i Zastawie. 29.02.1756 Kurier Polski pisał: *małżeństwo w Krasnymstawie: Kazimierz Krasiński, z panną Eustacją Potocką, starością krasnostawską młodszą.* W 1768 r.

otrzymał wójtostwo w Lipie, w starostwie przasnyskim. W 1771 r. nabył wójtostwo Rońsko, w starostwie krasnostawskim. W 1775 r. otrzymał wspólnie z żoną Elżbietą, Niemienicą i Zastawie, ze starostwa krasnostawskiego, także otrzymał konsens na odstąpienie starostwa krasnostawskiego, Stamirowskim. W 1777 r. nabył od swej żony Elżbiety i jej siostr Żulin i Borowicę. W r. 1766 odstąpił Rzplitej oficynę pałacu Krasieńskich w Warszawie *biskup Krasieński (jego kuzyn) i obożny odstąpili do gmachów wszelkich pretensyj na Rzplitej. Sejm w r. 1766 kupno to i kontrakt zatwierdził i nakazał do pałacu rządowego przeniesienie akt i magistratur z zamku. Takim sposobem gmachy pałacowe przeszły na własność Rzplitej*. W czasie Sejmu Wielkiego został członkiem Komisji Wojskowej Obojga Narodów (1788). Zwolennik Konstytucji 3 maja, uczestniczył w insurekcji kościuszkowskiej, którą wspomagał finansowo. Po rozbiorach patronował organizacjom niepodległościowym. Był mecenasem kultury (finansował druk książek i tłumaczeń dzieł naukowych) i dobrodziejem Kościoła. Ufundował kościół św. Jana Kantego w Krasnosielcu. Pozostawił wielkie archiwum rodzinne. Otrzymał tytuł hrabiowski (1798) od Fryderyka Wilhelma III, lecz go nie przyjął. Jego głównymi majątkami było Zegrze i Krasnosielec. Stał się najbogatszym przedstawicielem rodu w epoce stanisławowskiej. *Krewny i przyjaciel biskupa Adama Krasieńskiego. Pan obożny nosił się po polsku, stół prowadził polski i mówił tylko po polsku, chyba, jeżeli grzeczność kazała odpowiedzieć po francusku. W domu jego na ulicy Mazowieckiej panowała iście staropolska gościnność; im więcej gości przybywało, tym więcej radował się staruszek, poprawiając pasa i muskając czuprynę.*

TOMASZ STAMIROWSKI, *rodzina z ziemi Sochaczewskiej jeden dom z Ligęzami, ale od dóbr Stamirowic, tego przezwiska nabyli.*

Tomasz, żonaty był z Franciszką Ostrowską.

Stolnik krasnostawski (1760), podstarości krasnostawski (1760), chorąży krasnostawski (1760-65), sędzia chełmski (1765-80), starosta krasnostawski (1782-86).

Właściciel Żółkiewki z okolicznymi wsiami (1755). Stamirowski doprowadził do uznania *de iure* lokalizacji miasta Żółkiewki na prawie magdeburskim (1769). W latach 1769-70 pobrał istniejący obecnie rzymskokatolicki kościół św. Wawrzyńca oraz drewnianą bożnicę dla Żydów. Miał dobre stosunki z ostatnim królem Polski, Stanisławem Augustem Poniatowskim, którego w 1787 roku gościł w Żółkiewce. *W roku 1787 król powracał z Kaniowa, obrócił drogę na Żółkiewkę, spoczywał dzień w domu Stamirowskiego exstarosty krasnostawskiego. Był*

wesoły i kontent z swojej wizyty w Kaniowie, i drogami na Studziankę i Rachów udał się do Warszawy.

AUGUST (AUGUSTYN) KICKI Z KITEK. Rodzina wywodziła się z drobnej szlachty mazowieckiej, która w drugiej połowie XVIII w. odgrywała znaczną rolę i należała do zaufanych Stanisława Augusta. Nazwisko wzięła od wsi Kitki w ziemi ciechanowskiej. Gałąź rodu przeniosła się do województwa ruskiego.

August, czwarty syn Antoniego, chorążego zakroczymskiego i Marianny Przanowskiej, żonaty z Marianną Kowalkowską. W bliskiej rodzinie miał dwu arcybiskupów metropolitów lwowskich - stryja Ferdynanda Onufrego (1780-97) i brata Kajetana Ignacego (1797-1812). Pochowany w katakumbach powązkowskich.

Szambelan królewski (1779), sekretarz królewski (Gabinetu JKMcI) (1783).

Zaliczał się do wybitnych absolwentów warszawskiego kolegium szlacheckiego. Wyróżnił się działalnością dyplomatyczną przy poselstwie w Stambule, sekretarz Boskampa w poselstwie do Turcji (1776-78). Pozostał przy charge d'affaires Dzieduszyckim dla nauki języka tureckiego, a po jego wyjeździe (1780) miał zostać uwierzytelniony listem kanclerza wielkiego koronnego do wielkiego wezyra dla *czuwania nad interesami króla i Rzeczypospolitej*. Posel na sejm z ziemi zakroczymskiej (1784), ostatni przed rozbiorami starosta krasnostawski (1786), kawaler orderów: św. Stanisława i Orła Białego (1786), asesor sądów nadwornych, zrezygnował z tego urzędu (1786). Członek rządu narodowego galicyjskiego (1809). Wkroczenie wojsk Księstwa Warszawskiego do Galicji w r. 1809 wznowiło działalność polityczną, August obrał orientację patriotyczną. Udał się do zajętego przez Polaków Lwowa, 29 V powołany został przez gen. Roźnieckiego do grona konsyliarzy w rządzie. Kierował pracami departamentu wojkowego Rady Zastępczej Krajowej, aż do ponownej okupacji austriackiej Lwowa (19 VI). Po utworzeniu Królestwa Polskiego, na terenie którego posiadał dobra ziemskie w okręgu żelechowskim, przeniósł się do Warszawy. Jako przedstawiciel Rządu Tymczasowego Królestwa brał udział w obradach komisji międzynarodowej w Warszawie do sformułowania traktatu wiedeńskiego 1815 r. Za królestwa kongresowego, senator kasztelan (1818). Wolnomularz, deputowany łoży *Szczęśliwe Oswobodzenie do Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego* (1784). Posel ziemi chełmskiej województwa ruskiego na Sejm Czteroletni (1788-92). Po trzecim rozbiorze Polski, starostwo krasnostawskie pozostawało w jego rękach. Właściciel dóbr: Kryniczki, Majdan, Orłów

Drewniany, Orłów Murowany. W 1796 r. August wznosił kaplicę w Orłowie Murowanym. W latach 1818-24 był właścicielem Sobieszyna.

W staraniach o rękę Marianny Kowalkowskiej z Kowalikowa h. Przeginia, Augusta poparł król, pisząc do pani Kowalkowskiej 6 lutego 1786 roku: *interesuję się tymi, którzy są mnie zasłużeni i sami przez siebie i przez autecesorów swoich; z takowych względów mianowicie mnie obchodzi los JPana Augusta Kickiego, szambelana mego, którego i z własnych cnót i z zasług, i z ojca i z sławnego stryja, mocno pragnę widzieć uszczęśliwionego dożywością przyjaźnią JPanny Maryanny Kowalkowskiej, godnej córki JPani. Ma ten kawaler już swoje własne u mnie zasługi przez chwalebłą swoją i w gabinecie moim i za granicą, przy poselstwie stambulskim aplikację. Zaręczyć mogę dobry charakter i wcale przystojną roztropność tego młodzieńca, tem poufałej obiecuję sobie, że za wdaniem się mojem, zechcesz WPani sprzyjać zamiarom Jego, Stanisław August król. W roku 1786, August ożenił się bogato i zyskał starostwo krasnostawskie. Urząd starosty (od 1786) sprawował z żoną Marianną. Przeniósł się po pożarze do Orłowa Drewnianego, którego był właścicielem od 1793 r. Starosta Kicki witał króla Stanisława Augusta Poniatowskiego podczas wizyty w Krasnymstawie Dnia 4 marca 1787 w Niedzielę. W Piaskach*

Dzierżawcy Dóbr tamecznych JPanowie Trzcinińscy, witali Nayiaśń: Pana w Auseryi, zkad przybyliśmy do Krasnegostawu o samey godzinie 2-giej z południa; przymowali w Zamku Nayi. Pana na czele licznych obywatelów Ziemi Chełmskiej, JPanowie Poletyło Kasztelan, Kicki, Stta terażniejszy i Stamirowski, przeszły Stta tego Powiatu. Zamek ten starożytny w całości swoiey utrzymany zawsze, i nowemi murami powiększony, dostatecznym był do wygody J. K. Mci, i obiały wszystkich domowników i sług.

August Kicki

Autograf ostatniego królewskiego starosty krasnostawskiego.

Najważniejsza literatura:

1. Antoni Gąsiorowski, red., *Urzednicy dawnej Rzeczypospolitej XII-XVIII wieku, t. III, Ziemie ruskie: zeszyt 2, Urzednicy Wojewodztwa Bełskiego i Ziemi Chełmskiej XIV-XVIII wieku*, Biblioteka Kórnicka, Kórnik 1992.
2. Praca zbiorowa, *Polski Słownik Biograficzny*, Polska Akademia Umiejętności, Zakład Narodowy im. Ossolińskich. PAU/PAN/PAU Wrocław-Warszawa-Kraków 1935-2009.

Herby krasnostawskich starostów (rysunki według Bartosza Paprockiego [3]).



3. Theodorus Wierzbowski, *Matricularum Regni Poloniae Summaria*, Partes I-V, a. 1447-1572. Tipis Officinae C. Kowalewski, Piękna aedibus 15, Varsoviae MCMV-MCMXI.
4. Bartosz Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, wyd. Józefa Turowskiego, nakładem Wydawnictwa Biblioteki Polskiej, Kraków 1585.
5. *Herbarz Polski Kaspra Niesieckiego S.J. powiększony dodatkami z późniejszych autorów, rękopisów, dowodów urzędowych*, wyd. przez Jana Nep. Bobrowicza, tom I-X, nakładem i drukiem Breitkopfa i Haertela, Lipsk 1839-1848.
6. Seweryn hr. Uruski, *Rodzina. Herbarz szlachty polskiej*. T. 1-15. Współpraca: Adam Amilkar Kosiński; Aleksander Włodarski, Wydawnictwo Gebethner i Wolff, Warszawa 1904-1931.
7. Kazimierz Pułaski, *Kronika polskich rodów szlacheckich Podola, Wołynia i Ukrainy*. Tom I. W Brodach. Nakładem Księgarni Feliksa Westa. Warszawa 1911.
8. Teodor Żychliński, *Złota Księga Szlachty Polskiej*, w drukarni Jarosława Leitgebra, Poznań 1879-1908.
9. Stanisław Kazimierz Kossakowski, *Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich*, tom 1-3, nakł. Autora, w Drukarni Gazety Codziennej przy ul. Daniłowiczowskiej N. 619, Warszawa 1859-1872.
10. Marek Jerzy Minakowski, *Wielka genealogia Minakowskiego*, wyd. 4, Kraków 2009.

Kazimierz Stołecki

Zbigniew Atras

Diecezja chełmska z katedrą w Krasnymstawie na przestrzeni XVII wieku

W wiek XVII diecezję chełmską wprowadził jej ówczesny ordynariusz biskup **Stanisław Gomoliński** (?-1604). Jego zasługi dla diecezji, jak i samego Kościoła trudno przecenić. W okresie swego urzędowania wybudował pałac biskupów chełmskich w Krasnymstawie (lokalizacja nieustalona). Zorganizował pierwszą w diecezji kapitułę kolegiacką w Zamościu (istniała już kapituła katedralna), składającą się z 3 prałatur (dziekan, scholastyk i kustosz) i początkowo 4, a później 8 kanonii. Uczestniczył w organizacji Akademii Zamojskiej, której kanclerzami z urzędu byli biskupi chełmscy. Był aktywnym uczestnikiem synodu unijnego w Brześciu (1596), który połączył Kościół katolicki z prawosławnym na terenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Podjął efektywne działania odnowy Kościoła, w kierunku odzyskiwania świątyń zamienionych w okresie rozwoju reformacji na zbory ewangelickie, nawracania protestantów na wiarę katolicką i podnoszenia poziomu wykształcenia duchowieństwa. Sprowadził do Sokala w 1599 roku bernardynów, przekazując im w użytkowanie stary kościółek ze słynnym obrazem Matki Boskiej Sokalskiej. W 1600 roku, w Nieliszu zbudowano drewnianą kaplicę, którą w kolejnych latach przebudowano na kościół parafialny. W tym samym roku biskup Stanisław Gomoliński opuścił Krasnystraw i objął diecezję łucką.

Kolejnym biskupem chełmskim został mianowany **Paweł Wołucki** (1560-1622), który z nieznanych powodów rządów w diecezji nie sprawował. 19 lutego 1601 roku na tronie biskupim diecezji chełmskiej zasiadł **Jerzy Zamoyski** (?-1621), dotychczasowy archidiakon lubelski, kanonik krakowski i sekretarz królewski. Swoje obowiązki rozpoczął od wizytacji całej diecezji w celu poznania jej potrzeb i ustalenia porządku działań. W 1603 roku zbudowano kościół parafialny w Teratynie, a w 1604 biskup Zamoyski zwołał synod diecezjalny, na którym zebrano wszystkie prawa i przywileje poszczególnych kościołów diecezji. Na ich podstawie wyznaczono granice parafii i dokonano podziału diecezji na 10 dekanatów (Belz, Chełm, Grabowiec, Hrubieszów, Krasnystraw, Luboml, Magierów, Sokal, Turubin i Zamość). W okresie sprawowania posługi przez biskupa Jerzego Zamoyskiego diecezja chełmska liczyła 59 parafii, 1 kolegiatę i 6 klasztorów męskich. Liczbę wiernych Kościoła katolickiego szacowano wówczas na ponad 40 tysięcy.

W tym czasie, w latach 1604-19 bernardyni z Sokala wybudowali nowy kościół, do którego przenieśli słynący łaskami obraz Matki Boskiej. W 1605 roku w Krasnymstawie powstał nowy cech kuśnierzy, na mocy przywileju króla Zygmunta III Wazy, a w następnych latach miasto uzyskało kolejne przywileje królewskie. W 1607 roku biskup Zamoyski zwołał kolejny synod diecezjalny, na którym omawiano wprowadzenie w życie reform Soboru Trydenckiego (1545-1563). Około 1610 roku, Jerzy Zamoyski zbudował w Skierbieszowie obronny zamek biskupów chełmskich, a w 1620 konsekrował zniesiony na miejscu starego, murowany kościół w Szczembrzeszynie. Na przeło-

mie kwietnia i maja 1617 roku w Krasnymstawie gościł przez kilka tygodni królewicz Władysław, syn Zygmunta III Wazy, podążający z wojskiem na Wołyń.

W czasie swojej posługi biskup Zamoyski przyczynił się także do rozwoju Akademii Zamojskiej, która w tym okresie przeżywała lata największej świetności. Za swym poprzednikiem kontynuował z sukcesem działania kontrreformacji, w wyniku czego liczba protestantów w diecezji ciągle się zmniejszała. Biskup Jerzy Zamoyski zmarł w 1620 roku i został pochowany w rodzinnym grobowcu w Zamościu. Jego następcą w 1621 roku został biskup **Maciej Łubieński** (1572-1652),



Maciej Łubieński - biskup chełmski, późniejszy prymas Polski

sekretarz królewski i prowincjał polskich bożogrobowców, dla których opracował nową, zreformowaną regułę, zatwierdzoną przez papieża Urbana VIII. Po objęciu urzędu, dokonał wzorem poprzednika, szczegółowej wizytacji całej diecezji i ustanowił sufraganiów chełmskich, czyli stanowisko biskupa pomocniczego, którym w roku 1622 został **Jan Śladkowski** (1581-1643). Następnie, w roku 1624 zwołał synod diecezjalny, na którym ostatecznie przyjęto reformy Soboru Trydenckiego. Podjęte na synodzie postanowienia kontynuowały dzieło odnowy Kościoła chełmskiego. Określały normy i obowiązki duchowieństwa diecezjalnego. Regulowały sprawy stosunków z protestantami i prawosławnymi. Wprowadzały zasadę szczególnej opieki nad unitami. Synod przygotował także podstawy założenia seminarium duchownego, którego w diecezji dotychczas nie było, oraz zamienił dekanat magierowski na potylicki. W czasie synodu zajmowano się sprawami uposażenia kanoników katedralnych i kolegiackich, oraz problemem ubożenia kościołów parafialnych. Ten ostatni punkt chyba udało się rozwiązać, bo w

czasie posługi biskupa Łubieńskiego wybudowano kilka nowych kościołów, między innymi w Lipsku (1625) i Kraśniczynie. Odbudowano lub wyremontowano wiele zniszczonych, a liczba parafii w diecezji wzrosła z 59 do 73.

Okolo 1625 roku przeprowadzono generalny remont i rozbudowę kościoła katedralnego w Krasnymstawie, w ramach którego wybudowano dwie dodatkowe kaplice, osobną wieżę od frontu kościoła, wyremontowano sklepienie świątyni, a dachy powstałych budowli pokryto blachą miedzianą. Po zakończeniu prac, krasnostawska katedra posiadała 13 okien i cztery pary drzwi. Wewnątrz znajdowało się 8 ołtarzy w tym ołtarz wielki, wyłaczany, z obrazem Rozesłania Apostołów i figurami Jana Chrzciciela i św. Krzysztofa. W okrągłym oknie nad ołtarzem głównym wpisane było imię Jezus. Po lewej stronie ołtarza umieszczony był tron biskupi i stalle dla 12 kanoników, a po przeciwnej stronie - dla sześciu, obie z figurami świętych Apostołów w górnej części. Obok prezbiterium znajdowały się dwie zakrystie, z których jedna jako kapitułarz mieściła bibliotekę katedralną i archiwum akt kościelnych. Nowa wieża przykościelna służyła jako skarbiec katedralny. Przy bogato zdobionej ambonie znajdował się ołtarz św. Kajetana i srebrny relikwiarz ze szczątkami świętych: Stanisława, Wojciecha i Floriana. Katedra posiadała cztery kaplice. W pierwszej znajdował się ołtarz z obrazem Bogurodzicy przedstawionej na wzór częstochowski. W ołtarzu drugiej kaplicy umieszczony był obraz Ostatniej Wieczerzy. Święta Anna była patronką trzeciej kaplicy, a w ołtarzu czwartej znajdował się obraz Jezusa Miłosiernego, obok którego stał boczny ołtarz z obrazem św. Agaty, patronki Krasnegostawu. Na temat wystroju malarskiego kościoła katedralnego brak bliższych informacji. Być może go nie było, a cały wystrój, wzorem większości kościołów gotyckich, stanowiła czerwona cegła filarów oraz białe tynki ścian i stropów.

Kontrreformacyjne działania biskupów: Gomolińskiego, Zamoyskiego, a zwłaszcza Łubieńskiego przyniosły znaczące efekty. W 1648 roku liczba zborów ewangelickich zmniejszyła się z 23 do 5, a ariańskich z 3 do 2. Parafie diecezji prowadziły w tym czasie 16 szpitali i 35 szkół parafialnych. Za szpitale uważano wówczas niewielkie przytułki dla 5-10 chorych lub niedołącznych. Bardzo aktywnie działały bractwa kościelne, których było około 10. W 1626 roku biskup Łubieński został przeniesiony do diecezji poznańskiej, a później kujawskiej, by w 1641 roku zasiąść na stolicy gnieźnieńskiej i otrzymać tytuł prymasa Polski. W czasie posługi biskupiej zasłynął jako budowniczy kościołów. Odbudował spaloną w 1613 roku katedrę gnieźnieńską, a w 1644 uroczy-

ście wprowadził obraz Matki Boskiej Częstochowskiej do fundowanej przez siebie, nowej kaplicy na Jasnej Górze. W 1645 roku zorganizował w Toruniu spotkanie katolików, luteran i kalwinistów w celu przywrócenia jedności Kościoła, i choć nie przyniosło ono oczekiwanych rezultatów, to było realizacją działań ekumenicznych na skalę niespotykaną dotąd w Europie. Po śmierci króla Władysława IV prymas Łubieński sprawował urząd interreksa i dokonał koronacji Jana Kazimierza. Biskupowi Łubieńskiemu przypisywano dar proroctwa. Zmarł w opinii świętości 28 sierpnia 1652 roku i został pochowany w katedrze gnieźnieńskiej.

Kolejnym biskupem chełmskim został **Remigiusz Koniecpolski** (? - 1640) dotychczasowy opat jędrzejowski. 7 maja 1627 roku erygował on parafię w wybudowanym kościele w Tomaszowie Lubelskim, a 3 maja 1628 roku zwołał w krasnostawskiej katedrze synod diecezjalny. Poza tym sprawami diecezji raczej się nie zajmował, poświęcając swój czas działalności senatorskiej. Sprawy diecezji pozostawił w rękach biskupa pomocniczego Jana Śladkowskiego, a przede wszystkim ks. Jana Sasina, kanonika chełmskiego i proboszcza skierbieszowskiego. W 1636 roku Zofia Borkowska, wnuczka Mikołaja Siennickiego, po śmierci dziadka przekazała katolikom zbudowany przez niego zbór kalwiński w Bończy, a w 1637 roku z fundacji Tomasza Zamoyskiego rozpoczęto budowę kościoła i klasztoru Franciszkanów w Zamościu.

W 1640 roku zmarł biskup Koniecpolski. Na jego miejsce, nominację otrzymał **Tomasz Oborski** (1571-1645) dotychczasowy biskup pomocniczy diecezji krakowskiej. Godności tej jednak nie przyjął. W 1641 roku na tronie biskupów chełmskich zasiadł **Paweł Piasecki** (1578-1649) sekretarz królewski i biskup kamieniecki. O jego działalności duszpasterskiej w okresie trzyletnich rządów w diecezji chełmskiej wiadomo niewiele. W tym czasie, a dokładnie w 1640 roku Katarzyna Zamoyska, realizując ostatnią wolę swego zmarłego męża Tomasza oraz teścia Jana, ufundowała przy Akademii Zamojskiej pierwsze w diecezji chełmskiej Seminarium Duchowne pw. Niepokalanego Poczęcia NMP dla 12 alumnów. Na potrzeby seminarium wzniesiono w Zamościu duży, dwupiętrowy gmach w stylu baroku. Opiekę nad nim sprawowali kapituła i rektor Akademii. Niestety, z powodu skromnych środków przeznaczonych na jego utrzymanie, po kilkunastu latach działalności i pożarze w 1653 roku, seminarium przestało istnieć.

W 1643 roku umarł Jan Śladkowski, biskup pomocniczy diecezji chełmskiej. Miejsce jego pochówku nie jest znane, być może spoczywa w

krasnostawskiej katedrze lub kościele unickim. Na jego miejsce powołany został biskup **Mikołaj Świrski** (1592-1677). Zapisał się on złotymi zgłoskami w historii diecezji chełmskiej jako fundator wielu kościołów i klasztorów. W kwietniu 1644 roku biskup Piasecki zwołał synod diecezjalny. W tym samym roku, w miejscu objawień (1603) św. Marii Magdaleny w Biłgoraju zbudowano pierwszy kościół, a we wrześniu tegoż roku biskup Piasecki został mianowany ordynariuszem diecezji przemyskiej. Jego miejsce miał zająć **Szymon Kołudski**, jednak kandydatury tej nie zatwierdziła Stolica Apostolska. Kolejnym biskupem chełmskim został **Stanisław Pstrokoński** (1590-1657) jezuita, opat tyniecki i spowiednik króla Władysława IV. Był on świadkiem śmierci króla i został egzekutorem królewskiego testamentu. Miał duży udział w wyborze i elekcji Jana Kazimierza na króla Polski. Posługę w diecezji chełmskiej pełnił w trudnych latach 1644-1657, kiedy to wschodnie tereny Rzeczypospolitej, w tym ziemia chełmska i województwo bełskie, nękane były przez wojska kozackie Chmielnickiego i sprzymierzonych z nimi Tatarów. Tereny diecezji były ciągle najeżdżane i niszczone. Z informacji biskupa Pstrokońskiego wynika, że w tym czasie na obszarze diecezji Kozacy obrabowali 54 kościoły parafialne, a 10, w tym krasnostawską katedrę zniszczyli i spalili. Zginęło 36 księży, a 40 zmarło w wyniku szalejącej wówczas zarazy. Wielkie straty poniosła miejscowa ludność, tracąc swoje mienie, a często życie. Duża liczba mieszkańców diecezji została wzięta w jasyr i uprowadzona przez Tatarów. Miasta i wsie uległy znacznym zniszczeniom. W tej sytuacji działalność biskupa Stanisława Pstrokońskiego, a zwłaszcza biskupa pomocniczego Mikołaja Świrskiego koncentrowała się na prowadzeniu akcji charytatywnych oraz udzielaniu wszystkim potrzebującym wszechstronnej pomocy. Na tym polu największe zasługi położył biskup Świrski, sprowadzając do diecezji chełmskiej bonifratrów, czyli Zakon Szpitalny Świętego Jana Bożego, i fundując dla nich wiele klasztorów. Zadaniem bonifratrów było organizowanie szpitali i przytułków w celu niesienia pomocy ludności ocalałej z kozackich pogromów. W miarę posiadanych środków, biskupi wspierali ubogie parafie oraz organizowali odbudowę zniszczonych kościołów. W 1647 roku biskup Świrski konsekrował nowy kościół w Gorzkowie, wzniesiony na miejscu dawnego, zamienionego na zbór ewangelicki i ostatecznie zniszczonego w okresie reformacji, a w 1649 roku sprowadził bonifratrów do Krasnegostawu. Ufundował dla nich drewniany klasztor-szpital i kościół Świętego Krzyża zlokalizowany przy murze w zachodniej części

miasta (dokładne miejsce nie jest ustalone, a niektóre źródła podają, że chodzi tu nie o nowy kościół, ale istniejący pw. Świętego Ducha i szpital znajdujący się przy moście na Grobli). Jeżeli jednak wzniesiono nowy kościół i zabudowania klasztorne, to był to już trzeci szpital, obok Świętego Ducha i unickiego, oraz piąta świątynia katolicka w mieście. Tego samego roku biskup Świrski ufundował dla bonifratrów kościół Bożego Ciała z klasztorem i szpitalem w Lublinie, w sąsiedztwie dzisiejszego pomnika Unii Lubelskiej.

Od 18 do 20 lipca 1649 roku w Krasnymstawie przebywał król Jan Kazimierz z małżonką, który z obozu wojskowego rozbitego w pobliżu miasta wydał wici na pospolite ruszenie pod Zbaraż. Na krasnostawskim zamku odjeżdżającego króla żegnała królowa Ludwika, powracająca stąd do Warszawy. Trwały ciągłe walki. Ginęli ludzie. Niszczono miasta, palono kościoły, a po wielu wsiach wróg pozostawił tylko zgłiszcza. W 1650 roku biskup Świrski ponownie konsekrował sprofanowany przez Kozaków kościół w Turobinie. 20 maja 1651 roku w Krasnymstawie ponownie przebywał król Jan Kazimierz podążający z wojskiem przeciw siłom kozacko-tatarskim. Wraz z królem wędrował słynący łaskami obraz Matki Boskiej Chełmskiej z katedry unickiej w Chełmie. Każdego dnia król Jan Kazimierz modlił się przed cudownym obrazem w swym namiocie o zwycięstwo. Pod Beresteczkiem doszło do starcia sił polskich z kozacko-tatarskimi. Trwająca trzy dni bitwa zakończyła się polską wiktoria. Rozbito wojska kozackie Chmielnickiego i sprzymierzone z nimi siły tatarskie. Zginęło ponad 40 000 żołnierzy wroga (niektóre źródła podają nawet liczbę 70 000). W bitwie szczególnie wyróżnił się Marek Sobieski, starosta krasnostawski, stojący na czele swoich chorągwi husarskich (starosta krasnostawski zobowiązany był do wystawienia chorągwi husarskiej w liczbie 100 koni). W nagrodę otrzymał od króla Jana Kazimierza szablę Tuhaj-beja, przywódcy Tatarów krymskich, który zginął w bitwie. 10 lipca 1651 roku przed cudownym obrazem w katedrze unickiej w Chełmie, jako dziękczynne wotum złożono zdobyte chorągwie kozackie, a król ofiarował buńczuk chana tatarskiego.

Jednak wojny nie ustały. Kolejne lata przyniosły najazdy wojsk moskiewskich, szwedzkich, kozackich, siedmiogrodzkich i tatarskich. W powiecie krasnostawskim zniszczono w tym czasie 80-95% wsi królewskich i 65-70% prywatnych. Dodatkowo ludność dziesiątkowana była przez powracające wciąż zarazy morowego powietrza. W 1654 biskup Pstrokoński powołał komisję, na której czele stał biskup Świrski, w celu zbadania objawień Matki Boskiej, które miały miejsce 5 sierpnia 1640 roku w Krasnobrodzie.

Komisja, po wysłuchaniu świadków, przedstawiła zaistniałe fakty, a biskup Pstrokoński uznał prawdziwość objawień. W tym samym roku spłonął krasnostawski zamek, a miasto ograbili i zniszczyli wojska moskiewskie. Znowu przybyło sierot, bezdomnych i kalek. W 1657 roku biskup Świrski ufundował kolejny klasztor, szpital i kościół bonifratrów w Zamościu, z zadaniem niesienia opieki chorym i wszystkim potrzebującym. 17 czerwca 1657 roku umarł na Węgrzech ordynariusz chełmski Stanisław Pstrokoński. Był biskupem ciężkich czasów, a swoją posługę poświęcił całkowicie umęczonej wojnami ludności diecezji.

Kolejnym biskupem chełmskim został mianowany w 1658 roku **Tomasz Leżeński** (?-1675) kanonik warszawski i opat wąchocki. W ciągu dziewięciu lat swojej posługi zapisał się w historii Kościoła diecezjalnego jako szczególnie oddany misji dobroczynności. Wraz z biskupem pomocniczym Mikołajem Świrskim odbudowywał zniszczone kościoły i troszczył się zwłaszcza o ofiary wojen. Za zgodą Stolicy Apostolskiej, biskup Leżański przekazał królowi Janowi Kazimierzowi na potrzeby kraju srebra kościelne diecezji chełmskiej o wartości 37 tysięcy złotych. W tym czasie Szwedzi zniszczyli całkowicie zamek biskupów chełmskich w Skierbieszowie, który już nigdy nie został odbudowany. W 1663 roku w Zamościu podjęto próbę przywrócenia działalności seminarium duchownego. Miało to nastąpić z fundacji Stefana i Doroty Zamoyskich. Jednak biskup Tomasz Leżeński, wizytując tego samego roku Kolegiatę Zamojską stwierdził: „z powodu wojen i klęsk powszechnych oraz niewpłacania czynszów” seminarium nie istnieje. Kolejne próby odnowienia jego działalności, pomimo starań kapituły kolegiackiej, jak i Akademii - nie powiodły się. W 1664 roku z fundacji Zamoyskich wybudowano drewniany kościół na miejscu objawień w Krasnobrodzie i przekazano go zakonowi dominikanów. Dominikanie przejęli z czasem także stary, zniszczony kościół parafialny w Krasnobrodzie, zamieniony wcześniej na zbór kalwiński. 8 maja 1664 roku nastąpiło pierwsze objawienie św. Antoniego w Radecznicy. Trzy lata później, w 1667 roku wieś słynącą z objawień nabył biskup Świrski i ufundował tam drewniany kościół i klasztor Bernardynów, który sowiec uposażył. W niedługim czasie bernardyńska kapituła nadała klasztorowi tytuł konwentu. W 1667 roku biskup Świrski sprowadził do Chełma pijarów. Ufundował dla nich drewniany klasztor i powierzył opiekę nad szkołą parafialną, przy czym sowiec ich uposażył, tak że w niedługim czasie pijarzy otworzyli w Chełmie swoje kolegium. W 1667 roku biskup chełmski Tomasz Leżeński otrzymał nominację na diecezję łucką, a w 1675 roku został podniesiony przez króla Jana III Sobieskiego do godności pryma-

sa Polski. Jednak przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu zasiąść na gnieźnieńskim tronie i dotrzeć do prymasowskiego zaszczytu.

Kolejnym biskupem chełmskim został mianowany w 1667 roku **Jan Różycki** (1603-1669) sekretarz królewski i kanonik gnieźnieński. Jego rządy trwały krótko, bo zaledwie półtora roku. Wiadomo o nim tyle, że z własnych środków przeznaczył kwotę 3 tys. złotych polskich na remont zniszczonych budynków w dobrach biskupich. W tym też czasie, w Górecku Kościelnym, z fundacji Marcina Zamoyskiego zbudowano drewnianą kaplicę. Biskup Różycki zmarł w czerwcu 1669 roku. Miejsce jego pochówku jest nieznane, być może spoczął w katedrze w Krasnymstawie. W 1670 roku na biskupstwo chełmskie został powołany **Jan Żegocki** (1618-1673). Był to wyjątkowy biskup. Większość życia spędził w służbie wojskowej. Walczył w czasie potopu przeciw Szwedom, gdzie zasłynął jako organizator i dowódca oddziałów partyzanckich, w których skład wchodziły oprócz szlachty, także liczne rzesze mieszczan i chłopów. Brał udział w wyprawie Czarnieckiego na Pomorze i do Danii. Pełnił kilka funkcji państwowych, będąc podkanclerzym kaliskim, marszałkiem Trybunału Koronnego i wojewodą inowrocławskim. Po śmierci żony, poświęcił się całkowicie służbie duchownej. Został księdzem, a kilka miesięcy później otrzymał sakrę biskupią. Rządy w diecezji chełmskiej rozpoczął od dokładnych wizytacji parafii, w celu rozpoznania najpilniejszych spraw. Wraz z biskupem pomocniczym Mikołajem Świrskim, kontynuował kierunek swych poprzedników mający na celu likwidację skutków wojen kozackich i potopu szwedzkiego. Odbudowywał zniszczone kościoły i organizował pomoc dla sierot, kalek i bezdomnych. W 1671 roku biskup Świrski konsekrował ponownie zniszczony kościół w Mokrymlipiu, a w 1674 poświęcił wybudowany kościół św. Katarzyny w Zamościu. W 1673 biskup Jan Żegocki otrzymał nominację na diecezję włocławską, w której objęciu przeszkodziła mu przedwczesna śmierć. Zmarł w Gościeszynie i tam został pochowany. W tym samym roku Tatarzy spalili Sanktuarium Maryjne w Krasnobrodzie - drewniany kościół Dominikanów. Kolejnym biskupem chełmskim został **Stanisław Dąbski** (1638-1700) doktor teologii i sekretarz królewski. O jego działalności biskupiej praktycznie nic nie wiadomo. Podkreśla się jego hojność i pomoc ludziom ubogim, oraz fundowanie stypendiów dla biednej młodzieży. W 1674 roku, podczas elekcji wysunął on, razem z Jabłonowskim i Fredrą, kandydaturę Jana III Sobieskiego na króla Polski. W 1674 roku przy istniejącej kaplicy i domu profesorów Akademii Zamojskiej w Bukowinie zbu-

dowano kościół parafialny, a w Surhowie, na miejscu poprzedniego, wzniesiono kościół z fundacji Brzezickich. W 1676 roku Stanisław Dąbski przeszedł na biskupstwo łuckie, a następnie płockie, kujawskie i krakowskie. W czasie odsieczy wiedeńskiej wystawił własną chorągiew husarską.



Stanisław Święcicki - biskup chełmski

8 lutego 1677 na tronie biskupów chełmskich zasiadł **Stanisław Święcicki** (1630-1696) prałat gnieźnieński i biskup pomocniczy diecezji żmudzkiej. Posługę ordynariusza chełmskiego rozpoczął od szczegółowej wizytacji podległej mu diecezji. Starał się przybyć do każdej parafii, poznać jej problemy i potrzeby. Cenił sobie bezpośrednie kontakty z wiernymi. Odwiedzał przytulki, szpitale i domy wiernych, starając się dotrzeć do każdego potrzebującego wsparcia materialnego czy duchowego. Wielką troskę wykazywał w sprawach duszpasterskich diecezji. Jako biskup i senator, w latach 1674-83 piastował funkcję wiceprezydenta Trybunału Koronnego. Po okresie krótkotrwałych rządów i częstych zmian biskupów chełmskich, diecezja potrzebowała stabilizacji i spokoju. W 1677 roku umarł biskup pomocniczy Mikołaj Świrski, którego zasługi dla diecezji chełmskiej trudno byłoby przecenić. Miejsce jego pochówku nie jest znane, być może został pochowany w krasnostawskiej katedrze.

W 1679 roku biskup Święcicki przywrócił staremu kościołowi w Krasnobrodzie prawa parafialne i powierzył go dominikanom, a w następnym roku, na miejscu poprzedniego, zbudowano nowy kościół parafialny w Olchowcu. W miejscu krasnobrodzkich objawień Maria Kazimiera Sobieska - żona króla Jana III Sobieskiego, w 1680 roku doznała łaski uzdrowienia. W dowód wdzięczności ufundowała w Krasnobrodzie (1690-99) murowany, barokowy kościół - Sanktuarium Maryjne.

Kolejnym biskupem pomocniczym diecezji chełmskiej został mianowany **Jan Woźuczynski** (1627-1687). Ordynariusz chełmski, biskup Stanisław Świąćicki, będący z urzędu kanclerzem Akademii Zamojskiej przywiązywał wielką wagę do sprawy wykształcenia duchowieństwa. W 1685 roku sprowadził do Krasnegostawu jezuitów, trzeci, a może czwarty (duchacy) zakon w mieście i osadził ich w kaplicy św. Anny przy kościele katedralnym. Było to ważne wydarzenie w historii Kościoła i miasta. Wraz z przybyciem jezuitów zmieniła się skala oraz jakość podejmowanych działań i inwestycji. Pierwszych czterech jezuitów z superiorem o. Reut przybyło do Krasnegostawu z istniejącego od XVI wieku kolegium w Lublinie. Jeden z nich, z woli biskupa Świąćickiego pełnił funkcję stałego kaznodziei katedralnego, a drugi został diecezjalnym teologiem i egzaminatorem parafialnego kleru przed wyniesieniem na probostwo. Zamieszkali początkowo w wikarówce przy kościele katedralnym, a w rok później przenieśli się do domu zakupionego dla nich przez biskupa Świąćickiego i kapitułę. Utrzymywali się z własnego, nabytego tanio, małego folwarku pod miastem. Placówka jezuicka w Krasnymstawie miała początkowo charakter rezydencji zależnej od lubelskiego kolegium. 28 stycznia 1687 roku umarł biskup pomocniczy Jan Woźuczynski. W 1688 roku jezuici otworzyli w Krasnymstawie szkołę o niższych klasach. Nie obyło się przy tym bez kłopotów wynikłych z wniesienia skargi przez Akademię Zamojską do Roty Rzymskiej na organizację w tak bliskiej odległości konkurencyjnej placówki kształcącej młodzież. Pomimo złych warunków lokalowych, a nawet można powiedzieć ich braku, w 1691 roku otwarto humaniora, czyli szkołę średnią uczącą poetyki i retoryki, oraz prowadzącą kurs teologii moralnej dla kleru. Bezpłatna nauka w szkole jezuickiej przyciągała młodzież z Akademii Zamojskiej i kolegium pijarskiego w Chełmie. W tym samym czasie biskup Świąćicki uposażył hojnie rezydencję jezuicką, zapisując im wsie Worczyn i Puszków. Od tej chwili nastąpiła oficjalna instalacja jezuitów w Krasnymstawie. W 1692 roku superior o. Reut za zgodą i z udziałem kapituły wyznaczył plac przy katedrze, w bezpośrednim sąsiedztwie murów miejskich, pod budowę większej rezydencji. Plany jezuitów były dużo większe, więc uzyskany teren okazał się za mały, a na zakup sąsiednich gruntów nie mieli jeszcze środków. Nie zrezygnowali jednak ze swych zamiarów i w 1693 roku pozyskali nowych dobrodziejów i fundatorów w osobach Feliksa i Krystyny z Lubomirskich Potockich oraz Anny z Gnińskich Zamoyskiej, Teresy z Potockich Zamojskiej i Marianny z Liniewskich Gołuchowskiej. Teraz mogli realizować najbardziej

ambitne plany. Szybko zakupili cztery domy mieszczkańskie stojące między katedrą a murami miejskimi. Piąty, za wstawiennictwem biskupa Świąćickiego otrzymali od kapituły. Po dokupieniu trzech ogrodów, dysponowali obszarem od murów i Bramy Krakowskiej do placu katedralnego. Teraz mogli już śmiało myśleć o budowie obszernych gmachów. Budowę rezydencji i kolegium rozpoczęli wiosną 1693 roku i prowadzili ją etapami, wznosząc kolejne ich części, które na koniec połączyli w jedną całość.

13 września 1694 roku biskup Świąćicki zwołał synod diecezjalny, który zajął się zagadnieniami ściśle teologicznymi związanymi z problematyką nabożeństw i sakramentów świętych. W 1695 roku na biskupa pomocniczego diecezji chełmskiej został powołany **Jan Dłużewski**, a w roku następnym biskup Stanisław Świąćicki został mianowany na biskupstwo chełmińskie. Zmiany tej jednak nie doczekał. Zmarł w Skierbieszowie w październiku 1696 roku, przed otrzymaniem zgody na nominację ze Stolicy Apostolskiej. Stanisław Świąćicki był jednym z najgorliwszych biskupów chełmskich. Jego dwudziestoletnia posługa przyczyniła się do umocnienia wewnętrznego diecezji, a zwłaszcza do zmodyfikowania starych i uchwalenia nowych praw. Położył duże zasługi w dziedzinie rozwoju szkolnictwa w diecezji, które za jego rządów powiększyło się o dwa kolegia - pijarskie w Warężu (1688) i jezuickie w Krasnymstawie (istniała już Akademia Zamojska i kolegium pijarskie w Chełmie -1673). Jezuickiemu kolegium w Krasnymstawie podarował dużą bibliotekę, którą „jako prepozyt kościoła św. Jerzego w Warszawie posiadał”. Z dokumentów wynika, że został pochowany w budowanym wówczas kościele jezuickim w Krasnymstawie. Jednak kościół św. Franciszka zaczęto budować w 1697 roku. Być może szczątki biskupa Stanisława Świąćickiego spoczęły początkowo w katedrze krasnostawskiej lub klasztorze augustiańskim, a dopiero później zostały przeniesione zgodnie z wolą zmarłego do kościoła jezuickiego. Tymczasem wzrastały gmachy nowego krasnostawskiego kolegium i kościoła św. Franciszka Ksawerego. Pierwsze budynki kolegiackie już wykorzystywano do działalności, a kolejne były w surowym stanie. Mury kościoła na 17 łokci wysokie stały już pod dachem. Powoli dobiegał końca wiek XVII, stulecie wojen i epidemii. Wiek śmierci, śmierć miał w finale. „Dzień 6 maja 1699 roku był ostatnim dniem życia „fundatorki kościoła, dobrodziejki i matki” Krystyny z Lubomirskich, Feliksowej Potockiej, wojewodziny krakowskiej. Umarła ta „zacna i święta dama” w Sokalu. „... Zwłoki fundatorki w srebro okutej trumnie, przywieźli z Sokala OO. Bernardyni,

których wojewoda Feliks Potocki tam fundował, do Krasnegostawu; surowe mury kościoła okryto kirem, dywanami, tarczami herbowymi, emblematami. Oprócz Potockich, Zamoyskich, Jabłonowskich, zjechały dalej skoliigacone rody pańskie, moc szlachty, 9 rektorów jezuickich, 40 księży, celebrował biskup Wyżycki (nowy ordynariusz diecezji), w asystencji sufragana i kapituły chełmskiej. Po egzekwiach, panegirykach jezuickich i bernardyńskich, po oracyach panów i studentów sodalisów Maryi, Jezuici na barkach swoich znieśli zwłoki z katafalku do grobowca pod prezbiterium i tam je ze czcią złożyli”.

Zbigniew Atras

1. Krasnystaw. Rys historyczny, Kazimierz Stolecki, Puławy 2008.
2. Diecezja chełmska rzymskokatolicka 1359-1807, Anna Pawłowska, Rocznik Chełmski, tom 3, 1997.
3. Biskupi chełmscy i chełmsko-lubelscy, Adam Konderak, Zwierciadło Chełmskie X 1990.
4. Dzieje parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, Izabela Zalichta, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, 2004.
5. Jezuici w Polsce, ks. Stanisław Załęski, T.J. Kraków 1905.



Kazimierz Stolecki

Morowe zarazy w naszej historii

Do wydarzeń historycznych o szczególnie dużym wpływie na losy naszych antenatów, można zaliczyć: warunki klimatyczne, morowe zarazy oraz wojny, a szczególnie tatarskie najazdy. Epidemie, o których mało się dziś pamięta, miały ogromny, trudny dziś do wyobrażenia, niszczycielski wpływ na ludzkie losy. Powodowały tragiczne skutki osobiste i społeczne na niewyobrażalną skalę. Dziesiątkowały i demoralizowały ludność. Naruszały równowagę ekonomiczną i zagrażały bytom państwowym. *Ze wszystkich klęsk ludzkość dotykających, bez zaprzeczenia najstraszniejszą jest morowa zaraza, bowiem głód, ogień i wojna, jakkolwiek wyniszczają ród ludzki, to jednakże można im postawić czoło i zgubnym skutkom zapobiec, lecz zaraza, trując zarówno zwierzęta i ludzi, prowadzi za sobą nie mniej straszną klęskę, głód; wskutek braku rąk do uprawy pól i innej pracy [1]. Zarazy były klęską straszną, bo, prócz posiewu śmierci, niosły z sobą posiew rozpusty i żądz zwyrodniałych, a ludzkość, pogrążając się w niej, upadała. Po zarazie, bierze na siłę upadek materialny i moralny ludności [2]. Zaraza morowa i napady tatarskie, zabierając ludność i niszcząc pracę, nie pozwalały Polsce wzrosnąć w siłę i dobytek, zagospodarować się, ustalić węzły społeczne [3].*

Skala zjawiska bywała ogromna. Epidemia dżumy, która przetoczyła się w latach 1348-1351 przez całą Europę, uśmierciła 25-40% ludności kontynentu. Pośrednim skutkiem epidemii był gwałtowny rozwój szkolnictwa. Wówczas powstały słynne europejskie uniwersytety (jak Akademia Krakowska). Państwa musiały funkcjonować dzięki wysiłkom mniejszej liczby, lepiej wykształconych ludzi. Innym pozytywnym przykładem reakcji na skutki zarazy jest działalność Kazimierza Wielkiego na niwie przebudowy państwa z „drewnianego” w „murowane”. Kiedy po morowej zarazie nastąpił głód, z rozkazu króla tanio sprzedawano zboże z zasobów królewskich, a biedniejsi mogli na nie zapracować. Podjęto przedsięwzięcia publiczne na wielką skalę. Król obwarowywał zamki i miasta, budował gmachy, zakładał kanały, gościńce [4]. Być może w tych okolicznościach wykopano wielki staw pod Szczekarzewem? Wszystko to dobrze świadczy o poziomie ówczesnych władców.

Zaraza bardzo często gościła w Polsce. Długosz pisał o zarazie w wiekach XI-XII [5]: 1003, 1007, 1186. Są też przekazy o zarazie grasującej w wiekach XIII-XIV [1]. Zapisy te przytoczono dalej. W XIV wieku zaraza srożyła się sześć razy, w XV - dziewiętnaście, w XVI - osiem. W województwie ruskim, na terenie którego leżał niegdyś Krasnystaw, w drugiej połowie XVII wieku, zarazy o różnym natężeniu występowały trzynastokrotnie: III 1649, XII 1650, VII 1651, VIII 1663, II 1665, VII 1666, VI-VII 1670, I i XII 1671, I 1672, XII 1676, I-II 1677, XII 1688, III-IV 1692. Oblicza się, że w latach 1348-1655, zaraza występowała w Polsce przez lat 77 (25% czasu). Ilustrację przedstawiono na rysunku.

Żeby spróbować wyobrazić sobie przebieg i skutki epidemii, sięgnijmy do tekstów historycznych. Przejmujący opis wielkiej morowej zarazy, która dotknęła Polskę w czasach Jana Kazimierza, w roku 1652, znajdujemy w pracy [3]: Zaraza (istnieje pogląd, że były to łącznie: dżuma, tyfus plamisty i czarna ospa) pojawiła się na Ukrainie, wkrótce po bitwie pod Beresteczkiem (VI 1651). Mówiono, że z powodu niepochowanych trupów, które tam w liczbie 30 000 leżały; lub że powstała z głodu i nędzy ludu. Pomór posuwał się na zachód. We Lwowie zjawił się w październiku, w Krakowie w grudniu, a stamtąd rozszerzał się dorzeczem Wisły na północ. W maju 1652 powietrze z całą gwałtownością wybuchło. W lipcu mgły i wichry z deszczem, przymrozki aż do św. Stanisława, a gęsta mgła, która z początkiem lata spadała na ziemię i całymi tygodniami po trzy godziny z rana leżała, a od 15 VIII stała się w Krakowie tak gęsta, że jeden drugiego nie widział. Gromady ludu błąkały się po ulicach. Handel i poczty zupełnie ustały. Kraj wyglądał jak na pogrzebie. W **ziemi chełmskiej**, w województwie sandomierskim i krakowskim istniała groźba ogólnego pomoru. Tymczasem głodny lud, zaczął palić i rabować. Zbrojne bandy hultajów, włócząc się po kraju, napadały i rabowały dwory szlacheckie. Czyścili powietrze - jak mówili - palili dwory, wsie i miasteczka. **Lublin**, Kalisz, Częstochowa, Ujście, Kęty, zupełnie zgorzały. W końcu października ustąpiło powietrze z Krakowa, a w grudniu z całej niemal Polski. Straty były nadzwyczajne. Dnia 5 lutego 1653 była rewizja w Krakowie i na Kaźmierzu z rozkazu króla JMci, aby wiedzieć, ile ludzi umarło powietrzem roku przeszłego. Sumę zmarłych, podaje się na 33 do 40 tysięcy ludzi. Kanclerz Radziwiłł pisał: powietrze w Polsce wszędzie grasowało, tak że w niektórych miasteczkach ledwo sto ludzi żywych zostało. Wielkie straty w ludziach poniosły: Pokucie, ziemia halicka i **chełmska** (ucierpiał również **Krasnostaw**), Wołyń, Podole, województwo bełskie, lubelskie, sandomierskie i krakowskie. Oprócz zubożenia i powszechnego głodu, rok 1652 pozostawił w umysłach trwałe ślady [3].

Obraz wieku XVIII przedstawiono w pracy [2]. Zarazy występują niezależnie od wojen, albo w związku z nimi. Począwszy od 1700 r. zaczyna się dla Polski okres wojny północnej i zalewu kraju przez rozliczne wojska, stąd zarazy znajdowały dogodną w Polsce siedzibę. Każdy przemarsz wojsk związany był z zarazą lub chorobami, najczęściej czerwawką. Zaraza, rozprzestrzeniała się w szalonym tempie po wszystkich ziemiach. Nie orano, nie siano, bo i po cóż było coś robić, gdy i tak miała nadejść godzina przeznaczenia. Życie publiczne zamierało, sądy ustawały, sejmy, sejmiki i trybunały odraczano lub przenoszono w miejsca

bezpieczne. Poczty przestawały funkcjonować, wszelka łączność ustawała. Ustawał handel i przemysł. Rzemieślnicy uchodzili z miast i długo do nich nie wracali, przemysł po każdej zarazie zamierał. Epidemie w Polsce w latach 1707-1711, ogarnęły wszystkie ziemie. Mniej groźne, ale dość silne epidemie występowały w latach 1703, 1705 i 1719-1720, obejmując przeważnie dzielnice południowo-zachodnie i wschodnie (Małopolska, Ruś Czerwona, Wołyń i Podole). Słabsze od poprzednich, rok 1712 - Wielkopolska, Małopolska, Ruś Czerwona; lata 1715-1716 - Śląsk, Małopolska, Ruś Czerwona, Ukraina; rok 1713 - Małopolska, Ruś Czerwona, Podole. W roku 1721 epidemie - na Śląsku i Rusi Czerwonej; w roku 1722 - na Rusi Czerwonej i Podolu [2].

Interesujące, jak w sytuacji zagrożenia postępował dwór królewski. Oto przykłady:

- Roku 1424 i następnego było wielkie powietrze w Polsce i w Litwie, tak iż król Władysław Jagiełło z królową i Witold w lesie mieszkać musieli [6]. Król nie mając miejsca bezpiecznego, gdzie mógłby mieszkać, równie jak i brat jego Witold w Litwie, błąkali się po lasach całą zimę, schroniwszy królewicza w zamku Chęcińskim [1].
- 1425. Z Brześcia król Władysław z żoną swoją królową Zofią, udał się do Litwy, jeszcze bowiem zaraza morowa pustosząca Polskę nie nawiedziła była Litwy, później jednak, szerząc się coraz bardziej, ogarnęła i Litwę [5].
- 1452. Kazimierz w początkach września, najbliższą drogą udał się do Litwy, chociaż zaraza srożyła się w tym kraju gwałtownie, co też króla zmusiło zatrzymać się pod Grodnem w lasach nadniemeńskich i cały czas trawić na łąkach [7].
- 1467. Gdy w Polsce i na Rusi wszędzie marło, król Kazimierz jechał do Litwy, jak i później znowu w r. 1474 dla tejsze przyczyny, wyjechał do Wiślicy [1].
- 1543. Zaraza w Krakowie okrutnie działała. Jechał wtedy król młody (Zygmunt August) do Litwy, a król stary (Zygmunt I) z królową (Boną) i młodą królową (Elżbietą Austriacką) ujechali do Zatora, gdzie trochę zmieszawszy, jechał zasię na insze miejsca, umykając przed powietrzem, aż na koniec w Wielowsi blisko Sandomierza stanął, tam przez wszystko powietrze mieszkał [1].
- 1547. Morowa zaraza porozpędzała ludzi w różne strony. Król wyjechał z Krakowa i błąkał się po wsiach i miasteczkach, mając przy sobie dwóch Kanclerzy, i Wdę Sandomierskiego, dworskich oddalił od siebie, żołnierzy odesłał na Ruś [8].
- 31 V 1558. Król Zygmunt August wyjechał z Wilna do Krakowa, trochę chorując. Wiadomo też, że zaraza była na dworze króla. Monarcha zatrzymał się w Krasnymstawie i tu spędził z dworem letnie miesiące: 17 VI - 30 VIII 1558. W tym czasie prowadził zwyczajną działalność:

korespondował, wystawił w Krasnymstawie ponad 100 dokumentów [9]. Towarzyszyli mu najważniejsi dygnitarze: Tęczyński, Górka, Firlej, Chodkiewicz, Sapieha, Maciejowski, Tarnowski, Tarło, Zborowski i inni.

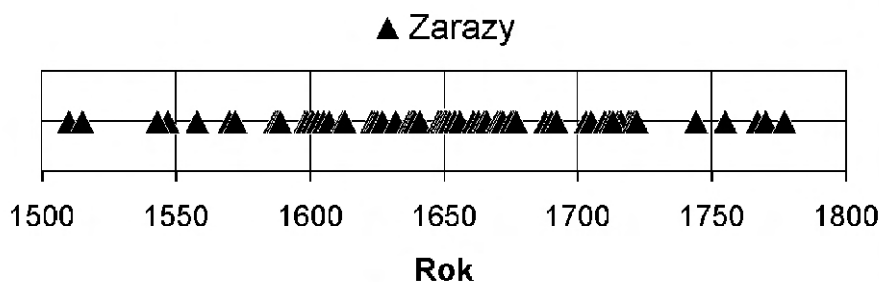
- 1599. Dla zarazy morowej obrządek pogrzebu królowej więcej nad rok odwleczony być musiał. Mimo wielkiego strachu, był i król (Zygmunt III Waza) na tym pogrzebie, krótko odbywszy nabożeństwo, zaraz z arcyksiężną do Łobzowa się udał, a gdy i tu między dworskimi pokazała się zaraza, do Niepołomic się schronił.
- 1625. Zygmunt III z obawy w Ujazdowie bawił, i tylko na posiedzenia sejmowe do Warszawy dojeżdżał, a gdy między dworskimi ukazały się choroby, z królową i z dziećmi do Osiecka się przeniósł. Lecz gdy komornik królewski i dwóch odźwiernych umarło, udał się w Lubelskie do Czemiernik, włości Henryka Firleja, i tam do zimy zamieszkał [10].

Oto kilka opisów przypadków zarazy oraz zwykle związanych z nią innych klęsk naturalnych: szarańczy, która była przyczyną głodu, pożarów, pomoru bydła i plagi myszy, wybranych dla szerokich okolic Krasnegostawu:

- Roku 1003. Dwojakie nieszczęście wielkie i zgubne dla ludzi zawzięło się, to jest mur i głód, a zaraza padła nie tylko na Polskie ziemie, lecz w cały prawie świat, szerząc się tak zajadle, iż kiedy przykrzyło się chowanie umarłych, i żywych, oddychających jeszcze, grzebano razem z umarłymi [5].
- Roku 1007. Głód, mór i zaraza okropna panowały temi czasy nie tylko w Polsce, ale w całym prawie świecie.
- Roku 1083, wielkie morowe powietrze we wszystkich krajach ruskich panowało [11].
- Roku 1186 pamiętne zaćmienie słońca, a wkrótce ciężka na ludzi zaraza epidemiczna, która wielką zrządziła śmiertelność, i siła narodu w Polsce i na Rusi wytępiła.
- 1288. Wielka zaraza i śmiertelność rozszerzona po krajach Ruskich, wiele ludzi obojej płci wytępiła.
- 1298. Powstała zaraza na bydło, zwierzęta domowe i trzody, tak sroga i niszcząca, że wielu nawet z majątniejszych poprzychodziło do nędzy, w wielu miejscach zaniechano uprawy roli [5].
- 1310. Na Mazowszu zaraza, a na skutek głodu, w r. 1319 wywiązały się choroby [1].
- 1352. Zaraza przeszła Ruś i Litwę, zabierając, jak piszą, prawie trzecią część ludności.
- 1360. Pod jesień straszna zaraza morowa, czarna śmierć, panowała, w samym Krakowie miało wymrzeć 20 000 ludzi, a niektóre wsie i miasteczka były całkiem prawie wyludnione. Po niej, nastąpił straszny nieurodzaj, a z nim głód.

- Kazimierz czynił jak największe wysilenia, aby nieść ulgę biednym mieszkańcom. Z rozkazu jego przedawano zboże w dobrach rządowych po cenach najumiarkowańszych, otworzył biedniejszym możliwość zarobku, do przedsięwzięć publicznych na wielkie rozmiary. Obwarowywał miasta i zamki, budował gmachy, zakładał kanały, gościńce [4].
- 1371. Bardzo wielkie morowe powietrze w Polsce. W owych dwóch latach, był wielki mór w Polsce; zaś w roku następnym od miesiąca września zaczęła się szerzyć w Polsce jeszcze większa morowa zaraza na ludzi, zwłaszcza na młodzież i kobiety, na mężów i dziewice, i trwała przez rok, aż do miesiąca września, przez któryto przeciąg czasu wiele tysięcy ludzi zmarło [5].
- 1446. Dnia czternastego miesiąca września, Kazimierz książę mazowiecki i pan ziemi bełskiej, jadąc z Mazowsza przez miasto **Krasnystaw** do Bełza, niedaleko wsi Miczyzna, dotknięty zarazą morową, która powszechnie wówczas panowała, umarł [5].
- 1468. Wyjechał potem Król do Litwy, bo w Polsce srożyła się zaraza, pogody nie było na niebie. Nie wiedzieć z kąd wylęgły się ogromne stada myszy, pożarły zapasy w spichrzach, i wypadły na pola, a tam zniszczyły zasiewy i nadzieję rolników. Głód, nędza, drożyzna, były skutkiem tego nieszczęścia [1].
- V-VI 1542. Szarańcza w Polsce, przysłała od strony Rusi, widziana pod Zamościem: tegoż roku Szarańcza w Polsce około Krakowa, w Rusi y w Litwie latała, a gdzie upadła, tam Żyto, iarzyne y trawę z ziemią wyjadła y wygryzła [5].
- 1543. Srogie powietrze morowe w Krakowie panowało, w samym mieście ludzi dwadzieścia tysięcy umarło [11].
- 1599. Zaraza morowa rozszerzona prawie po całej Polsce srogą klęskę w ludziach sprawiła. W Krakowie samym do 20 000 ludzi zgładziła. Jakoby nie dosyć na jednym nieszczęściu było, głód się przyłączył do zarazy, która i na bydło szkodliwe skutki wywarła, przez co wszelkie żywności nadzwyczajnie podrożały [10].
- 1605. Trzęsienie ziemi na Wołyniu, naczynia ze stołów spadały, a ludzie śpiący, z łóżek [12].
- 1612. Ludziom z Wołynia szkody dosyć wielkie się działy, bo gdzie ieno szarańcza padła, tam wszystko, aż do czarnej ziemi wyjadła, a potem daley odlatowała, a wiele też ludzi bojąc się iey, zboża wpół niedorżnięte sprząтали, y w tym szkodę wielką odnieśli. Przydał ieszcze do tego Pan Bóg pożary wielkie, bo częścią przez pijane pacholki żołnierskie, częścią przez łotrówstwo, które się przy nich bawiło, dla łupiestwa pogorzało nie mało miast y wsi w tych dwu le-

- ciech, a drugie y po dwakroć gorzały iako: Sokal, Tyszowce, **Krasnystaw**, Brzeście, Słonim, Nowogródek, Pułtusk i insze [13].
- 1624/25. Środki ratunku od morowego powietrza były następujące: osady oddzielano kordonem zdrowia, a do przekraczającego tę granicę strzelano. Po miastach zamykano zamtuzy (nierządne domy), łaźnie publiczne i szynki; po wsiach wszystkie karczmy. W miejsce napojów gorących pijano ziółka; gmin używał wywarzonego senesu z kwiatem burakowym i kminem, nadto warzył bzowe i kruszynowe skórki. Odmawianie pospółem modlitw po domach, uczęszczanie liczne do spowiedzi, odczytywanie dzieł medycznych były środkami duchowymi, dla odwrócenia tej klęski [14]. Po najeździe Tatarów jednym z najsroźszych, jakich kraj polski doświadczył, wybuchnęła zaraza i przez trzy miesiące Małopolskę i Ruś pustoszyła [10].
 - 1630. Oplakany był stan mieszkańców Polski, gdy lud głód razem i choroby śmiertelne gubiły. W okolicach leśnych, żołędzie, szyszki lub korę drzew na mąkę melli i z niej chleb jedli. Gdy wiosna nadeszła, z pokrzyw i chwastu zieleniną się karmili. Zbiegał się lud, uciekając przed głodem do Krakowa i miast większych, błady, wynędzniali i na pół martwy, zalegał ulice, cisnął się do domów, żebrząc ilości, której pozyskać nie mógł. Umierał więc gęsto po domach, drogach i polach [10].
 - 1648. Stutysięczna armia kozacka Chmielnickiego najechała ziemie polskie. Zagony sięgały Lublina i Brześcia. 26 X Chmielnicki po 3 tygodniach odstąpił od oblężenia Lwowa, w którym z głodu i zarazy zmarło 10-15 tysięcy ludzi. 12 XI próbował zdobyć Zamość. W oblężonym mieście zmarło kilka tysięcy ludzi. Ludzie pochorzeli, trupa wszędzie pełno, niedostatek piwa, chleba i in-szej żywności, konie i dobytki dla niedostatku pozdychały, pełne ich ulice i rynki, zaczynam smród wielki i nieznośny.
 - IX 1652. W Krakowie kilka tysięcy zarażonych powietrzem zmarło. Zaraza kilka prowincji zajęła: Ruś, Wołyń, Lublin, Małą Polskę i część Prus, także Piotrków, i tak handel i poczty ustały [15]. W instrukcji poselskiej sejmiku ziemi chełmskiej (1652), opisano trudną sytuację Krasnegostawu, zaapelowano do króla o wyjątkowe ograniczenie wysokości podatków płaconych z dzierżaw miejskich.
 - 1677. Na Rusi umierały dzieci, starce, ludzie średniego wieku, niewiasty, młodzież po wsiach, miastach, miasteczkach. W postrachu, w tłumie, w boleści, grzebano nawet bez trumien. Tułali się po lasach, po rozmaitych drogach, nie wiedząc jak się strzec, gdzie się chronić. Od powietrza nie było przytułku [15].
 - 1690. Na Rusi i w wielkim księstwie litewskim, także miejscami w Polsce, zjawiała się gromadna szarańcza, tak że pola wszystkie okrywała. Szkodziła zbożu różnemu, łąkom, ale żywiołom żadnym szkody nie było, i owszem tą szarańczą pasło się bydło, psy, kury, gęsi, zbytecznie tyjąc. Nawet świnie i wieprze dziczały po lasach ustawicznie bawiąc się a nie idąc do domów, i nie dając się zapędzać do chlewów. W tymże roku w niektórych stronach był głód ciężki, od którego ludzie puchli i umierali.
 - 1692. Bydło po majątnościach różnie padło, osobliwie krowy. 1693 na Rusi, takie powietrze na konie i bydło było, że we włości jednych koni czterysta wypadło; a bydła nic nie zostało. Co większa, ta klęska ledwie, że nie w jednym tygodniu była [16].
 - 1699. Głód był tak wielki na Wołyniu, że ludzie od niego puchli i umierali. To się przeciągnęło w roku 1700, a przez lat siedem potem, jeszcze się głód czuć dawał [12].
 - 1703, 1705 i 1719-1720. Dość silne epidemie w Rusi Czerwonej.
 - 1711. Po przeszłorocznym powietrzu uciężło, ale szarańcza niezmiernie wielka, daleko i większa i gorsza, niż co w roku 1690 była, a co najważniejsza, wszędzie, zwłaszcza na Wołyniu, Rusi, Litwie; a gdzie leciała i padła, nic tam na polach nie zostawiła, nietylko ziarno i kłosa, ale też i słomę zjadając. Leciwała, jako mgła, że nieba znać nie było, a leciała pułkami, różnych kolorów: jedne pułki zielone, drugie czarne, trzecie szare, czwarte żółte. Nie było tego miejsca, żeby wolne było od niej [16].
 - 1712. Z przechodzących wojsk moskiewskich, bydlęm swoim, bydło bardzo zarażali; zkąd nie ustawała zaraza i trwała z niezmierną szkodą przez rok 1713 i 1714 [16].
 - 1744. Powstało powietrze na bydło rogate najprzód na Rusi, a potem po całej Polsce i Litwie, zkąd znowu z wołami ruskimi postąpiło do Szląska, Pruss i do innych niemieckich krajów. Zabijało powszechnie i gęsto przez cztery lata [17].
 - 1748. Szarańcza z Wołoszczyzny wyleciała na Ukrainę w niezmierniej liczbie, a potem się wysypała na całą Polskę, Litwę i prawie na całą Europę, o niej donoszono z państw niemieckich, o szkody przez nią poczynione. Na Ukrainie sprawiła głód, przybywszy tam na wiosnę i pożarłszy zboża jeszcze zielone; w niedostatku chleba lud pospolity żywił się żołędziem i pąkowiem drzew, ususzonym, wraz mielonym [17].
 - 22 VII 1802. Szarańcza pojawiła się w okolicy Zamościa.



Literatura:

1. K. Wójcicki (red.): *Album Literackie*, t. II, Drukarnia Rządowa, Warszawa 1849.
2. F. Junkiewicz: *Kronika klęsk elementarnych w Polsce i w krajach sąsiednich w latach 1697-1750*, Lwów 1935, 1937.
3. L. Kubala: *Czarna śmierć*, w: *Szkice historyczne, Serya Druga*, Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, Lwów 1880.
4. H. Schmidt: *Rys dziejów Narodu Polskiego od najdawniejszych czasów do roku 1763*. Tom III, Drukarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Lwów 1857.
5. J. Długosz: *Roczniki, czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, druk „Czasu”, Kraków 1869-1870, W. Kirchmayer. Także: PWN, Warszawa 1998-2001.
6. B. Paprocki: *Herby rycerstwa polskiego. Zebrane i wydane r. p. 1584*. Wyd. K. J. Turowskiego, Wydawnictwo Biblioteki Polskiej, Kraków 1858.
7. B. Wapowski: *Kroniki*, Dziejopisowie Krajowi, Wyd. Komisji Historycznej AU, Kraków 1874.
8. J. U. Niemcewicz: *Zbiór pamiątek historycznych o dawnej Polsce*, tom IV, druk N. Glücksberg, Warszawa 1822.
9. T. Wierzbowski: *Matricularum Regni Poloniae Summaria*, Partes I-V, a. 1447-1572. Officinae C. Kowalewski, Varsoviae MCMV-MCMXI.
10. X. F. Siarczyński: *Obraz wieku panowania Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego*, t. I, Księgarnia Nowa, Poznań 1843.
11. M. Strykowski: *Kronika Polska, Litewska, Żmudzka i wszystkiej Rusi*, Drukarnia Societatis Iesu, Warszawa 1766.
12. J. I. Kraszewski: *Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*, nakład i druk T. Glücksberga, Wilno 1840.
13. *Biblioteka Naukowego Zakładu Imienia Ossolińskich*, t. IV, druk. J. Schnaydera, Lwów 1842.
14. A. Rejner: *Wiadomość historyczno-statystyczna o morowem powietrzu w Warszawie w latach 1624/25*, w: *Starożytności Warszawy*, t. 3, druk. S. Strąbskiego, Warszawa 1854.
15. A. S. X. Radziwiłł: *Pamiętniki*, wyd. E. Raczyński, t. II, wyd. u Scherków, Poznań 1839.
16. K. Zawisza: *Pamiętniki*, wyd. J. Bartoszewicz, nakł. J. Zawisza. Warszawa 1862.
17. X. A. Kitowicz: *Pamiętniki do panowania Augusta III i Stanisława Augusta*, wyd. A. Woykowski, W. Decker i s-ka, Poznań 1840.

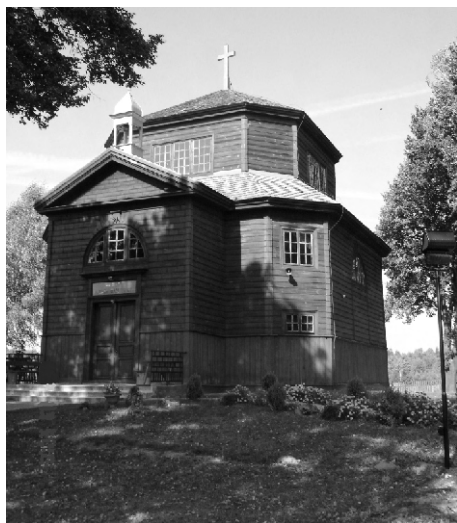
Jan Henryk Cichosz

Borowica - niezwykła wieś

O tym, że Borowica jest niezwykłą wsią wiedziałem dużo wcześniej. Jednakże dopiero ważne zagłębienie się w jej przeszłość uzmysłowiło mi z jakże piękną historią tej wsi mam do czynienia. Ale po kolei. W internetowej Wikipedii o Borowicy można przeczytać, że jest to wieś w Polsce położona w woj. lubelskim, w pow. krasnostawskim, w gminie Łopiennik Górny, przy

ujściu rzeki Rejki do Wieprza. Zbiegają się tu granice trzech mikroregionów: Pagórów Chełmskich, Obniżenia Dorohuczy i Wyniosłości Giełczewskiej. Bierze tu swój początek Kanał Wieprz-Krzna. Jest jeszcze i o tym, że znajduje się tutaj kościół parafialny pw. Przemienienia Pańskiego - modrzewiowy, wzniesiony w latach 1797-1799, a jego projektantem był architekt króla Stanisława Augusta - Jakub Kubicki m.in. projektant warszawskiego Belwederu. Tyle tylko o Borowicy „mówi” internetowa encyklopedia. Osobiście wiem, że w Borowicy żyła i tworzyła pisarka Elżbieta Jaraczewska - autorka powieści: „Zofia i Emilia”,

„Wieczór adwentowy” oraz „Pierwsza miłość, pierwsze uczucie”. Warto odnotować i to, że sekretarką pisarki była Ludwika Ossolińska, jak również to, że podczas pobytu pisarki w Niemczech, Jaraczawska kilkakrotnie kontaktowała się z Goethem, dowodem jest ślad zapisu w dzienniku poety pod datą 30 sierpnia 1823 roku. W Borowicy urodził się Szmul Zygielbojm - późniejszy przywódca Bundu, i po opuszczeniu Polski, członek Rządu Londyńskiego, który to na znak protestu przeciw bezczynności Zachodu w sprawie zagłady Żydów, popełnił samobójstwo.



I jak mi było tej wiedzy mało, to w pierwszy ciepły i słoneczny dzień ubiegłorocznej jesieni wybrałem się rowerem do Borowicy. Pojechałem przez Żulin, zatrzymując się obok przydrożnej kapliczki wzniesionej w miejscu, w którym stała cerkiew, i przy drewnianym kościele pomalowanym w radosne barwy. Następnie pojechałem przez Wolę Żulińską - wieś uroczo położoną wzdłuż

rzeczki Rejki, zatrzymując się na chwilę przy filii Gminnej Biblioteki Publicznej w Łopienniku Górnym i patrząc jak z wielką radością wynosi z niej książki szkolna dziatwa. A gdy dotarłem do Borowicy, to najpierw odpocząłem w cieniu drzew okalających plac przed kościołem. I na próżno stukiałem do drzwi plebanii, albowiem na ten czas tutejszy proboszcz wyjechał, aby nauczać religii w oddalonej o kilkanaście kilometrów szkole w Suchodołach, by w ten sposób dorobić sobie do marnego dochodu, bo co tu dużo ukrywać - parafia liczy tylko około czterystu wiernych.

Dzięki uprzejmości mieszkańców Borowicy, powoli dotarłem do domu Marka Bodaka - młodego człowieka, który na ten czas moczył w miednicy wcześniej przebitą na desce z gwoździem opuchniętą nogę, obok którego krzątała się jego żona. Otóż Marek Bodak okazał się posiadaczem dwóch kronik. Jedna jest autorstwa nieżyjącego już Piotra Sawy, którą pan Marek w przepiękny sposób uzupełnił o materiały o Borowicy wyszukane na stronach internetowych. Natomiast druga kronika jest poświęcona historii Ochotniczej Straży Pożarnej w Borowicy, której przez wiele lat przewodniczył miejscowy, także już nieżyjący, strażak-regionalista i poeta - Julian Pukas. Otóż w tej kronice wpięta jest minikronika wspomnianego Pukasa, który jakże pięknym językiem opisuje w pigułce to wszystko, co zawarł w swojej, także pięknie napisanej kronice, Piotr Sawa.

Najłatwiej to słuchać jak ktoś wynurza z mroku czasu ludzkie wspomnienia i czas, który już nie powróci. A ja, słuchając opowieści swoich przodków, którzy przedli tę nić czasu przy żarzących się węgielkach kominka, łowiłem każde słowo i chowałem w zanadru pamięci, aby kiedyś opowiedzieć swoim wnukom, albo tym, którzy zechcą słuchać. I co zostało w mej pamięci kładę na karty tego pamiętnika, a w pierwszym rzędzie o gospodarzach tych terenów, które rozciągają się od wschodu to Elżbiecin, Wola Żulińska, Żulin i Borowica, gdzie hrabia mieszkał, teren cudowny: łąki od południa i zachodu oraz lasy od północy i wschodu, a także rzeka, która w czas roztopów wszystkie doliny zalewała, a na brzegu tej rzeki, na niewielkim wzniesieniu, pałac hrabiego wspaniały, a nieopodal - izby czeladnicze, karczma i cegielnia...

To tylko maleńki fragment tego, co przeczytałem w obu kronikach, z których można się dowiedzieć m.in. o tym, że jesienią roku 1799, po zakończeniu budowy kościoła, jego budowniczy Pietrucha, który był prostym wiejskim chłopem, wracając do swojego domu utopił się podczas przeprawy przez Wieprz w okolicach Trawnik. Pietrucha utonął wraz ze swoimi toporami, świdrami i dłutami. Do dziś nie jest nic więcej wiadomo jak doszło do tej tragedii.

Sto lat później, w roku 1909, w Borowicy w lesie Zapaście, w czerwcu zorganizowano zabawę dla okolicznej szlachty. Do tańca przygrywała Włosciańska Orkiestra Karola Namysłowskiego ze Starego Zamościa. Jak podaje kronikarz, stan kapeli liczył czterdziestu chłopów.

W kronikach można też wyczytać, że w roku 1927 miejscowy dziedzic Budny, który był także posiadaczem lubelskiego hotelu „Europa”, dał drzewo na budowę mostu w Borowicy, albowiem wcześniej przez Wieprz przeprawiano się promem lub jadąc przez Krasnystaw albo przez Kanie.

Jest także w tych kronikach o tragicznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w dwudziestoleciu międzywojennym, a także podczas wojny. Otóż w lipcu 1932 r. kawaler z Rejowca zastrzelił swoją dziewczynę Czesławę Bobiner lat 20, a następnie dwukrotnie strzelił z flinty do siebie. Strzały te jednak nie były śmiertelne, a tylko oszpeciły głowę kawalera, który już do końca życia został bez jednego oka. Tego samego roku, w miesiąc później, w sierpniu, również młoda i piękna dziewczyna na tle miłosnym odebrała sobie życie. Dwa lata później w maju 1934, na zabawie zostaje śmiertelnie ugodzony nożem Stanisław Kałakucki. Trzy miesiące później, w sierpniu, kawaler z Żulina postanawia zabić siebie i dziewczynę z Borowicy, która nie chciała odwzajemnić jego miłości.

I chyba najczarniejszy dzień w historii Borowicy. Był 30 kwietnia 1944, kiedy to hitlerowcy wraz z ukraińskimi nacjonalistami spacyfikowali Borowicę. Wówczas zatrzymano z okolicznych wiosek ponad 250 chłopów, w tym kilkunastu z Borowicy. Podobno zginęli później rozstrzelani w Kumowej Dolinie k. Chełma.

Osobiście bardzo chciałbym, aby te kroniki mogły w przyszłości ukazać się w formie książkowej.

Gdy w Borowicy byłem po raz drugi, tym razem w pierwszej dekadzie kwietnia 2010 roku, aby zrobić jeszcze kilka zdjęć, to spotkałem w obejściu swojego rodzinnego domu pana Krzysztofa Rokitę, który niedawno, po 35 latach pracy na Śląsku powrócił do rodzinnej Borowicy. Otóż pan Krzysztof pokazał mi miejsce, w którym wznosił się dwór, gdzie była gorzelnia i karczma, a także miejsca, w których mieszkali Żydzi. On sam mieszka w pożydowskim domu, który przed wojną od miejscowego Żyda odkupił jego dziadek. Na moje pytanie, dlaczego tu powrócił, pan Krzysztof odrzekł: *Nie ma nigdzie takiej ciszy i piękna przyrody jak w Borowicy.*

Jan Henryk Cichosz

Dopisek: 27 marca 2010 roku spłonął doszczętnie dom Marka Bodaka. Z pożaru uratowali zaledwie kilka rzeczy, w tym Biblię i dwie kroniki. Tymczasem Marek z żoną i dziećmi zamieszkali tymczasowo u swoich rodziców.

Zbigniew Atras

„*Moje życie należy do narodu żydowskiego w Polsce i dlatego mu je oddaję*”

Szmul Mordechaj Zygielbojm (Zygelbojm), pseudonim „Artur”, urodził się 21 lutego 1895 roku w niedalekiej Borowicy (gmina Łopiennik), w dobrze uposażonej rodzinie Żydów chasydzkich. Był wnukiem Abrama Borowicera i jego drugiej żony Goldy. Dziadek Abram był arendarzem, czyli zarządcą, a raczej dzierżawcą młyna, stawów i pól miejscowego dziedzica. Borowicera to nazwisko „umowne”, pochodzące od nazwy miejscowości, z której się wywodził, zmienione przez władze carskie na Zygielbaum, a później przez samego Szmula spolszczone na Zygielbojm. Ojciec Szmula, Joske, najmłodszy syn Abrama i Goldy, wykształcony i odcytany, wysoki młodzieniec z rudą czupryną, drobnej budowy, był ortodoksem i mistykiem, oddanym Bogu, zamkniętym we własnym świecie i żyjącym ponad wszystkimi jego problemami. Nienawidził „robienia interesów” na kwitach i lichwie. Henele, matka Szmula, kobieta nieprzeciętnej urody wywodziła się z godnego, rabinackiego rodu i była córką Jakuba Pinkiera – rabina, rzeźnika oraz kantora krasnostawskiej bożnicy chasydzkiej. Ich wesele odbyło się w Krasnymstawie i trwało siedem dni. Młodzi zamieszkali w Borowicy. Zaradna i pracowita synowa była uwielbianą przez swoich teściów, a Joske dla pięknej żony ograniczył swoje nabożne myślicielstwo i zajął się kierowaniem pracą młyna. Szmul był pierworodnym synem Joskego i Henele. W Borowicy urodziło się jeszcze troje ich dzieci: córka Fajga oraz synowie Sruł i Mosze. Ich szczęśliwe życie wiejskie skończyło się nagle pewnej nocy, gdy cała Borowica została obudzona ze snu krzykami ludzi i odgłosem trąbek strażackich. Czerwona łuna ogarnęła wieś. To płonął młyn Zygielbojmów. Nic nie udało się uratować. Po tym zdarzeniu wszystko się zmieniło. Również dziedzic zmienił, jak się później okazało pod wpływem Żyda Sznajdli z Izbicy, swój przychylny i przyjazny stosunek do dzierżawcy Abrama i jego rodziny. Z ciężkim sercem Zygielbojmowie opuścili Borowicę i wyjechali do Krasnegostawu. Jak wspominał urodzony już w Krasnymstawie Fajwel, kolejny brat Szmula, było to wówczas miasto z dużą przewagą ludności polskiej, otoczone zabłoconymi miasteczkami żydowskimi jak Rejowiec, Izbica, Gorzków, Piaski i Trawniki. Krasnystaw wyglądał inaczej, a błota w nim nikt nie znalazł nawet na lekarstwo. Miasto czyste, zadbane, dobrze urządzone,

z brukowanymi ulicami i szerokimi chodnikami. Rowy odprowadzały wodę do rzek, a duża ilość zieleni i drzew radowała oczy. Dwupiętrowe domy na rynku, wszystkie murowane. Był nawet park z artystycznie wyrzeźbioną altanką, w której w dni świąteczne grała orkiestra wojskowa. Ostatnim krzykiem nowoczesności, jaki posiadało miasto, była gazowa latarnia przed magistratem.



Widok Krasnystawu od strony rzeki Wieprz

W mieście razem z Polakami mieszkali Żydzi. Było ich około sześciuset: rzemieślników, kupców, pośredników, bogaczy, domokrażców i różnych innych, zacnych biedaków. Miasto posiadało chasydzką bożnicę, bibliotekę żydowską, a nawet własnego poetę z czarną kokardą, Pinchasa Oksenberg, męża kuzynki Racheli Pinkier. Krasnystaw pachniał sadami - księdza, pośrodku miasta, i wielu innymi wokół. Spokojne miasteczko z takim samym spokojnym niebem i spokojnymi gwiazdami. Miasteczko, które sam Stwórca pięknie przystroił. Nawet księżyc wisił niżej i jaśniej świecił nad Krasnystawem. W jakim innym miasteczku biedne, nie tylko żydowskie dziecko mogło zjeść یرyska za grosz, czyli prawie darmo? Cukierni wyrabiała żona rabego - Motela. Zygielbojmowie pokochali Krasnystaw. Nawet Joske, tęskniący za swoją Borowicą polubił spokojny, polsko-żydowski pejzaż miasta, z wyjątkiem bogaczy, o których zawsze mawiał, „że im są starsi, tym większymi prostakami się stają, a ich ciemnota jest większa od posiadanego bogactwa”. To właśnie po ojcu, Szmul i reszta dzieci odziedziczyły poczucie społecznej sprawiedliwości i stawania po stronie skrzywdzonych.



W Krasnymstawie nie było jakiegoś sztywnego podziału na narodowości. Żydzi mieszkali u Polaków, a Polacy u Żydów. Zygielbojmowie zamieszkali w domu Pisarskiego, stojącym na placu przy bożnicy. Pomimo posiadania w Krasnymstawie dużej i bliskiej rodziny, nastały dla nich ciężkie czasy. Joske nie mógł znaleźć pracy i chodził załamany, bo przecież powinien zapracować na rodzinę i mieszkających z nimi jego starych rodziców. Niezaradnego zięcia wspomagała jak mogła teściowa Ryfka, żona rabina Pinkiera, oraz jej synowie i bracia Henele - Mosze Pinkier i Biome Pinkier, właściciele dwóch krasnostawskich piekarni. Jednak największą pomoc dla rodziny Zygielbojmów przyszła w tym czasie ze strony borowickich chłopów. To oni przekonali Joskego do zajęcia się handlem zbożem i rybami, które mu dostarczali. Tak to z dnia na dzień Joske Zygielbojm stał się kupcem. Rodzina przeprowadziła się do większego mieszkania na Zakręciu. Jednak dobre dni nie trwały długo. Joske nie był bezlitosnym kucem. Nie pozwalały mu na to ortodoksyjne przekonania. Potrzebującym dawał towar na kredyt i pożyczał bez procentów, tak że interes szybko upadł. Sytuację rodziny ratowała Henele, zakładając w domu herbaciarnię z kramikiem spożywczym, której stałymi klientami byli żołnierze stacjonującej w mieście kompanii wojska. Jednak pech nadal ich prześladował i dom, w którym mieszkali strawił pożar. Ledwie uszli z życiem. Bez grosza przy duszy i jakichkolwiek rzeczy osobistych znaleźli kąt u rzeźnika Abrachama, w domu stojącym przy ulicy, na której były koszerne i trefne jatki. Henele, córka rabina, wzięła na miesięczne raty maszynę do szycia marki Singer i została krawcową. Joske także znalazł swoje powołanie. Zaczął udzielać lekcji i stał się nauczycielem. Była to działalność nielegalna. Pamiętajmy, że Polska była w tym czasie pod zaborami, a on uczył, także dzieci chrześcijańskie, dając im lekcje języka polskiego. Był chyba dobrym nauczycielem, bo gdy do Krasnystawu przybył z Petersburga Żyd Lajzer Lajfer, posiadacz dyplomu nauczyciela i otworzył w mieście legalną szkołę, ilość uczniów Joskego tylko nieznacznie się zmniejszyła. Henele także była dobrą krawcową. Szyła pościel, koszule męskie i damskie, ozdobne poduszeczki z frędzlami i koronkami. Jak mogła pomagała innym, stając się w potrzebie położną, a nawet mamką dzieci anemicznych matek. W Krasnymstawie urodziła kolejne swoje dzieci - córkę Chawę, synów Pinię i Fajwela, córkę Chancję oraz synów Abramka i Rouvena. Henele zajmowała się także ziołolecznictwem. Przyrządzała maści, stawiała bańki, przykładała pijawki. Zawsze miała cierpliwość dla ludzi i otoczona była powszechnym szacunkiem. Jednak osiągnęła przez obojga

zyski ledwie wystarczały na utrzymanie licznej rodziny i starych rodziców Joskego. W dodatku Joske zapadł w tym czasie na suchoty.



ul. Mostowa

Aby uniknąć biedy i wspomóc finansowo rodzinę, już w wieku jedenastu lat Szmul, będący najstarszym dzieckiem rozpoczął pracę w miejscowej fabryce drewnianych pudełek aptecznych. Założył ją przybyły z Lublina Żyd rabi Baruch Lurje. Fabryka powstała w dużym domu z wielkim podwórzem, zakupionym od Chaima Lerbera, stojącym między domostwami rzemieślników i wozaków na grobli nad rzeką. Miasto ożyło. Jego ulicami przez cały dzień przejeżdżały skrzypiące wozy załadowane kłodami drewna. Powstały nowe miejsca pracy. Przy produkcji samych pudełek zatrudniano dzieci za 30 kopiejek dziennie, czyli połowę stawki dorosłego. Była to duża szansa dla Szmula i wielu innych. Wraz z jej podjęciem, wkraczał jednak przedwcześnie w dorosłe życie. Kończyło się dzieciństwo spędzone w Borowicy i Krasnymstawie, a przecież to właśnie nasze małe miasteczko ukształtowało jego charakter i głębokie poczucie polskości. Romantyzm miasta nad Wieprzem, czy piękno śpiewu w krasnostawskiej bożnicy chasydzkiej pozostały na zawsze w jego pamięci. Od czasu pożaru młyna i wyjazdu z Borowicy w domu Zygielbojmów nigdy się nie przelewało. Zawsze brakowało jedzenia i pieniędzy na komorne za wynajmowane mieszkanie. Szmul często wspominał zdarzenie, gdy matka przez kilka miesięcy nie płaciła czynszu i wspólnie przeżywali chwile strachu. Gdy z lękiem poszła do gospodarza domu, którym był Polak, usłyszała: „Pani Józefowo, czy pani myśli, że ja panią wyrzucę z dziećmi z mieszkania? Na myśl mi nie przyszło! Niech się pa-

ni nie martwi, pani zacznie płacić, kiedy pani będzie miała pieniądze”. Właśnie to zdarzenie utkwiło głęboko w sercu dorastającego chłopaka. Wpłynęło na jego poczucie patriotyzmu i wzbudziło już na zawsze sympatię do Polaków.

W fabryce pracowało coraz więcej dzieci i to z coraz „godniejszych” domów. Chłopcy i dziewczęta razem. Syn Chaima Joelsa, córka Motla Dworzesa i Cyrla, urzędnika gminnego, wnuk rabina Jakuba (Szmul), oraz wielu innych. Przebywają razem całymi dniami, prowadzą bluźniercze rozmowy, kupują sobie nieżydowskie ubiory - czy to wypada - całe dorosłe miasto wrzało. Opustoszały place, park i brzegi Wieprza. Dzieci z grobli już nie pluły się w rzecę. Każdego ranka szły do fabryki. Szmul przestał pochylać głowę zwyczajem swego ojca. Wyprostował plecy, a jego spojrzenie stało się bardziej godne, tak jak u innych kolegów i koleżanek z fabryki. W końcu był robotnikiem i głównym żywicielem całej, licznej rodziny. Poznał nowych przyjaciół, wśród nich był Chackel, syn majstra, którego właściciel fabryki sprowadził z wielkiego miasta. Widział już wiele i teraz opowiadał im o wielkich fabrykach z wysokimi kominami i tysiącami robotników, o związkach zawodowych, strajkach, godności. Z czasem Szmul awansował i stanął przy nożu do krojenia wiórów. Był trochę za mały i musiał podskakiwać by dosięgnąć uchwyty noża, ale miał już 40 kopiejek dziennie. Praca monotonna. Zmęczenie dawało o sobie znać, a nóż był bardzo ostry. Któregoś dnia w czasie pracy nagle poczuł tysiące szpilek przebiegających przez wszystkie jego kości. Między wiórami o dziwnym, czerwonym zabarwieniu, leżały kawałki palców jego lewej ręki. I ciemność.



KRASNSTAW. Widok z wierszy Kościła w roku 1914.

W lipcu 1914 roku wybuchła wojna i szybko objęła polskie ziemie. Przez Krasnostaw przechodził front. Doszło do zaciętych walk rosyjsko-austriackich. Wokół miasta trwała zażarta bitwa. Żołnierze austriaccy wypędzili ludzi z domów na grobli, które następnie zburzyli, by nie zastaniały im pola ostrzału. Żydzi zgromadzili się na jednym z miejskich placów. Trwał ostrzał artyleryjski.

Wokół słyhać było huk rozrywających się pocisków, walących się domów i jęki rannych. Strzelanina trwała przez cały dzień. Miasto płonęło. Brakowało wody pitnej. Ludzie słabli ze strachu i wycieńczenia. Powszechna i rosnąca panika ogarniała wszystkich. Nagle z tłumu wybiegł Szmul z wiadrami w rękach, i nie zważając na strzały, popędził w kierunku rzeki. Po chwili już wracał z wiadrami pełnymi wody. Ludzie rzucili się do picia, lecz ktoś ze starszyny żydowskiej ostrzegł, że woda może być zatruta przez Kozaków i na oczach wszystkich spragnionych, wylał wodę na ziemię. Wysiłek i poświęcenie Szmula poszły na marne. Wieczorem Kozacy zdobyli miasto i wypędzili wszystkich mieszkańców z placu. Strzelanina jednak trwała nadal. Pożar trawił miasto. Padali zabici i ranni. Dokąd biec, gdzie znaleźć bezpieczne miejsce? Spośród setek ludzi ogarniętych paniką, znowu młody chłopak - Szmul, jako jedyny wykazał się trzeźwością myślenia i skierował cały tłum do parku, ostatniego miejsca w mieście, które nie płonęło. Wokół parku biwakowali Kozacy, opijając ostro zwycięstwo. Nagle na rynek wdarła się austriacka kawaleria. Walczono na bagnety. Ludzie biegali jak szaleni. Szable wymierzały ciosy, ranne konie tratowały tłum. Żydzi, szukając ratunku spoglądali z nadzieją na swego bohatera, na Szmula, który tego dnia jakby był obdarzony jakimś proroczym widzeniem, poprowadził ich nad rzekę w kierunku mostu. Tu jest spokojnie i jest woda, ale zatruta. Szmul, patrząc w oczy ojca wziął do ręki kubek, zaczerpnął wody z rzeki i pił. Jeden, drugi, trzeci kubek wody. Na ten widok cały tłum rzucił się biegiem nad brzeg rzeki. Woda nie była zatruta i można było wreszcie zaspokoić pragnienie. Przez całą noc trwały walki o miasto. Ognie pożarów sięgały najwyższych drzew. Nad ranem walki ustały i miasto ogarnęła nienaturalna cisza. Odważniejsi poszli zobaczyć, czy coś zostało z ich domów. Wrócili z opuszczonymi głowami i popiołem w dłoniach. Wszystko było spalone. Ktoś zaproponował ucieczkę do Rejowca, gdzie nie było walk. Wszyscy ruszyli w kierunku mostu. Każdy niósł lub wiózł na wózkach resztki uratowanego dobytku. Długa karawana uciekinierów - Żydów, oddalała się od spalonego miasta. Pierwszych wkraczających na most zatrzymały pogłoski o jego zaminowaniu. Ludzie stanęli jak wryci. Droga ucieczki była zamknięta. Poczuli się jak w pułapce. I wtedy dziesiętnastoletni Szmul wszedł na most. Tłum rozsunał się na boki na bezpieczną odległość, przestraszony możliwością nastąpienia eksplozji. A Szmul szedł krok za krokiem po „zaminowanym” moście na drugi brzeg, później wracał po nim inną stroną, by dokładnie sprawdzić zagrożenie.

Ostatnie metry, z radości pokonał prawie tanecznym krokiem. Na brzegu matka całowała go ze szczęścia, ojciec obejmował, a ludzie gratulowali odwagi. Te właśnie dwa dni walk o Krasnystaw wyzwoliły w Szmulu całą skrywaną do tej pory odwagę i wiarę w siebie, pozostawiając je przy nim już na zawsze.

W Rejowcu rodzina Zygielbojmów przebywała około kilku miesięcy. Tu zmarł Abram, ojciec Joskego i dziadek Szmula. Później wszyscy wyjechali do Chełma, gdzie zamieszkali u swych kuzynów na Nowym Świecie. Następnie wynajęli zawilgoconą suterенę bez okien, w kamienicy przy ulicy Piłsudskiego. Suchoty Joskego postępowały. Niebawem zmarł. Na barki dorosłego już wówczas Szmula spadł ciężar utrzymania matki i licznego rodzeństwa. Rozpoczął pracę w olejarni, a później jako rzemieślnik, zajmując się wyrobem rękawiczek. Sam także założył rodzinę (żona Gołda) i został ojcem dwojga dzieci (syn Joske i córka Ryfka). W zakładzie pracy zaangażował się w działalność związków zawodowych, nadrabiając jednocześnie zaległości edukacyjne. Przeżycia z dzieciństwa i praca związkowa sprawiły, że oddał się całkowicie idei socjalizmu. W Chełmie wstąpił do Bundu (Powszechny Żydowski Związek Robotniczy) będącego lewicową, antysyjonistyczną partią żydowską. Tu w pełni ujawniły się jego talenty organizacyjno-oratorskie, i szybko znalazł się we władzach centralnych partii. Wyjechał do Warszawy i wkrótce został sekretarzem generalnym Sekcji Żydowskiej Centralnej Komisji Związków Zawodowych.



Szmul Zygielbojm

Po rozstaniu z pierwszą żoną, ożenił się z Marią Rozen (aktorką i śpiewaczką), z którą miał syna Artura. W 1927 roku zasiadł w Radzie Miasta Warszawy, a w 1936 przeniósł się do Łodzi, gdzie także pełnił funkcję radnego. 1 września 1939 roku

cały świat Polaków i polskich Żydów zawałił się nagle, z hukiem dział pancernika Schleswig-Holstein i przeraźliwym wyciem bomb zrzuconych z niemieckich sztukasów. Wydawało się, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi. Że damy radę. Że będzie dobrze. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, jakie będą skutki tej wojny i jak wysoką cenę właśnie nam, Polakom i Żydom polskim już niedługo przyjdzie zapłacić. Szmul Zygielbojm powrócił z Łodzi do Warszawy. Brał udział w organizowaniu obrony miasta przed wojskami niemieckimi. Współorganizował Robotnicze Bataliony Obrony Warszawy. Po zajęciu stolicy przez Niemców był jednym z dwunastu zakładników, gwarantów kapitulacji miasta. Wszedł w skład Rady Żydowskiej. Sprzeciwiał się zgodzie na dobrowolne przesiedlenie Żydów warszawskich i utworzenie getta. Rozpoczął działalność podziemną. Organizował żydowskie struktury ruchu oporu. Był aresztowany przez Niemców, ale okupanci wypuścili go, gdyż nie rozpoznali wówczas jego prawdziwej tożsamości.

W 1940 roku Szmul Zygielbojm, wykrzystując wsparcie centralnej organizacji Bundu, wyjechał z okupowanej Polski i dotarł szczęśliwie do Brukseli, choć po drodze został zawrócony z granicy holenderskiej do Niemiec, gdzie ukrywał się przez dwa tygodnie, pozbawiony wszelkich środków do życia. W Brukseli, podczas konferencji europejskich partii socjaldemokratycznych wygłosił przemówienie na temat sytuacji Żydów w okupowanej Polsce, którym zaszokował wszystkich obecnych. Pomimo przedstawionych faktów, większość uczestników konferencji przyjęła tę mowę z niedowierzaniem. Ze stolicy Belgii Szmul Zygielbojm wyjechał do Stanów Zjednoczonych, a później do Londynu, gdzie 3 lutego 1942 roku z ramienia swej partii został członkiem Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej. Rada to namiastka polskiego sejmu, będąca ciałem opiniotwórczym i doradczym Prezydenta RP na Uchodźstwie Władysława Raczkiewicza. Działając w Radzie, Zygielbojm starał się przekazywać aliantom wszelkie informacje otrzymywane od polskiego podziemia i organizacji żydowskich działających na terenie okupowanej Polski, o prowadzonym przez Niemców Holokauście.

Pamiętajmy, że już od ponad roku (rozkaz Hitlera wydany został 21 lipca 1941) Niemcy wprowadzali w życie plan dotyczący ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej na terenie państw podległych i okupowanych przez III Rzeszę. Początkowo hitlerowcy budowali obozy przejściowe i obozy pracy, w których gromadzili ludność żydowską w celu późniejszej likwidacji. Jednak szybko doszli do wniosku, że ta forma mordowania

Żydów jest „mało efektywna i wpływa deprymująco na żołnierzy plutonów egzekucyjnych”. W celu zwiększenia „przerobu” Niemcy przystąpili do budowy specjalnych ośrodków służących „przemysłowemu uśmiercaniu ludzi” i to na skalę niespotykaną dotąd. Były to ośrodki zagłady służące wyłącznie zabijaniu ludzi. Na terenie okupowanej Polski hitlerowcy zbudowali sześć ośrodków zagłady: Bełżec, Chełmno, Majdanek, Oświęcim, Sobibór i Treblinkę. Jako formy „zabezpieczenia surowca dla fabryk śmierci”, a także punkty dodatkowej likwidacji Żydów, Niemcy tworzyli obozy koncentracyjne, obozy pracy przymusowej, getta i różne inne miejsca straceń. Za pomoc i ukrywanie Żydów karano śmiercią. W tych fabrykach śmierci hitlerowcy mordowali dziennie tysiące Żydów polskiego pochodzenia, a plany zakładały całkowitą eksterminację narodu. Zabijano wszystkich: noworodki i dzieci, kobiety i mężczyzn, chorych i starców. Nad okupowaną Polską szalał anioł śmierci odziany w niemiecki mundur ze swastyką na ramieniu.

Szmul Zygielbojm otrzymywał z kraju dokładne raporty o skali prowadzonego przez hitlerowców ludobójstwa. Przekazywał te informacje Światowemu Kongresowi Żydów i Amerykańskiemu Kongresowi Żydowskiemu. Miał nadzieję, że tak potężne organizacje wywra nacisk na rządy państw alianckich, oraz wykorzystają własne wpływy i środki finansowe w celu udzielenia pomocy Żydom w Polsce. Liczył na uruchomienie programu wizowego dla Żydów w okupowanej Warszawie, oraz inne działania mniej legalne jak wykup ludzi z getta i przekupywanie funkcjonariuszy gestapo. Działania Zygielbojma wspierał emigracyjny prezydent Władysław Raczkiewicz i premier Władysław Sikorski. 18 grudnia 1942 roku kancelaria prezydenta wystosowała dramatyczny list do papieża Piusa XII, błagając go o publiczną obronę mordowanych Polaków i Żydów. Zygielbojm stał apele do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbami o przeprowadzenie kontroli warszawskiego getta i obozów zagłady. Wysyłał listy do prezydenta USA, Roosevelta, przemawiał na antenie radia BBC. Domagał się ratunku i pomocy. Bezskutecznie. Rezultaty tych działań były mierne, a apele nie odniosły zamierzonego skutku. Alianci i światowa społeczność żydowska nie chcieli uwierzyć w doniesienia z terenów okupowanej Polski i oskarżenia o ludobójstwo na niespotykaną skalę rzucone na cywilizowany naród niemiecki. Polscy Żydzi pozostali sami, a pomoc udzielana im z narażeniem własnego życia przez liczną rzeszę Polaków, uratowała wprawdzie tysiące osób, ale była tylko kroplą w morzu potrzeb.

19 kwietnia 1943 roku w warszawskim getcie wybuchło powstanie. Kilku setosobowa grupa bojowników Żydowskiej Organizacji Bojowej, wspierana przez żołnierzy polskiego podziemia przeciwstawiła się zbrojnie niemieckiej akcji ostatecznej likwidacji getta. Podjęta walka nie miała nawet najmniejszych szans powodzenia. Była desperackim aktem wyboru godnej śmierci z bronią w rękę. 20 kwietnia Zygielbojm otrzymał z walczącego getta następującą depezę: „Natychmiastowej, skutecznej pomocy może teraz udzielić potęga aliantów. Imieniem milionów już pomordowanych Żydów, imieniem obecnie palonych i masakrowanych, imieniem heroicznie walczących i nas wszystkich na śmierć skazanych, wołamy wobec świata: Niech już teraz, a nie w mrokach przyszłości, dokona potężny odwet aliantów na krwiożerczym wrogu - w sposób powszechnie jako rewanż zrozumiały. Niech najbliżsi nasi sprzymierzeńcy uzmysłowią sobie nareszcie rozmiary odpowiedzialności wobec bezprzykładnej nad całym narodem popełnionej zbrodni hitlerowskiej, której tragiczny epilog teraz się odbywa. Niech bohaterski, wyjątkowy w dziejach zryw straceńców getta pobudzi wreszcie świat do czynów na miarę wielkości chwili”. W ciągu następnych tygodni siły SS i policji krwawo stłumiły powstanie i wymordowały większość ludności getta. Cały teren dzielnicy żydowskiej został spalony, a na koniec wysadzono w powietrze Wielką Synagogę.

Po upadku powstania w getcie warszawskim, Szmul Zygielbojm ujrzał koniec świata, w którym żył. Koniec polskich Żydów, do których przecież należał. Wyczerpał wszystkie dostępne środki i przeżył odrzucenie wszelkich jego apeli. Widział niezrozumienie samych Żydów i różne walki polityczne, które stawały się ważniejsze niż życie milionów. W ciszy swego londyńskiego mieszkania usiadł by napisać ostatni list adresowany do prezydenta Raczkiewicza i premiera Sikorskiego. Pisał między innymi, że nie może żyć, gdy ostatni ocalali Żydzi polscy, których jest przedstawicielem, są mordowani przez hitlerowców. Nie było mu sądzone zginąć tak jak walczący powstańcy warszawskiego getta, razem z nimi, lecz należy do nich i do ich grobów masowych. Swoją własną śmiercią pragnie wyrazić najmocniej jak może protest przeciw bierności świata. 12 maja 1943 roku Szmul Zygielbojm popełnił samobójstwo. Zmarł w szpitalu St. Mary w Londynie. Pozostawił po sobie opinię niezwykle prawego, szlachetnego człowieka i polityka czystych rąk. Czy jego ofiara była potrzebna? Czy prawda o ludobójstwie polskich Żydów dotarła wówczas, jak i teraz do świata?

Sami Żydzi nie przyjmowali informacji przekazywanych przez Szmula Zygielbojma jako

prawdziwych. Żydowskie organizacje międzynarodowe i polityczne cenzurowały je i przekłamywały. Ani one, ani społeczeństwo żydowskie nie podjęło masowych akcji protestacyjnych na terenie państw, w których żyło. Organizacje żydowskie raczej kierowały swe działania na utworzenie państwa żydowskiego w Palestynie i to był ich główny cel. Dlaczego zginęły miliony - odpowiedź jest bardzo trudna. Być może nie istnieje. Bo jak można zrozumieć całkowitą uległość, poddanie się bez walki (wyjątek - powstanie w getcie warszawskim), a nawet współudział policji żydowskiej w organizacji transportów do obozów zagłady. W czasie wojny Żydzi z Polski i Europy nie doczekali się skutecznej pomocy od państw alianckich, czy też własnych rodaków, a i dziś częste przypadki spotykane w zagranicznej prasie, nazywania obozów zagłady „polskimi obozami” świadczą raczej o czymś innym niż zrozumienie. To nie Polska zbudowała obozy śmierci i nie Polacy zagazowali, spalili, zagłodzili i rozstrzelali trzy miliony obywateli swojego państwa, narodowości żydowskiej. Na liście izraelskiego Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem w Jerozolimie „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata” najliczniejszą grupę stanowią Polacy. Pomimo to stale oskarża się Polskę i Polaków o antysemityzm. Może i tkwi w nas jakiś ułamek antysemityzmu, ale nie przeszkadzało to naszym ojcom żyć przez 800 lat zgodnie i obok siebie na tej samej ziemi. Ziemi, która wydała najwybitniejszych twórców i największe dzieła kultury żydowskiej i wspólnej, polsko-żydowskiej. Kultury, która jest niepodzielna.

Dziś o Szmulu Zygielbojmie, polskim Żydzie, który odpowiedział dosłownie na apel powstańców warszawskiego getta, nie pamięta żaden inny kraj na świecie, tylko Polska. Dżamilia Antkiewicz nakręciła dokumentalny film pt. „Śmierć Zygielbojma”. Aleksander Rowiński napisał biograficzną powieść pt. „Zygielbojma śmierć i życie”. W Warszawie stoi jego pomnik. W Chelmie poświęcono mu tablicę pamiątkową. Tymczasem



w USA, gdzie mieszkają miliony Żydów z bardzo dobrą pamięcią, zwłaszcza w temacie odszkodowań, nie ma nawet ulicy jego imienia. Doczekał się tam tylko nagrobka, w którym złożono urnę z jego prochami i to wbrew woli zmarłego, bo pragnął spocząć na terenie warszawskiego getta lub któregoś z obozów koncentracyjnych. O Żydzie z Borowicy dziś w Ameryce i innych krajach nikt nie wie i nie chce wiedzieć, tak samo jak w czasie wojny nie chcieli uwierzyć w informacje o Holokauście. Świat nadal przyjmuje do wiadomości tylko to, co jest dla niego korzystne i na czym może zrobić interes. My jednak powinniśmy pamiętać, bo

to jest nasza wspólna historia, tak samo Polaków jak i Żydów. Urodzony w Borowicy, wychowany w Krasnymstawie, jak sam o sobie mówił - polski Żyd, Szmul Zygielbojm w odpowiedzi na apel powstańców getta złożył dobrowolnie ofiarę najwyższą, własne życie, by wstrząsnąć sumieniem świata. Świat niestety chyba nawet nie drgnął. Miejmy nadzieję, że prawdą są słowa Reuvena Zygielbojma, najmłodszego brata Szmula: „Cała ciemność nie może stłumić jednej świeczki, ale płomień jednej świeczki rozjaśnia całą ciemność”.

Zbigniew Atras

Józef Dąbski

Wspomnienie o Jadwidze Wolskiej z d. Czerniejewskiej ps. „Jaga”

16 września 2007 r. w kościele pw. Najświętszego Serca Jezusowego zw. „Kolejowym” w Nowym Sączu odprawiono uroczystą mszę św. w intencji śp. Jadwigi Wolskiej z d. Czerniejewskiej. Mszę świętą odprawił i słowo o Jadwidze wygłosił ksiądz proboszcz. W uroczystości udział wzięli: syn chrzestny zmarłej, Józef Dąbski - inicjator uroczystości, pani Ewa Fryś-Różańska - przyjaciółka zmarłej z rodziną, przedstawiciele dyrekcji Szkoły Policealnej Pracowników Służb Medycznych i Społecznych im. Jadwigi Wolskiej, delegacja młodzieży tej szkoły, która złożyła kwiaty przed epitafium w tym kościele, poświęconym Jadwidze Wolskiej.

Kim była Jadwiga Wolska?

Urodziła się 22 kwietnia 1907 r. w Ryżawce k. Humania na Ukrainie. Szkołę podstawową ukończyła w Ryżawce, zaś gimnazjum - w polskiej szkole w Humaniu. Dalszą edukację kontynuowała w Krzemieńcu Podolskim po przeniesieniu się w 1922 r. rodziny Jadwigi do Polski. W latach 1922-1924 uczęszczała do Gimnazjum im. T. Czackiego, a następnie do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego, gdzie w 1926 roku zdała maturę, uzyskując prawo nauczania w szkolnictwie podstawowym. Lata szkolne to równocześnie lata jej aktywnej działalności w harcerstwie polskim. Z powodzeniem pełniła funkcję zastępowej, następnie drużynowej. Działała w różnych kółkach zainteresowań literackich. Na tym polu realizowała się jako osoba niezwykle uduchowiona, kochająca wolność i swobodę. Dawała temu wyraz w swoich pamiętnikach.

Po zdaniu matury, Jadwiga rozpoczęła pracę zawodową w powiecie krasnostawskim.

Pracowała kolejno w szkołach we wsiach Siennica Królewska, Maciejów Stary, Wysokie, Spławy, Rudnik i Suche Lipie. Z wielkim zapalem poświęcała się pracy nauczycielskiej, widząc sens w tym, że przyczynia się do podnoszenia cywilizacji bardzo zacofanych w tym okresie wsi ziemi krasnostawskiej. Jej wzorowa praca edukacyjna dzieci chłopskich znajdowała uznanie społeczności lokalnych. Długo wspomniano ją po wyjeździe w 1936 roku, podkreślając, że uczyła nie tylko czytać, pisać i rachować, ale miłości do Polski, a także dyscypliny i higieny osobistej. Była osobą bardzo wrażliwą. Reagowała na panującą biedę w wielu wielodzietnych rodzinach. Często udzielała pomocy materialnej, a także, w miarę swoich możliwości, organizowała w szkołach tzw. dożywianie. Równolegle do aktywnego życia zawodowego i społecznego, Jadwiga podnosiła swoje kwalifikacje, wykorzystując w tym celu wakacje, by uczestniczyć w kursach specjalistycznych, w tym na poziomie uniwersyteckim.

30 sierpnia 1936 r. Jadwiga wyszła za mąż za kolegę z lat szkolnych Zygmunta Wolskiego. Ślub młodej pary odbył się w katedrze lubelskiej. Z tą chwilą rozpoczął się dla Jadwigi Wolskiej nowy etap życia, bardzo trudny, wręcz dramatyczny o czym ona jeszcze nie wiedziała. Po roku starań otrzymała przeniesienie służbowe w rejon zatrudnienia jej męża - inżyniera pracującego na budowie zapory wodnej na Dunajcu w Rożnowie k. Nowego Sącza. W 1937 r. rozpoczęła pracę jako nauczycielka wiejska w rejonie Nowego Sącza. Z tą chwilą rozstała się na zawsze z ziemią krasnostawską.

W 1939 r. jej mąż, jako oficer rezerwy został wcielony do Wojska Polskiego. Rozstanie z mężem było dla Jadwigi ciężkim przeżyciem otwierającym dramatyczną jej przyszłość w wojennych warunkach. Nie załamała się. Podjęła pracę w Nowym Sączu w Miejskim Biurze Pomocy Społecznej.

Z całą energią i poświęceniem współtworzyła w okupacyjnych warunkach pomoc potrzebującym. W pierwszym okresie pomoc ta polegała na zapewnieniu opieki Polakom wysiedlonym z terenów polskich, które zostały włączone do Rzeszy. Skala tej pomocy była ogromna. Ogółem do Nowego Sącza okupant skierował 6 transportów wysiedlonych, każdy po kilkaset osób, w tym niemowlęta, dzieci, starcy i chorzy. Poza pierwszym transportem, wszystkimi kolejnymi odbiorami skutecznie kierowała Jadwiga, zapewniając wysiedlonym zakwaterowanie, jedzenie, pierwszą pomoc lekarską i w dalszej kolejności pracę.

Dzięki ogromnej energii i pracowitości, podejmowała inne zadania. Szczególnie bolała nad losem dzieci - sierot po poległych we Wrześniu, zamordowanych w więzieniach i na placach kaźni, dzieciom, których ojcowie przebywali w więzieniach, w obozach i poza granicami kraju, dzieciom rodzin wysiedlonych i rodzin żyjących w skrajnej nędzy. Dla nich to organizowała, wspólnie z harcerkami nowosądeckimi, punkty dożywieniowo-świeclicowe, indywidualną i możliwie częstą pomoc rodzinom wielodzietnym, latem - kolonie i półkolonie. Liczba dzieci objętych różnymi formami opieki i pomocy dochodziła do tysiąca. W 1943 r. Jadwiga uprosiła u władz niemieckich zezwolenie na otwarcie zakładu dla 50 chłopców. W zakładzie uruchomiono szkołę podstawową, a także tajne nauczanie historii i geografii. Ponadto chłopcy uczyli się różnych zawodów.

Z wielką determinacją walczyła Jadwiga o podjęcie akcji pomocy Żydom zamkniętym w getcie. Do walki tej rzuciła cały swój urok i wdzięk, a także zdolności dyplomatyczne, i uzyskała rzecz niewiarygodną - zezwolenie komendanta SS na dostawę do getta żywności i lekarstw. Mając w ręku to zezwolenie, uruchomiła w najgłębszej tajemnicy dodatkowe dostawy, a zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, sama załatwiała „operacje gettowe”. Po likwidacji getta w sierpniu 1942 r. Jadwiga pomagała tym, którym udało się uciec z getta, i którzy ukrywali się w terenie.

Bardzo ważną działalnością Jadwigi było systematyczne (raz w tygodniu) legalne dożywianie więzionych przez gestapo w Nowym Sączu. Nie zapominała również o żołnierzach, których los zapędził do stalagów i oflagów, posyłając im paczki. Dostępność Jadwigi do więźniów pozwalała na przekazywanie bardzo ważnych np. dla ruchu oporu informacji. Dzięki temu udało się uratować wiele istnień ludzkich.

Jadwiga swoje mieszkanie usytuowane na skraju miasta przy ul. Tatrzańskiej udostępniła dla celów konspiracyjnych. Tu też odbywały się niele-

galne spotkania ludzi kultury przebywających w tym czasie w Nowym Sączu. W tych spotkaniach brał udział m.in. Juliusz Osterwa z żoną Matyldą.

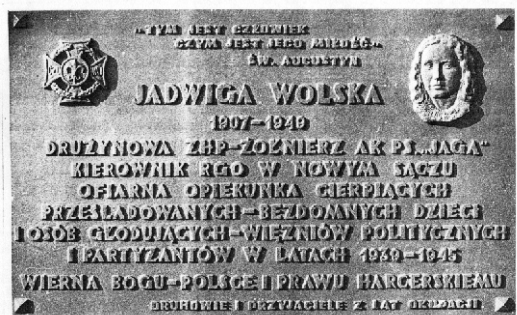
Działalność charytatywna na przestrzeni pięciu lat wymagała olbrzymich nakładów finansowych i wielkich zasobów materiałowych. Dotacje z Centrali Rady Głównej Opiekuńczej były bardzo skąpe. Brakujące środki trzeba było zdobyć. Dzięki osobistemu czarowi, urodzie, kulturze obejścia, inteligencji i zdolności formowania odpowiednich argumentów kwestarskich Jadwiga i z tymi problemami dobrze sobie radziła.

Jadwiga Wolska, żyjąc dla innych, kompletnie zaniedbała siebie. Nadludzki wysiłek w warunkach wojennych nieustannych napięć nerwowych niszczył ją i tak z natury wątłą kobietę. Rozpoczął się powojenny dramat. Ukochany mąż wprowadził szczęśliwie przeżył wojnę, ale jako były oficer Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie nie powrócił do kraju w obawie przed represjami władz komunistycznych. Zdrowie Jadwigi szybko pogarszało się wskutek rozwijającej się, nieuleczalnej w tamtych czasach choroby - gruźlicy. Wielka życzliwość przyjaciół i znajomych lekarzy nie mogła zmienić przeznaczenia. Nadzieja na wyjazd do Szwajcarii w celu leczenia została przez barbarzyńców z UB zniweczona. Nowi ideolodzy z Nowego Sącza uczynili wszystko, aby bohaterska działalność Jadwigi o pseudonimie konspiracyjnym „Jaga” została zapomniana. To się im nie powiodło. Przyjaciele z lat walki o Polskę wolną, a przede wszystkim najwierniejsza z wiernych - pani Fryś-Różańska towarzyszyła jej do końca życia. Leczenie sanatoryjne w Zakopanem i Otwocku tylko łagodziło przebieg choroby. Mąż finansuje pobyt w sanatorium. Niestety, 19 października 1949 r. po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzona św. sakramentami zmarła w Otwocku. Pogrzeb odbył się 22 października 1949 r. w Warszawie na Powązkach, na cmentarzu cywilnym.



Grób Jadwigi Wolskiej z d. Czerniejewskiej na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie

Wspomniana przyjaciółka, pani mgr Ewa Fryś-Różańska podjęła wysiłki, niestety nieskutecznie, aby utrwalić imię wspaniałej Kobiety - bohaterki czasu wojny na ziemi nowosądeckiej, a wcześniej bohaterki pokoju - nauczycielki niosącej kaganek oświaty ludziom i dzieciom z chat wiejskich powiatu krasnostawskiego. Dopiero po zmianach ustrojowych Polski w 1989 r. przywrócono pamięć Jadwigi Wolskiej, nadając Jej imię jednej z ulic w Nowym Sączu, stała się patronką drużyny harcerskiej Liceum Zawodowego Zespołu Szkół Odzieżowych, w kościele pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego zw. „Kolejowym” umieszczono epitafium poświęcone tej wspaniałej Kobiecie. W dniu 14 października 1992 r. nadano Szkole Policealnej Pracowników Służb Medycznych i Społecznych imię Jadwigi



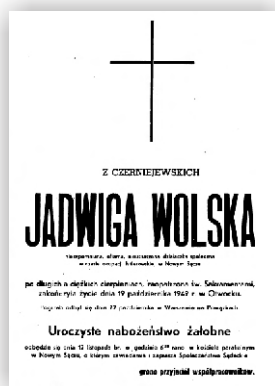
Epitafium w kościele Świętej Trójcy
w Nowym Sączu

Wolskiej. W czasie tej uroczystości wręczono pośmiertnie medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata - Yad Vashem, który zgodnie z wolą przyjaciół i syna chrzestnego, Józefa Dąbskiego został przekazany władzom miasta Nowy Sącz.

Dostępna jest literatura wspomnieniowa np.

- „Jaga” - bohaterstwo dobroci” autor Józef Bieniek;
- „Świadectwo wielkości” autor Józef Bieniek;
- „Wspomnienie o Jadwidze Czerniejewskiej-Wolskiej - „Jaga” autor Stanisław Długopolski - Rocznik Sądecki, Tom XV-XVI 1974-1977 r.

Józef Dąbski



Nekrolog informujący o śmierci Jadwigi Wolskiej
w Warszawie

Artur Borzęcki

Sto piętnaście dokumentów na sto piętnaście lat

Polskie Stronnictwo Ludowe, ugrupowanie odwołujące się do korzeni i tradycji pierwszej samodzielnej partii ludowej - galicyjskiego Stronnictwa Ludowego powstałego w 1895 r. obchodzi 115. rocznicę istnienia. Jubileusze zwykle są znakomitą okazją do różnego rodzaju uroczystości: konferencji, wystaw czy okolicznościowych wydawnictw. Właśnie za taką publikację można uznać wydaną w ubiegłym roku (formalnie w obiegu księgarskim od 2010 r.) książkę *Zniszczyć PSL. Działania Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wobec ruchu ludowego w województwie lubelskim w latach 1944-1956. Wybór źródeł*. Jest to publikacja źródłowa zawierająca 115 dokumentów pochodzących z za-

sobów archiwów IPN w Lublinie i Warszawie oraz Archiwum Państwowego w Lublinie, a wydana przez Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie oraz Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie. Słowo wstępne w postaci przedmowy napisali dyrektorzy instytucji, które książkę wspólnie wydały - dr Janusz Gmitruk (MHPRL) i Jacek Welter (IPN Oddz. Lublin).

Autor wyboru tekstów, historyk z lubelskiego oddziału IPN, dr Jacek Romanek zajmujący się dziejami ruchu ludowego, a szczególnie ruchem ludowym na Lubelszczyźnie w latach 1944-1956, jak można się domyślać, nieprzypadkowo zebrał właśnie 115 dokumentów. Złożył w ten sposób hołd tym wszystkim, dzięki którym - pomimo burzliwych lat i zmieniającej się sytuacji geopolitycznej Polski - ruch ludowy, choć w różnych formach, trwał w zasadzie bez przerwy przez ponad sto lat. Dokumenty w sposób naukowy opracowane do edycji przez Jacka Romana pochodzą i zarazem

dotyczą okresu 1944-1956 r., a wybrane w sposób reprezentatywny, pokazują mechanizm stopniowego rozbijania PSL na Lubelszczyźnie, jedynej wówczas legalnej partii opozycyjnej w kraju. Dokumenty są również świadectwem operacji bezpieki przeciwko byłym działaczom PSL, którzy następnie wstąpili w szeregi Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Ramy chronologiczne publikacji wymusił sam rozwój sytuacji w kraju, cezurę początkową wyznacza rok 1944, czyli powojenne odradzanie się ruchu ludowego, a kończy rok 1956, kiedy to władze „skorygowały” swą politykę wobec ludowców. Poza trzema dokumentami, wszystkie zostały wytworzone przez administrację Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego stopnia wojewódzkiego oraz powiatowego, i jak napisał we wstępie sam autor „[...] wybór dokumentów obrazuje zarówno charakter, kierunki jak i metody działań prowadzonych w stosunku do działaczy i całego ruchu ludowego”.

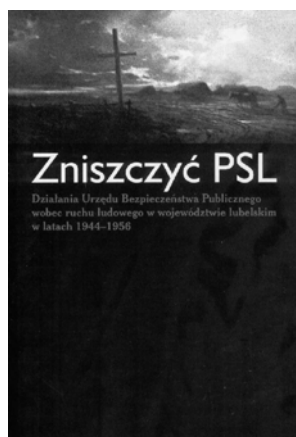
Wśród 115 dokumentów znajdziemy również kilkanaście ściśle dotyczących powiatu krasnostawskiego, co zresztą nie powinno dziwić, jako że ruch ludowy na tym terenie miał bogatą tradycję i dobrze rozbudowane struktury. Ponadto, w porównaniu z innymi powiatami, Krasnystaw ma bardzo dobry stan zachowania akt z okresu 1944-1956 dotyczących ruchu ludowego. Dokumentami zaprezentowanymi w książce, zarówno powstałymi w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnymstawie, jak i do krasnostawskiej bezpieki adresowanymi są m.in.: *Pismo szefa PUBP w Krasnymstawie do WUBP w sprawie „zabezpieczenia” Kongresu PSL* (dok. nr 32 z 1946 r.), *Raport o wszczęciu agencyjnego rozpracowania działaczy PSL z powiatu krasnostawskiego* (dok. nr 87 z 1949 r.), czy *Postanowienie o wszczęciu pod kryptonimem „Wesele” agencyjnego rozpracowania grupy byłych członków BCH i PSL* (dok. nr 101 z 1953 r.). Wśród osób wielokrotnie wymienionych w dokumentach znajdziemy też postacie zasłużone dla ruchu ludowego, związane z ziemią krasnostawską, jak: Antoni Marucha, Władysław Król, Józef Nikodem Kłosowski, Eustachy Tętnik czy Antoni Furgała.

Ruch ludowy jest bez wątpienia najlepiej historiograficznie opracowanym nurtem politycznym w Polsce. Niemniej jednak, wciąż brak jest publikacji dotyczących okresu powojennego, zwłaszcza opisujących losy ludowców w poszczególnych regionach kraju. Omawiana „źródłówka”, poprzez zawarte w niej bogactwo faktów dotychczas nieznanych szerszemu gronu, powinna doskonale przyczynić się także do opracowania dziejów ruchu ludowego na Lubelszczyźnie, czy też w poszczególnych powia-

tach. Efekt wnikliwej i żmudnej kwerendy archiwalnej dra Jacka Romanaka powinien również być pomocnym dla historyków ruchu ludowego z innych części kraju, stanowiąc dlań źródłowy materiał porównawczy. Zalet publikacji nie umniejszają też pojawiające się drobne błędy np. w wyjaśnieniu skrótów, które w tym wypadku, będąc wynikiem niedopatrzenia ze strony korektora, nie mają większego wpływu na teść, wartość jak i całość książki.

Publikację dopełniają pomocne w poruszaniu się po wyborze tekstów - indeks osobowy i wykaz skrótów.

Artur Borzęcki



Zniszczyć PSL. Działania Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wobec ruchu ludowego w województwie lubelskim w latach 1944-1956. Wybór źródeł. Wybór, opracowanie i wstęp Jacek Romanek, „MHPRL”, „IPN”. Warszawa-Lublin 2009, ss. 269.



Małgorzata Biernat-Świtoniak - olej

Grzegorz Polikowski

Ostatnia walka V Brygady...

Kiedy w maju 2007 roku po raz pierwszy spotkałem się z Janiną Wasiłojć, zobaczyłem filigranową, pełną życia, tryskającą humorem i wesołością kobietę. Gdyby nie moja wcześniejsza o niej wiedza, niepełna i ułomna oraz zapewne powierzchowna, nigdy bym nie podejrzewał, że mam przyjemność osobście zetknąć się z osobą działającą w konspiracji od 1942 roku. Osobą, która przeżyła rozbrojenie, a następnie rozstrzelanie przez sowieckich „partyzantów” dowódcy (Antoni Burzyński ps. „Kmicic”) oraz około 80 żołnierzy pierwszego, większego oddziału partyzanckiego na Wileńszczyźnie. Następnie brała udział w walkach V Brygady, utworzonej z ocalałych żołnierzy „Kmicica” przez mjr. „Łupaszkę” (Zygmunta Szendzielarza), aż po kres jej działania na Pomorzu, to jest do listopada 1946 roku, gdzie podczas walk z komunistycznym reżimem była sanitariuszką w szwadronie dowodzonym przez ppor. „Zeusa” (Leon Smoleński). Była też uczestniczką, ostatniego większego starcia V Brygady na Pomorzu, w miejscowości Budy k. Brus. Za działalność niepodległościową skazana na karę śmierci zamienioną na 15 lat więzienia, z którego wyszła na wolność dopiero w 1956 roku. Od momentu opuszczenia więziennych murów, aż do przejścia na emeryturę, zajmowała się tym, czym jak sama ze śmiechem stwierdza, była „diedzicznie obciążoną” czyli nauczaniem młodszej i starszej dziatwy. Przeszła wszystkie szczeble szkolnictwa - sama ucząc się, pracowała w szkole podstawowej, a zakończyła swą karierę jako nauczyciel akademicki na Uniwersytecie Szczecińskim. Jest jedną z dwóch osób (drugą jest Pan Henryk Sobolewski ps. „Sobol”, żołnierz IV i V Wileńskiej Brygady AK), które pamiętają i czasami, przy wyjątkowych okazjach, śpiewają zapomniane już żurawiejki V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. W tym roku Pani Janina została odznaczona przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, nawet nie przypuszczałem, że nasze spotkania (w 2007 oraz 2008 roku) zaowocują materiałem, który mam niewątpliwą przyjemność Państwu przedstawić poniżej:

- Zacznijmy od samego początku. Gdzie należy szukać miejsca Pani narodzin?

- Urodziłam się w 1926 roku w folwarku Tarkowszczyzna, w powiecie święciańskim na Wileńszczyźnie. Rodzeństwa nie miałam - byłam



Czerwiec 2008 - Bory Tucholskie. Janina Smoleńska podczas rozmowy z Grzegorzem Polikowskim.

jedynaczką. Z Tarkowszczyzny rodzice wyjechali wkrótce po moim urodzeniu. Kolejno mieszkaliśmy w Komajach, Duksztach, a gdy wybuchła wojna - w Święcianach.



Janina Wasilojć (Smoleńska) z rodzicami - Wileńszczyzna rok 1928.

- Czy tam spędziła Pani całe dzieciństwo?

- Nie. Gdy wybuchła wojna, miałam trzynaście lat i wtedy mieszkałam już od pewnego czasu w Święcianach. Tam chodziłam do Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. Moi rodzice byli z zawodu nauczycielami i tam wówczas pracowali. Do tego samego gimnazjum między innymi, chodziła również Lidia Lwow, późniejsza „Lala” i Zdzisław Badocha, znany jako „Żelazny”.



Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Świecianach, którego wielu wychowanków walczyło w szeregach V Wileńskiej Brygady AK.

- To, że uczęszczała Pani do jednej szkoły z „Żelaznym” (ppor. Zdzisław Badocha), to wiedziałem, ale iż również z panią Lidią...?

- Tylko, że to było tak, iż ja zaczynałam, a ona kończyła gimnazjum. Zapamiętałam ją, bo one były starsze, takie, na które my patrzyliśmy z szacunkiem. Zresztą ja poszłam do szkoły dwa lata wcześniej, więc ona była już panną, a ja miałam coś z jedenaście lat.

- Czy później utrzymywały Panie ze sobą kontakt?

- Potem z „Lalą” spotykałyśmy się w czasie wojny, kiedy ona mieszkała w Kobylniku, a ja w Miadziole, i tam chodziliśmy na kurs nauczycielski. Ona już wtedy pracowała jako nauczycielka. To był 1942 rok. Oczywiście później, podczas obu okupacji, niemieckiej i sowieckiej, miałyśmy stały kontakt.

- Więc miałyście Panie wiele wspólnych wspomnień?

- Jest to znajomość „przedpartyzancka”, więc wspólne wspomnienia nie dotyczą tylko czasu walki.

- Czy w latach „gimnazjalnych”, a może także wcześniejszych, należała Pani do harcerstwa lub innych organizacji dla dziewcząt?

- Oczywiście. Należałam najpierw do zuchów, a następnie do harcerstwa.

- Czyli w pewnym, godnym naśladowania oczywiście sensie, przeszła Pani dość typową drogę dla Waszego pokolenia?

- Taka typowa droga - taka, jaką wówczas większość młodzieży przechodziła. Wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego w pełni sprawy, ale cały

czas przedstawiano nam pewne wzorce. Wzorce osób pozytywnych. Na przykład powstańców z roku 1863 czy legionistów. Przekazywano nam to nie w jakiejś takiej formie nachalnej, nikt nie mówił wprost, że „trzeba kochać ojczyznę”, ale poprzez właśnie te przykłady robiono to w sposób naturalny. Ja też te wzorce przyswajałam. Gdy wybuchła wojna, samorzutnie rysowałyśmy na kartkach białoczerwony szlak z podpisem „Jeszcze Polska nie zginęła” i rozlepiałyśmy te kartki gdzieś na murach i płotach. Nikt nas nie instruował, że tak trzeba robić i dopiero o wiele później nazywało się taką działalność „małym sabotażem”.

- Byliście już wtedy w jakieś organizacji?

- Nie, to był przecież 1939 rok, przyszli Sowieci i zaraz ta młodzież zaczęła podejmować takie różne, spontaniczne działania. Bez żadnej organizacji, żadnych przysiąg. To było całkowicie naturalne. Jedenastego listopada szło się na groby legionistów, co było wówczas zakazane. W gimnazjum wprowadzono jako język wykładowy rosyjski, więc zaczęliśmy się buntować, za co część z nas wyrzucono w ogóle ze szkoły. W 1941 roku otworzono polską szkołę, do której zaczęły uczęszczać wszystkie te „niedobitki”. Straszono tam nas, że gdy nie przestaniemy się buntować, to ta szkoła zostanie zamknięta. Kiedyś, na 1 maja, strasząc tym zmuszono nas do udziału w tak zwanym pochodzie. Wychowawca, nie wiem, co mu strzeliło do głowy, wymyślił, abym niosła portret Stalina. Kilkakrotnie prosił mnie, bym go wzięła, a ja z uporem odmawiałam. Wtedy polecił mi, abym poszła i zameldowała o tym dyrektorowi. W tym momencie kolega z klasy, powiedział: „Ja to poniosę”. Miał on bowiem świadomość, że konsekwencje mojej odmowy poniosą moi rodzice - nauczyciele w tej szkole. Wiedziałam, że z jego strony, to straszne poświęcenie. Po pochodzie, chciałam mu podziękować, ale on „huknął” na mnie: „Odejdź! Myślałem, że się spalę ze wstydu!”.

- Jak się wówczas żyło?

- Cały czas trwały wywózki na Syberię, więc każdy miał spakowane najbardziej potrzebne rzeczy, aby być w każdej chwili gotowym. Sowieci najczęściej przychodzili nocą i kazali natychmiast wychodzić, dlatego lepiej było być przygotowanym. Ojciec w 1941 roku wyjechał do swoich rodziców, do Podbrodzia, a my z matką później do niego dojeżdżałyśmy. Tam nas zastał wybuch wojny sowiecko-niemieckiej.

- Po pierwszej, krótkiej, okupacji sowieckiej, przyszła okupacja litewska...?

- Tam, w Świecianach ruscy byli trochę dłużej. Dopiero później przyszli Litwini i włączyli te tereny do swojego państwa. Poprawiło się wówczas

zaopatrzenie żywnościowe. Zniknęły kolejki przed sklepami.

- A jaki był Wasz, młodych ludzi, stosunek do Litwinów, do kolejnego okupanta?

- Tam mieszkało bardzo mało Litwinów, ja w ogóle się z nimi nie spotykałam. Wiedzieliśmy, że współpracowali oni z Niemcami, ale ja z nimi nie miałam nic do czynienia. Dopiero po wyjeździe do Podbrodzia, mój ojciec, jako znany działacz oświatowy i społeczny, wraz z paroma innymi osobami, został przez Litwinów aresztowany. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że tatuś dostał wyrok śmierci. W tym czasie połowę domu dziadków zajął niemiecki pułkownik, starszy człowiek. Przez przypadek dowiedział się o naszym nieszczęściu i w wyniku jego interwencji udało się uratować życie memu ojcu. Kiedy tato wrócił, tego pułkownika już nie było, poszedł dalej na front, więc nawet nie mógł podziękować mu za ocalenie. Zdarzały się takie paradoksy. Później, pod koniec 1941 roku, uciekliśmy na tereny administrowane przez Białorusinów, gdyż Litwini koniecznie chcieli z moim tatą się rozprawić. W końcu trafiliśmy do wspomnianego już miasteczka Miadzioł, nad jeziorem Narocz, gdzie ojciec dostał pracę jako sekretarz w inspektoracie szkolnym. Tam było wielu takich uciekinierów i dużo młodzieży. Szybko się tam zawiązała konspiracja.

- Czy tam wstąpiła Pani do konspiracji?

- Wtedy każdy musiał pracować, aby nie zostać wywiezionym na roboty przymusowe do Niemiec.

- Przecież miała Pani wtedy, w 1942 roku, szesnaście lat?

- To nic nie przeszkadzało zostać wywiezionym. Ja dostałam pracę w takim odpowiedniku starostwa. Moim obowiązkiem było wpisywanie danych z dokumentów w blankiety kenkarty, a następnie musiałam udać się do gabinetu kierownika, który był oczywiście Niemcem. On dawał mi pieczętkę, ja wbijałam ją na dokumencie, a on go podpisywał. Wymyśliłam sposób, aby uzyskiwać podstępnie podpisane druki in blanco. Oczywiście trafiały one do organizacji. Chociaż uroczystą przysięgę złożyłam wiele miesięcy później, to właśnie od wtedy datuje się moja współpraca z konspiracją. Wtedy moim dowódcą był Antoni Zwieruho pseudonim „Koliber”.

- Jak trafiła Pani do partyzantki?

- Właśnie ten „Koliber”, mając kontakty z por. Antonim Burzyńskim „Kmicicem”, który od marca 1943 roku tworzył pierwszy partyzancki oddział na

tym terenie, w czerwcu tegoż roku zaprowadził całą tę „konspirację miadziolską”, a było nas tam ponad dwadzieścia osób, do lasu. W grupie tej byli też moi rodzice. Pamiętam, jak zobaczyłam pierwszego partyzanta. „Kmicic” przysłał po nas konny patrol i gdy po tych kilku latach zobaczyłam polskie mundury. Obraz ten do tej pory pozostał mi w pamięci. W tym patrolu był między innymi Henryk Mackiewicz pseudonim „Dzięcioł” - stryj dzisiejszej Pani Prezydentowej [Marii Kaczyńskiej - przyp. red.]. Po kilkudniowej aklimatyzacji w lesie zaczęliśmy budować bazę - na wzgórku otoczonym bagnami, do którego dostęp był jedynie niezbyt szeroką groblą. Tam postawiliśmy szałas. I tam też miała miejsce uroczysta przysięga odebrana przez „Kmicica”. W bardzo niedługim czasie było nas już około trzystu partyzantów.

- Ile kobiet, dziewcząt było w oddziale i czym one się zajmowały?

- Kobiet było niewiele, chyba siedem. Zajmowały się przygotowywaniem posiłków oraz różnymi pracami gospodarczymi. Wtedy nie byłyśmy zabierane na żadne akcje. Byłyśmy jednak wysyłane na wartę. Na przykład polecano nam iść do lasu z koszykiem, niby na zbiór grzybów. Był też „na bazie” szpitalik dla chorych i rannych.

- Jak Pani wówczas to odbierała - jako przygodę, obowiązek...?

- Uważałam, iż spotkał mnie zaszczyt, że znalazłem się w oddziale. W tym wieku każdy chciał jak najszybciej oddać życie za ojczyznę. Kiedyś, jeszcze gdy chodziłam do szkoły, mieliśmy odpowiedzieć na pytanie: „Kim chciałbyś zostać w przyszłości?”. Jedna z dziewczyn napisała: „Chciałabym w przyszłości wyjść za mąż, mieć dwunastu synów i żeby wszyscy polegli za ojczyznę”.

- Niedaleko Was stacjonował oddział sowiecki?

- To było jakieś trzy kilometry dalej. Jego dowódcą był płk Fiodor Markow. On kształcił się w Polsce - skończył seminarium nauczycielskie, był w podchorążówce, pracował jako nauczyciel. Mieszkał przed wojną w Święcianach. Przez pewien czas stosunki były całkiem poprawne. Jednak 26 sierpnia 1943 roku Markow zaprosił nasz sztab do siebie pod pretekstem uzgodnienia wspólnej akcji. Tam, jak się później okazało, zostali aresztowani. Do bazy powrócił szef sztabu pseudonim „Boryna” w otoczeniu kilku sowieckich wojskowych. Zarządził „zbiórkę na placu bez broni”. Zobaczyłam za drzewami szczelny kordon sowieckich partyzantów. Zabrali z szałasów broń

Następnie przyjechali ich „politrucy” i robili przesłuchania według wcześniej przygotowanych list. Wtedy też, jednych naszych partyzantów ustawiano po jednej stronie, a innych - po drugiej. Przy grupie liczącej około 60 osób, prawie przy każdym stał strażnik. Zaprowadzono ich na sowiecką bazę i tam zostali zamordowani. Po jakimś czasie Markow przyprowadza nam nowego komendanta. Był nim Wincenty Mroczkowski pseudonim „Zapora”, który był przedwojennym podoficerem w Wojsku Polskim. Wygłosił on do nas mowę, która w przybliżeniu miała taką treść: „Chłopcy! O co nam chodzi? Chodzi nam o to, żeby być! A żeby „być”, to trzeba mieć broń! A jak będziemy mieć broń, to wtedy okaże się, co dalej!”. Zapamiętałam tę przemowę, gdyż była ona taka jednoznaczna. Chłopaki dostali wtedy broń - rozkalibrowaną, zepsutą. Oddział ten nazwano im. Bartosza Głowackiego. Gdy zaczęło wypuszczać w teren patrole zaopatrzeniowe, to wysłany po żywność, nie wracał. Dołączały one w terenie do „Łupaszki” (mjr Zygmunt Szendzielarz - przyp. G.P.), który szedł objąć dowództwo Brygady i przez zupełny przypadek uniknął sowieckiej zdrady, i on „zbierał” ich wszystkich i tak powstawała V Brygada.

- Ale większość z tych, którzy przeżyli, pozostawała jednak na miejscu, w obozie?

- Przez pewien okres, gdyż po pewnym czasie „Zapora” wyprawił się z dużym patrolom na poszukiwanie tych, którzy nie powrócili i oczywiście oni też nie wrócili. Przydzielono nam wówczas nowego politruka, polskiego Żyda, Mareckiego. Wtedy też rozbroili nas po raz drugi. Już nie tworzyli z nas nowego oddziału, tylko porozdzielali nas po różnych oddziałach sowieckich. Ostatniej nocy przed odesłaniem na sowiecką bazę, pomogła nam w ucieczce żona „naszego” politruka, pani Lusja. Dała nam przepustkę ze stemplem swego męża i my dzięki niej uciekaliśmy w siedem osób. Dostałam też od niej pistolet.

- Jak wyglądała Wasza dalsza ucieczka?

- Wraz z rodzicami, szliśmy do folwarku Buraki, którego właścicielami byli przyjaciele moich rodziców, państwo Poniatowscy. Jak się okazało, weszliśmy prosto na niemiecką pacyfikację terenu. Byliśmy na odkrytym terenie i nie mogliśmy się już wycofać. Idziemy więc dalej. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy, że przy wykopie, który początkowo pomyślałam miał być na ziemniaki, stali Niemcy i litewscy policjanci. Zatrzymali nas tam Litwini i zaprowadzili do wsi, gdzie przeprowadzono rewizję. Przy mnie znaleziono polski, legionowy orzełek i litewski policjant powiedział, że jestem „polską szowinistką”. Pistolet zdołałam ukryć w już przeszukanych rzeczach. Ojca gdzieś zabrano samochodem, a mnie z matką poprowadzono piechotą do pobliskiego miasteczka

Komaje na posterunek policji. Jak się okazało, ojciec już tam był. Po przesłuchaniu, jakie odbyło się w dniu następnym, w dużej mierze dzięki litewskiemu tłumaczowi, który nagle stał się przyjazny (jak podejrzewaliśmy dzięki perswazji wspólnych znajomych z tej miejscowości), zostaliśmy przeznaczeni do wywiezienia na roboty do Niemiec, a nie do rozstrzelania. Następnie przewieziono nas do miejscowości Łyntupy, gdzie utworzono punkt zborny dla wszystkich zatrzymanych w tej, jednej z wielu, pacyfikacji terenu. Dość szybko o miejscu naszego pobytu dowiedzieli się ludzie z AK-owskiej siatki. Odpowiednia kwota została wpłacona odpowiednim osobom i zostaliśmy, ja wraz z rodzicami, z tego punktu zbornego zwolnieni.

- Wróciła Pani do oddziału, ale dowodzonego już przez majora (wówczas rotmistrza) Zygmunta Szendzielarza - „Łupaszkę”?

- Byliśmy bez pieniędzy i dachu nad głową. Schronienie dała nam rodzina mojego kolegi. Rodzice zostali u nich, a ja nawiązałam kontakt i w jakiejś wiosce nad Wilią dołączyłam do „Łupaszki”, który odtwarzał już oddział. Najpierw byłam podkomendną „Maksa” (wachmistrz Antoni Rymśa), a następnie „Zagończyka” (ppor. Feliks Selmanowicz). Później, w kwietniu 1944 roku, kiedy utworzono IV Brygadę „Narocz”, przeszłam do niej wraz z „Zagończykiem”. Tam między innymi spotkałam Henryka Sobolewskiego (pseudonim „Sobol”).

- Czwarta Brygada została rozbrojona przez Sowietów?

- Brałam udział w walkach koło Wilna mających na celu jego oswobodzenie (w ramach „Ostra Brama” - przyp. G.P.). Następnie zostaliśmy rozbrojeni przez NKWD i najpierw umieszczeni w obozie w Miednikach, a stamtąd zostałam przewieziona do więzienia na Łukiszkach w Wilnie. Zwolniono mnie w październiku 1944.

- Do Polski „lubelskiej” dotarła Pani...?

- W transporcie z innymi repatriantami, jako taka „sanitariuszka transportowa”. W końcu 1945 roku, wraz z rodzicami zamieszkaliśmy w Sopocie. Tam też spotkałam się ze swoim dowódcą „Zagończykiem”. Weszłam w skład jego grupy dywersyjnej, która była częścią „zimującej” V Brygady mjr. „Łupaszki”. Do naszych zadań należało między innymi wykonywanie i kolportaż ulotek, zdobywanie broni.

- Kiedy i gdzie wróciła Pani „do lasu”?

- W maju 1946 roku, „Zagończyk” „oddalił” mnie do szwadronu. Byłam bardzo zdziwiona - w tej „robocie” było mi dobrze, a tu dostałam rozkaz, aby dołączyć do oddziału i znowu być „w lesie”. Studiowałam wtedy medycynę na Akademii

Medycznej w Gdańsku. Musiałam przerwać studia i pojechać na miejsce koncentracji, która odbyła się gdzieś w okolicach Sztumu lub Malborka w jakiejś stodole stojącej na polu. Od razu zostałam przez majora przydzielona do szwadronu „Zeusa” (ppor. Leon Smoleński). I tak znowu znalazłam się „w lesie”. Dzisiaj myślę, że „Zagończyk” zawiózł mnie do oddziału też dlatego, że chyba zaczął podejrzewać, iż niedługo mogą nastąpić aresztowania i chciał mnie przed nimi uchronić. Jak się okazało, miał rację.

- Chciałbym pominąć cały letni okres działalności V Brygady, jak i Waszego szwadronu, gdyż jest on dość dobrze opisany przez różnych autorów w licznych publikacjach. Proponowałbym raczej porozmawiać o schyłkowym, czyli jesiennym okresie walk, gdzie jest kilka niejasności i kontrowersji. Zaczniemy od akcji na Brusy. Jak ona przebiegała?

- Tak jak wiele innych. Część oddziału opanowała posterunek milicji, a pozostali poszli do urzędu gminy i do „grzybiarni” (suszarni grzybów), gdzie zarekwirowano dwa worki z pieniędzmi. Ja poszłam z chłopakami na posterunek milicji, który znajdował się gdzieś na końcu miejscowości.

- I tam dała Pani słynny koncert fortepianowy?

- No, niezupełnie był to koncert. Gdy weszliśmy do środka, zobaczyłam pod ścianą fortepian. Usiadłam przy nim i zagrałam kilka melodii. To zdarzenie, gdy opisałam je podczas śledztwa, posłużyło prokuratorowi, do wkomponowania w mój akt oskarżenia opisu w stylu: „w czasie napadu przygrywała bandytom na fortepianie”

- Jaki był efekt tej akcji?

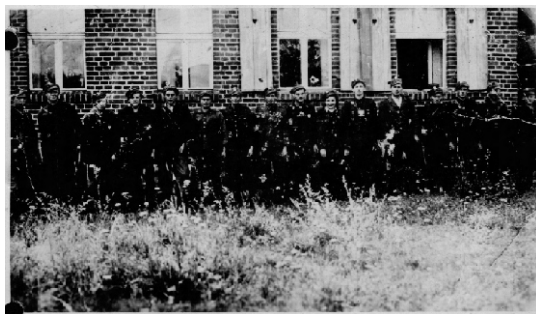
- Zdobyliśmy dwa worki z małymi nominałami, które załadowaliśmy na ciężarówkę i musieliśmy wykonać jak najszybszy odskok, tak aby jak najdalej od tych Brus odjechać. Jechaliśmy polną drogą i zaryliśmy się w piasku, a dodatkowo coś się w samochodzie zepsuło. Musieliśmy dalej już iść piechotą i te pieniądze dźwigać. Później „Zeus” (ppor. Leon Smoleński) wraz z „Atlantykiem” (Jan Majkowski) zabrali oba worki i zamelinowali je gdzieś w Zwierzyńcu. Później, gdy oddział był rozwiązywany, pieniądze te przydały się do wypłacenia odpraw żołnierzom szwadronu.

- Przecież tych pieniędzy „trochę” było - po waszej ostatniej bitwie dokonaliście jeszcze kilka akcji ekspropriacyjnych?

- Tak, ale wszystkimi pieniędzmi podzieliliśmy się też ze szwadronem „Leszka” (por. Olgierd Chrysta), a razem to już było trochę luda. Poza tym, każdy z nas otrzymał pewną kwotę, już nie pamiętam jaką,

którą miał przy sobie na wypadek zagubienia się lub innych niespodziewanych zdarzeń.

- Jesteśmy niedaleko Lubichowa. Czy pamięta Pani drugie w historii V Brygady, opanowanie w tej miejscowości między innymi posterunku MO, nadleśnictwa, „Samopomocy Chłopskiej” przez połączone szwadrony „Zeusa” i „Leszka” pod koniec października 1946 roku?



Żołnierze 3. Szwadronu V Wileńskiej Brygady AK. Od lewej stoją: ppor. Leon Smoleński „Zeus”, plut./sierż. NN „Morski”, plut. Władysław Wasilewski „Bej”, Edward Zobczyński „Sikora”, Jan Majkowski „Atlantyk”, NN „Szczygieł”, NN „Leszek”, NN „Zygmunt”, NN „Zbyszek”, Janina Wasilójciówna (Smoleńska) „Jachna”, kpr. Władysław Heliński „Mały”, Zdzisław Kręciejewski „Brzoza”, NN „Lot”, NN „Kempf”, Bolesław Pałubicki „Zawisza”, Stanisław Szybut „Picus”. Lato 1946 roku - gajówka Kosowa-Niwa, Bory Tucholskie.



Żołnierze szwadronu „Zeusa”. Od lewej (siedzą): NN „Zygmunt”, Władysław Wasilewski „Bej”, Janina Wasilójciówna (Smoleńska) „Jachna”, NN „Zbyszek”, (stoją): NN „Kempf”, plut./sierż. NN „Morski”, NN, ppor. Leon Smoleński „Zeus”, kpr. Władysław Heliński „Mały”.

- Nie, nie pamiętam. Tych akcji i miejsc było tyle, że niektóre zatarty się w pamięci. Było wiele „zrobionych” posterunków. Inna rzecz, że jak ktoś

pochodził z tych terenów, to pamięta nazwy miejscowości, a my jednak byliśmy na tym terenie obcy.

- Chciałbym, abyśmy teraz porozmawiali o ostatniej walce V Wileńskiej Brygady AK, a właściwie dwóch jej szwadronów, dowodzonych przez „Zeusa” i „Leszka”, z tak dużymi siłami Urzędu Bezpieczeństwa, na Pomorzu. Ta ostatnia, większa (bo innych, ale zdecydowanie mniejszych później było jeszcze kilkanaście) potyczka miała miejsce w miejscowości Budy niedaleko Brus w dniu 24 września 1946 roku, gdzie pomimo ponad dwukrotnej przewagi sił reżimowych - funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Chojnicach, zdołaliście odskoczyć od wroga. Czy pamięta Pani jak do niej doszło?

- Noc spędziliśmy w jakiejś leśniczówce. Rano przyszlismy na kwaterę do kolonii Budy. Razem z nami jechała na wozach żywność, zarekwirowana chyba przez „Morskiego” (sierż. Wacław Cejko). Szwadron „Leszka” stanął na kwaterze w zabudowaniach położonych pod lasem na stoku, a nasz, „Zeusa”, zakwaterował około dwustu metrów dalej, w innym gospodarstwie, w samej dolince. Wokoło były pola i łąki - do lasu było od kilkudziesięciu z jednej strony, do dwustu, trzystu metrów z drugiej. Niedługo po naszym przybyciu został zatrzymany podejrzany człowiek, który zbyt natarczywie przyglądał się okolicy. Gdy go chłopcy przyprowadzili i przeszukali, okazało się, że ma przy sobie spis okolicznych konfidentów Urzędu Bezpieczeństwa. „Zeus” zaczął go przesłuchiwać i jednocześnie wysłał gońca po „Leszka”. Gdy „Leszek” przyszedł oni („Zeus” i „Leszek” - przyp. G.P.) z tym UB-owcem rozmawiali.



Maj 2007 - Budy k. Brus. W tym gospodarstwie zakwaterował szwadron „Zeusa”.



Maj 2007 - Budy k. Brus. Janina Smoleńska na tle zabudowań, w których kwaterował 3. Szwadron 24 września 1946 roku.



Przez taki mostek prowadziła droga na kwatery w Budach.

- W jaki sposób UB Was zlokalizowało?

- Po śladach naszych wozów wiozących zaopatrzenie.

- Co było dalej?

- Gdy po przesłuchaniu „Leszek” wyszedł, zobaczył jakiegoś żołnierza, który stał tyłem do nas i dawał znaki rękami innym, którzy byli na górze. Wtedy spokojnie wrócił i powiedział: „Zeus! Wojsko!”. Powiedział to takim bardzo spokojnym głosem. Dopiero wtedy wyskoczył z naszej chałupy i biegł do swojej kwatery. Jak później mówił, to całą drogę biegł z papierosem w ustach, którego akurat zaczął palić. Wtedy rozpoczął się ogień z otaczających nas, zalesionych wzgórz. Nasz wartownik, który nie zauważył UB-eckiej obławy, został od razu zastrzelony.

- Co stało się z konfidentem, który był przesłuchiwany?

- Jak UB zaczęło „grzać” po drzwiach, po oknach, my musieliśmy natychmiast wyskakiwać, a on schował się pod stół i spod tego stołu wołał: „Chłopcy! Niech was Bóg prowadzi!”. Nie wiem czy

zrobił to z serca, czy dlatego żeby go nie rozstrzelać. Gdy my wyskoczyliśmy, on tam został.

- Jaki był dalszy przebieg tej potyczki?

- Gdy „Leszek” biegł do swojego szwadronu, „Okoń” (sierż. Robert Nakwas-Pugaczewski), celowniczy rkm-u, który akurat miał wartę na wysokiej skarpie nad ich kwaterą, zaczął osłaniać nas swoim ogniem. My, nasz szwadron, biegliśmy przez pole pod górkę. Byliśmy jak na „patelni”. Jak się biegnie w takich okolicznościach, to wydaje się, że biegnie się bardzo długo. Do lasu i stoku było bardzo daleko. Biegliśmy i padaliśmy. Znowu biegliśmy i znowu padaliśmy. Do dziś pamiętam, jak się padnie, a te kule wpadają w piasek wkoło głowy z tym charakterystycznym „ziu, ziu, ziu...”. Wtedy też zostali ranni w nogi „Morski” i „Lot” (NN). Przy naszej pomocy dostali się do lasu. Następnie musieliśmy wspiąć się na zalesiony wysoki stok góry, który nie był obsadzony przez Urząd Bezpieczeństwa. Na górze była mała droga i pamiętam jak chłopcy krzyčeli do mnie: „Siostr! Hoop!”, aby przez nią przeskoczyć jak najszybciej.



Maj 2007 - Budy k. Brus. Ten odcinek pola musieli przebyć żołnierze 3. Szwadronu pod ostrzałem sił MO i UB.

- Więc zostawili Wam drogę odwrotu, a przecież mogli, w tej kotlinie, całkowicie Was otoczyć. Czyżby popełnili ewidentny błąd?

- Wytkliby nas jak kaczki. My na dole, oni na górze. Ale to chyba dlatego, że „Leszek” zauważył tego dającego znaki żołnierza i nie zdążył całkowicie nas okrążyć. Gdy się od oblavy oderwaliśmy na dwa-trzy kilometry, to schowaliśmy się, wraz z naszymi rannymi, w środku zagajnika. W takim kwadracie młodego lasu. Siedzieliśmy tam, zachowując całkowitą ciszę, a oni chodzili wszystkimi duktami wkoło, obok nas i nic nie zauważyli. Tam przeczekaliśmy do zmroku i dopiero, gdy było ciemno, odmaszerowaliśmy z tego miejsca. Poszliśmy pod Kartuzy.

- Ostatecznie bilans potyczki nie był zbyt optymistyczny - jeden zabity (NN „Szczygieł”), dwóch rannych (sierż. Władysław Cejko ps. „Morski” i NN ps. „Lot”) oraz jeden wzięty do niewoli (Stanisław Szybut „Wir”). Choć biorąc pod uwagę dysproporcję sił i fakt, że zostaliście zaskoczeni, można uznać, iż nie była to klęska?

- Jak już powiedziałam, mogło być o wiele gorzej. Mogli nas wszystkich powystrelić.

- Później, po tej walce, działalność Brygady sprowadzała się w zasadzie do zdobywania pożywienia oraz funduszy na odprawy dla kolejno demobilizowanych żołnierzy. Czy to Budy wpłynęły na decyzję o przyspieszeniu demobilizacji?

- Ostatecznie rozwiązaliśmy się dwa miesiące później, w końcu listopada. Ja wyszłam z lasu 21 listopada 1946 roku. Zdecydowanie muszę zaznaczyć, że to nie potyczka w Budach wpłynęła na tę decyzję. Przecież było wiele akcji takich jak Budy, gdzie został ktoś zabity czy ranny. To nie Budy nas „wykończyły”. Gdyby tak było, to byśmy się zaraz po tej potyczce rozwiązywali, a my przecież jeszcze dwa miesiące chodziliśmy w terenie. Jeżeli ktoś chciał odejść, to go nie trzymano. Teza o tym, że walka w Budach miała wpływ na rozwiązanie naszych szwadronów, wzięła się z niektórych publikacji, które oparte były na czyichś, nie wiem czyich, relacjach. Ja ówczesne wydarzenia, ich przebieg, chronologię i następstwa zapamiętałam właśnie tak. Podobnie zapisał je bezpośredni uczestnik tej potyczki, ppor. Olgierd Christa „Leszek” w swojej książce pod tytułem *U „Szczerbca” i „Łupaszkę”* wydanej w 1999 roku, a inaczej jest ona i jej następstwa przedstawiana w niektórych książkach i opracowaniach historycznych mówiących o tym okresie działań Brygady na Pomorzu. Nie mogliśmy utrzymać się w terenie przy nieustających oblavach w czasie zimy. Wytropionoby nas chociażby po śladach na śniegu.

- W takim razie jak wyglądało rozformowanie oddziału?

- Byliśmy pozostawieni niejako sobie samym. Byliśmy w naprawdę strasznej sytuacji. Nie mieliśmy żadnych wskazówek, nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Nie mieliśmy żadnych wiadomości ani kontaktu z dowódcą. „Lufa” (ppor. Henryk Wieliczko) szedł do nas, ale nie doszedł. Kolejny łącznik „Odyniec” (ppor. Antoni Wodyński) zjawił się na początku listopada i niedługo potem został aresztowany. Gdy zapadła decyzja o rozpuszczeniu szwadronów, wyraźnie zaznaczono, że to tylko na okres zimy, a potem dostaniemy nowe instrukcje. Dlatego też zostało na styczeń 1947 roku wyznaczone spotkanie w Inowrocławiu. Tam

mieliśmy się spotkać, aby ustalić, co dalej robić. Mieliśmy nadzieję, że zostanie nawiązany kontakt z mjr. „Łupaszka”.

- Czyli nie było to ostateczne rozwiązanie oddziału?

- Skąd! Przecież, na przykład u „Leszka” znaleziono notes ze wszystkimi adresami jego ludzi. Miał je po to, aby nawiązać na nowo kontakty. Działalność miała być wznowiona na wiosnę. To przecież byli chłopacy („Zeus” i „Leszek” - przyp. G.P.) mający po dwadzieścia trzy-cztery lata, odpowiedzialni za podległych sobie ludzi, a sami jeszcze „dzieciacy”. Co innego jak byliśmy przy „Łupaszce”. Jest dowódca, jest rozkaz, a tutaj musieli sami podejmować decyzje.

- Jeżeli dobrze interpretuję Pani słowa, to tak Pani, jak i nieżyjący już Olgierd Christa („Leszek”) macie zastrzeżenia do publikacji książkowych, które opisują działania V Brygady na terenie Pomorza, Warmii i Mazur?

- Oczywiście. Niektóre książki mają szereg błędów, przeinaczeń czy nadinterpretacji faktów.

- A dokładniej?

- Na przykład opisy niektórych zdarzeń niewiele mają wspólnego z tym jak zapamiętali je bezpośredni ich uczestnicy. Są mylnie podawane imiona i nazwiska, pseudonimy, składy poszczególnych patroli, szarże niektórych dowódców i żołnierzy, adresy, miejsca poszczególnych wydarzeń. Całkiem inną sprawą jest fakt, że niektórzy autorzy tendencyjnie i subiektywnie, nie biorąc pod uwagę ówczesnych możliwości, jak też faktów i okoliczności, oceniają nasze działania.

- To prawda. Kilka miesięcy temu, oglądając z Józefem Bandzo (ps. „Jastrząb”), zresztą bardzo interesującą pozycję pod tytułem *Żołnierze wyklęci*, znaleźliśmy zdjęcie, na którym jest właśnie pan Bandzo, ale podpis wskazywał, że jest to ktoś inny. Takie rzeczy się zdarzają. A ma Pani na myśli jakąś konkretną publikację?

- Błędy trafiają się wszędzie, jak to w opracowaniach historycznych. Tym bardziej, że dzieje V Brygady były przez wiele lat zafałszowywane i manipulowane. Ale uważam, że przy braku rzetelnych źródeł, ich autorzy w większym stopniu powinni opierać się na wspomnieniach uczestników tych wydarzeń. Najbardziej cenną publikacją jest znana praca panów doktorów Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego pod tytułem „Łupaszka”

„Młot” „Huzar” - *Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944-1952)*, w której jednak też nie ustrzegli się oni, od kilkunastu błędów faktograficznych, jak też krzywdzących nas ocen. Za przykład może służyć choćby opis potyczki stoczonej w miejscowości Budy, gdzie kilka faktów, jak i konkluzje, są niezupełnie zgodne z rzeczywistością. Przynajmniej inaczej jak zapamiętał je „Leszek” i ja. Jestem w posiadaniu pisemnych uwag „Leszka” do tej publikacji, sama też spałam swoje wątpliwości i myślę, że przy przygotowywaniu do kolejnego, drugiego wydania „Łupaszki”... autorzy mogliby wziąć pod uwagę nasze zastrzeżenia. Tym bardziej, że jest to najsolidniejsze opracowanie tego tematu. Inne pozycje, obejmujące tylko niektóre okresy działalności V Brygady, czy też będąc pracami magisterskimi lub doktoranckimi, chyba raczej nie będą wznowiane, a w związku z tym szansa na poprawienie zawartych w nich błędów jest znikoma. Poza tym wiele kwestii jest wyjaśnionych w napisanej przez „Leszka” książce pod tytułem *U „Szczerbca” i „Łupaszki”* wydanej w 1999 roku.

- Które sprawy wymagają, Pani zdaniem, szybkiego wyjaśnienia?

- Poza tymi błędami, o których ogólnie wspominałam, chciałabym, aby ludzie piszący o naszej walce z komunistycznym reżimem, i szerzej o naszej działalności, doceniali na równi to, co V Brygada dokonała na obszarze Pomorza, Warmii i Mazur z tym, co robiły inne jej pododdziały, jak VI Brygada na terenie Podlasia. Tym bardziej, że teren Pomorza był dla nas, „Wilniuków”, całkowicie obcy. Nie mieliśmy, przynajmniej na początku, takiego oparcia w miejscowej ludności, jakie miały tamte oddziały. Trzeba było czasu, chociaż stosunkowo krótkiego, aby się do nas przekonano.

- Jak widzę, uwagi i sprostowania Pani autorstwa oraz autorstwa pana Christy, zajmują kilka stron maszynopisu, można by z nich napisać osobną, kilkustronicową pracę...?

- Zgadza się.

- A wracając do Waszej działalności - czy ważne było poparcie ludności dla Waszych działań?

- Gdyby nie poparcie ludności, byśmy się tutaj tyle czasu nie utrzymali. Nie ma mowy.

- Jest bardzo niewiele zdjęć z okresu wojny, na których byłaby uwieczniona Pani postać. Czy jest jakaś konkretna przyczyna?

- Chyba taka, że przez dłuższy czas moim dowódcą był „Zagończyk”, który był przed wojną związany z tak zwaną „dwójką” (Oddział II Sztabu Generalnego - wywiad) i był zdecydowanie uprzedzony do



Janina Wasilciówna (Smoleńska) „Jachna”
- fotografia wykonana przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Bydgoszczy, po aresztowaniu w 1947 roku (?).

robienia fotografii. W zasadzie jedyna znana jego fotografia, to ta, którą zrobiono mu podczas przesłuchań w UB.

- Czy podczas śledztwa była Pani bita?

- Ja podczas śledztwa byłem cała sina. Człowiek odruchowo zasłania się ręką. Jeszcze gdy po wielu latach wychodziłam z więzienia, to miałam na rękę takie zrosty, właśnie od tego zasłaniania się. Oni bili fachowo. Był na przykład taki doradca sowiecki, który w ogóle się nie odzywał tylko łął. Do dziś pamiętam, jak kiedyś leżałam na podłodze i on stał przede mną, a ja miałam taką dużą chęć złapania za nogę i ugryzienia go. Opanowałam się, bo wiedziałam, że zrobi ze mnie miazgę.

- A czy trafiali się bardziej życzliwi UB-owcy?

- Przez całe śledztwo siedziałam w pojedynczej celi. Pilnowało mnie, na zmianę dwóch strażników. Jeden z nich, młody chłopak, gdy wracałam z przesłuchania, pytał się czy mocno bili, przynosił mi wodę i dawał papierosa. Nie wiedziałam, kto jest z naszych chłopaków aresztowany, a on mi powiedział, że za ścianą siedzi „Brzoza” (Zdzisław Kręciejewski). Od „Brzozy” dowiedziałam się, że siedzi jeszcze „Atlantyk” (Jan Majkowski). Gdy „Brzoza” został zabrany pod Czersk do rodziny Bruskich, którzy przechowywali naszą broń, to też mi o tym powiedział. Kilkakrotnie, gdy byłam na przesłuchaniu, zostawiał mi obiad, czyli zupę i stawiał ją na kaloryferze. Pocieszał mnie, mówił abym się nie martwiła, bo będzie amnestia. Za to był zresztą wzywany do swoich przełożonych. Ale ten strażnik był chyba z KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego - przyp. G. P.). Nie wiem jak się nazywał, ale dla mnie, to było wtedy dość ważne takie wsparcie, gdy wokół panowała atmosfera aż gęsta od nienawiści.

- Gdy była Pani już po wyroku i siedziała w więzieniu, były jeszcze jakieś próby „wyciągnięcia” informacji?

- Od czasu do czasu przyjeżdżali i próbowali jeszcze czegoś się dowiedzieć. Najczęściej, gdy złapali kogoś następnego z naszych chłopców.

Kiedyś przyjechali i chcieli się czegoś dowiedzieć na temat kartki z pseudonimami, napisanej przeze mnie. Gdy zasłaniałam się brakiem pamięci, stwierdzili, że „...wasza koleżanka „Regina” powiedziała...” Odpowiedziałam im, że „to nie jest moja koleżanka, a co najwyżej znajoma”.

- Pani rodzina też była represjonowana?

- Oczywiście, że tak. Kiedy ja byłam w lesie, to u moich rodziców urządzano „kotły” lub siedziała tam „Regina” (Regina Żelińska-Mordas, łączniczka mjr. „Łupaszk”, po aresztowaniu współpracowała z Urzędem Bezpieczeństwa, powodując aresztowanie kilkudziesięciu osób - przyp. G. P.). Rodzice przenieśli się do Szczecina, mając nadzieję na zakończenie tych szykan. Ostatecznie w 1948 roku zostali oboje aresztowani i siedzieli w więzieniu przez dziewięć miesięcy. Nie mieliśmy w tym czasie z sobą żadnego kontaktu.

- Przecież „Regina” była uważana za osobę bardzo odważną?

- Kiedyś, między innymi „Żelazny” (ppor. Zdzisław Badocha), „Lufa”, „Zeus” i „Mercedes” (kpr. Henryk Wojczyński) „robili” jakiś bank. Gdy z niego już „wyskoczyli”, wsiedli do samochodu gotowego do odjazdu, a tutaj nie ma „Reginy”. Jak się okazało pobiegła do jakiejś cukierni kupić ciastka! Nikt nie mógł uwierzyć w jej zdradę.

- Chciałbym zadać pytanie natury osobistej - kiedy, Pani i Leon Smoleński czyli „Zeus” zapalaliście wzajemną sympatią?

- To wszystko było przez patriotyzm. „Zeus” uznał, mam zresztą list, który on pisał do mnie do więzienia, że on nie może żyć, gdy jest taka niesprawiedliwość. Napisał, że czuje się odpowiedzialny za to, iż nie zaopiekował się mną i ja siedzę w więzieniu, a on jest na wolności. I wobec tego uważał, tak przynajmniej deklarował w rozmowach z naszymi znajomymi, że jeżeli mam tak wysoki wyrok (pani Janina otrzymała wyrok śmierci zamieniony na 15 lat więzienia - przyp. G. P.), to po tylu latach mogę wyjść schorowana, będę potrzebowała opieki, to ze względów patriotycznych jego obowiązkiem jest na mnie czekać. Pisał też, że jak mnie nie ma, to on dopiero mnie docenił. Listownie odpowiadałam mu, że „Jak to dobrze, że on piętnaście lat będzie czekał, bo z tego wynika, iż im dłużej mnie nie ma, to jego uczucia się wzmagają! To co to będzie - po piętnastu latach - za płomienna miłość?!”.
- Rozumiem, że „Zeus” czekał do skutku?

- Rozumiem, że „Zeus” czekał do skutku?

- Patriota czekał! A pobraliśmy się w dwa lata po moim wyjściu na wolność.

- Mówiła Pani, że współwięźniarki w szczególnie sposób uczyły Pani dwudzieste czwarte urodziny...

- Budzę się rano i patrzę, że dziewczyny stoją przy łóżku. Gdy zobaczyły, że się obudziłam zaśpiewały:

Płyną latka, płyną
Jako w Wiśle woda,
Żal wody dziewczynie,
I lat twoich szkoda.

Zatrzymana rzeka,
Ścisnął ją mróz lodem,
Przymknęła bezpieka
Twoje serce młode!

Minęło lat „Jachnie” dwa tuziny
Powinna wyprawić huczne chrzciny,
Z chłopakiem wyprawić nam wesele,
Zaprościć i ugościć dziką celę.

Tu Wronki, tam Rawicz, Szczecin Wały,
Tu Bronek, tam Tadek, tam pułk cały,
Z Niemcami, z bezpieczeńką znasz igraszki,
Lecz strzeż się tych chłopców i „Łupaszki”!

- Gdy jesteśmy już przy twórczości śpiewanej, proszę opowiedzieć o słynnych żurawijkach V Brygady.

- Ich autorem był nasz kolega z Brygady Zbigniew Trzebski „Nieczuja”. Były śpiewane zawsze, gdy tylko nadarzyła się okazja do śpiewu w ogóle. Wszystkich nie pamiętam...

Nie masz jak V Brygada
Dużo robi, mało gada
Na Niemców, Rusów i Litwinów
Nie szczędzimy karabinów.

Refren: Oj, bieda, bieda wszędzie,
Kiedy jej koniec będzie?
Oj, bieda, bieda wszędzie,
Dopóki ta wojna będzie!

Komendanta zucha mamy,
Wszyscy więc go też kochamy,
Každy by zań skoczył w ogień,
I bił wroga choćby co dzień.

„Ronin” został adiutantem,
Potem stał się komendantem,
Nagle pan inspektor wpada,
Już brygadą całą włada!

„Podbipięta” chłop morowy,
Do kieliszka wciąż gotowy,
Gdy ktoś w lesie w pień uderzy,
„Podbipięta” plackiem leży!

„Rakoczy” wokoło się uwija,
Pięknych dziewcząt nie omija.
Strzeż się, dziewczę jego wzroku,
Swoje dobro miej na oku.

Mały ciałem, wielki duchem,
„Mścisław” jest nie lada zuchem.
Gdy woda drogę mu przecina,
W mig się „Szaszce” na kark wspina.

Nie mów przy niej o miłości,
Bo to tylko ją rozżołości.
Jednak cuda się zdarzają,
„Max” z „Aldoną” wrzody mają!

Teraz powiem coś o „Lali”,
Cały sztab ją sobie chwali.
Coś ostatnio spowaźniała,
Widać, że się zakochała!

„Kicia” jest to dziewczę płochę,
Zawsze ma kłopotów trochę.
To ślepa kiszka nawaliła,
To pamiętnik mój zgubiła!

- Po tym weselszym „przerywniku” wróćmy do spraw mniej krótkich, aczkolwiek też już nie całkiem przygnębiających - kiedy ostatecznie wyszła Pani z więzienia?

- Wyszłam najpierw na przerwę w odbywaniu „kary”. 21 maja 1956 wypuszczono mnie na półroczną przerwę. W 1957 roku sąd rejonowy w Bydgoszczy darował mi pozostałe kilka miesięcy z zawieszeniem na 2 lata. W wyroku skazującym odebrano mi prawa obywatelskie i honorowe na zawsze, a później zmieniono to na 10 lat. Gdy wyszłam, nie mówiłam, że mam te prawa odebrane. Po jakimś czasie, pocztą otrzymałam zawiadomienie o tym, że zostałam z pracy wytypowana na ławnika w sądzie. I tak, paradoksalnie, przez kilka lat byłam ławnikiem, mając odebrane prawa obywatelskie!



Janina Wasilój
(Smoleńska) Trzy dni
po wyjściu z więzienia
- 25 maj 1956 rok.

- Zamieszkaliście Państwo w Szczecinie?

- „Zeus” po ujawnieniu w 1947 roku nie miał gdzie się podziać i razem z moimi rodzicami przyjechał do Szczecina. W 1948 roku został aresztowany i siedział „w śledztwie” przez trzy lata. Komuniści chcieli mu udowodnić, że podczas ujawnienia coś zataił i na tej podstawie mieli zamiar wsadzić go do więzienia. Podczas tej jego odsiadki, przesłuchania wielokrotnie przeprowadzał jakiś ubek wraz z „Reginą”. Jak twierdził „Zeus”, podczas tych przesłuchań nawzajem („Zeus” z „Reginą”) obrzucali się wyzwiskami i kłócili się w taki sposób, że nawet ubowcy się śmiali. Chciano mu na przykład, zgodnie z zeznaniami „Reginy”, udowodnić, że ujawnił się pod przybranym nazwiskiem. Gdy ten zarzut został obalony, próbowała ona udowodnić, że ma gdzieś schowaną broń, której też nie wskazał. Podczas rozprawy zadeklarowała: „Ja go nienawidzę!”, przez co nawet ówczesny sąd musiał ją uznać za świadka nieobiektywnego i zwrócić akta do prokuratury. A co mogła zrobić prokuratura, kiedy ona była jedynym świadkiem oskarżenia? „Zeus” posiedział jeszcze trochę i go wypuścili.

- Czym zajmowała się Pani, poza „ławniowaniem”?

- Poszłam do pracy i uczyłam się. Przecież byłam „dziedzicznie obciążona”, a pomogli mi w znalezieniu pracy w szkole znajomi ojca. Nie miałam wykształcenia pedagogicznego i dlatego zostałam przyjęta do pracy na roczny kontrakt. Jednocześnie zaczęłam studia. Skończyłam filologię polską na WSP w Opolu. Całe życie, mając to „dziedziczne obciążenie” pracowałam jako nauczyciel - od podstawówki przesłam wszystkie szczeble nauczania. Ostatnio, ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu, bo jestem już od dwudziestu lat na emeryturze, na specjalnej akademii dostałam Medal Uniwersytetu Szczecińskiego. Nie przypuszczałam, że w ogóle o mnie ktoś pamięta, a tu się okazało, że moi dawni studenci, będący dziś profesorami, bardzo mnie zaskoczyli.

- Po wyjściu z więzienia była Pani jeszcze w jakiś sposób szykanowana?

- Nie, nigdy. Inni byli wzywani i wypytywani, a mnie nikt nie niepokoił. Widocznie mnie jakoś tak zakwalifikowali.

- Czy unieważnienie wyroku odbyło się samoczynnie?

- Absolutnie nie. Gdy złożyłam o unieważnienie wyroku, bardzo przykre wrażenie wywarła na mnie cała procedura. Zażęskniłam za tym swoim rewolwerem z czterema nabojami! Na sali, gdzie

rozpatrywano mój wniosek, poczułam się jakbym ponownie była sądzona! Odczytano znowu cały ten „akt oskarżenia”, gdzie były same bzdury. Prokurator, po kilku moich wypowiedziach stwierdził, że: „...tak się ukształtowała Pani świadomość polityczna...”. Stwierdził też, że „...nie pochwała metod...”. Pomyślałam, iż znalazł się „gołąbek pokoju” i poczułam straszny niesmak. Zaczęłam wtedy opowiadać o metodach, jakie stosowali oni - Sowietci, gdy nas rozbrajali i łapali, a później kontynuowali ich „robotę” polskojęzyczni pachołkowie z UB.

- Miała Pani świadomość, że oprócz „Reginy” niektórzy z żołnierzy V Brygady czasami po aresztowaniu, a czasami po wyjściu z więzienia, pisali raporty do UB, a potem do SB na swoich kolegów? Niektórzy robili to do lat siedemdziesiątych, a nawet końca osiemdziesiątych?

- Nie, nie wiedziałam. Nawet, gdy jeden z dowódców szwadronu kilkakrotnie powtarzał mi, gdy się widzieliśmy, że czeka nas przykra rozmowa, to myślałam, iż chodzi o jakieś pretensje do mnie. Dopiero po jego śmierci dowiedziałam się prawdy.... Ale, prawdę mówiąc, „Reginie” nikt nie dorównał. Każdy przypadek był inny. Szkoda, że nie ukazuje się metod stosowanych w czasach stalinizmu i tych, którzy się nimi posługiwali, by niszczyć ludzi i fizycznie, i moralnie.

- Myślę, że tym, niezbyt optymistycznym akcentem, możemy zakończyć naszą rozmowę. Niech Czytelnicy sami oceniają opis tamtych jak i tych bliższych czasów. Bardzo dziękuję za czas poświęcony na nasze rozmowy

Grzegorz Polikowski

Autor prosi o kontakt (g.polik@vp.pl) wszystkich Czytelników, którzy znają dotychczas bezimiennych bohaterów tamtych wydarzeń oraz nieznane fakty lub materialne pozostałości po działalności V Brygady (jak i innych oddziałach antykomunistycznego podziemia) lub są w posiadaniu zdjęć i innych pamiątek po nich.



Małgorzata Biernat-Świtoniak - olej

Lidia Kosk

W ciemnych grzywach koni

skrzy się śnieg
migotliwym światłem
tańczących gwiazdeczek
zderzających się
z marznącym oddechem
wiatru
koni
ludzi

ostre szpilki mrozu ranią
wiatr
konie
ludzi
uderzają w powieki
broniące źrenic oczu
osiadają na
rzęsach, brwiach, włosach
i końskich grzywach
tworzą srebrne kółka
wokół nozdrzy
które chwytają powietrze
zanim
zmieni się w kryształki
lodów

konie uderzają kopytami
w zbijające się kulki
w kielichach śniegu

człowiek walczy
z pokusą odpoczynku
z obozwardniającą niemocą
która go ogarnia
usiłuje przytulić
do puszystego śniegu
okrywającego twardą ziemię

trwa zmaganie
aż w nozdrza koni uderza
oddech człowieka

błysnęły podkowy
zatrzymanych nagle kopyt
z ciemnych, zwichrzonych grzyw koni
posypał się śnieg

Lublin - Aleje Racławickie, luty 2005

Calvados

dla P.

Piję calvados nasycony
skrzypieniem pióra Remarque'a
ciemnym nurtem Sekwany
chłodem zasp chmur wśród których
przemyka nasz samolot

W błogim zmęczeniu zdobywaniem
unoszę się nad Łuk Triumfalny
w Père-Lachaise raz jeszcze
odnajduje Chopina
wiodę monolog z kamiennym lwem
w Luksemburskich Ogrodach
wzlatuję w nieboskłon Panteonu
schwyty w moim obiektywie
aż draśnięta ostrzem wieży
spadam na most przy Notre Dame

W kroplach trunku
jak wąż
kołysze się pragnienie
spotykać się z Paryżem
na wszystkich mostach jęgo Sekwany

Paryż - Petit Pont, kwiecień 2006



Małgorzata Biernat-Świtoniak - olej

Krzysztof Kulig



To mogło być na ulicy Ciepłej. Wieczór też był ciepły. Druga połowa sierpnia była ciepła od słońca i ognia. Tego wieczora wisiała nad miastem poświata, z której wypełzały i ciepło, i groza jednocześnie. Była to łuna pożarów trawiących nagi, brudny tors miasta. Żółtopomarańczowe promyki zachodzącego słońca głaskały delikatnie wypaloną dniem dachówkę i wpadały między szczelinami, tnąc cienkimi nitkami mrok. Leżałem na strychu, cicho i bez ruchu, myśląc o zapamiętanych barwach obrazów flamandzkich mistrzów i o zachodzącym słońcu nad winnicami Italii. Widziałem grona maskowane zielenią liści. Jeszcze bez słodczy i bez przezroczystości dojrzałego owocu. Stuletnie gaje oliwne schodziły w doliny osłonięte półcieniem. Czułem słodziutki smak fig i delikatne poruszenia krzewów granatów. Granaty - to nie było najlepsze słowo pomyślane w tej błogiej drzemce, ucieczce od rzeczywistości. Granaty były namacalną częścią tej rzeczywistości. Leżały obok. Też pewnie myślały w tej samej chwili o swoich dalekich krenowych, kulistych, czerwonych owocach, o miąższu złożonym z wielu kuleczek, słodkawym i soczystym. Popatrzyły na mnie zimnym wzrokiem, jakby oburzone moim nagłym powrotem z odległych krain. To spojrzenie wyrwało mnie z marzeń. Wróciłem do rzeczywistości. Byłem na warcie. Musiałem być czujny. Spojrzałem przez wyrwę w dachu, uczynioną do obserwacji terenu. Miasto dymiło spokojnie. Pionowe smużki wspiwały się do nieba jakby chciały tam opowiedzieć swoją historię. Nikt nie chciał ich słuchać, bo każdego dnia ponownie snuły te same wątki śmierci. Pomarańcza słońca znikła na krańcu piekła, umorusana dymem. Bałem się, że już nigdy nie zobaczę tego słońca zachodzącego nad jeziorem, zanurzającego się długą krechą swego cielska w ciemną toń.

Tak bardzo chciałem zobaczyć to miasto takim, jakim widział je Canaletto. Myślałem o tych wszystkich barwach natury, krajobrazach, które chciałem jeszcze namalować. Z każdym dniem miałem coraz mniej nadziei. Ślepy los utrzymywał mnie jeszcze wśród żywych. Zostało nas tylko czterech: ja, Halny, Szczyt i Dolina. Nie wiem, ilu dotrwa do jutra. Nad ranem zacznie się nowe piekło. Nagle - jakby sprowokowane słowem „piekło” - o dach zaczęły stukać pojedyncze krople, które w zetknięciu z nagrzanymi dachówkami cichutko syczały. To tu, to tam słychać było delikatny szloch spadających kropli, jakby ktoś tam na górze płakał swoimi wielkimi niezliczonymi oczami, którymi patrzy na nasze nieszczęścia i nie rozumie ani nas, ani siebie. I jest tak samo bezsilny jak my tutaj.

- Anioł, nie śpisz? - usłyszałem szept z czarnej studni schodów.

- Nie. Myślę, że nie śpię.

- Zmienię cię, idź odpocząć, Anioł. Jutro czeka nas piekło.

Właściwie to byłem Michał. Anioł - to pseudonim, bo ciągle coś rysowałem. A poza tym moje nazwisko... Zsunąłem się delikatnie po schodach, chyłkiem przebiegłem podwórze do kępy bzu. Przed snem trzeba wypróżnić pęcherz. Gdy spadła ostatnia kropelka i już miałem zapiąć rozporek, doleciał mnie nagły szeleś, a może oczy przyzwyczajone do mroku wcześniej wypatrzyły zarys delikatnej sylwetki przyklejonej do muru.

- Kto tu? - szepnąłem głuchą.

- Ja, Dunia - słowa wypowiedziane na bezdechu - plutonowa Dunia, łącznik dowództwa. Szukam placówki „Tatry”.

- Plutonowy Michał. Właściwie, Anioł. Dobrze trafiłaś. To znaczy - niedobrze, tu jest piekło. Biegnij za mną w tamte drzwi. Snajperzy czają się na górze.

- Aniołowie w piekle, a snajperzy w niebie? Świat zwariował.

- Tak. Teraz! To „teraz” miało być komendą do biegu, a potwierdziło tezę o zwariowanej rzeczywistości.

Po tym „teraz” nastąpił głuchy wystrzał i w niebo poszybował ognisty pocisk, który po chwili zawisnął na jego wierzchołku i zaczął powoli, kołysząc się, spadać jak kolorowy, świetlisty spadochronik, jak rój świętojańskich robaczek. Staliśmy obok siebie bez słowa, wpatrzeni w tę spadającą gwiazdę i w tym jednym momencie wymyślaliśmy swoje życzenia, które teraz miały się spełnić. Albo życzenia nasze okazały się tymi samymi życzeniami, albo te barwy na bezgwiezdnym niebie zaczerpowały zmysły, albo to wilgotne powietrze po suchym dniu otumaniało mózgi, bo nasze dłonie znalazły same siebie i splotły w uścisku. Zanim to światelko z nieba zanurzyło się w ruinach kamienic, padł strzał i powietrze przeszył złowrogi gwizd. Upadliśmy w mokrą trawę, ciągle trzymając się za ręce. Jej szybki oddech spływał po mojej szyi w głąb drelichowej bluzy munduru i wypełniał żarem całe ciało. Długie włosy opadły na mnie delikatnie jak pajęczna sieć. Trwaliśmy tak w ciemności, nie widząc swych przerażonych oczu. Przerażonych tą chwilą innych uczuć, które nagle przepłynęły przez nas i przez ten złowrogi otaczający świat. I pewnie trwalibyśmy tak w bezruchu, gdyby nie rozbiłyś następną raca, która nie była żadną szczęśliwą gwiazdą. Była tylko światłem dla czyhającego na nasze życie snajpera. Teraz rozluźniłem uścisk dłoni. Zrozumiałem, że ten czas jest nieprzyjazny dla mglistych uniesień.

- Biegnij! - krzyknąłem, gdy światło zgąsło i ruszyłem za nią. Wpadliśmy do ciemnego korytarza. Zobaczyłem błysk jej oczu, poczułem delikatne poruszenie długich włosów i zapach kobiety.

- Halny tu dowodzi?

- Tak - potwierdziłem, nie mogąc złapać oddechu nie z powodu krótkiego biegu, raczej z powodu myśli, które niespodziewanie przypominały mi, o tym, że oprócz żołnierza, jestem także mężczyzną.

- Prowadź!

Po omacku prowadziłem ją przez korytarz. Szukałem jej dłoni, by móc poczuć znów ciało kobiety, miałem pretekst. Machałem ręką i nie natrafiłem na ciepło skóry. Ona, jakby zrozumiała, o co mi chodzi, delikatnie położyła dłoń na moim ramieniu. Odwróciłem się, przystając. Wpadła na mnie jak przetaczany na górze rozrządowej wagon. Jej rozpalone ciało, nabrzmiałe piersi uderzyły we mnie, odbijając się delikatnie, żar oddechu wtopił się w żar mojej skóry...

- No, co?

Nic, nic, dziewczyno. Od miesiąca siedzę w ruinach i nigdy żadna myśl tak mi nie przeszła przez głowę aż do wieczornego siusiu. Natura upomniała się o swoją część. A ona nie wybiera czasu i nie interesują ją ludzkie wojny. Ona zawsze bierze swoje...

- To tu.

Zastukałem do drzwi i usłyszałem głuche: „tak!”. Otworzyłem. Na stole migotał płomyk świecy. Porucznik pisał w swoim kajecie, nie podnosząc oczu. Ciągłe coś pisał. Poeta, czy co? - pomyślałem.

- Panie poruczniku...

- Pod... podporuczniku, bo już nie będę porucznikiem. Nie zdążę.

- Panie podporuczniku, plutonowy Dunia z dowództwa.

Dunia nieudolnie wyprężyła się chcąc pewnie zasalutować. Uwydatniła tylko swoje kobiece kształty.

- Panie poruczniku.

- Pod..., na miłość boską.

- Panie poruczniku, przynoszę dwa rozkazy - powiedziała tak szybko jak karabin maszynowy, by nie zdążył jej przerwać. - Pierwszy: rozkazem pułkownika Groma zostaje pan awansowany do stopnia porucznika.

Podniósł oczy. Dopiero teraz podniósł oczy i zobaczył w świetle nikłego płomienia to samo, co ja widziałem wcześniej w ciemności. Zobaczył kobietę.

Teraz, gdy siedzę w saloniku schludnego, niemieckiego domu i mam negocjować cenę zakupu porządnego niemieckiego samochodu, zerkam ukradkiem na komodę.

- No, dziadku, co jest? Mówiłeś, że znasz niemiecki i się dogadasz. Mów coś. Czemu milczysz? A mówiłeś, że się dogadasz.

To mój wnuk. Zapragnął mieć bmw. Podobny jest do mnie, tylko bardziej hałaśliwy. Oni teraz żyją głośnie i szybciej. Coś tam mówi, gestykuluje. Nie słyszę. Nie wiem. Jest sierpień tamtego roku. Ulica Ciepła i twarz tamtej dziewczyny. Jest sierpień tego roku, małe niemieckie miasteczko, ja major w stanie spoczynku, patrzę na zdjęcie kobiety stojące na komodzie. Jestem pewny. Mam pamięć do krajobrazów i twarzy. Mógłbym malować je z zamkniętymi oczami. Tak, to Dunia, też w stanie spoczynku. Tylko skąd ona się tu wzięła? Bo ja - wiadomo. Od demokratycznego państwa dostałem zadośćuczynienie za powstanie, obóz, prześladowanie. Zamieniłem to na obcą walutę i ruszyłem w świat z moim wnukiem. Plan był prosty: „dziadku, jakie tam wozy!”. „Kupimy jeden, obwiezę cię po miejscach, gdzie byłeś, zobaczysz, opowiesz, ja posłucham i upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. A za te wszystkie lata nagrodzą cię ci, co przegrali tę wojnę, pięknym, używanym wozem. Takie tam - wyrównanie rachunków” - powiedział. No i jesteśmy. Ogłoszenie, że bmw, że trzysta ileś, albo trzy tysiące - sam nie wiem, że w dobrym stanie. I jesteśmy. I jest bmw. I ona...

- Dziadku, wszystko dobrze?

- Dobrze. Wszystko dobrze. *Ich verstehe nicht.*

- Co pan, *ne rozumi?* - wybąkał blondas w wieku mojego wnuka. Właściwie bardzo podobny. Różniło ich może tylko tyle, że ten miał bmw i mówił po niemiecku.

- Pan mówi po polsku?

- *Troche rozumieć.* Moja babka - Polka.

- To jest pana babka? - pokazałem na fotografię.

- Tak.

Więc to jest jego babka. Babka - Polka. Co ona tu robi?

- Anioł, na miłość boską, ruszcie dupę - powiedział powoli, tym swoim aktorskim głosem, na dźwięk którego, chyba wszystkie kobiety ścisnęły uda. Nie spuszczał z niej wzroku, ona też. Stali tak oboje, figury woskowe w poświacie mrugającej świecy. - Trzeba to uczcić - dodał.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Podporu... Pod nami jest piwnica z prowiantem. Przygotujcie coś do jedzenia i picia.

Gdy zamykałem drzwi ciągle stali, wpatrzeni w siebie. O świcie rozpoczęło się piekło. Nigdy więcej ich nie widziałem. Myślałem o niej, o zapachu jej ciała. Tamtej nocy i później także, ale nigdy jej nie spotkałem, aż do dziś.

Więc to jest jego babka?

- Więc to jest pana babka?

- Tak. Jadwiga. Dunia mówiliśmy, bo łatwiej.
Podszedłem do komody, podniosłem zdjęcie, skierowałem na światło.

- Tak, to Dunia.

- Pan znał moją babcię?

- Spotkałem ją pewnej sierpniowej nocy w Warszawie, dawno temu. Tak dawno temu, że niewiele pamiętam.

- Dziadek, co jest? Dobrze się czujesz? - mój wnuk oderwał się od przeglądania dokumentów auta.

Teraz młody Niemiec podniósł się i podszedł do komody. Przyglądał się to na zdjęcie, to na mnie z otwartą buzią, jakby szukał słów.

- Tak? Niech mi opowie.

Łatwo powiedzieć: „niech mi opowie”. Co mam ci opowiedzieć? Nie wiem kim jesteś, wnukiem naszych wrogów, czy przyjaciół? Nie wiem, kim ja jestem w tym domu? Kupcem, gościem z odległego kraju, czy z odległej przeszłości? I co mam ci powiedzieć, że wtedy na tym ciemnym korytarzu zakochałem się w twojej babce. I czy ty wiesz, jaki był wtedy czas? I czy ty w ogóle wiesz, co to miłość? I, że przez wiele lat potem miałem nadzieję, że ją odnajdę i powiem jej to. I, że gdyby nie wojna ani ciebie, ani twojego bmw w ogóle by nie było. I mnie też nie byłoby w tym mieszkaniu. Więc co mam ci powiedzieć?

Teraz Bartek, mój wnuk, podszedł bliżej i też przyglądał się to na mnie, to na zdjęcie, to na Niemca. Milczał. Znał mnie. Wiedział, że zdarzyło się coś ważnego.

- Nazywam się Michał Stróż. To było w 44. w Warszawie. Byłem młody. Była wojna. Powstanie - zacząłem niepewnie, oddzielając każde wypowiedziane słowo, by powiedzieć prosto, albo by nie wszystko powiedzieć. - Dunia, plutonowy Dunia, twoja babcia była łączniczką... Gdzie ona jest?

Milczał dłuższą chwilę, patrząc gdzieś daleko za okno.

- Tydzień temu... Spóźnił się pan.

Teraz ja spojrzałem za okno, tylko dalej. Bardzo daleko. Nie widziałem równo przyciętej trawy, przyciętych żywopłotów, schludnych, niemieckich domów, czystych, niemieckich samochodów. Zobaczyłem młodego chłopca biegnącego przez wysokie trawy z torbą pełną pędzli i farb. Zobaczyłem żołnierza, który widzi barwy zamiast osmalonych ruin i myśli o kobiecie, zamiast o nienawiści do wrogów. Zobaczyłem staruszkę, który po tylu latach i doświadczeniach wie, że właściwie wszystko zależy od przypadku. „Przepraszam przypadek, że nazywam go koniecznością i konieczność, że czasem się mylę” - przeleciało mi przez głowę. To chyba Symborska.

Staliśmy bez słów, jak na mszy za ojczyznę. Staliśmy tak nawet wtedy, gdy weszła ona i nim zdążyła zamknąć drzwi, krzycząc w tym szorstkim ichnim języku „*Kristofer, jestem*” i „coś się stało? Kim są ci ludzie?”, a nie uzyskując żadnej odpowiedzi, również stanęła w tym niepewnym wyczekiwaniu, jaka to znowu zła wieść może ją spotkać.

- Kristofer, na miłość boską, co się stało?

- Nic, mam. To jest Michał Stróż z Polski.

Znał babcię.

Teraz ją zamurowała. Teraz ona stała wpatrzona we mnie, w okno, w dal, w przeszłość. Jakiej pamięci szukała ta pięćdziesięcioletnia kobieta? Jakie tajemnice chciała odkryć albo ukryć w sobie? Z letargu wyrwał ją jej syn, który stuknął swojego Bartka w plecy i krzyknął: piwo? Słowo „Bier” obudziło kobietę.

- Dzień dobry, Halina Biermann jestem - rzekła stłumionym głosem.

- Bardzo mi miło. Michał Stróż.

- Niechże pan siada. Czego się pan napije?

- Koniak, jeśli można.

- Zapewne pan wie, że mama nie żyje - mówiła cicho, tak cicho, że brzęk wyjmowanych kieliszków i bulgotanie alkoholu zagłuszało słowa. Wypiłem jednym haustem, po polsku, więc wstała znowu po butelkę. Znowu nałala do połowy kieliszka.

Milczeliśmy oboje, wpatrując się w kieliszki jak w magiczną szklaną kulę do przepowiadania przyszłości. A przecież mieliśmy mówić o przeszłości. Ona, co chwilę, nie odrywając oczu od zawartości kieliszka, podnosiła go do ust, smakując każdy łycalek, jakby chciała znaleźć w tym smaku odpowiednie słowa, jakby pragnęła, by prawda, która być może teraz ma się objawić, była do przełknięcia. Prawda, na którą czekała tak długo, i która stała się jeszcze bardziej odległa, gdy odeszła matka, bardziej odległa, gdy przeglądając stare dokumenty i pamiątki matki, natrafiła na stary brulion, dziennik z tamtych mrocznych czasów swoich urodzin. Pamiętnik pisany obcą ręką. Czytała go łapczywie raz, drugi, trzeci i im dłużej czytała tym mniej rozumiała. To ja miałem odkryć prawdę, rozszyfrować przeszłość. Stworzyć ją dla niej.

A ja byłem tak samo niepewny i nieświadomy, jak tamtego dnia, gdy obudziłem się w jakimś polowym szpitalu i tak jak dziś widzę zdjęcie Duni, tak wtedy widziałem jej twarz w swojej wyobraźni.

- Mój wnuk chce kupić auto od pani syna - zacząłem ni z gruszki ni z pietruszki - dlatego tu jestem.

Teraz nałala sobie i wypita duszkiem.

- Taaak - to „aaa” było długie, przeciągłe i drżące. Ni to pytanie, ni twierdzenie.

- To przypadek - powiedziałem, gdy „aaa” już wybrzmiało.

Słońce zachodziło gdzieś bardzo daleko, za naszą przeszłością, a mimo to jego czerwień delikatnie oświetlała pokój, naszą pamięć i uwydatniała bursztynową barwę koniaku. Światło odbijało się od kołyszącej się w kieliszkach taflii płynu i trafiało na sufit i ściany. Odbijało nasze myśli, które błędziły w czasie i przestrzeni.

- Urodziłam się 9 maja 45 roku w obozie jenieckim Oberlangen - przerwała ciszę. - Nie znałam ojca. Matka nigdy nie chciała o tym mówić. Czekalam na odpowiednią chwilę. Pan wie, jak trudno żyć bez świadomości, kim się jest. Teraz, kiedy jej nie ma...

Nagle wstała, podeszła do komody. Wyjmując stary zeszyt, podała mi go bez słów. Otworzyłem na ostatniej stronie i zacząłem czytać: „22 sierpnia, świta. Ulica Ciepła. Tak bardzo chce się żyć. Tak bardzo chce się kochać. Jakże piękni są ludzie i ta naga dziewczyna wsparta na moim ramieniu. Boże, nie opuszczaj nas!” Czułem jak oczy zachodzą mi łzami, jak wraca czas odbity od mokrych oczu, Milczałem. Odwróciłem kartkę:

*Gdy zgasną już pożary słońca
I żar w nim tylko się ostanie
Miłosnej nocy naszej
Wtedy obedrę skórę nienawistnej śmierci
Co wokół nas rozsiewa przerażenie
I cały nektar ziemi przeleję
W nasze przyszłe dni
Niesione niepamięci wiara.*

*Zostanie w nas ten cichy szloch
I głośna miłość, co nas tworzy
Ziemia dojrzeje, da owoce
Słońce czerwienią znów nas zmorzy
A zieleń przyjmie nas jak swoich
Świat będzie nucił tęskne pieśni
I znów będziemy jednym
Jak tej nocy.*

Mojej Duni.

Milczałem. Ona wpatrzona wyczekiwała. Czekala. Na co? Na jedno słowo: „Tak. To ja pisałem. To ja jestem twoim ojcem”. Przecież wiedziałem, że to Halny. Tylko, że jego dawno już nie ma, zginął tamtego dnia. A ona z nadzieją ciągle czeka.

Zamknąłem zeszyt, stanąłem przy oknie, gapiąc się w słońce i schludne niemieckie domy, czyste niemieckie samochody.

-Tak, to ja - powiedziałem odwrócony plecami.

Krzysztof Kulig

Edward Siekierzyński

Kolejny koniec świata

Opowiadanie dedykowane panu Andrzejowi Szmilichowskiemu, penetratorowi światów pozazmysłowych.

Met spojrzął w lustro... wyraz twarzy stał się sobą zaciekawiony... zbliżył się porannie do tej taflii i zapytał siebie:

- Czy jest Bóg?... Znów mówię, że jestem szczęśliwy!... Słyszał?...

Wcześniej wiele razy robił to, nie widząc swojej twarzy, ale czując ją przed ekranem, przez który wylażyły i wchłaniały jego umysł bezbożne wiadomości... obrazy ruchome...

Teraz ekranem było lustro i jego wiadomość, swoja wiadomość do siebie... ze swoich oczu, których przecież bez lustra, bez tego ekranu, nie może być do końca świadom, co mu wyrażają i z czym on, Met, chodzi między innymi, patrzącymi przeważnie pod nogi, sprawiającymi wrażenie osobników uważnych i roztropnych... ale Met wiedział, że większość owych szuka po prostu czegoś niskiego opuszczonym wzrokiem...

Met spojrzął porannie jeszcze raz w ekran lustra i w środku już wiedział, że nie ma potrzeby się golić, nie ma potrzeby szorować zębów i innych potrzeb... na przykład jedzenia śniadania z dwóch kromek chleba z maki, którą dały ziarna suszone spalinami... taka metoda, byśmy wszyscy się najedli i byśmy zadziałali w swoich chorobach, wynikłych, niby to z pośpiechu i przepracowania, byśmy zadziałali jak narzędzia użyte do degradacji siebie, a następnie, by leczyć nas wszystkich poculi się też źle w nawale niedogodności, szukając sobie nowego miejsca,, niedostępnego choremu tu...

Met spojrzął jeszcze raz... odszedł, gładząc nie gładząc mu dłoni zarost policzków...

- Ostro jest - zamruczał - trzeba zacząć się sztykować... jestem dzieckiem gwiazd... każdy tu jest takim dzieckiem, choć w sobie nie wszyscy o tym wiedzą, albo nie chcą wiedzieć...

Gdy to mówił, nie stał w kręgu światła... odchodził w narastający cień swoich zakamarków... Wczoraj usłyszał w radiu, że narastający cień swoich zakamarków... Wczoraj usłyszał w radiu, że magnetyzm jego wspólnej z innymi Planety już wyraźnie osłabł... biegun magnetyczny południowy, który jest na geograficznej północy już ledwo, ledwo... i północny magnetyczny też...

Met wiedział, że coś miał zanotować... nie zanotował... teraz chciał, ale nie wiedział co... zapomniał... zaciągnął się swoim zastanowieniem... otworzył coś... coś wsypał... zaciągnął się swoim zastanowieniem... otworzył coś... coś wsypał, coś mu się rozsypało...

- Po co się kształciłem, gdy teraz staję się nikim?... Taaak!... Można to ująć też inaczej: z wykształcenia staję się nikim! O tak! Tak jest lepiej!...

Wiedział, że jak większość ludzi w tym schyłku, on też żyje w cichej desperacji, co jest stanem napędzającym umysł... w cichej desperacji nie ma miejsca na pewność rzeczywistości... już wiedział, że jest wielce niedoskonałym w oglądaniu jej uniwersalnej postaci, której dla osobników pokroju człowieka po prostu nie ma!...

- A jak widzą ją zwierzęta i owady?... a rośliny... jaką mają rzeczywistość!?... Nie mają mózgow... układów nerwowych... Nie mają!?... Na pewno!?...

Gdy trawka w doniczce wypuszczała wąsy, na których końcach wyrastały młode kępki trawki do rozsady, a wciągały się te wąsy w stronę okna, do światła, jak wszystko... Met wielokrotnie wyrywał te wąsy, bo mu przeszkadzały na biurku... wyrwał i wyrzucał do śmieci... po pewnym czasie trawka zaczęła wypuszczać wąsy w przeciwnym kierunku... od światła, w cień, w mrok kata za biurkiem...

Sam Metowi to nie przeszkadzało, ale jakże dało do myślenia, jak wielki nakaz Natury, by żyć, by się rozwijać, by czynić ekspansję, zawarty jest we wszystkim... Czy więc rośliny myślą?... Czy mają logikę!?... Met mógł tu wnioskować, że tak!... Lecz ogólnie urabiana jest opinia o niższości organizmów, które wydają się prostymi, a to pociąga ich degenerację w obliczu... no cóż... człowiek staje się tu panem stworzenia... staje się w jego rękach postępującą deformacją natury... wypadkową progresu...

Met wielokrotnie próbował opisywać rzeczywistość czegoś tak abstrakcyjnego jak czas, zapominając, iż ona nie da się opisać, jej istotą jest nieuchwytna... da się natomiast opisać rzeczywistość wewnętrzną, taką jaką posiada trzmiel latająca, choć według uczonych obliczeń latać nie powinien i tu trzmiel zaczyna być podejrzewany o to, że jego specyficzna budowa wytwarza antygravitację...

Może on więc opisywać rzeczywistość wewnętrzną, indywidualną dla opis ten czyniącego... wszystkie jego rzeczywiste refleksje można przełać na nośnik liter, wyrazów i zdań całych, zdań tworzących właśnie refleksje...

Met już nie patrzył w odbicia swych wypustek mózgowych, w których - zakłada się - można zobaczyć obraz duszy... odszedł od taflí lustra... zapragnął wyjść na otwartą przestrzeń... czuł jednak, że istniejąca gdzieś w ciemnej materii energia kosmosu dziejąca wszelkie nieprzypadkowe przypadki, czyniąca ład poza ludzką logiką, energia ta zwana usilnie przez ludzi Bogiem, w zamkniętych pomieszczeniach działa mu na nerwy, a chciał zrozumieć Jego działanie w tej zbliżającej się mu chwili ostatniej... Włączył radio na muzyczną stację... a usłyszał komunikat rządowy:

- *Wielce szanowni obywatele, mimo usilnych starań, nasza koalicja rządowa - żadna inna też by tego nie uczyniła - nasza więc koalicja, mimo radykalnie racjonalnych wysiłków, nie może*

uruchomić swoimi działaniami takich środków, by wobec mającego nastąpić za chwilę końca świata zrealizować wielce konstruktywne założenia polepszające warunki egzystencji obywateli! Proszę nam wierzyć, że naprawdę chcieliśmy dobrze, a plany nasze były dalekosiężne i budujące, choćby poza koniec świata właśnie... [trzaski] ... lekceważone były w zapamiętanych działaniach polityków pogłoski o końcu świata... [trzaski] ... byliśmy po prostu niedoinformowani!... jak się dowiadujemy, impuls energetyczny o niespotykanej dotąd sile potencjału, który ma zmienić istotę życia na naszej planecie słońce już wyszło i za około dziesięć minut impuls dotrze do ziemi... [dłuższe trzaski]... impuls zniszczy wszystkie urządzenia elektroniczne... planeta zatrzyma się w swoim dobowym wirowaniu i zacznie wirować w stronę przeciwną, co pociągnie za sobą globalny kataklizm... w imieniu własnym i władz rządowych pragnę pozdrowić i jednocześnie serdecznie pożegnać wszystkich obywateli, wszystkich naszych rodaków, wszystkich lu...

Tu nastąpił głośny trzask, następnie ciągle ostre trzeszczenie na wszystkich częstotliwościach... zapadł jakiś dziwny zmrok. Met poczuł lekkie mdłości... założył płaszcz i wyszedł z mieszkania zaciekawiony realizacją naturalnego spektaklu makabry mającej za chwilę stać się na jego oczach, makabry, która z rozładowującej się ze swego potencjału rzeczywistości gdzieś zamkniętej, wirtualnej ma się za chwilę wlać w jego rzeczywistość...

Po chwili zerwała się wichura... mrok nasycił się jakimiś metalicznymi, zimnymi pobłyskiwaniami, oddalonymi, jakby jeszcze ciągle gdzieś za horyzontem... wszystko wokół zaczęło stawać się nagle w świetle coraz jaśniej błyszczącej i coraz szybciej falującej na firmamencie zielonkawo-różowawej zorzy... migotliwe światło odbijało się na dachach domów i powierzchniach ulic, cichych i spokojnych, bez ludzi, którzy już wcześniej uciekli w góry... Mieć w całej okazałości tego spektaklu chciał się w niego wtopić, postanowił zostać jego częścią... zaczęły dobiegać go dźwięki, jakby narastała jakaś uwertura do czegoś wielce szaleńczego... pod stopami poczuł narastające drżenie gruntu... z dala zaczął narastać łoskot mas wody... postawił kołnierz, z kieszeni płaszcza wyciągnął pudełko papierosów, wyjął zeń jednego... z filtrem... palił zawsze tej samej marki... dobrze... zapalił zapalniczkę, zabytkową już wiatrówkę-benzynówkę... akurat wtedy spadły na płomień zapalniczki tysiące ton wody...

Met w oniemieniu spojrział w otaczającą go mglisto-różowawą jasność i usłyszał z niewiadomo skąd:

- Met! Mówiłeś coś o metafizyce... teraz obejmie cię stan składający się z wielości działającej ci onegdaj na nerwy... a wypadkowa tej wielości tak wielu ciekawi, a nie mogąc tego pojąć, tworzą nurty filozoficzne i religie...

Ustalają tabu, porządkują na ludzki sposób, bo wszystko powinno być według nich zrozumiałe... a wypadkowa jest tuż, w umyśle każdego, lecz jakoś nikt nie wie o co tu chodzi!... To wszystko jest takie proste... Oglupione indoktrynacją umysły wyzute są z prostoty... wyzute SĄ z prostoty umysły, które ogłupiają i są ogłupiane... nikt prostotą nie porazi umysłów przesiąkniętych fundamentalnym przejawskawieniem... a przejawskawienie poraża, a nie iluminuje... Teraz już wszystko wiesz!?...

Wypowiedź była zakończona w tonie bardzo oczekującym... Met czuł dziwnie inny, nieznan wcześniej smak papierosa... wykonał gest, by zaciągnąć się i sprawę swojej obiecaną sytuacji przemyśleć... zaczął coraz bardziej ulotnie czuć, coraz bardziej odbiegając od niego samego, że jest... przenikającą siebie pustką... wolną pustką, która czuje inaczej... jest wszędzie i nigdzie, jest poza energią, którą nieświadomie w sobie znał, energią, którą czuł wcześniej przed taflą lustra!... Świadomość Meta... to, czym była jego ludzka esencja stawało się coraz bardziej mało czytelne z perspektywy planety, na której dotąd żył, można by było imaginować napis: *niewiadom, w minionym już, ludzkim aspekcie...*

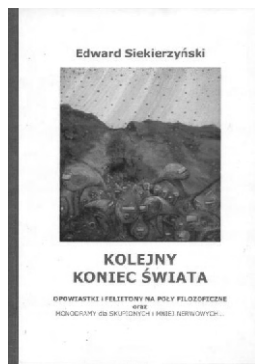
W rozpiezchającej się świadomości stawała się tajemnica, a w niej też zanikała wyczekiwana odpowiedź:

- Nie wiem... - odpowiedziało coś poza wszystkim...

I wszystko delikatnie spajało się ze śladami dźwiękowymi pól bitewnych i koncertów wszystkiej muzyki, muzyki kosmosu, której tu trwanie jest inne niżli w sprężystej atmosferze planety...

Edward Siekierzyński

Stargard Szczeciński, 2009



Lech Brywczyński

Marduk z Babilonu

Dramat w jednym akcie

OSOBY:

Docent

Fuglewicz, przyjaciel Docenta

Zofia, żona Docenta

Mursilis, król Hetytów

Strażnik I

Strażnik II

Dostojnik I

Dostojnik II

Dostojnik III

SCENAPIERWSZA

Przy biurku siedzi Docent, wertując stare, opasłe księgi. Co jakiś czas przerywa czytanie, by zanotować coś w swoim zeszycie. Gdy nie jest pewien, co napisać, delikatnie pociera dłońmi skronie. Jest w znakomitym humorze, co pewien czas radośnie stuka palcami w blat biurka. Gabinet jest stylowo umeblowany, ale zagracony - każdy kąt jest zajęty przez posagi, statuetki, fragmenty zabytkowych naczyń, odłamki glinianych tabliczek, mapy, książki i roczniki naukowych pism historycznych. Na biurku, na honorowym miejscu stoi czarny posążek Marduka, z dłońmi, wyciągniętymi przed siebie.

Słysząc pukanie, ktoś delikatnie bierze za klamkę.

Docent: - (*odkłada długopis*) Proszę!

Do pokoju wchodzi postawny mężczyzna w średnim wieku.

Docent: - Witam, witam! (*zamyka księgę, wstaje i podchodzi do gościa*) Dobrze, że do mnie wpadłeś! (*witają się wylewnie*) Cieszę się! Mam dobre nowiny...

Fuglewicz: - Wiem, wiem... Słyszałem, że zgarnąłeś jakąś nagrodę!

Docent: - Siadaj, siadaj, Jacek! (*siadają na fotelach, przy ławie, naprzeciwko siebie*) Dobrze słyszałeś! Pewnie od mojej żony? Zadzwoniłem do domu z hotelu, zaraz po konferencji...

Fuglewicz: - Tak, rzeczywiście, to Zosia mi mówiła... (*rozsiadając się wygodnie*) Co to była za impreza? Coś mi mówiłeś przed wyjazdem, ale nie pamiętam...

Docent: - (*z przejęciem*) Wróciłem trzy dni temu. To była światowa konferencja hetytologów, odbywała się w Turcji, w Bogaz Kale - obok miejsca, gdzie odkopano ruiny miasta Hattusas - stolicy państwa hetyckiego. Nie będę cię zanudzał szczegółami bo wiem, że ciebie to nie interesuje...

Fuglewicz: - Daj spokój, Marek! Ciągłe opowiadasz o tych Hetytach, ale to mi się jakoś nie trzyma głowy... Nawet nie wiem, co to byli za ludzie...

Docent: - Ich imperium istniało ponad tysiąc lat, a upadło mniej więcej w tych czasach, co i Troja. A naród potem wyginął, rozplynął się...

Fuglewicz: - *(żartobliwie)* Rozplynął się? To jakieś metafizyczne bzdury. Wyginać mogły dinozaury, ale nie ludzie! To brzmi jak bajka. Albo jakiś mit... *(kręci głową z niedowierzaniem)* Zaczynam dochodzić do wniosku, że wszyscy historycy, zajmujący się starożytnością, są naukowcami - to mitomani. Fantazja zastępuje wam prawdę!

Docent: - *(pogodnie)* Nie znasz się na tym, stary... Dzieje Hetytów to nie historia drugiej wojny światowej: ja nie mam możliwości, żeby porozmawiać ze świadkami wydarzeń albo przeczytać ówczesne gazety. To zamierzchła przeszłość! Wszystko, czym dysponuję, to stare kroniki oraz sterta rozpadających się, glinianych tabliczek, zapisanych ledwo widocznym pismem klinowym: oto moje „gazety”... Bez odrobiny wyobraźni nic bym z tym nie zdziałał! *(wskazuje na papiery, rozłożone na biurku)* Właśnie przygotowuję do druku moją kolejną książkę. Dobrze wiesz, że właśnie w domu, w tym pokoju, najlepiej mi się pracuje... Uniwersyteckie mury są zimne i bezduszne, tam można co najwyżej uczyć studentów, ale nie ma mowy o twórczym wysiłku... *(z ożywieniem)* W tej książce będzie mowa o hetycko-egipskiej bitwie pod Kadesz, o dyplomacji króla Suppililiumasa i jego dwóch listach do egipskiej królowej...

Fuglewicz: - *(przerywa mu, z niechęcią machając ręką)* Nie nudź! Opowiedz mi lepiej o tej nagrodzie! Słyszałem, że chodzi o niezłą sumkę...

Docent: - Nagroda? Nie zauważyłeś? Oto ona! *(wstaje i podchodzi do posągu Marduka)* Nagroda Marduka! Najwyższe wyróżnienie w hetytologicznym świecie! Wolę ten posążek od jakiegś tam statuetki, bo jest i trochę większy, i ładniejszy... *(z dumą)* To posąg babilońskiego boga Marduka, taki sam jak ten, który hetycki król Mursilis wywiozł ze zdobytego Babilonu... Pieniądze też dostałem, ale najważniejszy jest przecież prestiż. O takim właśnie posągu mówią gliniane tabliczki, pochodzące z czasów Mursilisa. On zdobył Babilon gdzieś w tysiąc sześćsetnym roku przed naszą erą... *(rozbawiony, teatralnym gestem ujmując dłoń posągu)* Każdy babiloński władca, chwytając posąg

Marduka za dłonie. Słowa „Marduk podał mu dłonie” oznaczały więc to samo, co „wstąpił na tron”... Jak ci się podoba?

Fuglewicz: - *(jeszcze przez chwilę milczy, przyglądając się z zachwytem posągowi)* Bardzo mi się podoba! Że też nie zauważyłem go od razu, zaraz po wejściu... *(wstaje, podchodzi do posągu, gładzi go dłonią)* To jest naprawdę ładne, to fascynujące... Ta figurka ma coś w sobie...

Docent: - *(żartobliwie)* A mówiłeś, że nie wierzysz w metafizyczne bzdury...

Obaj przez dłuższą chwilę oglądają posąg, a potem siadają na swoich fotelach. Fuglewicz nie może oderwać wzroku od posągu.

Docent: - *(ze wzruszeniem)* Na tę nagrodę pracowałem przez ładnych parę lat... W jakiejś części zawdzięczam ją tobie. Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie stać na te wszystkie wyjazdy badawcze, na gromadzenie eksponatów, na publikacje... Koszty były spore, sam nie dałbym rady... Z mojej uniwersyteckiej pensji... *(wstaje, podchodzi do siedzącego Fuglewicza i serdecznie ściska mu dłoń)* Raz jeszcze chciałbym ci podziękować. Jestem twoim dłużnikiem. *(wraca na swoje miejsce)*

Fuglewicz: - Nie ma sprawy. Ja też miałem satysfakcję z twoich wyjazdów... *(odchrząkuje)* Ale tak przy okazji, to mam do ciebie pewną sprawę. Kiedyś mi obiecałeś jedną z twoich hetyckich pamiątek. Powiedziałeś, że będę mógł wybrać, którą zechcę. Pamiętasz?

Docent: - Oczywiście! Zawsze cię namawiałem, żebyś coś sobie wybrał. Ale nie chciałeś...

Fuglewicz: - A teraz chcę!

Docent: - Wspaniale! Wobec tego wybierz sobie... *(rozkłada ręce, pokazując na stojące w pokoju książki, posągi i statuetki)* Śmiało, przyjacielu! Mam tu piękne albumy, reprodukcje, rzeźby...

Fuglewicz: - Już wybrałem. Biorę tego, jak mu tam... Marduka. *(wstaje, podchodzi do posągu Marduka i przygląda mu się z zachwytem)* Jest wspaniały, naprawdę niezwykły!

Docent: - *(zaskoczony)* No, wiesz, Jacek... Może byś jednak wybrał coś innego... Ten posąg jest dla mnie bezcenny... Poza tym, mam go dopiero od niedawna, nie zdążyłem się nim nacieszyć... *(wstaje, podchodzi do posągu)*

Fuglewicz: - Nie bądź sentymentalny. W końcu powiedziałeś, że mogę wybrać, co chcę. Dałeś słowo! Ten posąg jest tylko symbolem nagrody, a przecież samej nagrody ani związanego z nią prestiżu i tak nikt ci nie odbierze... **(rozgląda się po pokoju)** Posągów tu nie brakuje, a tak to i ja będę miał chociaż jeden. Będzie pasował do sypialni. Ładnie go wyeksponuję... A może wstawię go do mojego gabinetu, w firmie? Byłby ozdobą biura Fuglewicz Consulting Co. To niezła myśl...

Docent: - **(z rezygnacją)** Niech już będzie. Trudno... W końcu jestem ci to winien... **(gładzi posąg dłonią)**

Fuglewicz: - Nie martw się, stary! Zawsze, jak mnie odwiedzisz, zobaczysz swój posążek. To jest, chciałem powiedzieć - mój posążek. **(spogląda na zegarek, a potem podaje Docentowi dłoń na pożegnanie)** To ja już będę leciał. Mam parę spraw do załatwienia... **(ostrożnie podnosi posąg Marduka)** No, nie jest tak źle, obawiałem się, że będzie cięższy... **(wkłada posąg pod lewą pachę)** To na razie! Wpadnij do mnie któregoś dnia. Zapraszam! **(wychodzi)**

Docent: - **(sam do siebie, w oszołomieniu)** Przyjdę, przyjdę, na pewno przyjdę...

Docent podchodzi do drzwi, zamyka je, a potem staje obok biurka. Spogląda na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał posąg Marduka.

Docent: - **(sam do siebie)** No dajcie spokój... Szlag by to trafiał... Czy on nie mógł wybrać czegoś innego? Straciłem coś bezcennego, coś, co było dla mnie... **(kręci głowę z niedowierzaniem)** Mój Marduk... **(siada przy biurku, zrezygnowany)**

SCENADRUGA

Docent siedzi przy biurku, wertując księgi. Próbuje robić notatki, ale kiepsko mu to idzie - jest przygnębiony, z trudem skupia myśli. Dzwoni telefon komórkowy, co zwiastuje melodyjka „Dixie”. Docent wyciąga komórkę z kieszeni, nerwowym gestem wciska przycisk, a potem przykłada telefon do ucha.

Docent: - Tak, słucham... Agnieszka? **(rozpogadza się, z uśmiechem)** No i co tam, córeczko? Tak... Nie starczy pieniędzy? Niemożliwe! Wiesz, że przeznaczyliśmy na to wesele wszystkie oszczędności. Musi wystarczyć, spróbuj zejść z kosztów... Na pewno coś wymyślisz... Tak... No widzisz! A poza tym, jak idą przygotowania? Nie miałem ostatnio dla ciebie zbyt

wiele czasu, wiesz, ten wyjazd, konferencja, nagroda... No pewnie, te pieniądze zjawily się w samą porę... Najważniejsze, że przez cały czas miałaś pod ręką mamę... **(z ironią)** Tylko pilnuj, żeby mama dopuściła do stołu jakieś mięso, bo inaczej goście nas zlinczują... **(kiwa głową)** Dobrze, że Michał ci pomaga. To dobry chłopak. Pozdrów go przy okazji ode mnie, w końcu zostanie moim zięciem... Wiem, wiem, jesteś już przecież dorosła, a poza tym lubisz sama wszystko załatwiać i mieć wszystko pod kontrolą, własne wesele tym bardziej... Od dziecka taka byłaś... **(ze smutkiem)** Tyle lat... Zawsze będę cię pamiętał jako małą dziewczynkę... Trudno mi się przyzwyczaić do myśli, że już nie będziesz z nami mieszkała... Jeszcze tylko parę dni... Ja rozumiem, oczywiście, trudno żebyście mieszkali u nas, skoro rodzice Michała mają willę, i to jaką... Ale tak pusto się u nas robi, tylko mama i ja... **(po chwili)** Bo przecież i Krzysiek się ostatnio wyprowadził... Trochę mnie zaskoczyło, że to tak nagle się stało: szybka oferta, szybka decyzja... Mama wszystko załatwiła za moimi plecami, kiedy byłem na konferencji... W sumie to dla Krzysia lepiej, skoro znalazł dobry klub... Piłkarz musi grać tam, gdzie lepiej płacą, wiadomo... Tyle, że w domu robi się pusto... No ale co ja ci tutaj tak przynudzam. Powinnaś się cieszyć weselem i nie myśleć o niczym... To trzymaj się, na razie. Pa! **(wyłącza telefon)**

Docent: - **(sam do siebie, poirytowany)** Tak, teraz wszystko się zmieni...

Odkłada komórkę na biurko, a potem nerwowym krokiem przechadza się po pokoju. Gładzi dłońmi włosy, a potem siada przy biurku. Machinalnie kładzie dłonie na leżącej przed nim, grubej księdze, a potem otwiera ją, gdzie popadnie. Usiłuje skupić się na czytaniu, ale bez powodzenia.

Docent: - **(sam do siebie)** Chyba będę musiał czytać na głos, inaczej się nie da... **(odchrząkuje, a potem czyta półgłosem)** „Nasz wielki władca, Mursilis, uderzył na Babilon z całą mocą. Bogowie mu sprzyjali - zdobył ten przesławny gród. Wywiózł stamtąd łupy niezmierne, a najcenniejszą zdobyczą był posąg wielkiego boga Marduka. Boski Marduk podał mu dłonie i uczynił go panem świata...”

Drzwi się powoli otwierają, do pokoju wchodzi Zofia.

Docent: - **(do Zofii, z ożywieniem)** Bardzo dobrze, że przyszedłaś. Chciałbym, żebyś mi wyjaśniła... **(odsuwa od siebie książkę. usiłuje ją zamknąć,**

ale książka uporczywie otwiera się na tej samej stronie) Tyle jest w domu spraw do załatwienia, a ty coś kręcisz za moimi plecami... **(zostawia otwartą książkę, wstaje, podchodzi do żony)**

Zofia: - (uspokajającym tonem) Nie musisz się martwić. Wszystko jest na dobrej drodze. Tak to z Agnieszką podzieliłyśmy: ona zajmuje się weselnymi przygotowaniami od strony urzędu i ubioru, a ja od strony kuchni... I dobrze nam idzie. Znalazłam znakomitą kucharkę, która będzie mi pomagać. Ona zna świetne przepisy, także wegetariańskie! **(podchodzi do fotela, siada)** Gościom trzeba będzie podać mięso, to oczywiste, ale przecież ja sama też chciałabym mieć co zjeść! Dlatego ta kucharka ma przygotować dla mnie coś specjalnego, jarskie danie, którego składniki są...

Docent: - (przerywa jej, zniecierpliwiony) Kiedy nie o to pytam! Agnieszka do mnie dzwoniła, wiem o tym. Ja chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego wysłałaś Krzyśka do Wiednia. Na trzy lata! W ekspresowym tempie, nie pytając mnie o zdanie! **(siada na drugim fotelu)**

Zofia: - Jak miałam cię pytać, przecież ciebie nie było, akurat byłeś na konferencji. A poza tym, sam też byłeś za jego wyjazdem. Austriacy dają mu mieszkanie, a w dodatku dwa razy więcej pieniędzy, niż miałbyś tu. To dla niego szansa!

Docent: - Wiem, że to szansa, ale przecież wystarczyło do mnie zadzwonić! Nie lubię takich niespodzianek. Ty zawsze lubiałaś wszystko załatwiać bez mojego udziału, najchętniej wtedy, kiedy byłem na wyjeździe...

Zofia: - Szukasz dziury w całym. Dostał kontrakt do podpisania, a czasu do namysłu tyle, co nic - albo podpisuje i odsyła, albo rezygnuje. Więc poradziłam mu, żeby od razu podpisał, bo oferta była dobra. Lepiej by nie dostał, nie było na co czekać.

Docent: - Niby wszystko w porządku, ale czemu mnie nie uprzedziłaś? Takie decyzje powinniśmy wspólnie podejmować...

Zofia: - Daj mi spokój, Marek. To była jego decyzja, jest już dorosły... **(pasuje się z sobą, usiłując skupić myśli)** Mam do ciebie zupełnie inną sprawę... Jeszcze ważniejszą, bo dotyczącą nas obojga... **(milczy przez chwilę, a potem bierze głęboki oddech)** Złożyłam pozew rozwodowy. Pierwsza rozprawa w przyszłym miesiącu. Nic nas już nie łączy, a i dzieci są już dorosłe, usamodzielnili się... Mam nadzieję, że zgodzisz się

na rozwód bez oporu. **(milczy, spoglądając pytająco na Docenta)**

Docent: - (zdezorientowany i oszołomiony) Co takiego? Co ty wygadujesz? Przecież nam jest dobrze razem... Nigdy ani słówkiem nie wspomniałaś o rozwodzie...

Zofia: - (wzruszając ramionami) Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Najlepiej załatwić całą sprawę szybko, w miarę bezboleśnie i konkretnie. Dzieci już wszystko wiedzą. Przekonałam je, że mam wreszcie prawo do swojego życia.

Docent: - I tak spokojnie mi to mówisz? Po tych wszystkich latach? Właśnie po to tu przyszedłaś?

Zofia: - A co, wolałbyś, żebym ci to powiedziała przez telefon? Albo zostawiła kartkę w kuchni? Chyba najlepiej tak, osobiście.

Docent: - No wiesz... Nie spodziewałem się tego po tobie... Żyłem w przekonaniu, że my oboje już zawsze... W końcu tyle lat przeżyliśmy razem...

Zofia: - Razem? Chyba żartujesz! Ciebie interesowała twoja nauka, twoja starożytność, twoje zbiory, wykopaliska, badania, a nie ja... Moimi sprawami nigdy nie żyłeś.

Docent: - Nie gadaj głupot. Przecież ci pomagałem, doradzałem, w miarę możliwości zajmowałem się też domowymi sprawami, dziećmi...

Zofia: - No właśnie: dzieci są już dorosłe, każde idzie w swoją stronę... Teraz wreszcie mam wolną rękę. Nic nas nie wiąże i dlatego wolno mi z czystym sumieniem wystąpić o rozwód. A uczucia, jeśli nawet kiedyś były, to już dawno się ulotniły. Między nami nic już nie zostało, co najwyżej przyzwyczajenie.

Docent: - (zbulwersowany) Co ty wygadujesz? Nic się nie ulotniło! A ślubne przysięgi? Miłość, wierność, uczciwość małżeńska... Zapomniałaś?

Zofia: - To śmieszne! Kto w dniu swojego ślubu myśli o słowach przysięgi małżeńskiej - powtarza się je bezmyślnie, i tyle. A poza tym, kto może przewidzieć przyszłość i mieć pewność, że naprawdę będzie kochał tego samego człowieka do końca życia, że nie spotka kogoś innego... **(milknie na moment, nieco zmieszana)** Tak, te wszystkie ślubowania i przysięgi to fikcja, nie można przecież zaprogramować swoich uczuć... Poza tym, sam zawsze mówiłeś, że jesteśmy z sobą tylko dlatego, że oboje tego chcemy. Nie wiem, jak ty, ale ja już nie chcę. Dlatego zdecydowałam się na rozwód.

Docent: - *(z goryczą)* Moje zdanie się nie liczy, jak zwykle. Wszystko sobie sprytnie zaplanowałaś: Krzysiek wyjechał, Agnieszka bierze ślub, a potem my się rozwodzimy... Coś takiego! Wbiłaś mi nóż w plecy, kobieto!

Zofia: - Nie mów do mnie „kobieto”! A poza tym, niczego złego nie zrobiłam. Mam prawo do rozwodu i chcę z tego prawa skorzystać, to wszystko. *(po namyśle)* Wiesz, nawet nie mam ochoty się z tobą pokłócić - tak bardzo jesteś mi obojętny... *(z naciskiem)* Chciałabym tylko, żeby to był rozwód cywilizowany, rozwód za obustronną zgodą. Liczę na to, że nie będziesz w sądzie wywlekał rodzinnych brudów...

Docent: - Nie mam zamiaru niczego wywlekać... Bo i po co? Nie ma nic, czego bym się musiał wstydzić. Nie wiem za to, jak ty... *(badawczo spogląda na Zofię)* Zaraz, zaraz... Jak powiedziałaś? „Kogoś innego”? Czy za twoim pomysłem nie stoi czasem jakiś romans? Masz kogoś! Kogo? Ile razy mnie zdradziłaś? Powiedz mi, Zosia! Komu mam podziękować za to wszystko? Powiedz! Natychmiast!

Zofia: - *(siląc się na spokój)* Nie będę ukrywać, mam kogoś. I to od dłuższego czasu. Nie masz powodu, żeby mu, jak mówisz, „dziękować”: ja to robiłam z własnej woli, to była wspólna decyzja nas obojga... Wcześniej chciałam ci powiedzieć o wszystkim, ale jakoś... Widzisz, jak mało ci na mnie zależało, skoro nic nie zauważyłeś... To twoja wina: albo późno wracałeś z pracy, albo wyjeżdżałeś na sympozja naukowe...

Docent: - Kto to jest? Powiedz mi! Tylko to mnie interesuje!

Zofia: - To jest ktoś, kogo znasz, i to dobrze. Zresztą był tu dzisiaj, rozmawiałeś z nim... Liczyłam na to, że może on sam powie ci pierwszy... To... Jacek. Jacek Fuglewicz.

Docent *spogląda na nią w osłupieniu. Oboje milczą przez dłuższą chwilę.*

Zofia: - Nie myśl sobie, że chcę wychodzić za mąż. Nie. Ja po prostu wolę mieć jasną sytuację. Nie chcę już nikogo zdradzać. Na początku miałam poczucie winy, że ciebie zdradzałam, a teraz to już sama nie wiem, kogo zdradzam. Bo czuję się związana bardziej z Jackiem, niż z tobą. Mam już dość tej zabawy, dość udawania. Chcę normalnie żyć, nie mam zamiaru ukrywać się przed znajomymi, wyjeżdżać do innego miasta tylko po to, żeby pójść do kawiarni z... *(wstaje)* To wszystko.

Tyle miałam ci do powiedzenia. *(oddycha z ulgą, jakby spadł jej z ramion ogromny ciężar)* Wiesz już teraz wszystko, Marek. No więc jak, czy zgadzasz się na ten rozwód? *(przez chwilę przygląda się milczącemu Docentowi, oczekując na odpowiedź)* Jeśli się nie zgodzisz, to i tak rozwód dostanę, tyle, że trochę później. Majątku nie musimy sądownie dzielić, bo go praktycznie nie mamy... Więc po co mnożyć przeszkody... Przemyśl sobie to wszystko, na spokojnie... Mam nadzieję, że na rozprawie zaprezentujesz się godnie i bez sprzeciwu wyrazisz zgodę. *(wychodzi, delikatnie zamyka za sobą drzwi)*

Docent siedzi nieruchomo na fotelu. Zakrywa twarz dłońmi.

SCENA TRZECIA

W pokoju panuje przytłaczająca cisza. Docent wciąż siedzi na fotelu. Ponuro przygląda się swoim paznokciom. Wyciąga z kieszeni chusteczkę, by otrzeć spocone czoło. Wstaje, chowa chusteczkę do kieszeni. Powoli przechadza się po pokoju, z rękami splecionymi z tyłu.

Docent: - *(sam do siebie, półgłosem)* Fuglewicz... Co za bydlak! Pieprzony intrygant! *(omiata wzrokiem półkę z książkami)* Książki, książki... Przekłète książki! Zajmowałem się nimi i przez to nie zauważałem, co się działo wokół mnie... No i teraz zbieram plon. *(z nienawiścią)* (Fuglewicz... A to drań... Że też on miał czelność tu do mnie przychodzić, uśmiechać się, rozmawiać... Znalazł się, przyjaciel domu... I pomyśleć, że ja mu dzisiaj dałem Marduka! Ależ osioł ze mnie! Już lepiej by było, gdybym własnoręcznie rozbił ten posąg! O tak! *podchodzi do regału, bierze jedną ze statuetek i z furią rzuca ją na podłogę, rozbijając na kawałki)* Amant za dychę! Cholerny przydupas! Już ja mu wybije z głowy amory! Ja mu dam! Niech go tylko dopadnę! *(oddycha ciężko, z trudem łapie oddech. omijając leżące na podłodze szczątki statuetki podchodzi do biurka i siada na swoim krzeselku)* Ja mu dam... *(rozsiała się wygodnie, powoli dochodzi do siebie)* Czegoś takiego się nie spodziewałem... Nie mogłem się spodziewać... Nie... *(bezwiednym ruchem przysuwa do siebie księgę, wciąż otwartą na tej samej stronie. bezmyślnie wpatruje się w tekst, usiłując zebrać myśli)* Nie dajmy się zwariować... Najpierw trzeba się wyciszyć, przemyśleć wszystko... Nic tak nie uspokaja, jak lektura... *(pochyla się nad książką, czyta półgłosem)* „Nasz wielki władca, Marsilis,

uderzył na Babilon z całą mocą. Bogowie mu sprzyjali - zdobył ten przestawny gród. Wywiózł stamtąd łupy niezmierne, a najcenniejszą zdobyczą był posąg wielkiego boga Marduka. Boski Marduk podał mu dłonie i uczynił go panem świata..." **(spogląda na miejsce, gdzie stał posąg Marduka)** To musiała być piękna chwila. Taki triumf! **(powraca do lektury)** „Niestety! Gdy Mursilis wracał do kraju, drogę zastąpił mu niegodziwy król państwa Mitanni ze swoją armią. Do tej pory chciał on uchodzić za przyjaciela i sojusznika kraju Hatti, teraz jednak skorzystał z okazji, by zażądać od Mursilisa części łupów..." **(ironicznie, sam do siebie)** Znamy takich przyjaciół i teraz, oj znamy... **(powraca do lektury)** „Mursilis wiedział, że nasza armia, zmęczona trudami wyprawy, nie będzie w stanie zwyciężyć, oddał więc owemu wiarołomnemu zdrajcy swą najcenniejszą zdobycz - posąg Marduka..." **(milennie na chwilę, a potem czyta dalej, coraz bardziej przejęty)** „Wówczas Marduk przestał darzyć Mursilisa swoimi łaskami i od naszego wielkiego króla odwróciło się szczęście... Kraj Hatti nawiedziły plagi, dotąd nieznanne. Bogowie i ludzie marli z głodu... Zaś żona Mursilisa, królowa Tawananna i ów niekczemny król Mitanni..."

Docent przerywa czytanie i opiera się na łokciach. Zasłania dłońmi oczy, nieruchomieje. Zapada niczym nie zmacona cisza. Po jakimś czasie w pokoju robi się coraz ciemniej, aż w końcu zapada całkowity mrok.

SCENA CZWARTA

Po dłuższej chwili mrok się rozplywa, bo w pomieszczeniu pojawia się światło. Jest coraz widniej. Docent wciąż siedzi nad książką, z głową opartą na łokciach. Chrapie. Nad śpiącym pochylają się stojące wokół niego postacie: Mursilis w paradnym, królewskim stroju, trzech dworscy dostojnicy oraz dwaj strażnicy z halabardami. Wszyscy przyglądają się uważnie Docentowi, strażnicy ostrożnie dotykają palcem jego ubrania. Dostojnik I tłumaczy coś na ucho królowi, ten nieznacznie potakuje.

Mursilis: - No dobrze, dobrze... Rozumiem. Ale dziwne to wszystko. Skąd ten człowiek się tu wziął? **(pokazuje na śpiącego Docenta)** I dlaczego on jest tak śmiesznie ubrany? **(do obu strażników, grożąc im palcem)** Jak on się tu przedostał? Co robili strażę? Spalście, gamonie! Albo osuszaliście beczki z winem!

Strażnik I: - **(do króla, błagalnie)** Gdzieżby tam, najjaśniejszy panie! Obaj czuwaliśmy, jak trzeba!

Strażnik II: - Czuwaliśmy, a jakże! Ja sam byłem tutaj koło południa i wtedy nikogo nie było! Poszedłem potem na dziedziniec, sprawdziłem basztę... Później wracam tu, otwieram drzwi i widzę... tego tutaj. **(wskazuje na Docenta)** Wtedy od razu podniosłem alarm...

Dostojnik I: - **(do obu strażników, surowo)** Nie dopełniliście swoich obowiązków. Może to skrytobójca albo szpieg? Przez wasze niedbalstwo zagroziliście królewskiemu majestatowi i dlatego nie minie was surowa kara...

Mursilis: - **(pojedynawczo)** Nie przesadzajmy, w końcu nic złego się jeszcze nie stało. A ten człowiek nawet nie jest uzbrojony! Gdyby był skrytobójcą, to chyba nie zasnąłby tak tutaj, jak dziecko... **(do strażników)** Obudźcie go, może się czegoś więcej dowiemy...

Obaj strażnicy szarpią Docenta za ramiona i klepią go po twarzy, usiłując obudzić. Docent przeciąga się, z wysiłkiem otwiera oczy.

Docent: - **(bełkotliwie)** Zosiu, kochanie... Ten łotr Fuglewicz, ja mu dam... Marduk... Gdzie jest mój Marduk? **(potrząsa głową, jakby chciał strzepnąć z siebie resztki snu, odpycha obu tarasujących go strażników)** Co to ma znaczyć? Co wy mi robicie? **(ziewa, rozgląda się wokół)** O, macie na sobie hetyckie stroje! Takie same jak na rycinach, poznaję... Co to za maskarada? Gdzie ja jestem? **(wstaje, daje chwiejny krok do przodu)**

Strażnik I: - **(urzędowym tonem)** Znajdujesz się w podziemiach królewskiego pałacu!

Strażnik II: - Padnij na twarz przed potężnym władcą, który raczył przybyć tu do ciebie osobiście. Padnij na twarz przed Mursilisé, zdobywcą Babilonu! **(chwytając Docenta za kark i ciągnie go w stronę Mursilisa. puszcza dopiero wtedy, gdy król daje mu znak dłonią)**

Docent: - **(poprawiając ubranie)** Faktycznie, to nie jest mój gabinet... Wygląda na to, że może i naprawdę jestem w pałacu... Ale nie rozumiem, jak to możliwe, przecież nie wychodziłem z domu... Co ja tu robię?

Mursilis: - No właśnie: to ja bardzo chciałbym się dowiedzieć, kim jesteś i skąd się wzięłeś w Hattusas, cudzoziemcze. Słyszałem, że wymieniles imię boskiego Marduka - czy jesteś jego kapłanem?

Docent: - Gdzie? W Hattusas? Przecież... **(rozgląda się wokół)** Ale jak... A więc mówicie, że

jesteśmy w Hattusas? W dodatku w czasach Hetytów? Coś wspaniałego, zawsze o tym marzyłem! **(przygląda się uważnie królowi)** A zatem, Najjaśniejszy Panie, nazywasz się Mursilis? I niedawno zdobyłeś Babilon? Skoro tak, to datacja jest prosta. Jesteś Mursilisé! I mamy teraz rok tysiąc sześćsetny przed naszą erą! O ile można wierzyć twoim kronikarzom...

Mursilis spogląda ze zdumieniem na swoich dworzan.

Mursilis: - Jaki rok? Jaka era? O co mu chodzi? Rozumiecie to?

Wszyscy przecząco kręcą głowami.

Mursilis: - **(do dostojników)** Może to jakiś mag... Albo astrolog...

Docent: - Przepraszam, przepraszam, zagalopowałem się! My liczymy lata od wydarzenia, które dla was jest odległą przyszłością... **(do Mursilisa, z dworskim ukłonem)** Nie, nie jestem kapłanem Marduka, choć chętnie bym nim został... Ale i tak wiem o tobie wiele, szlachetny monarcho. Dowodzisz armią, jesteś głównym sędzią, najwyższym kapłanem, komentujesz wróżby... Jesteś gorliwym czcicielem bogini słońca z Arinny... Władasz wielkim obszarem od Ahijawa do Halab... Znasz biegle język akadyjski i hetycki... **(skrobie się w głowę)** Co tam jeszcze? Nie zgodziłeś się, żeby twoje posągi umieszczano w świątyniach, bo uważasz, że zostaniesz bogiem dopiero po śmierci... Upiększasz swoją stolicę okazałymi budowlami...

Mursilis: - To wszystko prawda! Wiele wiesz, jak na przybysza z dalekich stron. Sam nie wiem, co mam o tym sądzić...

Dostojnik II: - To szpieg! Trzeba go wziąć na tortury, niech wyjawí, kto i po co go tu przysłał!

Mursilis: - Chyba naprawdę jesteś magiem... Szpiegiem raczej nie, bo nie wyglądasz na Egipcjanina...

Docent: - **(przestraszony)** Ja Egipcjaninem? A skądże! Jeden jedyny raz byłem w Egipcie, na symposium historycznym, to wszystko! Nie mam z Egipsem nic wspólnego! **(błagalnie)** Nie jestem szpiegiem, zaręczam, jestem po waszej, hetyckiej stronie! Naprawdę! A o waszym świecie wiem tylko z wykopalisk... **(do Mursilisa, z przejęciem)** Czy możesz zaprzeczyć, panie, że nigdy wcześniej mnie nie widziałeś?

Mursilis: - Rzeczywiście - nigdy ciebie nie widziałem. A wy? **(spogląda pytająco na swoich dworzan, pokazując na Docenta)** Widzieliście wcześniej tego dziwaka? Słyszeliście o nim?

Dostojnik I: - Nigdy! Gdyby ktoś taki pojawił się kiedykolwiek w stolicy, natychmiast by mi o tym doniesiono! **(przecząco kręci głową, podobnie czynią pozostali dostojnicy oraz strażnicy)**

Docent: - A mimo to wiem o was, Hetytach, bardzo wiele. I dlatego mogę się wam przydać! Wiem na przykład... **(do Mursilisa, poufalem tonem)** Kilka lat temu poraził cię piorun, panie, w wyniku czego na miesiąc straciłeś mowę. Gdy ją wreszcie odzyskałeś, doszedłeś do przekonania, że to bóg burzy, Teszub, tknął ciebie piorunem po to, żeby pokazać, że jesteś jego wybrańcem... Nigdy nie ogłaszałeś ludowi o tym wydarzeniu, wiedzą o nim tylko twoi najbardziej zaufani dworzanie. No i kronikarze, którzy je opisali...

Dostojnicy spoglądają na siebie, skonsternowani.

Mursilis: - **(z podziwem)** Tak, to prawda! Nie ludzka mądrość w tobie mieszka, ale boska! **(po namyśle)** Zaprawdę, jest to mądrość, warta miliony szekli... Cieszę się, że mogę cię gościć w moim pałacu, wybrańcze bogów! Bądź moim gościem! **(otwiera szeroko ramiona i tuli do siebie uradowanego Docenta)**

Docent: - I ja się cieszę, najłaskawszy władco, że tutaj przybyłem! **(tonem wyjaśnienia)** To wszystko, o czym mówiłem... Przeczytałem to w twoich królewskich kronikach, na glinianych tabliczkach, odkopanych w ruinach Hattusas... To znaczy, w ruinach królewskiego pałacu, czyli... gdzieś tutaj. **(pokazuje na podłogę)**

Mursilis: - **(skonsternowany)** W ruinach? O jakich ruinach mówisz? Przecież pałac, jak widzisz, stoi! A nasza stolica rośnie i rozkwita. Dzięki okazałym budowlom, jakie każe tu wznosić.

Docent: - Niestety, nie zawsze tak będzie. Kiedyś Hattusas zostanie spalone. Podczas najazdu. Twoje budowle znikną, twój pałac też. I tylko gliniane tabliczki z królewskiego archiwum przetrwają. Pożar je utrwali, wypali jak cegły. Uwierz mi, panie. Tylko dzięki tym tabliczkom dzieje twego panowania będą znane potomności. **(żartobliwie)** Dlatego powinienes więcej płacić swoim pisarzom...

Mursilis: - Nie wiem sam, czy mogę ci wierzyć. To, co mówisz, jest nie do pojęcia! Pożar, najazd, zagłada... To przerażające! **(władczym tonem)** Skoro tak dużo wiesz, to będziesz uczestniczył w posiedzeniach Rady Królewskiej. Przydasz się na moim dworze. Co ty na to?

Docent: - (*z radością*) O niczym innym nie marzę... To dla mnie wielki zaszczyt! Ile rzeczy będę się mógł dowiedzieć, ile tajemnic kraju Hatti będę mógł rozwikłać...

Mursilis: - (*z zadowoleniem*) Będę zasięgał twojej rady przy podejmowaniu każdej decyzji. Ten, kto zna przyszłość, panuje nad czasem... Nie wiem, cudzoziemcze, jak się tu dostałeś, ani kim naprawdę jesteś: szpiegiem, wroźbitą czy kapłanem nieznanego mi boga... Może to sam Marduk cię tu przysłał, żebyś otworzył mi oczy na niebezpieczeństwa, jakie grożą krajowi Hatti i pomógł w rządzeniu...

Docent: - Jestem gotów ci pomóc, panie. A wiedzę mam bogatą. Może razem odwrócimy kartę historii...

Mursilis: - Musisz mi przekazać wszystko, co wiesz... Zaczniemy od zaraz. Zapraszam cię na ucztę, tam porozmawiamy. Właśnie odbywa się wesele mojej córki! (*wzdycha ciężko*) Przedstawię cię też królowej...

Docent: - Wesele córki Mursilisa? Pisano o tym weselu w waszych kronikach, coś pamiętam... Moja córka zresztą też... (*refleksyjnie*) Rodzina... Rodzina to więzienie duszy, to istne kłębowisko problemów... (*po chwili, z determinacją*) Musimy się spieszyć, królu. Najważniejsze, to odzyskać posąg Marduka. W tym posagu mieszka boska siła, kto traci posąg, tego opuszcza szczęście... Chyba wiem, co trzeba zrobić, żeby odzyskać Marduka i ocalić imperium... (*z nadzieją*) Oby się nam udało...

Mursilis: - (*ze śmiechem*) Ocalić imperium? Przecież jesteśmy potęgą! Niedawno wróciłem ze zwycięskiej wyprawy do Babilonu! Zapomniałeś o tym, cudzoziemcze?

Docent: - Wierz mi, najjaśniejszy panie, dzieje waszego imperium są mi lepiej znane, niż komukolwiek z twoich poddanych, czy nawet tobie samemu. Wasza przyszłość to dla mnie odległa przeszłość... Czekają was ciężkie próby, wojny z Egiptem, z Mitanni... A kilkaset lat później najgorsze: najazd ludów morskich.

Mursilis: - (*z niepokojem*) Ludów morskich?

Docent: - O tak! Będą ich niezliczone hordy... Różne ludy, plemiona i narody, kto by je wszystkie spaścił... Ale najgorsi z nich będą Frygowie, to oni zajmą kiedyś wasze miejsce...

Mursilis: - Frygowie? Nigdy o nich nie słyszałem...

Docent: - Możesz się nie martwić, Najjaśniejszy Panie - Frygowie też wyginą, kilkaset lat później...

Mursilis: - To ma być pociecha? Mam lepszy pomysł: powiesz mi, gdzie ci Frygowie teraz mieszkają, to wyślę tam swoją armię, chciałbym tych Frygów zawczasu wyrządzić... Moje bojowe rydwany straszą ich na proch! Tak zrobię ze wszystkimi ludami, o jakich mówiłeś... W końcu jestem królem kraju Hatti i odpowiadam za przyszłość mego kraju. (*zagryzając wargi*) A przede wszystkim, będę musiał odplacić królowi Mitanni za wszystko, zwłaszcza za...

Docent: - ...za posąg Marduka. O tak! Ja też znam kogoś równie nikczemnego, jak ten król... Zresztą nieważne. Najważniejszy jest posąg.

Mursilis: - Tak, posąg jest najważniejszy... (*kręci głową z niedowierzaniem*) Zaprawdę, straszne rzeczy opowiadasz, przyjacielu. Straszne, ale fascynujące... Do tej pory myślałem, że nasz naród jest bezpieczny, że nic nam nigdy nie zagrazi... Musisz mi powiedzieć wszystko, co o tym wiesz. Chodźmy wreszcie na tę ucztę! (*wolnym krokiem rusza w kierunku wyjścia*)

Docent: - (*idąc obok Mursilisa*) Oczywiście, Najjaśniejszy Panie, już idę... Później, kiedy już obaj ocalimy imperium, chciałbym z tobą porozmawiać na temat niektórych form kultu. Naukowcy wciąż się o to spierają... Ja też mam do ciebie tak wiele pytań! (*zatrzymuje się na moment*) Właśnie. Przepraszam, że osmielałem się spytać, panie: czy twoja królewska małżonka lubi jeść mięso? Założę się, że nie lubi...

Mursilis: - (*z niedowierzaniem*) Skąd wiedziałeś? (*zatrzymuje się, spogląda z uznaniem na Docenta*) Znowu mnie zadziwiasz, przyjacielu! Ona nawet nie patrzy na mięso, a o jedzeniu to zupełnie nie ma mowy! To pewnie jakaś choroba? A może zakłęcie?

Docent: - Królowa też nie je mięsa! Co za zbieg okoliczności! (*sam do siebie, półgłosem*) Dziwne... Co to wszystko oznacza... A może... (*do Mursilisa, głośno*) Nie, panie, to nie choroba, najnowsze badania wskazują, że niejedzenie mięsa - my to nazywamy wegetarianizmem! - jest spowodowane przez brak tych, jak im tam... Nie mogę sobie przypomnieć...

Mursilis: - Mniejsza o to! (*poufale klepiąc Docenta po ramieniu*) Więzienie duszy! Dobrze, bardzo dobrze powiedziane. Muszę to zapamiętać! (*śmieje się*) Powiedz mi lepiej, co sądzisz o...

Mursilis i Docent wychodzą, pochłonięci rozmową. Za nimi wychodzą obaj strażnicy.

SCENARIAT

W izbie pozostają tylko trzech dostojnicy. Przez chwilę spoglądają po sobie, milcząc. Gdy milkną odgłosy kroków, Dostojnik I podchodzi do dwóch pozostałych i przyciąga ich ku sobie.

Dostojnik I: - *(półgłosem)* Ten cudzoziemiec może być niebezpieczny. Nasz król dziwnie łatwo mu zaufa!... Jeśli on ma zostać królewskim doradcą, to...

Dostojnik II: - Tak, to bardzo niepokojące. Powiem więcej - to podejrzane.

Dostojnik III: - Myślicie, że kryje się za tym jakaś intryga? Ale czyja? *(po chwili zastanowienia)* Może egipska? Tamtejsi kapłani znają wiele sztuczek...

Dostojnik I: - *(kręci przecząco głową)* To nie Egipcjanie. Na pewno nie! Wiecie, jak bliskie są moje kontakty z dworem faraona. Gdyby to była sprawka Egipcjan, pierwszy bym o tym wiedział. Prędzej już Asyria...

Dostojnik II: - Gdzie tam! Asyryjczycy nie znają się na intrygach, jedyne, co umieją, to zabijać... Ich dyplomacja jest prosta, jak ostrze miecza... *(zastanawia się)* Bo ja wiem... A może sam Mursilis wymyślił tak niezwykły sposób, żeby wprowadzić zaufanego człowieka do Rady Królewskiej?

Dostojnik I: - Zaufanego człowieka? To my zawsze byliśmy jego najbardziej zaufanymi dworzanami...

Dostojnik III: - Otóż to: byliśmy. Bo już nie jesteśmy. Od powrotu z Babilonu król patrzy na nas podejrzliwie. Mnie obwinia o to, że podczas jego nieobecności dopuściłem do wzrostu potęgi króla Mitanni, przez co zabrał on nam posąg Marduka... Do ciebie *(zwraca się do Dostojnika I)* ma pretensje o to, że wysłałeś następcę tronu do Arzawy, zamiast zatrzymać go w stolicy, a na ciebie *(do Dostojnika II)* jest wściekły, bo pozwoliłeś na to, żeby władca Mitanni i nasza królowa... *(milknie, bo Dostojnik II zatyka mu usta dłonią)*

Dostojnik II: - *(donośnym szeptem)* Milcz! Jesteś przewrażliwiony. A poza tym, za dużo i za głośno mówisz! Nieopatrznie wypowiedziane słowo bywa groźniejsze niż oręż!

Wszyscy trzej rozglądają się z niepokojem, nasłuchują. Z oddali słychać odgłosy weselnej uczty.

Dostojnik I: - Idźmy na ucztę, bo nasza nieobecność wzbudzi podejrzenia. *(wolnym krokiem rusza w kierunku wyjścia, a za nim obaj pozostali dostojnicy)* Jedno jest pewne:

trzeba się pozbyć tego cudzoziemca. I to jak najszybciej. Wielcy kraju Hatti na pewno przyznają nam rację...

Dostojnik II: - Pewnie, że trzeba. Tylko jak... Można by mu dodać trochę trucizny do wina...

Dostojnik III: - Albo podrzucić jadowitego węża. Mój sługa trzyma kilka groźnych węży w swoim koszu. Tak na wszelki wypadek...

Dostojnik I: - *(z pobłażliwym uśmiechem)* Nie, nie, to wszystko byłoby za proste... I za łatwo byłoby potem wykrzyć sprawcę. Właśnie przyszedł mi do głowy inny pomysł. *(zniża głos do ledwo słyszalnego szeptu)* Zaraz po uczcie...

Rozmawiając szeptem, wychodzą z izby. Odgłosy weselnej uczty są coraz głośniejsze i coraz bardziej radosne...

KURTYNA

debiut

Aldona Kubik (z domu Wawer)

Dojrzałość

Na bezdrożu
życie dudni inaczej
ogniem dnia
miłością ciemnej nocy
zachłysnął się świat
w przestworzach rozkoszy
promień nadziei
wizja przyszłości
i ten czas
płynący nieubłagane
szybkością strumienia
odpocznę
na granicy losu
dumnie unosząc
głowę znad marzeń

Warszawa 2009

Świat według Adama

I rzekł Bóg: „Niech powstanie Adam!” Adam wstał, zamrugnął, spojrzął z politowaniem na Stwórcę. Zaśmiał się i wyszedł zapalić, gdyż nie było dla niego miejsca w Niebie.

Różowe światełko zaświtało mu w głowie. Leciał. Tunel, morze, las. Wszystko pojawiało się i znikало w zawrotnym tempie. Widział ludzi, zwierzęta, domki. Wszystko kolorowe niczym tęcza. Nie, świat nie był tęczowy, on był tęczą, wspaniałą tęczą.

Następny buch. Dym wypełnia płuca. Serce bije szybciej, żrenica się rozszerza. „Banan” nie schodzi z ust. Nie przejmował się; czym miałyby się trapić? Teraz jest tylko ona i on. Prywatna najlepsza przyjaciółka...

Kochał swoją fajkę wodną. Jego bongos, ukochany bongos. Nie był on duży, mieścił najwyżej 5 gram zielska, lecz nawet najmniejsza część składowa została stworzona z namaszczeniem, niesamowitą dokładnością, zapalem artystycznym. Bez tej maszyny do palenia nie umiałby żyć. Ubóstwiał opary, które wydostając się ze zdobionego ustnika otulały go błogą aurą zapomnienia, odprężenia, radości.

Pojawił się w lesie. Żółte grzybki były wszędzie, pod każdym drzewem. Ogromny bukoświerkodąb wyrósł na środku słonecznej polany, która właśnie w tym momencie znalazła się w zasięgu jego wzroku. Pod nim pasły się mrówki, odpędzając się od natrętnych ziemniaków, które zawzięcie przeszkadzały w posiłku. Niebo zostało zakryte przez fioletowe chmurki. Jak zawsze wesołe Słoneczko zniknęło z widnokręgu, chowając się przed żyjącymi w obłokach niegrzeczными pingwinami. Do głowy przyszła mu myśl, że znajduje się w najpiękniejszej dżungli świata, w której chciałby zostać na zawsze. Bez trosk, rachunków, szcraego życia.

Następny buch. W fajce bulgocze.

Tym razem nie pojawił się w nieznaną krainie. Znowu miał 13 lat, znowu będzie musiał przejść przez ten koszmar. Jego pijana matka, on, sznur i krzesło. Nie, on tego nie chce. On jest za młody, nie tego potrzebuje od rodzicielki. Nazywa się TO miłością, ale czym tak naprawdę jest miłość? Co definiuje to uczucie? Czy jest ono fizyczne, czy duchowe? Czy matka robi to z głębi serca, czy z otchłani szaleństwa? Płacze. Przez najbliższe dwie godziny przeżyje wiele, uświadczy ogromu emocji. Rozkosz, rozpacz, poniżenie, podniecenie, ból. ON NIE CHCE PRZEŻYWAĆ TEGO JESZCZE RAZ!

Umarł, lecz płynie dalej. Został zniszczony, ale żyje, rośnie dalej. Nie zauważył kostuchy. Bo kogóż dzisiaj śmierć obchodzi? Są ważniejsze rzeczy, niż umieranie...

Otworzył oczy. Widocznie musiał odlecieć. W fajce nic nie zostało, ale głowę miał pełną od THC. Odchylił się do tyłu, skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy w nadziei, że tym razem „podróż” będzie przyjemniejsza.

[...]

Cóż to za dziwną wizję miał. Za nic w świecie nie był w stanie określić tego, co przeżył. Było to jakby istnienie w inny, całkowicie odmienny sposób. Rozejrzał się po pokoju. Łóżko, dębowy stolik na którym jadł, pisał, spał i robił wiele, wiele więcej, zielonkawę drzwi do łazienki, telewizor, fajka i... To, co zobaczył wydawało mu się całkowicie nierealne. Obok jego bongosa stała istota z ostatniej „wycieczki w głąb wyobraźni”. „Futrzak” pomyślał i było to bardzo trafne określenie, gdyż istota, przynajmniej powierzchownie, składała się z samego bładniebieskiego futra, nie licząc pary czerwonych oczu. Stworzenie wyglądało identycznie, jak we śnie, z tą różnicą, że teraz miało jakieś dwa metry trafne wysokości i bardzo szerokie barki. Nie mógł określić budowy ciała, gdyż nie sposób było zauważyć jakichkolwiek zarysów ciała pod tymi puszystymi łkawkami.

- Adam? Jak się miewasz, przyjacielu? - rzekł Futrzak tubalnym, niskim głosem, który działał dziwnie kojąco. Słowa wypowiedane były płynnie, z jakby wyuczonym akcentem.

Nie wiedział co odpowiedzieć. Skąd znał jego imię? Dlaczego znalazł się akurat tutaj? O co mu chodzi z tym „przyjacielem”? Może był tylko omamem, a może czymś więcej. Wydaje się być realny. Spojrzał na gościa jeszcze raz. Odnosił wrażenie, że tam, pod futrem, gości bardzo przyjemny, ciepły uśmiech. Może to były jedynie jego własne odczucia, ale ta autosugestia sprawiła, że poczuł się trochę pewniej. Nie zauważył żadnych przejawów wrogości. Chyba wszystko jest OK, tylko jego wyobraźnia płata mu figle. Postanowił zaryzykować.

- No, cześć, co tam u ciebie? Pamiętasz, kiedy ostatni raz się widzieliśmy? - postanowił grać na zwłokę, aby dowiedzieć się jak najwięcej. Summa summarum - stał przed nim jakiś dziwny Sasquatch.

- Ano pamiętam. To było u mnie w lesie. Siedziałeś pod jednym z drzew, oglądając gwiazdy. Wtedy też spotkał się po raz pierwszy, wtedy zostaliśmy przyjaciółmi, a ja oprowadziłem cię do mojej krainie. Pomyślałem więc, że byłoby fajnie tym razem odwiedzić ciebie. Pokażesz mi swój świat? - pytanie całkowicie go zaskoczyło. Miałyby opowiadać o Ziemi? Czy o Polsce? Nic już nie rozumiał. Jednak z pomocą narkotyku buzującego

w jego mózgu, postanowił spełnić życzenie gościa. Podszedł do komody, wysunął szufladę i sięgnął w jej głąb. Wyciągnął pistolet. Walther P 38, broń nazistów, tych odrażających szwabów. Odwrócił się i pokazał Futrzakowi „Dziewiątkę Adasia”, którą już nieraz groził, gdy tylko na horyzoncie zauważył domokrażcę.

- Jedno pociągnięcie i człowiek nie żyje - sięgnął do kieszeni i wyjął banknot stużłotowy - Zabijają dlatego - pokazał pieniądze - aby

potem kupić sobie nabitego bongosy - wskazał fajkę wodną.

Widział, że jego ziomek nie za bardzo zrozumiał, ale go to nie obchodziło. Postanowił wylać cały kubek żółci na tego przybysza z dokładnie nieznanej lokacji. Chciał pokazać mu prawdziwy świat. Brudną rzeczywistość, zakłamanych, żyjących pod maskami ludzi, paranoję ogarniającą cały ziemski glob. [...]

Michał Domański

Prace nadesłane na konkurs „*Legenda ziemi krasnostawskiej*” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie.

NAGRODY

Karolina Kwaśniewska: „*Legenda o trzech dębach*”, Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie

Izabela Stasiuk: „*Legenda o podziemiach krasnostawskich*”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

Kinga Żelisko: „*Legenda o Krasnymstawie*”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

WYRÓŻNIENIA

Kacper Mochnej: „*Legenda o pochodzeniu nazwy Siennica Różana*”, Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Monika Piotrowska: „*Legenda o Krasnymstawie: Jak to było z kupcem, wiedźmą i rybą...*”, Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Aleksandra Ścibor: „*Legenda o Krasnymstawie*”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

Aleksandra Zielińska: „*Legenda o kowalu żyjącym w dawnym Krasnymstawie*”, Zespół Szkół nr 5 w Krasnymstawie

PRACE ZAUWAŻONE

Natalia Jachorek: „*Legenda o Łatyczowie*”, Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Małgorzata Miłczak: „*Legenda o dzielnych władcach Szczekarzewa*”, Zespół Szkół nr 5 w Krasnymstawie

Justyna Mrowiec: „*O Królowej Śniegu, o czarodzieju i zamrażniętym jeziorze*”, Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

Piotr Zadrag: „*Źródło w Łukaszówce*”, Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie.

NAGRODY

Legenda o trzech dębach

Opodal Krasnegostawu znajduje się miejscowość Białka. Wielu ludzi zastanawia się, skąd pochodzi jej nazwa, a nieliczni opowiadają legendę o trzech dębach.

Bardzo dawno temu mieszkał tu dobry i mężny władca. Miał przepiękną córkę i dwóch synów. Kochali oni konie i polowania. Dbali o swoich poddanych, troszczyli się o każdą rodzinę. W zamian za to mieszkańcy tej wyjątkowo pięknej krainy opiekowali się rumakami, a szczególnie śnieżnobiałym, dumnym i szybkim jak błyskawica ukochanym ogierem młodej panienki. Stanowili

nierozłączną parę. Zdawało się, że koń rozumie ludzką mowę. Zawsze o zachodzie słońca dziewczyna cwałowała na swym rumaku nad brzegiem stawów. Wiatr rozwiewał jej włosy, a grzywa zwierzęcia biła niesłychanie białym blaskiem.

Mijały lata. Ludziom niczego nie brakowało i zawsze dało się słyszeć śmiech beztrudno bawiących się dzieci. Mądry władca wiedział jak troszczyć się o swoją rodzinę oraz poddany lud. Niestety, pewnego dnia z obcej krainy przybył pozbawiony serca mroczny rycerz. Zapragnął ręki pięknej dziewczyny, lecz gdy mu odmówiła, owładnięty chęcią zemsty, zabił dobrego ojca i dwóch jej braci. Spalił osadę wraz z mieszkańcami,

a cudną dziewczynę i jej rumaka utopił w jednym ze stawów. W miejscu śmierci dziewczyny wyrosły trzy dęby.

Po wielu latach do zapomnianej przez wszystkich krainy przybył młodzieniec, a że był bardzo zmęczony, postanowił odpocząć przy korzeniach trzech dębów. Otulony miękkim mchem i zapachem rosnących niedaleko lilii wodnych, zapadł w głęboki sen. Widział w nim dziewczynę o niespotykanej urodzie, jadącą na cudownym białym rumaku. Kiedy obudził się, nie wiedział czy to sen, czy jawa. Jednak drzewa wyszeptaly mu smutną historię, z której dowiedział się, że dusze zamordowanych nie zaznają spokoju, dopóki ktoś nie odbuduje spalonego grodu i nie pokocha koni.

Młodzieniec, wzruszony smutną opowieścią, postanowił zamieszkać w tej okolicy. Kochał konie, a miejsce, ze względu na malownicze położenie, było dla nich idealne. Pamiętając o jasności dziewczyny i jej śnieżnobiałym przyjacielu, nadał nowej osadzie nazwę Białka.

Dzisiaj w Białce jest stadnina koni znana w całej Europie. A trzy dęby do tej pory patrzą dumnie na trochę inną, ale wciąż piękną krainę. Jednak nikt z mieszkańców nie ma odwagi pójść na spacer w świetle księżyca o północnej godzinie. Kto wie, czy nie spotkałby ślicznej dziewczyny pędzącej na białym rumaku?

Karolina Kwaśniewska
Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie

Legenda o podziemiach krasnostawskich

Dawno, dawno temu, wiosną roku pańskiego 1588 arcyksiążę Maksymilian Habsburg został pojmany w niewolę przez Jana Zamojskiego, jako że był jego politycznym przeciwnikiem i pretendentem do korony Polski. W owym czasie ludzi majątnych i ważnych więziło się najczęściej w zamkach warownych, dlatego też kanclerz wielki koronny Jan Zamojski rozważał dwie możliwości. Zwrócił się przeto do swojego przyjaciela Pawła Orzechowskiego tymi oto słowy: *Drogi przyjacielu, powiedz, gdzie będzie odpowiednie więzienie dla tak ważnego człowieka, jakim jest arcyksiążę Maksymilian Habsburg.* Paweł Orzechowski zamyślił się nieco i odpowiedział: *Jaśnie czcigodny kanclerzu na ziemi krasnostawskiej pobudowane są dwie wspaniałe fortyfikacje - zamek w Krasnymstawie, własnością twoją będący, oraz mój zamek w Krupem. Przeto proponuję, aby arcyksięcia w Krupem niewolić.*

W zamku w owym czasie przebywała krewna Orzechowskich, szlachcianka Matylda z Krupskich. Poprosił ją więc hrabia Orzechowski, ażeby donosiła jedzenie do komnaty, w której był więziony Maksymilian Habsburg. Gdy Matylda ujrzała arcyksięcia, zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i zaczęła poświęcać mu coraz więcej czasu. Zauważył to hrabia Orzechowski, któremu nie spodobała się to, ponieważ był stronnikiem Jana Zamojskiego. Zatem udał się on do Jana Zamojskiego i poprosił o przeniesienie Maksymiliana Habsburga do zamku w Krasnymstawie, czego dokonano latem 1588 roku. Pomimo rozłąki, miłość Maksymiliana i Matyldy nie ustawała. Pewnego dnia na zamku w Krasnymstawie odbywał się turniej rycerski.

Matylda przybyła w towarzystwie wuja Pawła Orzechowskiego. Korzystając z pierwszej sposobności, pobiegła zobaczyć się z Maksymilianem. Natychmiast trafiła przed komnatę, w której był więziony, lecz wejścia strzegł strażnik. Przekupiła go więc, wtykając mu 200 groszy gdańskich, i tak oto dostała się do wnętrza. Zakochani szybko uknuli plan, aby uciec z zamku i dostać się do stolicy. Lecz nagle w komnacie pojawił się Paweł Orzechowski zawiadomiony przez chciwego strażnika, który chciał zarobić podwójnie, za co otrzymał z kolei 300 groszy krakowskich, a Matylda została aresztowana i osadzona. Oskarżycielem w jej procesie był przedstawiciel samego króla, który rzekł te słowa: *Skarżę w imieniu tych wszystkich, którym osoba szlachcianki szkodziła i proszę, aby za swoje złe uczynki przez sprawiedliwy sąd została ukarana.* Po przeprowadzeniu procesu, sąd dekret ogłosił i nakazał, aby Matylda za swoje uczynki została stracona. Matyldę osadzono w komnacie pod eskortą przekupnego strażnika, który mając na sumieniu ohydny zdradę, pomógł teraz Matyldzie uciec.

A było to tak: Matylda słyszała od wuja, że z krasnostawskiego zamku do zamku w Krupem istnieje tajne przejście, więc zbiegła do piwnicy krętymi schodami. Rzeczywiście odnalazła wejście lecz po chwili zgubiła się w splątanych korytarzach krasnostawskich podziemi. Pomimo wielu starań ani drogi powrotnej, ani przejścia do zamku w Krupem nie odnalazła. Legenda głosi, że Matylda ciągle krąży po podziemiach i poszukuje drogi, a kto odważy się tam wejść może ją spotkać. Wielu miało na to ochoty. Byli jednak śmiałkowicie, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo, próbowali przedostać się z Krasnegostawu do Krupego, za nic mając legendę o nieszczęśliwie zakochanej Matyldzie. Szybko jednak zawracali, umykając spieszenie przed błądzącą damą.

I ty możesz spróbować odnaleźć sekretną drogę między zamkami. Musisz jednak unikać spotkania z Matyldą, a gdybyś ją jednak napotkał, to nie zapomnij powiedzieć, że jesteś zwolennikiem księcia Maksymiliana i chętnie byś go widział na

królewskim tronie. Inaczej z krasnostawskich podziemi możesz już nie wrócić.

Izabela Stasiuk
Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

Legenda o Krasnymstawie

Dawno, przed wiekami żyli sobie Krasny i Staw. W mieście Szczekarzew znani byli jako wyjątkowe lenie. Nie traktowali życia poważnie. Mimo, że pochodzili z dobrych i pracowitych rodzin, nikt w miasteczku ich nie szanował i nie ufał im. Rzadko wywiązywali się z obietnic i nie imali się żadnej konkretnej pracy. Nie założyli też własnych rodzin i byli włóczęgami. Pociągała ich chęć poznawania świata i podróżowania. Nie byli też przystojni. Ubierali się niechlujnie i zostawiali po sobie wszędzie bałagan.

Kasny miał liche, czarne włosy i delikatne wąsy. Nigdy się nie cesał. Był chudy, kościsty i bardzo wysoki. Ubierał się w stare, połatane spodnie i lnianą szeroką koszulę. Zawsze nosił torbę, w której miał szkicownik i farby. Był marzycielem, wiecznie bujał w obłokach. Na życie zarabiał, sprzedając swoje obrazy. Staw natomiast był gruby, niski i niezdarny. Był łysy, ale za to miał bardzo długą brodę i gęste, zrosnięte brwi. Zarabiał na życie jako magik, ale tylko wtedy gdy brakowało mu pieniędzy. Nie był błyskotliwy i w każdej sprawie radził się Krasnego. Przyjaźnili się od bardzo dawna. Poznali się w cyrku i od tamtej pory byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Mieszkali w ubogiej części miasta.

W tym okresie Szczekarzew nawiedzany był przez złego golluma Valakasa. Całe miasteczko lękało się go i nie było sposobu, aby go pokonać. Valakas raz w roku nawiedzał mieszkańców i niszczył ich dobytek. Nikt nie znał dnia ani godziny, w której przyjdzie zły potwór. Mieszkańcy cały czas żyli w strachu. Król nie wiedział, co ma zrobić, aby uratować swój lud i miasto przed nieszczęściem. Wynajmował najlepszych wojowników, ale i tak ponosił klęskę. Nikt nie zdołał pokonać Valakasa, a ten co roku porywał pięć najpiękniejszych niewiast do swojej jaskini i nie wiadomo, co się z nimi działo. Jedni mówili, że je pożerał, inni - że sprzedawał do obcego kraju. Krótko mówiąc - był największym postrachem ludu. Nie było śmiałka, który zdobyłby się na odwagę i zaatakował go w jego jaskini.

Pewnego letniego, spokojnego dnia gdy Krasny malował obraz, a Staw wylegiwał się na łące i objadał jabłkami, coś zakłóciło spokój miasta. Staw nie przejął się krzykami dochodzącymi z centrum, chcąc uciąć sobie drzemkę. Za to Krasny zainteresował się. Nie wiedział, co mogło się stać, bo przecież zły gollum był tu niespełna pół roku

temu. Postanowił to sprawdzić i udał się w stronę miasta. Niezwłocznie dołączył do niego Staw. Okazało się, że to jednak Valakas, który - o dziwo - nie niszczy miasta, ale kieruje się w stronę zamku. Zaciekawiony Krasny pobiegł w tamtą stronę. Zanim zdołał dobiec, gollum już się wycofał z zamku i zmierzał w stronę swojego legowiska z jakąś niewiastą. Gdy tylko potwór zniknął w jaskini, król zwołał zebranie na głównym dziedzińcu. Ogłosił, że zły Valakas porwał jego córkę. Ludzie rozpaczali, że nie ma już dla niej ratunku. Sam król także nie wierzył w to, że odzyska swoje ukochane dziecko. Staw bardzo się tym przejął i postanowił uratować królową. Krasny chciał mu w tym pomóc. Poszli więc do króla prosić o zbroje i miecze. Ale władca nie zgodził się, sądząc, że chcą go oszukać i przywłaszczyć sobie broń. Postanowili więc na własną rękę ocalić księżniczkę. Wyruszyli bez zbroi, chcąc udowodnić, że nie są łotrami. Następnego dnia z samego rana udali się do golluma. Droga zajęła im trzy godziny. Gdy dotarli na miejsce, od razu go zaatakowali, uknuli bowiem podstępny plan, aby wydostać księżniczkę.

Udało się. Szybko wydostali księżniczkę i uciekli, ale tym strasznie rozwścieczyli Valakasa. Potwór ociepale ruszył za nimi, więc nie obawiali się, że ich dogoni. Gdy zbliżyli się do miasta, Valakas rozłożył się jeszcze bardziej i zaatakował mieszkańców. Strażnicy ukryli księżniczkę w zamku, a Krasny i Staw zaczęli walczyć z potworem. Ludzie stracili już nadzieję, że przeżyją. Nagle Krasny wpadł na pomysł jak pokonać golluma. Szybko pobiegli po miód do pobliskich pasiek i oblali nim całego potwora. Do słodkiego potwora zleciały się pszczoły i obsiadły go, żądłac bardzo mocno. Gollum próbował uwolnić się od owadów, ale stracił równowagę i upadł na ziemię. Wtedy Staw i Krasny związali go linami i wrzucili do rzeki na przygotowaną wcześniej tratwę. Tak odpłynął straszny Valakas i już nigdy nie wrócił. Nikt nie wie, co się z nim stało. Na cześć dwóch bohaterów, dzięki którym mieszkańcy mogli żyć w spokoju, bez obawy o własne bezpieczeństwo, król przekrzcił miasto ze Szczekarzewa na Krasnystaw.

Staw i Krasny stali się bogaci i sławni. Księżniczka wyszła za Krasnego, a Staw został głównym doradcą nowego króla - Krasnego. Od tamtej pory wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Kinga Żelisko
Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

WYRÓŻNIENIA

Legenda o pochodzeniu nazwy Siennica Różana

Dawno, dawno temu, za czasów panowania Jagiellonów, właścicielem Siennicy stał się Mikołaj z Borzyszwic. Miejscowość ta nazwę swą wzięła od rozległych łąk, które latem szczyliły się mnogością stogów siana. Siennica była bardzo urokliwą miejscowością. Piękne krajobrazy sprawiały, że przybywało tu wielu podróżnych. Zamieszkivali ją ludzie prości, ale gościnni i szlachetni. Zawsze życzliwi.

Miejscowość rozrastała się. Mijały lata, po ojcu odziedziczył Siennicę Janusz zwany Zawiszą. Był to człowiek światły i ambitny. Szybko wspinał się po szczeblach kariery. Król wysoko cenił jego talent i zasługi. W 1496 r. mianował go starostą chełmskim.

Wkrótce Janusz ożenił się z Zofią z Pustolowa, niestety, nie mógł doczekać się syna, urodziła mu się za to córka - piękna jak kwitnąca róża. Nie wiedział, komu przepisać wieś, myślał więc i myślał, aż zdecydował, że dobra po nim obejmie jednak jego córka. Postanowił wydać ją dobrze za mąż i zapragnął znaleźć odpowiedniego kandydata.

Tymczasem w Krakowie od kilku lat przebywał ich sąsiad Stanisław Siennicki, przystojny i mądry młodzieniec. W Krakowie było wiele pięknych dziewcząt, ale widząc je, tym bardziej uświadamiał sobie, jaki klejnot mieszka tu obok. Postanowił udać się na swoje włości. Gdy tak snuł plany, ktoś zapukał do drzwi. Był to sąsiad Jan.

- Dzień dobry Stanisławie - powiedział - podobno wyruszasz jutro w podróż. Oszalałeś? Przecież za miastem mieszka smok, który poluje na wszystkich, którzy opuszczają mury Krakowa.

- Wiem, lecz muszę natychmiast wyruszyć.

- Zastanów się jeszcze! Przecież nawet nie wyjdiesz z miasta. To głupota!

- Sądzę, że uda mi się przemknąć, kiedy smok wybierze się na polowanie.

- Myślisz, że smok nie wyczuje cię? Smoki mają najlepszy węch ze wszystkich istot. A ten, to wyjątkowo szczwana bestia.

- To moja decyzja! Być może mnie zje, trudno, muszę wracać, bo stracę prawdziwy skarb.

- Rób co chcesz. Smok cię zje i tyle. Ja wracam do domu, bo jak dłużej zostanę, to na pewno się pokłócimy. Do widzenia.

- Do widzenia.

W głowie Stanisława kłębiło się wiele myśli: „Niech sobie mówi, co chce. Ja i tak pójdę. Wiem, jak zmylić smoka”. Kiedy tak rozmyślał - zasnął.

Śniły mu się koszmary. Nagle obudził się, było już widno, niebawem miał wyruszyć. Wyjął mapę i zaplanował trasę. Z Krakowa do Tarnowa, później z Tarnowa do Kielc, następnie do Lublina i drogą na Zamość. Spakował się i kiedy miał już wychodzić, nagle ktoś zapukał do drzwi. Był to jego przyjaciel, Teofil.

- Odprowadzę cię!

Kiedy podążali w kierunku murów miejskich, Teofil jeszcze raz zapytał:

- Czy jesteś pewien, że chcesz wyruszyć w tę podróż?

- Jeśli nie wyruszę, to całe życie będę żałował - stanowczo odpowiedział Stanisław.

Pożegnali się. Na rogatkach na Stanisława czekali dwaj umówieni łucznicy, którzy mieli mu pomóc wydostać się poza Kraków.

- Jaki mamy plan? - zapytał jeden z nich.

- Zrobimy tak: w chwili gdy smok wybierze się na polowanie wyjdziemy poza mury miasta i na polanie podłożymy mięso. Kiedy będzie je pożerał, ja przemknę obok, a wy - gdyby mnie doganiał - strzelajcie z łuków. To cały plan.

Łucznicy uwinęli się przed polowaniem. Kiedy potwór odleciał, opuścili mury miasta i podłożyli przynętę. Nagle smok wyczuł jej zapach. Stanisław biegł co sił w nogach. Smok nie dał się jednak przechytrzyć i wkrótce zaczął go doganiać. Wtedy łucznicy wypuścili strzały. Nie unieszkodliwiły jednak potwora, gdyż jego łuski były zbyt twarde. Za to smok skierował się w kierunku rycerzy. Stanisław nie oglądał się za siebie, bo nie chciał patrzeć jak giną kolejni ludzie.

Szedł wiele dni i nocy. Postanowił opuścić główną drogę i pójść skrótem przez las. Uświadomił sobie po jakimś czasie, że zabłądził. Nagle usłyszał wycie wilków. W jednej minucie otoczyły go ze wszystkich stron. Stał przerażony. Od śmierci uratowali go leśni ludzie. Grad wypuszczonych przez nich, zapalonych strzał odstraszył zwierzęta.

- Nie mów nikomu, że nas widziałeś - powiedział jeden z nich.

- Proszę, masz tu mapę, która pomoże ci wydostać się z lasu.

Stanisław podziękował. Dzięki mapie wydostał się z lasu i wyruszył w stronę Tarnowa. Tam zamierzał odpocząć i kupić konia. Kiedy po dwu dniach dotarł na miejsce, postanowił poszukać porządnej gospody. Zatrzymał się „Pod różdżką”.

- Jakiego konia pan szuka? - zapytał sprzedawca.

- Szybkiego, silnego i zdolnego wytrzymać długą podróż.

- Jest koń, który spełnia wszystkie pańskie wymagania, nazywa się Śnieżny Płomień.

Rumak spodobał się Stanisławowi. Zapłacił za niego i wyruszył w dalszą drogę. Podróżowało mu się dobrze, aż do momentu, gdy natrafił nad wielkie urwisko. Próbował je obejść, jednak to się nie udało. Załamał się. Mógł przejść po przewróconym drzewie, ale musiałby zostawić konia. Nic mu nie przychodziło do głowy. Zawrócił. Wszedł na ścieżkę prowadzącą do wąwozu. Od czasu do czasu słyszał syk, ale myślał, że mu się tylko wydaje. Im bardziej zagłębiał się w leśnej gęstwinie, tym bardziej się bał. Nagle koń stanął dęba, młodzieniec upadł na ziemię. Był w samym środku wąwoziska. Otaczały go żmije. Z prawej strony, spod potężnej skały wypelzały wciąż nowe.

Zaczął krzyczeć: - Pomocy!

Żmije były bardzo blisko. Stanisław nie miał już nadziei, że coś go uratuje. Jedna z nich uniosła wysoko łeb i przymierzała się do ataku. Nagle ktoś zrzucił głaz. Żmije wystraszyły się. Nieznajomy zszedł do wąwozu i zagadnął.

- Nazywam się Przemysław. Mało brakowało, a jedna z nich, ugryzłaby cię. Jak się właściwie nazywasz?

- Stanisław. Nie znam tutejszych stron i nie wiedziałem, że mieszkają tu żmije. Dokąd prowadzi wąwóz?

- No tak, mogłem się domyśleć. Jeśli chcesz wiedzieć, to tędy można nim dojechać do Kielc.

- To doskonale, akurat tam zmierzam.

- No cóż. Ta droga jest bardzo niebezpieczna, ale chętnie ci pomogę.

Przemysław był dobrym człowiekiem i świetnym kompanem. Wyprowadził go na główny trakt.

Gdy dotarli do jego domu, przedstawił swoje siostry. Były bardzo urodziwe, ale żadna z nich nie zainteresowała Stanisława. W Kielcach Przemysław musiał opuścić swojego nowego przyjaciela. Stanisław pożegnał się:

- Teraz wyruszę do Lublina.

- No to szczęśliwej podróży. Ja muszę zostać, ponieważ mam wiele spraw do załatwienia - odparł na pożegnanie.

Kiedy Stanisław przekraczał Wisłę, odczuł, że powoli zbliża się do rodzinnego domu. Znowu ujrzał piękne krajobrazy. Nie zatrzymywał się, i przez Lublin dotarł do Krasnegostawu. Tu spotkał towarzyszy swoich dziecięcych zabaw. Zdziwili się na jego widok. Opowiedział im swoje przygody i wyjaśnił cel podróży.

- Szybko, jedź do Siennicy, o córkę Jana Zawiszy stara się wielu kawalerów. Pośpiesz się!

Młodzieniec natychmiast dosiadł swojego konia. Niebawem ujrzał Barbarę. Rzeczywiście była niezwykła. Gdy Jan usłyszał, na jakie niebezpieczeństwa narażał się Stanisław dla jego córki, oddał mu jej rękę bez wahania. Ponieważ była tak piękna jak kwitnąca róża i miała różę w herbie, Siennicę którą mu wniosła w posagu nazwał Siennicą Różaną.

Mieli syna Mikołaja, który był następnym właścicielem Siennicy Różanej i jednym z najznamienitszych Polaków.

Kacper Mochniej

Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej



Jak to było z kupcem, wiedźmą i rybą...

Dawno temu żyło sobie dwóch braci. Jeden z nich był kupcem, natomiast drugi rybakiem. Bardzo chcieli wyruszyć w podróż, ale ich ojciec nie wyrażał na to zgody.

Pewnego dnia synowie powiedzieli do ojca, że wyjeżdżają na nowe i niezamieszkałe tereny w południowo-wschodnim kierunku. Ojciec ostatecznie zgodził się, ostrzegając o niebezpieczeństwach, jakie czyhają na drogach.

Podczas wędrówki napotkali Kozaków, od których chcieli się dowiedzieć, czy znany jest im przemierzany szlak oraz tamtejsze ziemie. Kozacy opowiedzieli, że znajduje się tam dużo stawów otoczonych puszcza, uprzedzili też o wiedźmie zwanej Okrzeją, która zamieniała wszystko w złoto, a której pomagała piękna Rośszczanka. Bracia podziękowali za wiadomości i poszli dalej.

Gdy dopadł ich głód, rybak złowił w stawie ogromne karpie, a z pobliskiej rzeki zaczerpnął wody, aby ugasić pragnienie i przetrwać w tej nieprzyjaznej krainie. Następnego ranka rybak, łowiąc ryby na śniadanie, ujrzał piękną dziewczynę, kąpiącą się w rzece. Zakochał się w nieznamym i postanowił z bratem zabrać ją ze sobą. Na przeszkodzie stała jednak wiedźma, więc postanowili ją zgładzić. W tym celu zwabili ją o świcie nad staw pod pozorem zawarcia ugody. Jednak Okrzeja nie chciała negocjować, lecz miała zamiar zamienić ich w złote posągi i dołączyć do swojej kolekcji. Gdy rzuciła czar, bracia stali na przeciwnym brzegu jeziora, promień złota odbił się jednak od tafli wody i ugodził wiedźmę prosto w serce. Okazało się wówczas, że Rośszczanka jest piękną nieznaną znaną rzeki.

Następnego wieczoru bracia świętowali swoje zwycięstwo, a Rośszczanka bardzo radośnie podziękowała im za uwolnienie. Kupiec zebrał złoto pokonanej wiedźmy Okrzei, a najpiękniejszą koronę zatrzymał dla siebie.

Razem postanowili osiąść w tej krainie, bogatej w ryby i żyzne ziemie. Rybak i Rońszczanka stali się sołtysami osady, której symbolem była złota korona. Złote karpie i pyszne chmielowe piwo - to największe przysmaki z karczmy kupca, znane w całej okolicy.

Od tej pory Krasnystaw, czyli Piękny Staw - jak zwykli mówić o tej osadzie znani Kozacy, ma w swoim herbie dwa piękne karpie, otoczone zielonym chmielem, ze złotą koroną na górze.

Monika Piotrowska
Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Legenda o Krasnymstawie

Pewnego letniego dnia na malowniczą łąkę nad rzeką Wieprz przyleciał wielki i groźny smok. Mieszkający nieopodal odważny rybak o imieniu Krasny podjął próbę zabicia gada. Gdy zobaczyły to dwa małe koziołki, które pasły się w zagrodzie, przestraszyły się i uciekły przed siebie. Pobiegły aż do Poznania. Aby odpocząć wskoczyły na wieżę ratusza i zostały tam na zawsze. Gdy Krasny próbował zgładzić potwora ten przestraszył się i odleciał do Krakowa. Ukrył się w jamie pod Wawelem. Rybak zaś został miejscowym bohaterem.

Krasny miał brata rybaka o imieniu Staś i siostrę Chmielkę. Przez 20 lat bracia żyli w zgodzie i pokoju. Niespodziewanie na ich tereny napadli Turcy. Wybuchła wojna. Bracia musieli się rozstać. Krasny pojechał na północ, a Staś na południe i tam osiedlili się. Tak tęsknili za sobą, że gdy Krasny złowił karpia, który spełnia życzenia, poprosił go, by popłynął do Stasia i przekazał mu wieści od brata. Aby powiedział mu, że Krasny bardzo go kocha i tęskni. Okazało się, że jego brat również złowił podobnego karpia. Bardzo się zdziwił, bo na świecie były tylko dwa takie magiczne karpie. Nie wiadomo jak to się stało, ale bracia pomyśleli i zażyczyli sobie tego samego. Karp złowiony przez Stasia popłynął do Krasnego i chciał opowiedzieć mu o wielkiej tęsknocie i miłości brata. Wypuszczone karpie spotkały się w Wieprzu.

W tym czasie płynący po nim statek rybacki księcia Sylwestra zapuścił sieci i karpie zostały złowione.

Książę Sylwester zaprosił lud z okolic jego królestwa na swoje urodziny. Zaproszenie dostała również siostra Krasnego i Stasia. Chmielka posłała jak najszybciej po braci, aby wrócili na rodzinną ziemię. Wkrótce odbyła się uroczystość. Podano na niej wiele smakowitych potraw i dwa złowione karpie, które nawet po przygotowaniu świeciły niezwykłym, złotym blaskiem. Przybyli bracia natychmiast rozpoznali, że te dwie ryby są karpiami, które niegdyś posłali do siebie. Gdy tak rozmyślali książę zaczął przemowę. Mówił: „widać, że te karpie nie są zwyczajne. Czy ktoś umie powiedzieć, co to za ryby?”. Bracia podnieśli ręce do góry. Książę zapytał: „Czy one są zwyczajne?”. Odpowiedzieli: „to są magiczne karpie, które płynęły, aby spełnić nasze życzenia”. Na te słowa książę znowu przemówił: jeżeli nazywacie się Krasny i Staś, na waszą cześć nazwę moją miejscowość KRASNYSTAW. Jej herbem będą dwa KARPIE na niebieskim tle. Pierwszy będzie płynął w lewo, a drugi w prawo. A wy zostaniecie moimi doradcami i będziecie mieszkać ze mną w pałacu. Bracia zgodzili się i wkrótce zostali nadwornymi zarządcami księcia.

Od tamtej pory nasza miejscowość nazywa się Krasnystaw. Herbem są dwa karpie na niebieskim tle, które przypominają o wielkiej miłości braci Krasnego i Stasia.

Aleksandra Ścibor
Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

Legenda o kowalu żyjącym w dawnym Krasnymstawie

Dawno, dawno temu w Szczekaczewie a dzisiejszym Krasnymstawie żył ubogi kowal z czworgiem swoich dzieci. Pewnego dnia jedna z córek kowala, o imieniu Karolina, ciężko zachorowała. Choroba zagroziła jej życiu. Jedynym lekarstwem była mikstura ze śliny nietoperza i trzech pazurów smoka. Nietoperz zamieszkiwał jaskinię Raj, a smok - Puszcę Białowieską. Kowal

bardzo ciężko pracował, by zdobyć pieniądze na daleką wyprawę po składniki leku. Utrzymywał dzieci i dlatego odkładał każdy grosz na podróż. Gdy dostawał większe niż zwykle zlecenia, bardzo się cieszył. Każdą wolną chwilę spędzał ze swoimi dziećmi. Opiekował się najlepiej jak potrafił.

Pewnego dnia do Szczekaczewa przyjechał wraz ze swym przyjacielem bogaty książę z dworu gdańskiego. W podróży koń księcia zgubił złotą podkowę i książę szukał doświadczonego kowala, który umiałby podkuć konia zgodnie ze sztuką. Książę pytał okolicznych mieszkańców o dobrego kowala. Wszyscy opowiadali mu o jedynym, który

miął czworo dzieci i był bardzo ubogi. Wielki pan posłuchał rad i poprosił pewną kobietę, by pokazała mu, gdzie znajduje się dom i kuźnia kowala. Staruszka uprzejmie zaprowadziła go do rzemieślnika, który bardzo ucieszył się z tej wizyty. Przyjął księcia serdecznie i miło. Zaprosił do chaty, gdzie poczęstował ciepłą strawą. Kowal opowiedział księciu o chorobie córki i o tym co może ją uleczyć. Książę przejął się ich losem i postanowił im pomóc. Tymczasem poprosił kowala o zrobienie złotej podkowy i o podkucie konia. Kowal zabrał się do pracy z zapałem i entuzjazmem.

Po niespełna trzech godzinach podkova była gotowa. Lśniła blaskiem żywego złota. Koń został podkuty, a w zamian za ten czyn kowal otrzymał od księcia tysiąc złotych monet na podróż po składniki do mikstury, a także na utrzymanie domu.

Minął tydzień, gdy kowal wyruszył w podróż do jaskini Raj i Puszczy Białowieskiej. Zostawił dzieci ze swoim najlepszym przyjacielem i jego żoną Anną. Anna bardzo dobrze radziła sobie w opiece nad czworgiem dzieci, zaś Karol - przyjaciel kowala - zajmował się gospodarstwem. Doił krowy, rąbał drewno na opał, a także pracował w kuźni. Dzieci dobrze się czuły w ich towarzystwie, lecz bardzo tęskniły za ojcem i nie mogły doczekać się jego powrotu. Piątego dnia po wyjeździe ojca nadszedł list, w którym było napisane: *Drogie dzieci, Anno i Karolu, odbyłem już wyprawę do jaskini Raj i zdobyłem ślinę nietoperza. Nie było to*

proste zadanie, lecz udało się. Teraz jestem w drodze do Puszczy Białowieskiej i bardzo za Wami tęsknię. Myślę, że niedługo wrócę do domu. Serdecznie was pozdrawiam.

Wszyscy bardzo przejęli się wiadomością od kowala i ucieszyli się, że zdobył ślinę nietoperza. Po kolejnych pięciu dniach przyszedł następny list: *Niebawem wracam. Kocham Was mocno.*

Tym razem ucieszyli się jeszcze bardziej na myśl, że kowal wraca i zaczęli przygotowywać różne potrawy na jego powitanie. Kiedy nadszedł długo oczekiwany dzień, wszyscy wstali wcześniej, ubrali się odświętnie, a następnie przyodzobili stół. Po czterech godzinach rozległo się pukanie do drzwi i cała rodzina zerwała się na równe nogi. Anna otworzyła wrota i ujrziała kowala. Uściskom i powitaniom nie było końca. Następnie kowal zaczął przygotowywać miksturę dla chorego dziecka. Po kolei wkładał do miski składniki i mieszał je. Niezwłocznie podał lekarstwo córce, a ona odżyła. Dziewczyna z każdą minutą wracała do zdrowia, a po godzinie sama wstała z łóżka. Udała się do kuźni ojca i oznajmiła, że ma zamiar pojechać do księcia, aby osobiście podziękować za okazaną pomoc. Dwa dni później zrealizowała swe plany i pojechała do pałacu. Poprosiła o spotkanie z księciem. Młodzi spodobali się sobie. Książę oświadczył się Karolinie, po czym odbyło się huczne wesele, na które zaproszono ludzi z całego Szczekarzewa.

Aleksandra Zielińska
Zespół Szkół nr 5 w Krasnymstawie

PRACE ZAUWAŻONE

Legenda o Latyczowie

Pewnego dnia opodal Krasnegostawu, w lesie, na pięknej, zielonej polanie budowano drewniany domek, w którym miała zamieszkać rodzina z nienarodzonym jeszcze dzieckiem. Kiedy budowa była już ukończona, nastał dzień narodzin. Niespodziewanie na świat przyszły trojaczki: trzech synów, ale zupełnie niepodobnych do siebie. Rodzice zdecydowali, że nadadzą im oryginalne imiona, które wezmą od pierwszych słów wymówionych przez każdego z nich. Dzieci były bardzo kochane i otaczane troskliwą opieką. Wszyscy podziwiali ich wyjątkową, odmienną urodę i z niecierpliwością oczekiwali, kiedy zaczną mówić.

Wreszcie przyszedł dzień, gdy najmniejszy chłopiec o ciemnych włosach wypowiedział słowo: LA, a jego braciszek - blondasek o jasnej karnacji wymówił słowo: TY, trzeci z braci, wesoły i mądry piegusek zakrzyknął: CZÓW. Odtąd chłopcy zaczęli nosić takie właśnie imiona.

Wszyscy trzech wyrosli na uroczych młodzieńców, którzy założyli własne rodziny i gospodarstwa, a z biegiem czasu zaczęło też przybywać im potomstwa.

Bracia karczowali las i zamieniali go w pola uprawne, hodowali zwierzęta i zakładali pasieki. Słynęli na całą okolicę z gospodarności i przedsiębiorczości. Mała osada coraz bardziej się powiększała, gdyż dzieci dorastały i zakładały kolejne rodziny. Ściągali także ludzie z różnych stron świata. W końcu przyszedł czas, gdy mieszkańcy wsi zdecydowali nadać nazwę swojej miejscowości od trzech imion jej założycieli: La, Ty i Czów.

W ten sposób powstała nazwa „Latyczów”, która do dzisiaj funkcjonuje, a wioska przyciąga urokiem krajobrazu. Kwitnie tu rolnictwo i hodowla. Ludzie są pracowici i żyją uczciwie.

Natalia Jachorek
Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Legenda o dzielnych władcach Szczekarzewa

Bardzo dawno temu w Szczekarzewie żył sobie pewien odważny rycerz. Miał siostrę Kunegundę. Pewnego dnia, podczas nieobecności brata, dziewczyna wymknęła się na dziedziniec pałacowy. W oddali widać było szereg ogródków, które ciągnęły się nad brzegami rzeki Wieprz, gdzie zamieszkiwali ubodzy mieszkańcy miasta. Dziewczyna wychowana w dostatku, z przerażeniem patrzyła na nędzne lepianki, ubogie poletka, wynędzniałe twarze biedaków. Żał ścisłał jej serce. Dlaczego brat nigdy jej tego nie pokazał? Rozpieszczana przez rodziców i służbę nie miała pojęcia o ogromie biedy, która rozpanoszyła się wokół zamku. Postanowiła, że musi pomóc swoim poddanym. Po zachodzie słońca wróciła do zamku i położyła się spać. W nocy przyśnił się jej proroczy sen. Miała wyruszyć w długą podróż, u kresu której odnajdzie ratunek dla ubogich. Prowadziła tam droga pełna niebezpieczeństw. Dziewczyna obudziła się i poszła do stajni po jednego z dwudziestu koni. Ruszyła na poszukiwanie pomocy. Jechała siedem długich dni, aż dotarła do pewnej doliny, którą okrywała gęsta mgła. W tym samym czasie brat Kunegundy już zaczął jej poszukiwać. Dowiedział się, że odwiedziła biedaków nad rzeką i zrozumiał, że siostra postanowiła pomóc mieszkańcom Szczekarzewa. W nocy przyśnił mu się ten sam sen, co Kunegundzie. Natychmiast wyruszył w długą podróż. Tak jak jego siostra, jechał siedem długich dni. Wreszcie dotarł do tej samej doliny i ujrzał Kunegundę idącą nad przepaścią. Szybko ruszył jej

na pomoc. Gdy wdrapywał się na szczyt, ujrzał jak kobieta z długimi, czarnymi włosami pojmowała Kunegundę i zabrała do jaskini znajdującej się opodal lasu. Natychmiast ruszył za nimi. W jaskini było przejście do tajemniczego zamku. Perwić - tak miał na imię rycerz - trafił do jednej z komnat, w której przebywała kobieta o czarnych włosach. Na jego widok zapytała:

- Czego tu szukasz chłopcze?

On zaś odpowiedział:

- Porwano moją siostrę i wiem, że jest gdzieś w pobliżu.

- Twoja siostra postanowiła zostać i służyć mi w zamian za polepszenie losu mieszkańców grodu.

- Pani zabierz mnie. Ona jest taka delikatna, krucha i dobra. Będzie wspaniałą władczynią. Zabierz lepiej mnie.

- Jestem wzruszona waszą miłością i oddaniem dla poddanych. Uwolnię was oboje. To, co przeżyliście niech stanie się nauką - świat nie kończy się na własnym zamku i pięknym ogrodzie. Dalej też mieszkają ludzie o sercach szczerych i prawych. Wspólną pracą stworzycie piękne miasto. Oto nasiona cudownej rośliny - jest to chmiel, który w przyszłości przyniesie mieszkańcom Szczekarzewa bogactwo i sławę.

Rodeństwo szczęśliwie wróciło do zamku. Roślina otrzymana od tajemniczej kobiety wyrosła i po dzień dzisiejszy stanowi dla naszego miasta źródło bogactwa i sławy.

Małgorzata Mięczak
Zespół Szkół nr 5 w Krasnymstawie



Królowej Śniegu, czarodzieju i zamrzniętym jeziorze

Królowa Śniegu jechała na wigilię ze Lwowa do Krakowa wielkimi saniami, które ciągnęło dziewięć koni. Nagle jeden z nich potknął się i złamał nogę. Gdy wysiadła z sań, ujrzała zasypaną śniegiem krainę. Pospieszenie zaczęła poszukiwać pomocy. Nagle stanęła przed pokrytym cienką warstwą lodu jeziorem.

Na drugim brzegu spostrzegła czarownika, który zaklinał jezioro. Skutkiem czego miasto Szczekarzew nie mogło przyjmować szacownych gości, bo gdy dochodzili do jeziora to nagle każdego spotykało jakieś nieszczęście. Mieszkańcy Szczekarzewa postanowili odczarować jezioro i pozbyć się intruza. Niestety, czarownik zagroził, że razem z jeziorem zniknie Wisła i morze. Królowa nie chciała do tego dopu-

ścić. Wiedziała, że czar może zrzucić tylko ten, który przejdzie przez jezioro aż do morza i musi mu przy tym bardzo zależeć na istnieniu jeziora. Wówczas nawet najcieńszy lód wytrzyma pod jego nogami. Królowa Śniegu postanowiła pomóc mieszkańcom Szczekarzewa i przejść przez zamrznięte jezioro. Szła bardzo ostrożnie, aż doszła szczęśliwie do morza. Wtedy tafla lodu nagle pękła. Dwa złote karpie, które mieszkaly pod lodem zaniósł królową z powrotem do Szczekarzewa. Gdy wróciła, czarownika już nie było. A na jego miejscu stała świnia.

Wkrótce sanie królowej zabrały ją do miasta. Tam tłum ludzi dziękował jej za uwolnienie rzeki do tej pory zamkniętej w jeziorze. Potem Królowa Śniegu nadała jej nazwę tymi słowami: *narobiłeś tyle szkód, ale zasługujesz na to, aby nazwać cię rzeką. Zostałaś oswobodzona, więc od tej pory będziesz zwana jako rzeka Wieprz.* O mieście po-

wiedziała: *dzięki mojemu koniowi, który zwie się Krasny i rzece, która była dla niego też pechowa, to miasto od dziś będzie nosić nazwę Krasnystaw. A herbem jego będą dwa złote karpie.*

Gdy odjeżdżała, obiecała, że za rok odbę-

dzie się tu Wigilia, na którą zaproszeni zostaną wszyscy mieszkańcy Krasnegostawu.

Justyna Mrowiec

Zespół Szkół nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie

Zródło w Łukaszówce

Bardzo dawno temu w Łukaszówce koło Krasnegostawu stał okazały zamek. W komnatach, które były pięknie urządzone, mieszkały dwie siostry. Starsza Zosia, bardzo energiczna, i młodsza - Kinga, będąca jej przeciwieństwem.

Pewnego dnia do zamku przybył rycerz szukający noclegu. Został gościnnie przyjęty przez siostry. Urzekła go uroda obu kobiet. W związku z tym przedłużył swój pobyt w zamku. Także obie kobiety zakochały się w urodziwym młodzieńcu i zabiegały o jego względy. Rycerz nie wiedział, którą obdarzyć swoim uczuciem.

W rywalizacji zwyciężyła starsza siostra. Młodszą Kingę opanował wielki smutek i zaczęła

często wymykać się na leśne wędrówki. Zosia, zazdrosna o rycerza, patrzyła podejrzliwie na swoją siostrę, aż nagle postanowiła na wszelki wypadek pozbyć się rywalki. Dolała trucizny do miodu i zamierzała ugościć spragnioną siostrę, gdy ta wróci ze spaceru.

Kiedy młodsza siostra wracała do domu zerwała się straszna burza. Kinga już dobiegała do bram zamku, gdy uderzył potężny piorun i zamek rozpadł się w gruzy. Usiadła na kamieniu i zapłakała rzewnie. Łez nazbierało się tak dużo, że do dzisiaj zasilają źródło przy kapliczce pw. św. Łukasza Ewangelisty, a po cudowną wodę zaczęli pielgrzymować ludzie z dalekich stron.

Piotr Zadrag

Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie

Longin Jan Okoń

Poeta Polską zatroskany

Leszek Franciszek Rak jest poetą dwóch kontynentów. Urodził się 2 grudnia 1948 roku w Jakubowicach Murowanych (dziś wchłoniętych przez miasto Lublin); ukończył liceum ogólnokształcące w Lublinie (1972), studiował fizykę na UMCS (1973-1975) i pracował w Fabryce Samochodów Ciężarowych, po czym podjął działalność artystyczną w lubelskim Teatrze Muzycznym jako tancerz i solista (1968-1984).

W roku 1984 pojechał odwiedzić rodzinę w Stanach Zjednoczonych i pozostał tam na stałe. W 1996 ukończył informatykę na uniwersytecie w Orono; zamieszkał w mieście Augusta i pracuje w biurze podatkowym w stanie Maine.

Utwory poetyckie pisze od 1967 roku, zadebiutował w 1998 w 7. tomie „polskiej poezji emigracyjnej”, zdobył kilka nagród w konkursach literackich w USA i w Polsce. Wydał dwa tomiki poezji: *W kręgu światła* (TAWA, Chełm 2006) i *Na krawędzi życia* (Lublin 2008). Trzeci tom przygotowuje do druku.

Pisanie stało się dla niego szczególnie ważne; pozwala mu zaspokoić tęsknotę za ojczystym krajem, za polskim pejzażem i chronić przed skażeniem czystość polszczyzny. Aby zdusić dokuczliwą nostalgię, sięga po książki polskich klasyków i sam pisze. Uporczywie zgłębia tajemnice poetyki i tworzy coraz piękniejsze wiersze. Świadczą o tym iskrzące udaną kompozycją sonety, choćby *Krajobraz utracony*.

W tomie *W kręgu światła* dominują wiersze pisane klasyczną formą, przywołujące czytelne echa poezji wielkich romantyków - Słowackiego, Mickiewicza, Norwida... W tomie drugim poeta odnajduje własną drogę poetyckiej kreacji świata. Tworzy wiersze asylabiczne, białe, o świeżej frazie i metaforyce, często wieloznacznej, przenoszące czytelników we współczesność. Wszędzie dominuje nostalgia za *krajem lat młodzieńczych* - Polską, stąd w wierszu noszącym tytuł: *W kraju nad Wisłą* czytamy:

*W moim kraju, którego nie znasz
obywatelu świata spod znaku M
i ty zakłamanym władco sumień
coś niejedno przeszedł morze
wody czerwone i czarne...*

krań zatoczył historii
z góry powylewał się rzekami splunień

w księżde pogardy...

znajdziesz i grób i krzyż
- spojrzenie prosto w oczy
zawsze przyjazny uścisk dłoni
dobrego słowa smak

(s.10)

Ten sam ton, tylko głębszy, bardziej doniosły, bije z utworów: *Pozwolisz, Do setnika Herberta, Bez iluzji, Słowo o moim kraju...* odsłaniając skomplikowane dzieje Polski. Jednocześnie wyjaśnia przyczyny narodowych tragedii i ostrzega przed *drapieżcami* kaleczącymi psychikę rodaków. W licznych utworach religijnych piętnuje wszelkie zło i uczy miłości do drugiego człowieka. Píše:

*Polskojęzyczne hieny atakują nocą
I świętość naszej ziemi
Bogactwo urodzajów
Plugawią swoimi odchodami*

*Pozwolisz - by ci pluto w oczy?
W twoim własnym domu?*

(*Pozwolisz?*, s.22)

Mocne i bolesne, ale słuszne pouczenia, których społeczeństwo nie dostrzega lub bagatelizuje.

Leszek Rak patrzy na Polskę spoza *Wielkiej Wody*, widzi to, czego na co dzień nie dostrzegają Polacy, a gdy przyjedzie w odwiedziny do kraju, zachłyśnie się polskością - jawią się mu niedostatki przereklamowanych Stanów Zjednoczonych.

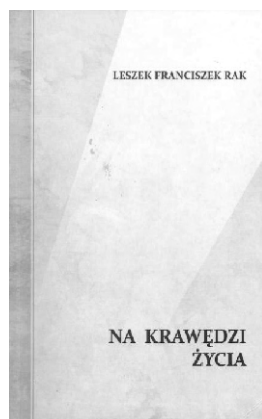
Rozdarte na dwie części serce, owocuje bolesną prawdą o skomplikowanym życiu ludzi, o trudnej rzeczywistości - tu i tam.

Poetycka twórczość Leszka Raka stanowi jeden warkocz patriotyczno-religijny, który oplata przemożną siłą każdego, kto zagłębi się w tę poezję. I to jest jej podstawowy urok i moc.

Longin Jan Okoń



Leszek Franciszek Rak



Leszek Franciszek Rak

przyjaciołom ze wschodu

pracowaliśmy razem
przenosząc meble...
- taki amerykański sen na jawie

mówił mi
jestem po studiach
znam historię i zarządzanie

znał również słowo szlachta
- uwielbiał Bandere

i z błyskiem w oczach
malował mi serce
morzem krwi

a ja nic nie rozumiejąc
o zakolach prawdy i kłamstwa
nie wiedziałem co odpowiedzieć

dopiero dziś
przyszła odpowiedź

w kolorach światła

wierzę
że ta krew niewinna
w której zbrukaliście ręce
myśli i pamięć i resztki przekleństwa
uszlachetni kiedyś

- przesiąknie w żyły narodu
i stanie się wam przyjaciela
załączkiem duszy
w podmuchach historii przyniesionej
zza zielonej miedzy

sponad słońce zachodu

Leszek Franciszek Rak**bieda**

granice biedy są nieograniczone
 (niedościgły jest ich wymiar)
 głód ciała to tylko wierzchołek góry
 widziany pomiędzy prześwitem rzeczywistości
 a bólem sumienia

okruczem serca
 obdzielić można miliony

gorzej gdy bieda
 przeniknie do krwi
 zagnieżdży się w głębi ludzkiego serca

i jest jak kamień u szyi

na odległość grzechu

kiedy grzeszyliśmy
 jak daleko byłeś od nas Panie?
 czy na odległość grzechu?
 czy o niebo bliżej
 niż my samych siebie?

z dzieciństwa

siadaliśmy w półkolu nieopodal pieca
 matka roznosiła marcepany
 i wtedy księżyc zaglądał przez okno
 i słychać było śmiech latających wiewiórek

chodziliśmy drogami szpetnych myśli
 dźwigaliśmy ciężary ponad siły
 i z tego co nam dziś zostało
 to pamięć pospinana klamrami wiatru
 zwolniony krok
 i dusza na ramieniu

usiedli nad brzegiem wód
 zapatrzeni w głębię
 i nie wiadomo kiedy
 rozplynęły się im serca
 w przeciwnych kierunkach

pożegnanie Ameryki

byłaś mi kolebką przebudzenia - Ameryko
 uskokiem nocy w samym środku dnia

muszle powiek ołowiany odczyn
 zdjęłaś z mych oczu wypaliłaś strach

i wypieściłaś we mnie - Ameryko
 subtelność słów języka śpiew
 wyrastałem na twym łonie
 jak kamień na polu
 podlewany nocą

woda i krew

byłaś mi, Ameryko
 jak matka...
 chociaż nigdy nie byłem...
 synem dla ciebie
 ani pariasem u twoich nóg

karmiłaś mnie cierpliwie
 miodem ze skał
 i mlekiem z twoich stad
 na pół z wodą zmieszanym...
 i chlebem - jak psom rzuconym - pod stół

pogubionych dat

i wykradłaś mi - Ameryko
 złodziejko podstępna
 kwiatostan życia
 korzeń i piach

i jestem jak ten... co z konia spadł

miasto bez ludzi

śmiech i żart

Augusta, lipiec 2009

Urszula Gierszon

Pielgrzym słowa

Kolejny, jedenasty tom wierszy Jana Henryka Cichosza nosi tytuł „In blanco”. W powszechnym rozumieniu „in blanco” to podpisanie jakiegoś dokumentu (czeku, formularza, weksla), który nie zawiera jeszcze treści lub nie został do końca nią wypełniony. Z włoskiego „in blanco” to „w bieli”, białe miejsce. Zwykle, podpisując w ten sposób dokument, udzielamy komuś kredytu zaufania. Komu wobec tego poeta Jan Henryk Cichosz udziela zaufania? Z tytułowego wiersza, który autor umieścił przy końcu tomu, dowiadujemy się:

*Po stokroć przeczytane mądre książki tak
naprawdę niczego nie wyjaśniają i są
podobne do kuponu totolotka tuż przed
losowaniem Jeśli już coś naprawdę
istnieje, to tylko Wiara, jak czek In blanco*

To wiara jest czekiem podpisanym in blanco Bogu przez człowieka, tylko ona jest ważna, tylko ona ma wartość pewną w naszym życiu. Z pozoru to prosta prawda, ale większości ludziom dochodzenie do niej zajmuje całe życie. Tylko dojrzały umysł poprzez wiele doświadczeń może bez fałszu uznać wielkie prawdy, które z natury są proste, kiedy świadomie je odkrywamy.

Podobny w wymowie jest wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów *Oto ja, który jestem fanem wszystkich...* Poeta zwraca uwagę, że *nic nie jest ważne dopóki się nie dokona...* Wobec prawd ostatecznych jesteśmy bezradni, bierzemy udział w życiu, tak jak wszyscy, ale to, co się dzieje naokoło nas, tak naprawdę nas samych nie dotyczy, wobec Absolutu nie ma znaczenia. Co zatem zapisać? Co ocalić w sobie? I konkluduje:

*Oto ja, stoję przed Tablicą Wielką
z okruszkiem kredy na kredy*

Wiele wierszy tego zbioru wypełniają ważne tematy: przemijania, tego, co najważniejsze dla człowieka w jego wędrówce przez życie, ontologiczne rozważania o strukturze naszej rzeczywistości, a właściwie ontyczne refleksje o istnieniu.

Już pierwszy wiersz „Moja spowiedź” niesie przesłanie o tym, że nic nie jest ważne wobec przemijania i choć poeta mówi:

*Pogubiłem klucze do wszystkich
niedomkniętych drzwi. Okulary*

*do odczytywania ważnych rzeczy.
Adresy do miejsc pierwszych.
Niewysłane listy do tych, których
już nie ma.*

Jest to raczej pogodne rozliczanie się z sobą i z rzeczywistością, chwilami ironiczne, zabarwione uśmiechem, a nawet przewrotnie. Bo czym jest, jak nie ironią wers, w którym poeta pisze, że pogubił *adresy do miejsc pierwszych* lub: *pamiętam wszystko to, czego nie powinno się pamiętać*. Uśmiechamy się lekko, czytając: *Nie umiem powiedzieć: „Nie” nawet sobie*, ponieważ każdy z nas miewa takie chwile. I ostatnie wersy, w których poeta przewrotnie swoje zmęczenie przypisuje Bogu:

*Zawracam Panu Bogu głowę,
w chwili gdy jest zmęczony.*

W tym wierszu kruchość życia, pokorę człowieka, jego prawo do popełniania błędów, wzbogaca pogodzenie się z przemijającym czasem, pogoda ducha i ufność.

Co liczy się w życiu? Natura wciąż odradza się, a człowiek, skupiony na kształtowaniu życia, nie dostrzega poszczególnych zjawisk i istnień przyrody. Jest skazany na siebie i patrzy ze swojej perspektywy. Dla niego przyroda pozornie nie zmienia się, podczas gdy on starzeje się, umiera i znika z tego świata. Co jest ważne w życiu, skoro nie mamy wpływu na to, że tutaj, w naturze pozornie nic się nie kończy? („Banalnie”).

Ważne miejsce w tomie – tak jak w poprzednich zbiorach poety – zajmują fotografie, które są jak świadkowie dotykania czasu („Fotografia”, „Wiśnia”, „Zdjęcie”). Czas mija na zewnątrz, a na fotografiach trwa w miejscu, zatrzymuje wszystkie uczucia, nawet te, o których nic nie wiemy. Nie tylko fotografia zatrzymuje czas, portretowani ludzie żyją w niej, niejako we własnym czasie, możemy nawet nie znać ich tożsamości, ale oni żyją. Fotografowanie to także odpowiedzialność Czy utrwalić pogrzeb? Umieranie jest czymś ostatecznym, ale intymnym, zbyt osobistym. Czy nie jest to wykreślenie przeciwko mijającemu czasowi i pamięci – zastanawia się poeta w wierszu bez tytułu (xxx... Nie miałem odwagi...).

Charakterystyczna dla Cichosza przewrotność, a właściwie – odwrócenie jest w kilku utworach, na przykład w wierszu „Kadr kiczowaty”: to jabłko, a nie – patrzący, rumieni się ze wstydu, podglądając *tunel uda* dziewczyny stojącej na drabinie, *opartej o białe jak pierzyny obłoki*. Takie odwrócenie pobudza wyobraźnię czytającego, który może sobie tworzyć ciąg dalszy opisywanej sceny i podkreśla poetycki nastrój.

O swojej poezji w sobie i procesie jej uzewnętrznienia pisze niezwykle „Zwykły wiersz”:

Ten wiersz, jeszcze bez przecinka i kropki, jest we mnie. Delikatny jak płatek śniegu za moim oknem, przerażony bliskością ziemi i prawdziwy jak ból za kimś bliskim.

Budzi mnie zawsze po północy albo nad ranem, kołacząc do drzwi jak zbłąkany wędrowiec. Niepodobny do tego wszystkiego, co już było. Podpiera mi senne powieki. Wchodzi w krew. Tnie jak brzytwa w najczulsze miejsca. Nie ma sensu bronić się przed nim. Zwycięstwo nasze jest po jego stronie.

O szóstej nad ranem przychodzi sen, który zalepia palcami miejsca po wierszu.

W „In blanco” J. H. Cichosz podejmuje również próby rozliczania się z przeszłością, która z dystansu układa się w logiczną całość, ale jest wyblakła, jakby nie istniały słabości, zawirowania, błędy. Wspomnienia zawsze przynoszą zamglony obraz przebytych dni. Dla poety - wnikliwie rozpatrującego rzeczywistość - nie jest to takie oczywiste, wie, że istniały nie tylko wydarzenia, że życie wypełniały mu także uczucia („Poeta patrzy za siebie”). Jednak wie także, że *szkoda forsy na powrotny bilet* - nie ma powrotu w przeszłość.

Rozlicza się z historią (xxx...*I rozsypał się bez miecza...*), demaskując fałszywą rzeczywistość historyczną oraz ze współczesnością („Umarła droga”, „Wszelkie prawa zastrzeżone”). Współczesne wydarzenia istnieją na marginesie życia - wydaje się mówić poeta - nie zauważamy rzeczy istotnych. Świat nas oszukuje, a my trwamy w swoistym błogostanie codzienności jak w uśpieniu. Zwracamy uwagę bardziej na pogodę, niż bulwersujące wydarzenia. I znów stawia pytanie - co jest ważne? Czy mamy jakiś wpływ na historię, na życie współczesne?

Gorzkie są słowa poety o ojczyźnie:
*W białym jak śmierć bandażu sztylet
jeszcze krwawi w pootwieranej Patrii
Tylko w jedną stronę na przekór sztandarom
I na przekór sobie*

(„Jazda bez trzymanki”)

J. H. Cichosz w sposób naturalny ze źródła poznania wyławia kulturowe wartości, własnym, charakterystycznym głosem i własnym językiem mówi prosto o rzeczach wielkich. „W galerii ikon”, niby mimochodem, na marginesie rozważań jak zatrzymać migawki życia w kadrze uciekającego czasu, zwraca uwagę na przemyt ikon.

Są w tym tomiku piękne liryki, które wskazują, że świętości i piękna, patosu i prostoty trzeba szukać w naturze, w przyrodzie, nie w kościołach. Chrystus jest tam, gdzie nie ma fałszu - sugeruje poeta - w niezmierzonej, mistycznej przy-

rodzie („Wiersz patetyczny”, „Lato w Izbicy”, „Skowronek”).

Rzadko można przeczytać wiersz na temat interpretowania literatury. Nikt nie zrozumie do końca ani człowieka, ani jego wiersza. Każdy ma inny, indywidualny sposób widzenia świata, inną wyobraźnię, inne oczekiwania. Nie rozumiejąc intencji, można skrzywdzić swoim osądem odczytywanego poetę, jak i siebie („Niedoczytanie”).

„Autoportret” Cichosza niesie przesłanie, że każdy z nas w jakiś sposób pozostaje dzieckiem i - mimo upływającego czasu - zachowuje żywe wspomnienia z dzieciństwa. Nasza skala wartości zatacza koło i w dojrzałym wieku odkrywamy, że niewiele się w nas zmieniło i uczymy się nadal.

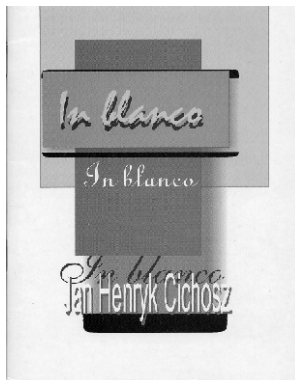
Być poetą, to także narzucać siebie, uwierzytelniając swoje doznania, ale nie nachalnie. Jan Henryk Cichosz niczego nie narzuca, jakby mimochodem cieniuje i punktuje rzeczywistość, sugeruje, lekko muskając emocjonalną i intelektualną stronę natury ludzkiej. Stawia wiele ważnych pytań. Zapis zredukowany do notatki i zaskakujące pointy tworzą dodatkowy sens, treść nabiera ontologicznego znaczenia i pozostawia czytającemu białe miejsce, dodatkową kartkę in blanco na własne dopowiedzenia i refleksje. To nie tylko pokora i odpowiedzialność wobec słowa i życia, które są mądrością, sztuką i udziałem największych; to także świadomy artyzm poetyckiego języka.

W wierszu „Poeta dorosły” Cichosz mówi, że nie ma granic w poezji i nic nie jest pewne, a on:

*Litera po literze. Kartka po kartce
Jest coraz bliżej tego, co doskonałe
i nieosiągalne*

Michał Anioł powiedział: *prawdziwe dzieło sztuki jest tylko cieniem boskiej doskonałości*. Mam nadzieję, że doczytałam poezje Cichosza, bo dla mnie jego wiersze są - po ludzku - doskonałe.

Urszula Gierszon



Jan Henryk Cichosz,
In blanco,
Wydawnictwo
Norbertinum,
Lublin 2010, s. 31.

Kazimierz Bolesław Malinowski

Było tego dużo więcej, nie bardzo lubię o tym rozmawiać

Tak, rok temu, Zahar Prilepin w rozmowie dla „Lampy” skwitował kwestię swojego, jako oficera Specnazu OMON-u, udziału w wojnie w Czeczenii. Bardzo nas kusiło, żeby dowiedzieć się tego „więcej”, wszak nieczęsto zdarza się wywiad z pisarzem, który biegł po polu walki z pistoletem maszynowym i rzucał na lewo i prawo granaty. Autorów brylujących w kawiarniach, albo duszących się z nudów przed komputerem, by w efekcie wygenerować infernalne klimaty instant, mamy od pytki. A oto rozmawiamy z takim, co wykonał rozpoznanie inferno bojem, i to nie w ramach jednej z tych popularnych gier RPG (Role-Playng Game). Pytania typu - jak to jest rzucić granat w kierunku grupy osób w celu pofragmentowania ich? - cisnęły się na usta. Ale - *nie bardzo lubię o tym rozmawiać*, i finito, napierać byłoby aelegancko. Bardzo ceniąc sobie prawdę bezpośredniego doświadczenia w relacji literackiej, mamy oto frajdę poobcowania z nią w niedawno wydanej powieści Zahara *Patologie*, w której wziął się za uporządkowanie danych empirycznych, które zarejestrował, uczestnicząc w operacji czeczeńskiej. Wszyscy pamiętamy z TV obrazy Groznego zamienionego w dymiące ruiny. Osadzili nam się w pamięci jako jedna z wielu hurtowo generowanych przez media budrillardowskich symulakr. I gdybyśmy byli na przykład Belgami, nie miałyby z czym zarezonować. Ale my jesteśmy Polakami, nasza stolica też, nie tak znowu dawno temu, dymiała, a nasi ziomkowie, ulegając przemocy wielokroć potężniejszego militarnie wroga, byli ustawiani pod posiekaną pociskami ścianą. Mamy więc aktywny ten empatyczny nerw łączący oba zdarzenia. Historia eksterminacji Groznego jest innym wariantem naszej własnej opowieści. Okazuje się, że w epoce telewizji sat i Internetu, te rzeczy robi się całkiem podobnie.

Pierwsza wydana u nas powieść Prilepina pt. *Sankja* (niektórzy krytycy przyrównywali ją do *Biesów*) dała pokaz pisarskich możliwości autora *Patologii*, stawiając go w rzędzie prozaików posługujących się cyrylicą do opisania stanów rosyjskiej duszy w sposób mistrzowski. W *Sankji* opowiedział o doli młodego człowieka, działacza radykalnej partii nacjonalbolszewików (nazboli), w powieści nazywanej *Sojusz Stwórców*, Saszy Tiszyna, który nie może się z Rosją, postgorbaczowską, upokorzoną i duszoną uściskiem sklerotycznej, autorytarnej biurokracji, pogodzić. Chronologicznie *Patologia* (2005) poprzedziła *Sankję* (2006), ale w wydaniach polskich przekładów doszło do przekładania i pytaliśmy autora o sekrety już rosyjskim czytelnikom wyjawione. A to przecież istotne dla wyznaczenia

dróg dojrzewania Prilepinowskich bohaterów, od buntara do żołnierza imperium czy na odwrót. Ustalmy - Jegor Taszewski OMONowiec, poprzedził nazbola Tiszyna. W *Patologiach* bohater konstruuje opowieść o swoim świecie z trzech perspektyw: wcześniej osieroconego chłopca, młodego zakochanego mężczyzny i żołnierza pacyfikującego czeczeńskie powstanie. Jeden powracający problem jest płaszczyzną wspólną tych narracji - kurewstwo. *Kurwić*, a więc, za słownikiem Karłowicza, *sprawdzać z drogi cnoty*. Kurewstwo przeto można zidentyfikować, odnosząc je do cnoty. A jeśli nie ma już punktu odniesienia? Książka Prilepina jest o dramatycznym, mozołnym odnajdywaniu na nowo, na nowo definiowaniu tego punktu orientacyjnego. Zniknięcie go odebrało słowu *kurewstwo* znaczenie, lecz doświadczywszy kurewstwa bohater czuje silny, przyprawiający go o rozpacz, ból. A onż jest, już od klasyków to wiemy, konstytutywną cechą rosyjskiej duszy.

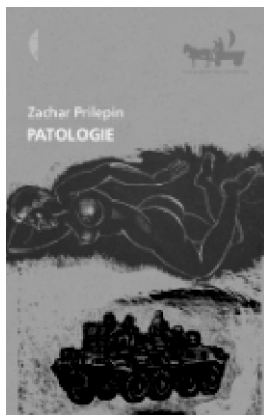
Taszewskiego dziecięciem opuszczonego przez matkę (pierwsze, fundamentalne kurewstwo), wychowywał ojciec. Ale i on go opuścił, umarł, nim Jegoruszka stał się mężczyzną (kurewstwo losu). Wychowywany przez rodzinę matki, miał tylko jedno stworzenie, od którego mógł dostać odrobinę ciepła - sukę Dezi. Przeżył uczuciową mikrokatastrofę swojego chłopięctwa, ujrawszy jednego razu Dezi posuwaną przez parchatego kundla z tzw. kulawą nogą. Zraniony w swojej wrażliwości, wziął do ręki kamień. Niby miał do tego prawo, bo był bezwinnym, jeszcze niezbbrukany kurewstwem tego świata dziecięciem, ale ten sposób nie rozwiązał problemu. Dezi uciekła, straciła do niego zaufanie, iskierka, od której się ogrzewał w zimnym świecie przestała dawać mu ciepło. A teraz zmiana perspektywy, Jegor jest już młodym mężczyzną, zakochanym obsesyjnie w Daszy, kobiecie nowoczesnej, tj. wyzwolonej. No, już czujecie co będzie dalej, macie rację. Chciałby mieć ją tylko dla siebie. Dasza jest rozkoszną podłą suką. Jako kochanka daje mu wszystko, ale jej hojność nie ogranicza się do Jegora. Dasza bawi się Jegorem, wciąga go w perwersyjną uczuciową grę. - *Kocham cię - mówiłem*. - *Ja ciebie też - odpowiadała lekko*. - *Nie... ja ciebie kocham patologicznie... Kocham cię histerycznie...* - *Tam, gdzie kończy się obojętność, zaczyna się patologia - uśmiechała się Dasza*. *Lubiła tak do krwi*. Takie historie nie mogą kończyć się dobrze. Przypieka go na wolnym ogniu, opowiadając beztrząsco o innych swoich przygodach miłosnych. Kolejną konstytutywną cechą rosyjskiej duszy jest dramatyczne rozdarcie. Pamiętacie *Idiotę* i Nastazję Filipownę? Dialektyka świętości i kurewstwa. Wszystko albo nic. Zero ro-

baczychwych kompromisów. Znów zmiana perspektywy, Jegor w mundurze i kamizelce kuloodpornej. Teraz będzie stawał bohater Prilepina wobec grozy skurwienia własnego człowieczeństwa, rozgniatą jak robaki ludzi walczących o swoją wolność i godność. Bardzo mnie do tej prozy przekonuje konsekwentne unikanie patosu, który by zaraz tę doniosłą moralnie problematykę prześlancował w obszar abstrakcji. Autor trzyma się konkretności. Przedstawia go plastycznie z werystyczną dokładnością i przy budowaniu scenerii, i przy montowaniu fabularnej dramatyki. Dylematy swojego bohatera ukazują z całą powagą, ale nie unika przy tym szyderstwa i ironii, pozwala przez to zakolegować z nim bardzo blisko. Unika gotowych formuł, po prostu opowiada, nie traktuje czytelnika protekcjonalnie, zostawia mu miejsce na wnioski i interpretacje. Nie trzyma się jedności czasu i miejsca, narracje Jegoruszki, Jegora-kochanka i Jegora-jeża bojowego przeplatają się. I to właśnie nawiodło mnie na myśl, że oni ciągle stoją przed tym samym zestawem dylematów w różnych sytuacyjnych wariantach.

Zachar Prilepin jest najbardziej rosyjskim, ze znanych mi, rosyjskich pisarzy współczesnych. Bo ja wam zaraz powiem, co to jest rosyjskość, ja wam zaraz powiem. Wy jej jeszcze (już) nie znacie, ale wy ją poznacie. Albowiem Rosja jest o wiele bliżej, niż wam się zdawało. A rosyjskość doświadczana w kontakcie bezpośrednim, to doświadczenie tyle piękne, co bolesne. Na tym aspekcie koncentruje się mocna w Europie de Custine'owska tradycja pisanie o Rosji. Złe samodzierżawie. Idzie to dalej przez Celine'a *Mea culpa*, piękna jazda, chłosta samodzierżawia w wersji bolszewickiej. Herling-Grudziński, Czapski. Sołżenicyn. Ale jest jeszcze inna Rosja. O której młody wojownik, żołnierz Wehrmachtu, Guy Sajer, pisze: *Zboże rośnie tylko w okolicy wiosek, natomiast wielkie jak departamenty obszary pokrywa dzika trawa i szary albo czerwony pył. W wielu miejscach rosną gęste, chyba dziewicze lasy. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić do tych niezmierzonych obszarów, stanowiących dla nas ewentualne pole walki. Reakcja nastąpi dopiero później, Ten, komu uda się powrócić do rodzinnego kraju, dusić się będzie w ograniczonej przestrzeni, gdzie horyzont jest na wyciągnięcie ręki, a krajobraz przeładowany budowlami użyteczności publicznej, strzelającymi w niebo kamiennymi konstrukcjami o wątpliwej wartości estetycznej. Reakcja nastąpi wtedy, gdy ci, dotychczas przyrównujący ziemię do niezmierzonego nieboskłonu, nie będą wiedzieli, gdzie złożyć swój tyłek na trawie należącej zawsze do kogoś. Uwiedziony. Tę Rosję widzi się w osłupieniu nieustającym, jadąc dnie i noce po bez-*

kresie tajgi kolejną transsyberyjską. Ten ogrom niezdobyty nawet przez samych Rosjan. Dla nas, Polaków, są dwie Rosje braci Piłsudskich. Rosja Józefa, z którą walczył przez całe życie, i Rosja Bronisława, w której otchłani się roztopił. I ten polski, dotyczący rosyjskości dylemat, jest z istoty swojej bardzo rosyjski, dotyczący sedna naszej wspólnej słowiańskiej tożsamości. Pradziadek Prilepina ze strony matki miał nazwisko Ławliński, był Polakiem.

Kazimierz Bolesław Malinowski



Zachar Prilepin,
Patologie, Przełożyła
Małgorzata Buchalik,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2010.

Zbigniew Waldemar Okoń

Poezja lirycznego reportażu

Dwa lata temu, w 2008 roku, przy współudziale Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, w oficynie wydawniczej tej placówki, ukazał się - edytorsko bardzo dobrze opracowany - debiutancki tom wierszy Marii Apolonii Brzezińskiej pt. *Poproszę o wróbla*, prawie niezauważony przez lubelską krytykę literacką. Jest to przypadek dość osobliwy, chociaż w Lublinie nierzadki, gdyż Maria Apolonia Brzezińska jest znaną i uznaną dziennikarką Radia Lublin (od 1971 r.), długoletnim kierownikiem redakcji literackiej tej rozgłośni, reżyserem słuchowisk radiowych, autorką cenionych reportaży i audycji literackich, wielokrotnie nagradzanych. Uwaga moja o milczeniu lubelskich krytyków literackich jest tym bardziej uzasadniona, że *Poproszę o wróbla* jest jedną z ciekawszych książek poetyckich, które ukazały się w lubelskim środowisku literackim w ostatnim okresie. Może dlatego warto byłoby „jakoś odnotować” ukazanie się wierszy autorki *Poproszę o wróbla*, jeżeli nie najskromniejszą nawet pre-

zentacją jej twórczości w lubelskiej prasie, to choćby krótką chwilą refleksji nad jej poezją (a taką jest niniejsza recenzja), bardzo wartościową artystycznie, dojrzałą w formie i mądrą w treści.

Na obwolucie książki znajdują się skromne informacje o autorce, wśród nich zdanie: *Wiersze, aforyzmy, „lapidaria” zapisuje rzadko*. Chciałoby się powiedzieć, odwołując się do tematyki i arcyzmu utworów Marii Apolonii Brzezińskiej, zbyt rzadko. W literaturze - dzięki Bogu - nie liczą się ilości, metry i wagi, lecz poziom utworów, dojrzałość artystyczna i życiowa autora, jego twórcza osobowość, indywidualność poetycka, świadomość pisarska.

W *Poproszę o wróbla* jest wiele wierszy, które można zaliczyć do najwartościowszych dokonań artystycznych nie tylko autorki, ale „najlepiej rokujących” poetów debiutujących na Lubelszczyźnie po 2008 roku. Maria Apolonia Brzezińska jest wśród tej generacji poetyckiej osobą wyróżniającą się. Jest to widoczne przede wszystkim w tematyce jej utworów oraz w kontekście formalnym jej dotychczasowej twórczości, przede wszystkim radiowej, reportażowej. Poznawanie wierszy autorki *Poproszę o wróbla* to odczytywanie minireportaży poetyckich o głębokim sensie myślowym, pełnych psychologicznych prawd, najprostszych zdarzeń, konkretnych sytuacji i skondensowanego liryzmu. Uroku i świeżości tej lekturze dodaje wnoszenie do poezji przez autorkę dynamiki i prostoty radiowego reportażu (Maria Apolonia Brzezińska jest w tej dziedzinie niekwestionowanym mistrzem), dźwięku i barwy słów, które w krajobrazie jej liryki, tak jak w audycji radiowej, są brzmieniem czystym, wyostrażającym widzenie opisywanej rzeczywistości, rozszerzającym humanistyczny horyzont jej wierszy, zgłębiającym stan psychiczny podmiotu lirycznego.

Autorka przedstawia rzeczy zwykłe w ciągu codziennych zdarzeń i spraw następujących po kolei, niezależnie od woli człowieka, według zasady powtarzania się dziejów dobrych i złych, sukcesów i błędów, ludzkich radości i zmartwień, klęsk i triumfów. Nie opisuje ich, nie komentuje, są one przede wszystkim źródłem jej refleksji, krótkich i skondensowanych wypowiedzi, *by nie stracić ani promienia wschodu i zachodu*. Podmiot liryczny wypowiada się najczęściej w monologu (*namawiam się z życiem po cichu za twoimi plecami, Bez złorzeczenia, Boże broń*), rejestruje konkretne sytuacje liryczne, odwołuje się do psychologicznych, społecznych czy metafizycznych kontekstów, osobom i rzeczom nadaje imiona i określenia (najczęściej przymiotnikowe), wyznacza poetycką przestrzeń i artystyczny horyzont relacjonowanego świata. W *Poproszę o wróbla* jest wiele liryków o wyraziście zarysowanym obszarze tematycznym, wypełnionych spokojem

i ciszą autorki (*Cukierki, W raju*), jasnością opisywanych obrazów, urzekających wrażliwością, spokojem i rozumą słów budujących wiersze Marii Apolonii Brzezińskiej (*Dom, Spoko, Fotografia z National Geographic*). Charakterystyczny, istotny dla interpretacji wierszy autorki *Poproszę o wróbla* jest utwór *Muzykoterapia*, wyjaśniający tytuł i tematykę niniejszego tomu:

*Gdy zwierzęta tańczą w rytmie Saint-Saensa
psycholog pyta słuchaczy (szukanie klucza do chorej duszy)
którą z postaci chcieliby przyjąć na siebie?
Nie miałabym wątpliwości -
Szpaka.*

*A gdyby Pan Bóg nie był tak łaskaw
bądź co bądź
lśniące piórka
złoty dziobek
głos z La Scali
to poproszę o wróbla
stado kolegów na samym tylko balkonie
żadnych pretensji do życia
zje się co jest a głód jakoś przetrwa
krzak forsycji zamiast wieżowca topoli
brak szafy z ubraniami od święta
ćwir ćwir czułość dla dzieci /.../*

Poezja Marii Apolonii Brzezińskiej jest poezją o mocno znaczonych akcentach psychologicznych, ostro zarysowanej indywidualności twórczej, głęboko intelektualnej atmosferze wierszy, szerokim kontekście społecznym wynikającym z reportażowego relacjonowania świata. Jest to poezja dojrzałej kobiety, doświadczonej dziennikarki, o własnej, silnie ukształtowanej historiozofii literackiej, docieklivej reporterki, która bez kamuflażu, ale i bez zbędnej ornamentyki i symboliki, opowiada o współczesnym świecie i uwikłanych w jego dzieje ludziach.

W cytowanym powyżej wierszu autorka powie:

*A najbardziej najbardziej
lubiłabym brać udział w ich nadziei
gdy jeden przez drugiego krzyczą o wiośnie
w marcowej zady mce*

W omawianym tomie jest wiele utworów w sposób wielowątkowy i wielotematyczny określający wymiar i horyzonty humanistyczne twórczości Marii Apolonii Brzezińskiej.

W wierszu *Memento* czytamy:

*Wymyślił mnie
zanim się urodziłam*

Wielcy pisarze

*Dlatego znam swoją przyszłość
lepiej
niż z kart cyganki /.../*

Wyznanie to, w kontekście bardzo konkretnych, umiejscowionych w miejscu i czasie, „tu i teraz” wierszy, urzeka szczerością wypowiedzi, głębią psychologicznych odniesień do literatury, wieloznacznością poetyckiej pointy:

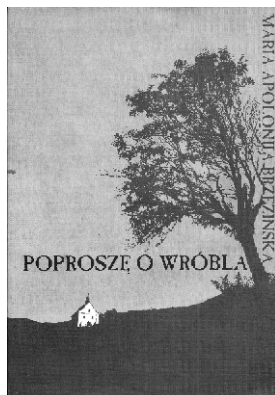
*Kasandry mówią nie na wiatr
Łagodne zabijają
Najczulsze odchodzą
z czarnym bandażem na dłoni*

*Strzeż się
Pomnik Komandora
Może przyjąć na kolację
(Memento)*

Tłem wierszy - bardzo ważnym w upoetyzowywaniu rzeczy zwykłych i znanych autorce - jest przyroda, najczęściej krajobrazy Lubelszczyzny (*Druga połowa, Kiedy ucieknę elektryczka, Pamiątki z S.*), najbliższe sercu poetki, ukazywane w radiowym skrócie, w konkretnym wymiarze kulturowym, w kontekście rozważań metafizycznych, eschatologicznych, społecznych (*Męczennik, Pan Bóg na skraju lasu, Uczynek, Piosenka o Polsce Be*). W wierszach rozwijających motywy przyrody i uwikłanego w jej pejzaże i przemijanie człowieka, ważnym odniesieniem jest Bóg, który *JEST MIŁOŚCIĄ*, którego autorka pyta: *mój Boże/ gdzie to my już jesteśmy*, i któremu wypomina, że *dokładne informacje Pan Bóg zachowuje dla siebie*.

Na ukazanie się *Poproszę o wróbla* Marii Apolonii Brzezińskiej, jak dotychczas niezauważone, należy spojrzeć nie tylko w kontekście ostatnich debiutów poetyckich. Jest to książka zróżnicowana artystycznie, bez zbędnej retoryki i formalnych powikłań, wpisująca się w ciąg najciekawszych nurtów lubelskiej literatury, ważna w formowaniu postaw o współczesnej kulturze ze względu na udane i mądre połączenie elementów radiowego reportażu z wyważoną, osobistą i społeczną liryką jej autorki. Takie książki - być może - nie przypadają do gustu krytykom literackim, są jednak bardzo potrzebne i bliskie czytelnikom.

Zbigniew Waldemar Okoń



Maria Apolonia Brzezińska,
Poproszę o wróbla,
Wojewódzki Ośrodek
Kultury,
Lublin 2008, ss. 48.



Maria Apolonia Brzezińska

Maria Brzezińska

Gołąb

Położył się w trawie i skonał?
Nie mógł przecież spaść z drzewa na plecy
z odchyłoną głową?
Nawet skrzydła przytulił do siebie
jak ręce -
Czy ten sam co parę dni temu
nie bojąc się naszych obcasów nad sobą
krztusił się suchym powietrzem?
I dlaczego widzę go dzisiaj
przechodząc z umarłym sercem?

Czy do nieżywej miłości
również zlecają się muchy i osy
łazić po jej martwych powiekach?

Boże mój
przenieś choć kilka kropelek
znad tej kartki do pyłu gdzie szare piórka
porusza już tylko wiatr

Niech zaspokoją pragnienie
i niech poświęcą ziemię
gdzie od nadmiernej suszy
umarliśmy - ja i gołąb - mój brat

Maria Brzezińska**Koncert w Sieniawie**

Dziewczynka z warkoczami
ćwicz y fortepian
na Chopinie

Jak bardzo się stara w nierównej walce
mówi dokładny przedziałek przez środek głowy
czarny lakierek czule oparty o peda ł instrumentu
a najbardziej ma ły palec prawej ręki

Przegrywa

Trudno się dziwić
ma ła dziewczynka i dwie wielkości
i Chopin
i fortepian

Niniejszym

Nie szukać mi łości po Mi łości
mieć szacunek dla nieboszczki
co z czerwonej
usychają
zmieni ła się w czarną różę
którą przeproszam niniejszym
że ciągam ją po wierszach
jak zeszlą metaforę

A przecie ż

stoisz na półce
w prawdziwej butelce
i jeszcze
skraca ją cię do połowy
zrani ła się w palec
i w pamięć

Janowi Pawłowi II

Bardzo zmęczy łaś się Ojczy
i tak leżysz
z zamkniętymi oczami
na trzech aksamitnych poduszkach
w bućkach które
jak to widzieliśmy
przewędrowa ły świat

Teraz świat
przyszed ł do Twoich bućków
i odbywa się Pokłon Trzech Króli
choć jak widać
królów jest znacznie więcej

W żłóbku z cedrowego drzewa
leżysz na nowo zrodzony
dla Boga Ojca
zabierasz w drogę
widzimy
tylko krzyż Jego Syna i imię Matki

Wierzimy za kardynałem Josephem
że otoś JEST w oknie Domu Ojca
i błogosławisz na drogi co niewidoczne
a które przyjdzie nam schodzić
w butach
częściej boso
po kamieniach odrzuconych przez budujących

Longin Jan Okoń**Niezwykła antologia poezji patriotycznej**

Ukaza ła się opracowana przez Jerzego Bolesława Sprawkę obszerna antologia poezji patriotycznej pt. *Jak Ojczyźnie służyć*. Zawiera 262 utwory, 106 poetów XX i pierwszego dziesięciolecia XXI wieku, związanych urodzeniem, zamieszkan iem lub pracą z województwem lubelskim. Zdobią ją piękne grafiki Zbigniewa Jóźwika.

Wydawnictwo Polihymnia stanę ło na wysokości zadania, publikując książkę w twardej oprawie, na dobrym, kremowym papierze, z obwolutą zaprojektowaną przez wymienionego wyżej grafika. Książka liczy 334 strony i 3 nienu-merowane. Grzbiet ma szyty, a nie klejony.

O celowości opublikowania antologii wypowiadają się Jerzy Bolesław Sprawka i Danuta Makaryk, po czym Karol Wojtyła, wielki Polak i patriota, papież Jan Paweł II, utworami „Myśląc Ojczyzną” i „Szymon z Syreny” rozpoczyna poetycką wędrówkę po stronicach księgi.

Wiersze obrazują dzieje naszej Ojczyzny i ustawiczną walkę o byt i niepodległość narodu. Dotykają bolesnych i radosnych problemów polskiej egzystencji, a wszystko to splecione jest z wiarą i Kościołem, tworząc jeden łańcuch patriotycznych uczuć. Utwory wzruszają, bez dydaktyzmu wychowują, co wynika z historycznych prawd, pełnych lirycznego olśnienia.

Są tu utwory wybitnych poetów – Bolesława Leśmiana, Józefa Czechowicza, Wacława Iwaniuka, Józefa Łobodowskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego... oraz dopiero wkracza-

jących do literatury, np. Szymona Karasia (ur. 1988) czy Anny Wójtowicz (ur. 1992)... Każde miasto i powiat ma w książce swoich poetów, co stanowi obraz poetycki Lubelszczyzny.

Antologia powinna trafić do szkół, domów kultury i każdej rodziny. Wiersze mogą być wykorzystywane na różnego typu imprezach i jako codzienna lektura.

Słowa uznania należą się J. B. Sprawce za opracowanie antologii i sponsorom wymienionym na końcu księgi za finansową pomoc wydawniczą.

Longin Jan Okoń

Edward Franciszek Cimek



Jak Ojczyźnie służyć

Antologia poezji patriotycznej pisarzy związanych z Lubelszczyzną „Jak Ojczyźnie służyć” jest szczególnie cennym zbiorem wierszy. Niewątpliwie wzbogaciła księżnice publiczne, szkolne i domowe biblioteczki. I zapewne znakomicie służy młodzieży i dorosłym, wszak jest znaczącą książką w literackim pejzażu regionu lubelskiego.

W antologii zamieszczono wiersze aż 106 autorów. Są wśród nich poeci czasów międzywojnia i niemieckiej okupacji, lat czerwonego zniewolenia, aż po niepodległe ostatnie dwudziestolecie Rzeczypospolitej. A więc wachlarz utworów patriotycznej proweniencji jest w niej przebogaty. Składają się nań 262 wiersze. Wybrał je, opracował i słowem wstępnym opatrzył niestrudzony lubelski literat Jerzy Bolesław Sprawka.

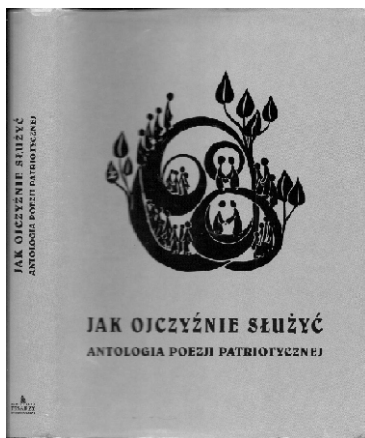
Z kilkuset tomów poezji, antologii poetyckich, almanachów i poważnych periodyków literackich wydobyłem nieznanne, bądź niemal zapomniane nazwiska autorów, których dzieła posiadają w swojej treści znamienne cechy miłowania ojczyzny i troskania jej przyszłością. „Przywróciłem do życia” utwory pisarzy uznanych i takich, których tomiki poezji przestały budzić zainteresowanie, posiadających znaczny dorobek literacki, ale też i takich, którzy są na samym początku drogi twórczej. Zaiste, staranna to i skuteczna praca redaktora wydania.

Ponadto książkę ciekawym wstępem-esejem opatrzyła Danuta Makaryk. Świetnie współbrzmia z wierszami poetyckimi wtręty Cypriana Kamila Norwida. A zgrabne grafiki zasłużonego lubelskiego statysty Zbigniewa Józwicka ilustrujące poszczególne części antologii czynią ją dziełem zachęcającym, skłaniającym do lektury.

Liryczną zawartość tomu podzielono na sześć różniących się rozdziałów: I. *Duch z przełomu stuleci*, II. *Zmagania z odzyskaną niepodległością*, III. *Władztwo oszalałych szatanów*, IV. *W złowrogiej czerwono-brunatnej pomroce*, V. *Złowieszczy chichot gnomów*, VI. *Bezdroża globalnego bezprawia*. Poprzedzają je trzy wiersze Karola Wojtyły z cyklu *Myśląc Ojczyznę...*

Znaczącą wartość mają umieszczone na skrzydełkach obwoluty obszerne szkice biograficzne współautorów antologii. Zaś literacka i patriotyczna wartość tej książki, jej graficzna szata i noty uzupełniające sprawiają, że stała się ona bibliofilską perłą.

Edward Franciszek Cimek



Jak Ojczyźnie służyć, antologia poezji patriotycznej pisarzy związanych z Lubelszczyzną. Wybór, opracowanie i słowo wstępne Jerzy Bolesław Sprawka; grafika Zbigniew Józwick. Biblioteka Pisarzy Lubelszczyzny, Polihymnia 2009, ss. 334.

Stanisława Wiśniewska

Winnych nie ma

jeszcze
nie zagoiłeś ojczy-
ran
zadanych ci
przez gestapo
w zamku lubelskim
i na Majdanku
a już
w lipcową noc 1945
w narodziny
pierworodnego syna
przyszli swoi
świecili w oczy
grozili śmiercią

zrabowali wszystko

została tylko
słoma z sienników
i twoje tato
siwe włosy
i mamy
łysa głowa
i do końca
będą kraszone dni

Jan Henryk Cichosz

Polska

coraz mniej chochołów
Wyspiański w muzeum
złoty róg za murem
nie przebitym głową

Polska obdarta
ze złotą spinką w koku
siedzi na rozstajach
z ziarnkiem piasku w oku
jak Frasobliwy
z wielką raną w boku

Edward Wolski

Mowa

Nieraz się mówi że jest
choć nie jest
a milczy gdy jest

Mowa z rzeczywistością
bywa skłócona
jak ogień z wodą
jak ciemność ze światłością
jak prawda z fałszem

A przecież ma być
tak tak nie nie
i nic więcej
i nic więcej
Mowa to człowiek
jakim jest

Edward Franciszek Cimek

Odwagi

Bądź wierny Idź Zbigniew Herbert

Dojrzało czartowskie nasienie
W krwawym blasku bolszewickiej gwiazdy
Zdrada truła narodu sumienie
Z trybun łgali szalbierze i błazny

Aż lud pomocy dziejowych zaszcłości
Zryw sierpniowy chwałebnie powtórzył
Solidarnie zażądał wolności
I czerwony panteon legł w gruzach

Lecz znów syczą żmijowe języki
Chmara trutni przywarła do miodu
Zdradcy liczą eurosrebrniki
Kupcząc losem polskiego narodu

Na tej ziemi bogatej i pięknej
Gdzie cnotami są prawda i męstwo
Nasze orły się wrogów nie zleką
Polska sięgnie po nowe zwycięstwo

*Krasnostawianie w antologii
„Jak ojczyźnie służyć”*

Tadeusz Polanowski

Literatura religijna

W jakim sensie mówić można o literaturze religijnej? Co jest jej istotną wartością, jak ją badać i jaki jest stan tej religijnej polskiej literatury? Na te pytania odpowiada w obszernej książce Maria Jasińska-Wojtkowska „Horyzonty literackiego sacrum”. Książka ta (wydana parę lat temu, ale warta ponownego przyjrzenia się), podejmując zagadnienia teoretyczne, zarysowuje historycznoliteracki obraz dokonań polskich twórców od Renesansu do współczesności. W badawczym oglądzie uprzywilejowuje ostatnie dwa stulecia, w tym - lata ostatnie.

Autorka „Horyzontów...” w pierwszym rozdziale pyta o wyznaczniki „Literackiej czy religijnej koncepcji rzeczywistości”; czyni to, posługując się m.in. przykładem opowiadań ze zbioru „Tryumf Dionizego” M. Dąbrowskiej i „Nawróconego” L. Elektrowicza. W innym rozdziale zajmuje się „Problemami identyfikacji religijności dzieła literackiego”. Zauważa, że „Współcześni badacze (...) wolą raczej zajmować się obecnością elementów związanych z sacrum, czy charakterem religijnej inspiracji w literaturze, niż dążyć do określenia utworów jako religijne”. Jasińska-Wojtkowska rozważa także problem nazwy „poezja religijna” i mówiąc, że nazwa ta „nie uzyskała statusu terminu naukowego” m.in. pisze, iż „do poezji religijnej w szerszym sensie należy utwór, w którym podmiot wypowiedzi jawi się jako *homo religiosus*, w węższym - gdy dominantę utworu stanowi przeżycie jego relacji z sacrum”. W drugiej części książki zamieszcza swoje szkice historycznoliterackie. Przedrukowuje obszerny artykuł „Matka Boska w poezji poromantycznej - do roku 1918”. Publikuje tu także inne rozprawy: „Przed tak Wielkim Sakramentem” - o skromnej ilościowo polskiej poezji eucharystycznej i esej „Duch Święty w literaturze polskiej” - o Trzeciej Osobie Boskiej...

Najobszerniejsza, trzecia część „Horyzontów literackiego sacrum” zawiera kilka rozpraw poświęconych początkom powieści biblijnej - postpozytywistycznym „Legendom” Andrzeja Niemojewskiego, zapomnianej młodopolskiej powieści „Mistrz z Nazaretu” Izydora K. Wysłoucha, sacrum w poezji L. Staffa. Tu zamieszczone zostały także szkice: o poezji „Znaków ufności” J. Twardowskiego, powieści „Jezus z Nazarethu” R. Brandstaettera, liryce Cz. Miłosza i prozie G. Herlinga-Grudzińskiego oraz o poemacie „Tryptyk rzymski” Jana Pawła II.

Książka M. Jasińskiej-Wojtkowskiej, jak sygnalizowałem, dotyczy wielu zagadnień. Obok teoretycznych rozważań, przynosi kilkanaście szkiców historycznoliterackich związanych z religijną poezją i prozą. Tu dodać jeszcze warto ustalenia autorki w dziedzinie prozy religijnej. W szkicu „U początków polskiej powieści biblijnej” pisze, że „dramat biblijny był w zdecydowanie mocnej pozycji wyjściowej, gdyż jego narodziny wspomaga już średniowieczna praktyka Kościoła”. Powieść religijna pojawia się później. We Francji sięga XVIII wieku, w Polsce jej rozwój jest skromniejszy i późniejszy, nie wychodzi poza wiek XIX, w szczególności łączy się z przełomem stuleci. „W ciągu całego XIX wieku narasta nurt powieści o tematyce biblijnej”, a dominująca u schyłku wieku „fascynacja podatnością człowieka na zło i potęgę płci wzbogaciła galerię biblijnych postaci o nowy typ bohatera - Kaina, Judasza, Herodiady i Salome, Magdaleny”.

W tymże szkicu „U początków...” autorka ukazuje, jak zasadniczo bezreligijny gatunek powieści na przełomie wieków zostaje wzbogacony o powieści biblijne i antybiblijne. I tak, pod wpływem „Ben Hura” Lewisa Wallace'a powstają polskie powieści biblijne ks. Boleśława Mariańskiego: „Ester. Powieść z czasów niewoli babilońskiej” (Warszawa 1899), „Judyta” (Warszawa 1902) i „Holofernes” (Płock 1908). Zaś antybiblijna proza Niemojewskiego w „Legendach” (1901) wspólnie z myślą o śmiałości także biblijnymi rozwiązaniami w dwutomowej powieści Mikołaja Czernego „Pro Christo” (Warszawa 1902). Podobnie jest w romansie o wyeksponowanym wątku erotycznym Gustawa Daniłowskiego „Maria Magdalena” (Warszawa 1912).

Odrębnie omówionym utworem przez Jasińską-Wojtkowską jest powieść „Mistrz z Nazaretu” I. K. Wysłoucha. O tym utworze pisze: „Na tle całej ubogiej ilościowo młodopolskiej prozy chrystocentrycznej, a również i całego XX wieku, biograficznorefleksyjny cykl księdza kapucyna był czymś zdecydowanie odrębnym” oraz „*Mistrz z Nazaretu* Wysłoucha przez swą sentymentalną płaszczyznę ewolucji zdarzeń ewangelijnych i powiązaną z nią liryczną refleksyjność - jest przejawem [...] autorskiej ekspresji zafascynowania osobą i misją Chrystusa, połączonej z bolesnym przeświadczeniem o niewydolności Kościoła w realizacji Chrystusowego posłannictwa”.

W interpretacji prozatorskiego nurtu twórczości religijnej - obok parareligijnej prozy Herlinga-Grudzińskiego - odrębny szkic „Horyzontów literackiego sacrum” jest poświęcony czterotomowej powieści Brandstaettera „Jezus z Nazarethu” (1968-1973). Autorka szkicu tę powieść

o Jezusie i Jego środowisku uważa za „najwyższe osiągnięcie polskiej powieści biblijnej”.

Publikacja „Horyzonty literackiego sacrum” wyrasta z badawczych zainteresowań polonistyki KUL-owskiej starszego pokolenia i prac związanych z Zakładem Badań nad Literaturą Religijną KUL. Warto dodać, że pewien wpływ na kształt

prezentowanej książki wywarła także wielotomowa „Encyklopedia katolicka”, w redagowaniu której, zmarła już Autorka, brała czynny udział.

Tadeusz Polanowski

Maria Jasińska-Wojtkowska: *Horyzonty literackiego sacrum*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2003, ss. 498.

Kazimierz Bolesław Malinowski

Prawie wszystko może być metaforą prawie wszystkiego

Jaś Kapela ogłosił drukiem w Wydawnictwie Krytyki Politycznej swój nowy romans pod tytułem *Janusz Hrystus*. Z tytu książki jest notka - ostrzeżenie: *w niniejszej publikacji autor pragnie zareklamować nihilizm i pragnienie śmierci*. A zaraz na pierwszej stronie padają słowa, które ustawiają nam lekturę. Następują po wstępie, w którym bohater napija się wody przefiltrowanej przez filtr filtrującego dzbanka. *Nie wiem dlaczego wam to mówię. Widocznie komuś muszę. Widocznie jest we mnie coś, co każe mi mówić, a wam pozostaje rola niewinnych ofiar. Nie bójcie się. To też może być dobra rola. I miła. I dalej cedzi tę wodę przefiltrowaną strona po stronie. Na trzeciej ujawnia źródło inspiracji. Jak już nieraz w historii literatury się zdarzało, źródło tryzło we śnie. Inspirujący oniryczny omam: *Śniła mi się Julia Hartwig. Mówiła, że podoba jej się moja książka. Jest taka paradoksalna*. Trafiwszy przeto we śnie na wskazówkę co może spodobać się Julii Hartwig, diabelnie konsekwentnie paradoksalizuje swą prozę wg klucza: zdanie orzekające, następnie zdanie przeczące mu i zdanie wieńczące paradoks, losowo skombinowane. *Jak już mówiłem, wnioski nie są moją najmocniejszą stroną. Ale ich nieustanne wyciąganie jest jedną z nich. Wyciągnąć wnioski i umrzeć. Zawiesić rozumowanie i żyć*. Kap. *Zachwycajmy się tylko tym, co godne jest zachwytu. Gańmy to, co zasługuje na naganę. Albo na odwrót*. Kap. *Ostatecznie każdy temat jest dobry i mamy wolność słowa. Z tego powodu jest mi trochę przykro. Ale znowu nie za bardzo*. Kap. *Czasami chciałbym odpowiadać za wszystko i wszystkich. A czasami nie. Przeważnie nie*. Kap. *Nieszczęsna uszczelka. Zawsze gdy mówię „my”, myślę o sobie, bo nie ma żadnej wspólnoty poza mną. Wiem, że wszyscy myślą tak samo. Choć tego akurat nie wiem. Julii Hartwig ze snu narratora podoba się ta książka. Jest taka paradoksalna*.*

Tyle o metodzie. A treść? No, ma postmodernistyczny narrator ponowoczesną dziewczynę, nudzą się ze sobą jak mopsy i z tych nudów zaczynają się kasać. Nawet kompulsywnie uprawiany seks nie daje frajdy. Nie mają żadnego hobby. Wynika konflikt, w wyniku którego się rozchodzą i robi im to małą różnicę. Z nudów, bohater Janusz H. zaczyna zabijać muchy, co skłania go do refleksji: *Muchy są jak płody. Zbyt wkurzające, by pozwolić im wszystkim żyć*. Uwaga, narrator przyjmuje ewentualność, że coś jednak mogłoby być interesujące - *Pierdzenie w twarz mogło by być interesujące. Ale nawet tego nie jestem pewien. Prawdę mówiąc zdarzało mi się podnieć, gdy słuchałem dziewczyn pierdzących na jutubie*.

Skoro WKP szarpnęło się na wydanie, to musi być tam jakieś konkretne antykołtuńskie obrazoburstwo przeciwcieśnogrodzkie. Ale ten nihilizm, reklamowany przez autora, nie jest próbą dotarcia do sensu przez zakwestionowanie wartości. Nie jest w ogóle związany z intelektualnym wysiłkiem. Nie jest obrazoburczy, kontestujący. Nie jest nawet rozpaczą, wezbraniem uczuć. Jest monotonna jałowość. Jest banalizmem. A więc być może udało się autorowi wydestylować nihilizm doskonały, krok dalej byłoby już tylko zwykłe milczenie, ale na zrobienie tego kroku zabrakło autorowi odwagi. *Nie wiem, dlaczego wam to mówię*. Więc może przedstawienie tej jałowości w całej jej okazałości samo przez się jest oskarżeniem Systemu Złego? Kto wie? Niewiele na to wskazuje, ale przesz: *Prawie wszystko może być metaforą prawie wszystkiego* (s. 36). No więc, po jakiego niehalucynogennego grzyba całe to absorbujące celulozę przedsięwzięcie? Narrator puszcza farbę: (...) *sobie myślę i czasami chciałbym powiedzieć całemu światu: „Świecie, co ty pierdolisz”. I czasami tak mówię, a potem nazywam to literaturą i sprzedaję do różnych niszowych wydawnictw*. No i WKP to kupiło i wporzon. Widzę w tym jakąś konsekwencję. KP wszędzie gorączkowo szuka coraz to nowych grup społecznie przetrąconych na okoliczność wykluczenia. To więc

chyba logiczne, że autorzy wykluczeni ze względu na to, że nic ciekawego do powiedzenia nie mają, mogą liczyć na ich życzliwość.

Kazimierz Bolesław Malinowski



Jaś Kapela, *Janusz Hrystus*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010.

Pożarcie

Jeszcze się nie rozstajemy
myśl przeradzasz
w pełną humoru historię
nie całkiem *science fiction*
a co stanie się z nami naprawdę?
krążą plotki o rychłym
końcu świata
- jakiego świata?
są tacy dla których
ten świat już się skończył

jednych pożarł strach
innych zżarła ciekawość
jeszcze inni jedli kogoś z ręki
pozostali byli zajadli lub zajadliwi

Iwona Chudoba

Obrączka

Błaszka w formie obrączki
zespolona z palcem bez możliwości
wyśliźnięcia się
z ponadczasowej siły „na zawsze”
ma wiele znaczeń
pospolitych
romantycznych
naiwnych
nowoczesnych
skazana na ciągłe wgniatanie się
w wychudzone lub nabrzmiałe palce

Oczami czasu

Wielkie oczy czasu
wpatrzzone
w bezgraniczną kulę
w bezmiarze skarg
na postęp cywilizacji
żądła wzroku
czyhają na uśpionych
jedyną ucieczką
jest przeczytanie
inne bajki



Iwona Chudoba,
Oczy czasu,
TAWA,
Chełm 2010,
ss. 48.



Małgorzata Biernat-Świtoniak - olej

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Suplement kulinarny

W 1872 r. rysownik i podróżnik z zamiłowania, Napoleon Orda, rozpoczął dokumentowanie zabytkowych miejsc w Rzeczypospolitej. Zafascynowany dostojnością architektury, niepowtarzalną atmosferą dawnych pejzaży, z pasją tworzył dokumentację polskich zabytków architektonicznych. W latach 1872-1874 odwiedził Wołyń, Podole i Ukrainę. W latach 1875-1877 dokumentował obiekty na Litwie, Żmudzi, Inflantach i Białorusi. W latach 1878-1879 rysował zabytki Galicji, Poznańskiego i Prus Królewskich. W 1880 r. sportretował tereny Królestwa Polskiego. Pozostawił ponad tysiąc akwarel i rysunków. Jego prace przedstawiają zamki, pałace magnackie, kościoły, wiejskie rezydencje i dwory, miejskie kamienice, ruiny twierdz i miejsca bitew. Są kroniką dziejów Rzeczypospolitej.

Na trasie wędrówki Napoleona Ordy znajdowała się również Gubernia Lubelska. Artysta wykonał tutaj rysunki Kazimierza nad Wisłą, Firlejowszczyzny, Piotrowina, Puław, zamojskiej kolegiaty, kościoła poddominikańskiego w Horodle oraz wieży w Stołpiu. Większość widoków Napoleona Ordy została opublikowana w „Albumie widoków historycznych Polski”. Stanowi on wspaniałą wycieczkę krajoznawczą po Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

Obszar ten jawi się jako ostoja tradycji, kraina niemalże magiczna, której kulturowość tworzyła magnateria, a w XIX w. - zarządzający wielkimi majątkami ziemianie pielęgnujący w swoich dworach ojczystą kulturę.

Reprodukcje prac Napoleona Ordy są z wyżej wymienionych powodów bardzo popularne. Zdobią ściany hoteli, bibliotek czy aptek. Wydawnictwa wydają reprints poszczególnych grafik, oraz całe albumy z reprodukcjami prac Ordy.

W bieżącym roku krakowskie wydawnictwo AA podjęło się wydania albumu „Zapomniana kuchnia polskich Kresów ilustrowana litografiami Napoleona Ordy”. Tekst przygotowała Agnieszka Kozłowska przy współpracy Eleonory Trojan. Jest to ponad 250-stronicowa, formatu B5 książka kucharska, w twardej, foliowanej oprawie, z szarym, tradycyjnym papierem w środku, okraszona pięknymi reprodukcjami grafik Napoleona Ordy.

Autorka opracowania podaje przepisy w kolejności: *Zupy, Dania główne, Pierogi i kluski, Potrawy z ziemniaków, ryżu, kaszy i mięsa*. Jeden z ostatnich rozdziałów jest zatytułowany *Święta na Kresach*.

Prezentowane przepisy na bliny, kołduny, cepeliny czy kulebiaki z pewnością znają mieszkańcy i dzisiejszych kresów. Letnie chłodniki przygotowywane przez babcie, podsmażana cebulka ze smalczykiem, kiszzone ogórki...

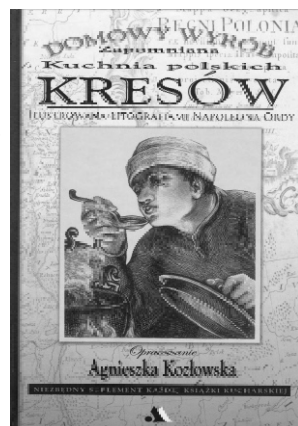
Kuchnia kresowa generalnie jest skromna, oparta na ziemniakach i kaszy, ale są to przepisy wspaniałych uczt. Jej urok tkwi w prostocie, składnikach dostępnych dla wszystkich. Ich połączenie zachwyci wyszukiwanym smakiem kojarzącym się z dobrym, domowym jedzeniem.

Nielatwo jest jednak przypisać konkretne potrawy regionom. Obecnie znany jest piróg biłgorajski z kaszą czy cebularz szczeczeszyński. Na wesela w Zamojskiem przygotowuje się jeszcze czasem korowaj.

Stare przepisy inspirowane kuchnią litewską, białoruską, ukraińską i tatarską, zawarte w książce „Kuchnia polskich Kresów” do dziś krążą wśród najlepszych gospodyń domowych.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Zapomniana Kuchnia polskich kresów ilustrowana litografiami Napoleona Ordy, tekst: Agnieszka Kozłowska, Wydawnictwo AA, Kraków 2010, ss. 256.



Agnieszka Szykuła-Żygawska

Zamojska historia o kawie z herbatą

W 1703 roku ksiądz Tomasz Ormiński, ówczesny rektor Akademii Zamojskiej, w wydanych wówczas kalendarzach pisał, że kawa jest to „bób Arabski [...] z którego [...] Arabowie i Turcy trunek robią i Onego używają. Europeanie zaś świeżo go chwycili. Takż i u nas w Polsce zagościł pod imieniem kawy [...]. Pary w ciele rozpędza, mózg i żyły wilgotne wysusza [...] na zamulenie ma być pomocny”. Herbatę definiował w następujący sposób: „Z Japońskich i Chińskich krajów te ziele do

nas przywiezione te ma mieć przymioty: wapory [zamroczenia], przytłumienia i sen odejmują tak, iż kto go używa, może kilka dni i nocy bez snu wytrwać. Przeto kupcy włoscy i niderlandzcy, gdy mają wiele pisać listów [...] ziola Thee używają i tak przez wiele nocy pijąc pracować mogą, bez fatygi. Żołądkowi słabemu pomaga i od letargu broni. Przeciw podagrze i kamieniu służy. Można to ziele utrzyć na proch i tak w kieliszku wody ciepłej zawarzywszy pić, albo we wrzącą wodę listki wrzucić i potem cukrowawszy ciepło, gdy przestygnie, pić”.

Dziś kawa i herbata to napoje powszechnie znane. Zanim jednak przyjęły się na polskich stołach, musiało minąć kilka stuleci. Jeszcze na początku XVIII wieku herbata była traktowana jako zioło lecznicze. Zwyczaj jej picia rozpowszechnił się w drugiej połowie tego stulecia. Ze względu na wysoką cenę, napój ten był pity tylko na dworach królewskich i magnackich oraz przez bogatą szlachtę i mieszczaństwo. Nie mogło go zabraknąć na dworze Zamoyskich, tym bardziej, że Zamość leżał na skrzyżowaniu szlaków handlowych Lwów-Lublin. Rozpowszechniali go przebywający tutaj handlarze - Węgrzy, Szkoci, Anglicy i Grecy, potem Żydzi.

Tak kawę jak i herbatę sprzedawano w tzw. sklepach korzennych. Można było zaopatrzyć się tutaj również w wino, materiały apteczne i farby, oliwę, sardynki, konserwy, owoce suszone, rodzynki oraz popularną w XIX wieku tapiokę (mąkę służącą zagęszczaniu sprowadzaną z Ameryki Południowej).

W 1830 roku w warszawskim pałacu Stanisława Kostki Zamoyskiego, herbata wydana na sto osób kosztowała - bagatela - 740 zł i 8 gr (dla porównania obiad kosztował cztery razy więcej). To wtedy herbata stała się nieodzownym napojem i suplementem posiłków. Jej popularność wzrosła dzięki kontaktom politycznym i handlowym z Rosją. Wówczas też na jednej ze światowych wystaw zaprezentowano samowar do jej parzenia. Do spopularyzowanych w Polsce zwyczajów należało serwowanie herbaty w szklankach, a nie jak dotychczas w filiżankach. Pito ją z konfiturami lub miętą.

Przed 1865 rokiem w sklepie spożywczym turobińskiego kupca, Pejsacha Cukra w Zamościu, można było kupić szuwaks, farbiki do bielizny ale także skórki pomarańczowe, cykorię, ocet estragonowy, kawę, herbatę oraz tzw. rozenki bez pestek.

W tym czasie parzenie kawy dokonywało się jeszcze w domowych warunkach: na patelni lub

w blaszanym bębenu. Pierwsza profesjonalna palarnia kawy została uruchomiona w 1882 roku w Warszawie.

Pod koniec XIX wieku obydwie używki zyskały na popularności, ale nadal były drogie. W 20-leciu międzywojennym konsumpcja herbaty była na tyle powszechna, że nagminnie zaczęto ją fałszować. Do sposobów jej „ulepszania” należało dodawanie liści innych roślin, uzupełnianie herbaty już raz parzoną, zawyżanie dopuszczalnej ilości łyżeczek (w których jest mniej teiny niż w listkach), zlepianie odpadów środkami klejącymi, a także farbowanie węglem drzewnym, wreszcie perfumowanie.

W Zamościu pierwszą kawiarnię założył w 1930 roku Krystyn Freyberg. W jego „Europejskiej” można było wypić wyborną kawę oraz herbatę. Przed wojną działała też kawiarenka „Adria” prowadzona przez Michała Stryjka - dziadka Marka Grechuty. Obydwa napoje były już wtedy w powszechnym użyciu.

Podczas II wojny światowej dla branż herbacianej i kawowej nadszedł trudny czas. Firmy były zmuszone do zaopatrzania w napoje władze okupacyjne. Część fabryk zaangażowała się w pomoc dla Polaków. Jedną z długotrwałych wytwórni zajmujących się eksportem herbaty i wypalaniem kawy był warszawski „Pluton”. Jednym ze współorganizatorów tej inicjatywy był - dziś 100-letni - Kordian Tarasiewicz, od 1938 roku właściciel wspomnianego „Plutona” założonego przez jego dziadka Tadeusza Tarasiewicza.

W czasie wojny „Pluton” starał się przede wszystkim pomagać ludziom, tak „by firma szła a ludzie mieli zatrudnienie”. Firma dbała, by wszyscy pracownicy mieli legitymacje, co chroniło ich przed wywózką na roboty. Do oflagów szły paczki, a pracownicy mieli do dyspozycji darmowych lekarzy.

Gdy w styczniu 1943 roku na warszawski Dworzec Wschodni dotarły wagony z dziećmi z Zamojszczyzny, „Pluton” wraz innymi zakładami zorganizował dla nich schronisko. Tarasiewicz wspomina, że wcześniej rano otrzymał telefon, że przybyły wagony z dziećmi. Przygotował opalane drzewem ciężarówkę i wraz z pracownikami pojechał na dworzec. Przy ulicy Ikara zorganizowano schronisko dla dziewczynek, przy ulicy Okopowej - dla chłopców. Zajęła się nimi warszawska harcerka. W tajemnicy przed Niemcami uczyła żydowskie dzieci pacierza.

Jak wspomina Kordian Tarasiewicz, przez Zamość przejeżdżał w czasie wojny co najmniej 10 razy. Przekonał władze niemieckie o pomysłe na produkcję marmolady pod Grodziskiem. Surowiec, który był potrzebny do jej produkcji był przecho-

wywany w beczkach w Warszawie. Do opuszczonej po powstaniu stolicy wracał z transportem marmolady trasą Stanisławów-Lwów-Zamość-Lublin.

W powojennej rzeczywistości o kawę nie było łatwo. Najczęściej kupowało się ją „spod lady”. Novum były wprowadzone w latach 70. do większych sklepów młynki, w których na życzenie klienta mielono kawę ziarnistą. Na mniejszą skalę sprzedaż kawy i herbaty prowadziły „Pewex” i „Baltona”. Utał się zwyczaj picia kawy w pracy, najczęściej mielonej, zalewanej w szklankach z metalowymi uchwyty. Najmodniejsza była herbata tzw. „z Kopernikiem”, którą reklamowało hasło: „Jeśliś znawcą, nie laikiem - pij herbatę z Kopernikiem”.

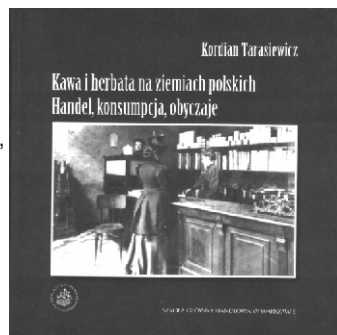
A jaka była przed wojną herbata po zamojsku? - od mojego sąsiada, który jest „dzieckiem Zamojszczyzny” słyszałam, że jego dziadek pił herbatę „na prikusku”, czyli z kawałkiem cukru w ustach.

O tych oraz o innych historiach związanych z kawą i herbatą na ziemiach polskich pisze Kordian Tarasiewicz w wydanej w zeszłym roku

publikacji „Kawa i herbata na ziemiach polskich. Handel, konsumpcja, obyczaje”. Autor książki to postać niezwykła, dziś już 100-letni, przedwojenny właściciel fabryki „Pluton” - bez wątpienia najbardziej kompetentny i prawdziwy, do napisania dziejów kawy i herbaty w Polsce.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Kordian Tarasiewicz,
*Kawa i herbata
na ziemiach
polskich. Handel,
konsumpcja,
obyczaje*,
Warszawa 2009.



Kazimierz Bolesław Malinowski

Odszczekuję

Ostatnio wpadały mi pod laser same pankowe kichy. Flaczywo, wtórnoty i durnoty. Pozwoliłem sobie przeto na nieuprawniony, jak się okazało, wniosek przez indukcję, że pankowa stylistyka doszła do muru i wybija główką oń monotonny rytm, ale skorupka nie pęka i nic się żywego z tego nie wylęga. Oraz, że doszło do trwałego uszkodzenia jakości literackiej tekstów w obrębie nurtu. Niniejszym, po kontakcie z nową płytą El Bandy, czuję się zobowiązany do odszczekania tych kalumni. O, jakże trudno wykszusić mi słowa uznania, w porywach aż do podziwu! A jednak, płyta *Skutki uboczne* jest znakomita. Wzięła mnie szturmem, od pierwszej piosenki. Słucham i nie wierzę. Ciary po grzbiecie. Nie przepadam za opisami przez porównanie, bo gubią specyfikę opisywanego, ale niech tam. Anna Zajdel swobodnie wytrzymuje konkurencję Nosowskiej i Niki. Jej śpiew jest soczysty od emocji i zniewalający. Jej teksty to dobra poezja, obroniliby się z powodzeniem również jako surowe litery. Jest w nich to alchemiczne połączenie brutalności z ultrawrażliwością, które sztychem przebija się przez klatkę do serca. *Dzień dobry państwu/ wchodźcie panie i panowie/ zapraszamy do stołu/*

*to ucztą z ludzkich emocji/ ucztą niebanalnych zachowań/ wchodźcie szybko/ zajmujcie miejsca/ szoł się zaczyna/ a kończy się świat. A efekt tzw. liryczny pomnożony szerokim pasmem wokuła - od melorecytacji do skowytu. Muzyczne aranże świetnie podbijają dany efekt, bo reszta zespołu też gruch nie obija, różnaitość brzmieniowych faktur bezbłędnie uzupełnia kompozycję. Jako właśnie taka, kompletna, dopięta całostka, powalił mnie szybki, 37-sekundowy numer pt. *Belladonna*. Trzymam naręcze oddechów - ikebanę z nich/ między palcami uschnięte uniesienia - nawozem je/ i bieluniem nakarmić świat/ szalejem jadowitym/ belladonną/ i bieluniem nakarmić świat szalejem jadowitym/ belladonną.*

Choć jest to generalnie pulsujący gitarowy czad, to inkrustowany smykami, dęciakami blaszanymi, dźwiękami pozytywki. Zmiany rytmu, sprinty i zawieszenia, rozkołysują dynamikę. Tu nie ma kaszy i plasteliny, jest giętka elastyczna sprężyna. No, raczej literami wam tego nie zanucę, ale mogą zrobić przegląd poetyckiej potencji Zajdel. Ot, na przykład: *Pergaminem owiniemy czas/ zgubimy ten stęchły tak bardzo dziwny/ tak wyczerpany świat. Zatem zaczerwieniony raj zobacz/ jak prosto w martwych skrzydłach ulecieć tam/ gdzie kończy się czas/ a starcie na starcie metę ma/ a drobne odłamki mas/ budują sobie szklane kominy/ suszą pragnienia jak pomidory/*

w teatralnej masce wykrzywienia (Ćma). Albo wiersz *Wańka-wstańka*, zaaranżowany na jedną z najlepszych piosenek na płycie: raz dwa trzy *Baba Jaga patrzy/ są takie miejsca, gdzie znaki drogowe stoją do góry nogami/ ludzkość się czai, na czterech nogach zbliża się do śmietnika/ wybuch niebawem wszystko w pył rozwali/ wszystko pokryje warstwa kurzu nie do starcia, nie do zdarcia/ bo to będzie ludzki z tłuszczu kurz i kości zmielonych są takie miejsca, gdzie macice wchłaniają kolejne płody/ nie pomoże konik na biegunach ani wańka-wstańka/ ani plastikowy wieniec pełen modłów chryzantemowy/ nie pomoże wata na patyku cukrowa ani miś pluszowy/ ani in vitro ani apostaza ani naścienne jelenie rogi/ bo to będzie ludzki z tłuszczu kurz i kości zmielonych, a niewygnane jeszcze miesiące kasać będą w martwe uda/ niewygodnymi słowami kasać srodze będą w brzuch. Albo obrazek obyczajowy: Wyszłam za mąż jestem w ciąży/ dziś bierzemy wózek, też na raty/ kochamy się z mężem bo mój jest mąż/ w M-4 zasłony przeciwśladowe/ Za trzydzieści lat będą moje/ za trzydzieści lat będą moje, moje, moje, moje. Wyszłam za mąż, z miłości wyszłam/ dziś mniej boli bo się goi/ gruchnęłam o podłogę, dziecko gruchnęło/ w M-4 zamiatałam włosami podłogi/ za trzydzieści lat będą moje/ za trzydzieści lat będą moje, moje, moje, moje. Wyszłam za mąż, gryzę wargi/ dziś szukałam przepisu na śmierć/ podkręcę lodówkę, schowam się w niej/ w M-4 w lodówce zamrozę się/ bezgłośnie ugotuj ze mnie rosół/ i jedz go przez trzydzieści lat, splacając świat (Złoty krążek). Albo zaśpiewana proza poetycka przywołująca skojarzenie z dokonaniem słynnej polskiej autorki młodego pokolenia: Kiedy po raz pierwszy się zakochałam i po raz drugi, i trzeci, i ósmy, i trzynasty, rozkładałam nóżki, rozwierałam ramiona, krzyczałam aj lov ju, bierz mnie, chciej mnie, pożądaj mnie, jestem twoja, zrobię ci kanapki, uprasuję skarpetki i majtki w sześciokąt złożę, i na półce ułożę kolorami bejbe. Tylko okaż mi odrobinę uwagi, zmienię się dla ciebie, schudnę, umaluję oczy, ogolę nogi, wytnę irokeza na cipce, tylko mnie kochaj, tylko mnie kochaj, wsadź mi te słowa wszędzie, gdzie się da, w każdą dziurę, w każdą szczelinę ciała- człowieczeństwa, tylko obiecaj, że zawsze już za rękę będziemy, żeby inni widzieli jakie mam szczęście u boku kogoś takiego, wszystko jedno jakiego, (...) jak to tata nie dawał mi miłości, jak mnie bił i chlał i się go bałam, tylko mnie przytulaj bo jestem mała, niespokojna bezbronna dziewczynka, tylko utul mnie do snu, najlepiej wiecznego, najlepiej żebyś od razu mnie zabił, zadgał, zasztyletował, zamordował, udusił, utopił, wbił w serce nóż, wbił w głowę gwóźdź, wbił w nadgarstki żyłki na stałe, żebym na stałe już nie musiała błagać o miłość, na stałe bylebyś mnie kochał, odwiecznie. Ale ty milczysz, kochanie,*

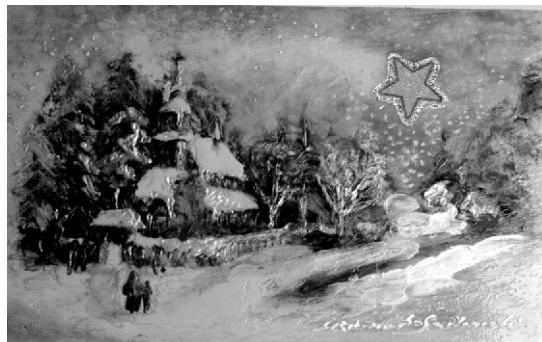
jak to, kochanieńki? Nie kochasz mnie? Nie chcesz mnie? Ja ci ciasto zrobię, loda ci zrobię, zmyję po tobie brudy w zlewie, w kiblu wyszczotkuję resztki twojego gówna, z włosów wyczeszę ci kurz palcami, z życia zabiorę ci wszystko, zeżrę cię, wyszę z ciebie energię calutką, aż padniesz, aż nie będziesz chciał mnie widzieć, słyszeć, znać, tylko mnie kochaj, proszę cię, tylko kochaj mnie. (Ajlovju) Z niniejszego wnioskować można, że mamy do czynienia ze wściekłą femina, ale nie pozbawioną poczucia autoironii.

Cóż, jako osoba niemiesięczkująca nieco zażenowany byłem powracającymi ostentacyjnymi nawiązaniami do tej intymnej kobiecej przypałości, i w ogóle żeńskich organaliów, lecz cóż - prawda czasu, prawda ekranu. Namaluję obrazy krwią menstruacyjną na murach miast/ niech zobaczą narody święte zjednoczone wymazu krzyk (Kolorowe kredki). Brak światła i krwotok powolny/ prosto z otworu porodu (Delicje). Przybywam z innej myśli i jeszcze sobie polatam/ na skrajnościach płcią wyrzytych skrzydłami zawału macicy (Hasz hasz). Takie słowa wywołują u mnie złośliwawy nerwowy chichocik szowinistycznej męskiej szwinki. Nie ma dziwnie. Chłopcy są źli, chłopcy biegają z nożami, mordują dziewczęce sny/ wycinają je, upychając w kieszeniach grzechy/ wycinają w nich dziury między nogami (Karnawał). Ale co tam, dobra poezja bez uszczerbku pomieści rozmaite treści.

Cała ta płyta jest spójną całością, konstrukcją imponującą i rozmachem, i precyzją detalu. Dawno żadna muza mię tak nie ruszyła. Pankowa stylistyka wydaje się w niej pretekstem do wyjścia poza obszar tej konwencji, dlatego pozwolę sobie nazwać *Skutki uboczne* pierwszą polską płytą metapankową.

Kazimierz Bolesław Malinowski

El Banda *Skutki uboczne* Pasażer 2010.



Małgorzata Biernat-Świtoniak - olej

debiut

Monika Maciejewska**Krasnorymowanki****Lustreczko**

- Lustreczko, powiedz przecie...
Kto jest najpiękniejszy w świecie?

- Górniak jest kobietą świata,
choć ma już swoje lata...

- Lustreczko! Jak cię trzasnę!
Ramki będą ci za ciasne!

- Chciałem rzec, żeś Ty jest przecie
najpiękniejszą w całym świecie...

- Lustreczko, powiedz szczerze,
bo ci jakoś dziś nie wierzę...

- Ależ uwierz, o bogini!
Czy żeś w palcie, czy w bikini,
czyś ubrana, czy też goła
nikt ci oprzeć się nie zdoła.
Gdy się zjawiasz na zakręcie
twoje spojrzenie jak zakłęcie
rzuci wszystkich na kolana
w dzień, wieczorem, no i z rana...
Swym uśmiechem łzy osuszasz...
Z taką gracją się poruszasz,
że mężczyźni za twym krokiem
wodzą wygłodniałym okiem,
marzą zanim zdążą usnąć,
by swą dłońią twoją musnąć...

- Tak, to jasne... wiem to przecie...
A kto najmądrzejszy w świecie?

- Miodek... zdaje mi się ...chyba...
Mądrość z jego ust wypływa...

- Jak cię grzmotnę, Lustreczko!
To ci aż odpadnie wieczko!

- Zaraz, zaraz... Niech pomyślę,
bo mam mętlik na umyśle...
Już mi się klaruje obraz:
Tyś jest najmądrzejsza teraz.
IQ masz nie do pobicia!
Wszystkie znane ci odkrycia!
Platon, Einstein, Pitagoras...
głupszy nawet wszyscy naraz...

- Dobrze, dobrze, Lustro, wierzę...
Lecz jeśli nie mówisz szczerze
nie pomoże żaden wrzask -
samo pęknieś...

(Lustro:)
TRZASK!

Krasnystaw 06.12.2006.

Marek Szymaniak**Warto żyć pięknie**

Dobrze, że takie filmy jednak powstają. Dla tych, którzy nie mieli okazji żyć w PRL-u ani jednego dnia „Wszystko, co kocham” w reżyserii Jacka Borcucha będzie świadectwem, że tamte czasy, mimo całej politycznej zawłości, bywały barwne dzięki osobom, które w nich żyły.

Współczesny obraz PRL-u to szary świat, gdzie nic nie można i wszyscy są szpiegowani. Borchuch wcale temu nie zaprzecza, wręcz przeciwnie, pokazuje jednak, że koloryt tamtych czasów to wyjątkowi ludzie.

„Wszystko, co kocham” jest opowieścią o czasach przełomu z początku lat 80. Wydarzenia strajków, Solidarności, czy stanu wojennego widzimy oczyma młodych ludzi, którzy na progu dorosłego życia muszą mierzyć się nie tylko z pierwszymi poważnymi życiowymi decyzjami, ale i polityką totalitarnego państwa, która nieubłaganie wpływa na ich rzeczywistość.

Grupa nastolatków, których poznajemy, kończy właśnie szkołę. Pojawiają się pierwsze poważne decyzje o przyszłości, pierwsze miłości, erotyczne zafascynowania i moralne wybory, których wówczas nie brakowało. Jacek Borchuch przez życie młodych osób ukazuje miazdzącą siłę politycznego walca, z którym - wydaje się - nie sposób wygrać, a jednak trzeba się mu przeciwstawić.

Janek wraz z przyjaciółmi zakłada zespół punkowy. Muzyka, która wprost mówi to, co wielu ma odwagę tylko szeptać, szybko staje się prywatną formą buntu przeciw zastanej rzeczywistości. Choć bohaterowie starają się trzymać z dala od manifestacji i strajków, na ich losy ciągle wpływa polityka. Janek, którego ojciec jest wojskowym, kocha się w córce opozycjonisty. Młodzieńcze uczucie zostaje gwałtownie przerwane przez stan wojenny, a potem ucieczkę prześladowanej rodziny do NRD. Człowiek znów staje się nikim na drodze wielkiej polityki.

Zachwyt publiczności na festiwalu w Gdyni jest zrozumiały, bo seans jest prawdziwą przyjemnością. Pomysłowa realizacja, oszczędne, aczkolwiek trafne dialogi, czy świetna muzyka w wykonaniu Leszka Możdżera sprawiają, że film nie tylko wzrusza, ale i skłania do refleksji.

Refleksji dla każdego innej. Dla starszych będzie to powrót do czasów młodości. Dla młodszych - podróż przez PRL nie tylko szary i zniewolony, choć też, ale przede wszystkim przez indywidualne historie pięknych moralnie ludzi wchodzących w dorosłe życie.

Młodzieńczy idealizm, naiwność, chęć poznawania i uczenia się świata dodaje energii tym, którzy w ferworze codziennych zmagani z rzeczywistością zagubili nadzieję na lepsze czasy. „Wszystko, co kocham” przywraca ten młodzieńczy błysk w oku, który krzyczy, że warto żyć! I to żyć pięknie.

Marek Szymaniak



„Wszystko, co kocham”, scenariusz i reżyseria: Jacek Borcuch, zdjęcia: Michał Englert, Polska 2009.

Marek Szymaniak

Zero złudzeń

Życie jest złudzeniem. Niezależne decyzje, które podejmujemy każdego dnia stają się mechanizmem zniewolenia, które na siebie nieświadomie nakładamy. Mechanizmy działań mające przynieść nam szczęście, stają się reakcją łańcuchową skutków, których nigdy nie możemy przewidzieć. Phil Bosmans powiedział kiedyś: „Najpiękniejszych chwil w życiu nigdy nie zaplanujesz. One przyjdą same”. Paweł Borowski, debiutujący w roli reżysera filmem „Zero”, zdaje się dopowiadać: najgorszych chwil w życiu także nie zaplanujesz, ale czy tego chcesz czy nie, w końcu dopadną Cię i zniszczą. Nie miej złudzeń! Nic Ci nie pomoże!

Zachwyt nad codziennością w szerokiej gamie barw. Borowski jest pasjonatem codzienności i zła, które tkwi w każdym z nas. Fabuła jego debiutanckiego filmu opiera się na szeregu bohaterów, których poznajemy zaledwie przez chwilę, wchodząc w ich życiowe dramaty, aby po chwili przenieść się w do następnej postaci i następnej. Życie widziane z góry. Obserwacja wielkiej metropolii bez nazwy, to jak oglądanie tętniącego życiem mrowiska. Dziesiątki bohaterów, dziesiątki sytuacji, życiowych wyborów, decyzji, dramatów, lęków, zdrad, zazdrości, depresji, bezsilności, śmierci, nienawiści, miłości, pustej namietności i samotności. Wszystkie te stany łączy jedno - człowiek. Borowski decyduje się na bohatera zbiorowego właśnie dlatego, aby mógł oddać wszystkie odcienie szarości i bulgoczącego w nas zła.

Kilkunastu bohaterów i kilkanaście świetnie odegranych ról. Trudno wybrać jednego czy dwoje aktorów, którzy swoim krótkim epizodem zasłużyli na większy szacunek niż reszta. Pokrzyżowane wątki, losy postaci, ich codzienności ukazane przez twórców nakazują odbierać grę aktorską jako całość - a ta jest zachwycająca. Naturalność i piękna naiwność taksówkarza (Mariana Dziędziela) czy psychologiczna głębia bezsilności i depresji bijąca z twarzy chudego gaziennika odgrywanego przez Andrzeja Mastalerza to istny dramatyczny majstersztyk. A to tylko pierwiastek tego, co oferuje widzom zespół aktorski.

Akcja filmu rozgrywa się w wielkiej nienazwanej metropolii. Uniwersalizm bezmiejscowych postaci i miejsc nakazuje nam wiązać ekranowe wydarzenia z codziennym życiem każdego z nas. Nieważne, czy jest to wielki biurowiec, czy mieszkanie w burzącej się kamienicy - ważna jest rzeczywistość, która nas otacza. Ważne jest życie ludzi, których codziennie mijamy, ich dramaty, problemy, o których istnieniu nie mamy pojęcia. Reżyser nie każe nam pochylić się nad każdym człowiekiem z pytaniem „czy wszystko w porządku?”, ale skłania do refleksji, a przede wszystkim świadomości. Czując, że rzeczywistość to coś więcej niż tylko nasze życie, bez względu jak wesołe bądź tragiczne, mamy namiastkę świadomości i spojrzenia na ludzkie mrowisko z góry. Widok ten, raz doświadczony, nigdy już nie da nam spokoju. O ten niepokój walczy Borowski. Niepokój bowiem jest twórczy, skłania do działania.

Oglądając „Zero” Borowskiego mamy nieodparte wrażenie, że jest to film zagraniczny. Montaż jest bowiem bezbłędny, precyzyjny i dokładnie przemyślany, a dodatkowo niezwykle dynamiczny. Film o niełatwej przecież tematyce i treści, właśnie dzięki rzadko spotykanej w polskim kinie formie, płynie, szybko porywając widza dzięki stopniowo budowanemu napięciu. Porównania do

dzieł Altmana czy „21 gramów” Alejandro Iñárritu, a także „Miasta Gniewu” Paula Haggisa są jak najbardziej na miejscu. Szczególnie, że dążenie do naśladowstwa dzieł mistrzów kina jest niezwykle udane. Oby więcej młodych reżyserów z Polski miało tyle odwagi i talentu, aby naśladować filmowych mocarzy.

„Zero” to tytuł nieprzypadkowy. Jeden dzień z życia przedstawiony w filmie to jeszcze jeden kolejny dzień z życia. Zdarzyło się tak wiele, a przecież można uznać, że nie zdarzyło się nic. Wstaje nowy dzień. Dla nieznanego przechodnia, tak jak dla widza, tragedia w życiu obcego człowieka to przecież nic, zero. Tylko czy na pewno? Setki razy przechodzimy obok ludzkich dramatów zupełnie bezrefleksyjnie, a potem dziwimy się jak mogło spotkać nas coś równie traumatycznego i dlaczego dla nikogo to nic nie znaczy. Borowski wystawia nam zło świata tkwiące w człowieku i w życiu na tacy. Możemy je obejrzeć, usłyszeć, powąchać i uciec albo przełknąć, zrygać się, nie przespać nocy - przeżyć w pełni. Wybór należy do nas.

Marek Szymaniak



„Zero” (dramat), scenariusz i reżyseria: Paweł Borowski, zdjęcia: Arkadiusz Tomiak, muzyka: Adam Burzyński premiera: 23.10.2009 Polska.

Filmowe podróże „Iluzjonu”

MDKF „Iluzjon” na Festiwalu Filmoteki Szkolnej

Pierwszy Festiwal Filmoteki Szkolnej odbył się w Warszawie w dniach 14-15 czerwca 2010 r. Spotkanie to było podsumowaniem całorocznej pracy szkół, które brały udział w projekcie. Na festiwal przyjechali uczniowie i nauczyciele z 40 szkół z całej Polski.

Pierwszego dnia uczestnicy mieli okazję zwiedzać: Wytwórnię Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, Archiwum Filmoteki Narodowej, The Chimney Pot, Platige Image, TVN, Warszawską Szkołę Filmową i Mistrzowską Szkołę Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy. Wieczorem odbyły się warsztaty integracyjne, które były doskonałą okazją do wymiany doświadczeń. Ostatni punkt programu to wieczór filmowy, czyli pokaz filmów uczniowskich połączony z dyskusją. Projekcje odbywały się w dwóch salach. Łącznie zaprezentowano 31 filmów, m.in. pracę „Oby gadać” Aleksandry Mochnej, uczennicy II LO im. C. K. Norwida w Krasnymstawie. Film ten zajął pierwsze miejsce w VIII Powiatowym Konkursie Filmowym „Spotkanie z X Muzą - bliżej marzeń”. Duże wrażenie na uczestnikach festiwalu zrobiły plakaty filmowe Agnieszki Dolskiej, Idy Krzyżanowskiej i Małgorzaty Śrutu - uczennic z Państwowego Liceum

Plastycznego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.

Drugi dzień zaczął się od uroczystego otwarcia festiwalu z udziałem Agnieszki Odorowicz - dyrektora PISF, Alicji Pacewicz - dyrektora ds. programów i wydawnictw CEO oraz Wiktora Jędrzejca - dyrektora Departamentu Szkolnictwa Artystycznego i Edukacji Kulturalnej MKiDN. Następnie odbył się pokaz filmów nagrodzonych w konkursie dla uczniów i wręczenie dyplomów laureatom. Nagrodę główną zdobyła etiuda filmowa „Krótki film o Małgosi” Agnieszki i Zosi Tucholskich poświęcona ich siostrze z zespołem Downa. Kolejny punkt programu to targi projektów w foyer kina „Kultura”. Równolegle odbyły się projekcje dziesięciu najlepszych filmów nagrodzonych w konkursie Filmoteki Szkolnej. W czasie targów 4-osobowe reprezentacje (3 uczniów i nauczyciel) ze szkół miały możliwość przedstawić swoje działania: filmy, plakaty, fotorelacje, reportaże z wydarzeń organizowanych w szkołach. Uczestnicy festiwalu mieli również możliwość wymiany doświadczeń z ekspertami, którymi byli m.in. Agata Buzek, Karolina Gruszka i Andrzej Jakimowski. Moderator kursu internetowego dla uczniów organizowanego przez Filmotekę Szkolną, aktor Grzegorz Emanuel zaproponował opiekunowi MDKF „Iluzjon” zorganizowanie letnich warsztatów filmowych dla młodzieży. Miejmy nadzieję, że takie wakacyjne spotkanie filmowe uda się zorganizować w Krasnymstawie w czasie przyszłych wakacji.

Festiwal zakończyły wystąpienia Alicji Pacewicz, prof. prof. Małgorzaty i Marka Hendrykowskich oraz Andrzeja Jakimowskiego. W swoich wypowiedziach wyrazili oni uznanie dla pasji filmowej uczniów. Z podziwem mówili o pracy nauczycieli w zakresie edukacji filmowej, a także o ich wieloletnim zaangażowaniu w działania związane z filmem.



Uroczyste otwarcie Festiwalu Filmoteki Szkolnej.



Prof. Małgorzata i Marek Hendrykowsky z delegacją z II LO w Krasnymstawie.

Filmowy Zwierzyniec

Od 6 do 15 sierpnia Zwierzyniec po raz jedenasty gościł miłośników X Muzy, którzy licznie przybyli z Polski i z zagranicy. Jak co roku, przyjechali stali bywalcy LAF-u z Rosji i Ukrainy, ale nie zabrakło także gości z RPA. Zwierzyniec przyciąga nie tylko dlatego, że jest to urokliwe miejsce. Program Letniej Akademii Filmowej jest niezwykle bogaty, więc trudno się dziwić, że przyjeżdża tam wielu kinomanów w różnym wieku. Około 350 filmów wyświetlanych w sześciu kinach podzielono na cykle, np. „Od apartheidu do mundialu”, „Urodziny pana Czechowa”, „Kłopoty z

Witkacym”, „Elegia dla konia”, „Słowackie przypadki”, „Węgierski czas teraźniejszy”, „Bogowie rocka umierają młodo”, „W polskim obiektywie” czy retrospektywy Gianni Amelio i Marco Bellocchio. Program LAF-u to nie tylko filmy, ale także spektakle teatralne, koncerty i warsztaty.

Uroczyste otwarcie rozpoczęło się od reportażu o jubileuszowej Akademii zrealizowanego przez filmowców z Kijowa. Następnie rektor Piotr Kotowski przywitał licznie zgromadzonych lafowiczów. Natomiast burmistrz Zwierzynca, po wygłoszeniu wielu ciepłych słów pod adresem Kotowskiego, wręczył mu klucz do miasteczka.

Niezwykłym wydarzeniem tegorocznej Akademii okazał się cykl filmów z RPA. Piotr Kotowski podkreślił, że cykl „Od apartheidu do mundialu” jest pierwszym tak obszernym przeglądem filmów z tego kraju w Polsce. W Zwierzyncu pokazano historię filmu południowoafrykańskiego: od „Pionierów” Harolda Shawa z 1916 r., przez „Kraj na uboczu” Svena Perssona z 1974, po filmy z ostatnich lat, np. „Dystrykt 9” Neilla Blomkampa z 2009 r. W ramach tego cyklu odbyły się także spotkania autorskie z reżyserami z RPA. Richard Stanley prezentował „Demona piasków”, natomiast Zola Maseko pokazał w Zwierzyncu „Życie i czasy Sary Baartman” i „Drum”. W kinie „Skarb” reżyserzy dyskutowali z widzami nie tylko na temat swoich filmów, ale także rozmawiali o problemach społecznych w RPA.



Piotr Kotowski wręcza statuetkę Galinie Czerniak - laureatce Konkursu na Najlepszy Film o LAF-ie.



Reżyser z RPA Zola Maseko w czasie spotkania autorskiego w kinie „Skarb”.

Do Zwierzyńca przyjechali także goście z Europy. Reżyser Simon Szabó po projekcji filmu „Papierowe samoloty” przedstawił sytuację kina węgierskiego. W czasie spotkania autorskiego, reżyser Vladimir Balko odpowiadał na pytania dotyczące filmu „Spokój w duszy”. Nie zabrakło także pytań dotyczących kondycji kina słowackiego.

Gianni Amelio i Marco Bellocchio, pomimo że nie mogli przyjechać, udzielili wywiadów specjalnie dla LAF-u w związku z retrospektywami ich filmów. Wypowiedzi włoskich reżyserów można było przeczytać w „Zwierzyńcu Filmowym” - piśmie Letniej Akademii Filmowej. Dużym zainteresowaniem cieszył się film Bellocchio „Zwyczajna” o związku młodego Benito Mussoliniego z Idą Dalsler. Na uwagę zasługuje także film Amelio „Klucze do domu” nakręcony na podstawie książki „Urodzeni dwa razy” Giuseppe Pontiggii, ojca Andreasa urodzonego z porażeniem mózgowym.

Zwierzyńską „ucztę kinomana” dopełniły polskie filmy prezentowane w kilku cyklach, m.in. „Lech Majewski. Świat według Bruegla” Dagmary Drzazgi, „Hel” Kingi Dębskiej, „Prosta historia o miłości” Arkadiusza Jakubika, „Różyczka” Jana Kidawy-Błońskiego, „Mistyfikacja” Jacka Koprowicza, „Cudowne lato” Ryszarda Brylskiego czy „Wenecja” Jana Jakuba Koloskiego. Wymienione filmy reprezentują różne gatunki, ale łączy je jedno - na pewno są warte obejrzenia!

Atrakcje LAF-u to także nocne seanse i koncerty na dziedzińcu zabytkowego browaru zwierzyńskiego. W kinie nocnym pokazano, m.in. „The Hurt Locker. W pułapce wojny” Kathryn Bigelow, „Co nas kręci, co nas podnieca” Woody'ego Allena, „Zdobyc Woodstock” Anga Lee. Imprezy towarzyszące, zaczynające się o północy, to koncerty zespołów, m.in.: „Huun Huur Tu” z Tuwy,



Uczestnicy LAF-u przed projekcją filmu w kinie „Jowita”.

autonomicznej republiki w ramach Federacji Rosyjskiej, rumuńskiego „Fanfare Transylwania” czy lubelskiego zespołu „Dron”.

Na koniec warto wspomnieć, że w Akademii uczestniczyli laureaci VIII Powiatowego Konkursu Filmowego organizowanego przez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon” działający przy II Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Krasnymstawie i Krasnostawskim Domu Kultury. Dzięki współpracy z Piotrem Kotowskim - wiceprzewodniczącym Polskiej Federacji DKF - od 2001 r. laureaci otrzymują od PF DKF akredytację na Letnią Akademię. Pobyt trojga uczniów z II LO został sfinansowany ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w ramach zadania Edukacja filmowa prowadzona przez MDKF „Iluzjon”.

Tych, którzy nie byli w Zwierzyńcu w pierwszej połowie sierpnia, zachęcam do przejścia strony internetowej LAF-u (www.laf.net.pl), gdyż nie sposób opisać wszystkich ciekawych wydarzeń 11. Akademii. Po prostu tam trzeba być! Za rok odbędzie się kolejna edycja Akademii, więc warto o LAF-ie pamiętać.

Ewa Magdziarz - opiekun MDKF „Iluzjon”

Henryk Radej

Krzepki Mrozek

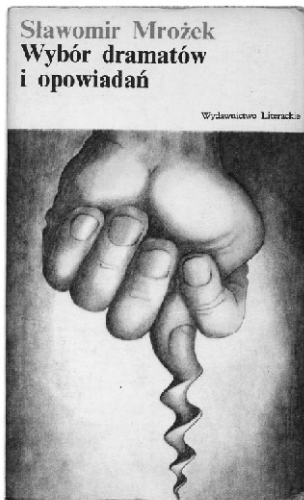
Znów będzie o Sławomirze Mroźku. A o bliższym mi o wiele bardziej niż S.M. - Zbigniewie Herbertcie, pisałem może jeszcze w licealnym wypracowaniu? Mrozek mnie drażni i intryguje, śmieszy i denerwuje, a Herbert... hmm, co robi Herbert? Herbert regeneruje moje potłuczone człowieczeństwo (coś podobnego!), odbudowuje to, co tracę w barbarzyństwie codzienności (a jakże!). Jednak, wobec twórczości obu tych autorów nie można być obojętnym. Mrozek kopie i wali po pysku, bawi się słowem i historią, czerpiąc perwersyjną przyjemność z tej zabawy, zmusza do myślenia. Herbert jest uwznioślony „ponad to wszystko” i krzepi w inny sposób.

Padło na Mroźka, bo tego lata obchodził swoje 80. urodziny! - Sto lat, Mistrzu! Proszę wybaczyć ten głupi okrzyk kolokwialny, ale to takie polskie. *Plurimos annos!* - w tym kontekście - byłoby zupełnie nieestosowne.

Mógłbym go jeszcze wyściskać, ale on kolejny raz... wyjechał z Krakowa! Nie wiem też, czy życzy sobie dożyć stu lat? Licho wie, co jeszcze kłębi się w jego przewrotnej głowie?

Przyznaję się, że nie znam wszystkiego, co wyszło spod ręki Mroźka. Usiłuję przypomnieć sobie chronologię tego, co oglądałem w różnych polskich teatrach, co czytałem na fali „powrotu” zakazanego w PRL-u (zwłaszcza po 1968 roku) autora. Po stanie wojennym Mrozek „sam się zakazał”, zastrzegając, by nie publikować jego utworów w polskiej prasie i nie pokazywać jego

sztuk w polskiej telewizji. W polskich teatrach sztuki Mrożka święcili w tym okresie triumfy. Wtedy to miałem okazję obejrzeć *Vatzlava* (z 1968), *Szczęśliwe wydarzenie* (z 1973), *Rzeźnię* (z 1973), *Garbusa* (z 1975), *Pieszko* (z 1980). *Emigrantów* (z 1974) oglądałem jeszcze za Gierka w wykonaniu jakiegoś amatorskiego teatru w Lublinie i od tej pory nie mogę uwolnić się od Mrożka. Potem chwyciłem za opowiadania ze słynną okładką, jakże świetnie pasującą do jego twórczości. Do dziś najbardziej



pamiętam *Pieszko* - gorzką, acz realistyczną metaforę o stanie polskiego ducha, porównywaną z *Weselem* Wyspiańskiego i *Popiołem i diamentem* Andrzejewskiego; obraz Polski powojennej, skundlonej i „uludowanej”. Niestety, taka była przez ponad 50 lat siemiężnego socjalizmu i po części jest taką nadal, bo u władzy ciągle są jakieś „podejrzane typy”, zaś sensacja i emocje wywołują społeczny ferment, ale ostatecznie niczego pozytywnego nie załatwiają. Kilka razy widziałem różne inscenizacje słynnego *Tanga* (z 1964) i zawsze znajduję w nim coś nowego i... przerażającego o człowieku żądnym władzy.



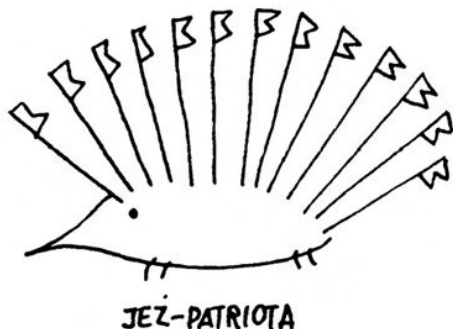
Postanowiłem uczcić urodziny Mrożka dość nietypowo, ale pożytecznie, bo pracą na grządkach za rodzinną stodołą z jednoczesnym przypomnieniem sobie z *mp-trójki* wybranych fragmentów jego *Dziennika powrotu* (z 2000 r.). Lubię słuchać tych opowieści o życiu na ranczo „La Epifania” w Meksyku i o tym, jak bohater sposobił się do powrotu do Polski. W drugim tomie *Dziennika* (w 1996 roku Mrożkowie wrócili do Krakowa) jego pisanie przeradza się w celne felietony ze scenkami rodzajowymi, pełnymi absurdów tzw. „wolnej” Polski. Tu i ówdzie czytam, że Mrożek celuje w wyszydzenie polskości, moralności, tradycji i patriotyzmu. Istotnie, czasem przegina i może boleć to i owo, ale umiemy stanąć z boku i popatrzeć na siebie z dystansem.



Zasłuchany, opielilem - w rytm prozy Mrożka - dość spory warzywniak. Słońce już za drzewami i rzuca chłodniejsze cienie. Jak co dzień, pod wieczór, skrajem drogi, chwiejnym krokiem wraca pieszko (jakie to Mrożkowe!) po pracy we młynie znajomy z sąsiedniej wsi. Zawsze, gdy minie łąki i wchodzi między zabudowania, jego krok staje się bardziej „oporny” - tę sztukę udawania opanował do perfekcji.auta trąbią i mijają go szerokim łukiem. Ten, nie bacząc na nic, od lat w tym samym miejscu zaczyna na całe gardło śpiewać: „My ze spalonych wsi. My z głodujących miast. Za głód, za krew, za lata łez już zemsty nadszedł czas!” - to marsz Gwardii Ludowej z czasów II wojny światowej. Mrożek by się uśmieł! I pewnie wykorzystał w jakimś opowiadaniu. Młynarz wojny nie pamięta, bo jest jeszcze młodszy ode mnie, ale pokazać całej wsi, że ma się „ten głos” i rzekomo ma za co wypić - czemu nie?

„Im jestem starszy, tym bardziej chce mi się śmiać i tym mniej się śmieję. Zaś dowcipów nie opowiadam prawie nigdy” (z *Dziennika powrotu*).

Oto cała Mrożkowa filozofia, będąca esencją jego mądrości życiowej. W *Dzienniku* denerwuje mnie również kilka ponadczasowych i globalnych tematów w „naiwnej” interpretacji autora, jak choćby jego przekorne tłumaczenie teorii spiskowej. Ale Mrożek nie byłby sobą, gdyby nie „wiercił dziury” w nas samych, na wzór wspomnianej wcześniej okładki książki z wyborem opowiadań i dramatów.



Równo dwa lata temu Mrożek znów „uciekł” z Polski - tym razem do Francji, do Nicei. W wywiadach zarzeka się, że już nic więcej nie napisze, nie narysuje, ale obiecuje wracać tu co jakiś czas, bo przecież mamy Unię Europejską i wszędzie jest się u siebie. Pożyjemy - zobaczymy. Ponad 40 lat temu uciekał z Polski przed komunizmem. Przed czym lub przed kim ucieka teraz Mrożek? Przed nami, czy przed sobą samym?



Ministrza nie ma, ale w Warszawie i Krakowie pod koniec września odbędzie się festiwal pod nazwą „Mrożek na XXI wiek”. Program imprezy wypełnią ciekawe wydarzenia teatralne, wystawy oraz spotkania z... autorem. Życzeniem organizatorów jest, aby 80. urodziny pisarza stały się okazją do ponownego sięgnięcia po jego książki i do próby nowej interpretacji jego dzieł. Niebawem ukaże się pierwszy z trzech niepublikowanych tomów dzienników Mrożka (*Dziennik 1962-1969*). Zapowiada się małe trzęsienie ziemi.

Henryk Radej

Zagroble, lato 2010

PS

*Autorem rysunków jest Sławomir Mrożek

* Autorami ilustracji na okładce są Zofia i Andrzej Darowscy (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975)

Aleksandra Nizioł

Popowstaniowe impresje w biegu

1944-2010; Krasnystaw - Marki - Ząbki - Warszawa

„Tam się rodzą typy zuchwałe i uparte, umięte chcieć i działać”, Zofia Kossak-Szczucka „Perły Kresów”, wyd. Arystoteles, Warszawa 2008

„Czy ty wiesz, co robisz?” - usłyszałam przed startem od kibica, który mimo zagrożenia burzą stulecia przybył podać mi w razie potrzeby sole trzeźwiące. To była reakcja na komunikat, że w Biegu Powstania Warszawskiego 2010 mam zamiar przebiec 10 km. Nie jestem zawodowym sportowcem, pomimo szaleństw młodzieńczych i osobowości skłonnej do ekstrem wszelakich, mogę określić swoją nikłą wytrzymałość. Zaczęłam biegać w czerwcu, nie myśląc nawet o jakimkolwiek sfinalizowaniu tych niby-treningów. Fakt, krótko, ale

dlaczego tak mało wiary w kobiecie, człowiecze siły?

„Czy ty wiesz, co robisz?” - towarzyszyło mi zaraz po tym, jak fala zmotywowanych do walki pchała mnie do przodu, narzucając tempo swoją energią. Szybko poczułam się zmęczona, powieki zaszyły zniechęceniem, czoło zrosiła myśl, by się poddać.

Czy Wy wiecie, co robicie? Czy Oni wiedzieli, co robią? Czy to ma jakikolwiek sens? Czy kogoś to obchodzi? Czy komuś się przyda? Pytania roku 1944 i 2010.

Nie wiem, czy Pokolenie '20 się zastanawiało i jak długo. Może dywagacje pozostawiło potomnym, garbiącym się nad dokumentami, pismami, doktoratami. Dzisiejszym spekulantom i analitykom. Klóciicielom i klótownicom. Pewnie było w czymś planie, z taką właśnie decyzją - RUSZAJ! - samo o tym nie wiedząc.

„Bez przesady, mam 26 lat, jeszcze całe życie przede mną!” - mówiła Agata Mróz w filmie dokumentalnym emitowanym w TVN w rocznicę jej śmierci („Lekcja Agaty”, reż. ks. Maciej Makuła). „Bez przesady, dam radę” - polemizowałam w głowie z głosem kibica małej wiary w moje siły, zbiegając brukowaną uliczką pod Mostem Śląsko-Dąbrowskim, z trudem łapiąc oddech. Serce zatrzymało się ze strachu na mikrosekundę zaskoczone odgłosami strzałów płynących z ustawionych wzdłuż trasy głośników. Zaczęło się, teraz już nic nie wiadomo, nic nie będzie jak przedtem. Atak. Piękni dwudziestoletni, młodszy i starsi ode mnie, którzy całe życie mieli przed sobą. Czym by się dzisiaj zajęli? Czytaniem prasy i książek? Blogami? Biznesem? Zbawianiem świata?

Nie usłyszę odpowiedzi od 22-letniej Krystyny Budzyńskiej, pseudonim „Anna”, która nie lękała się - tak jak ja - widoku krwi, pociętej skóry, poszarpanych mięśni. Nie było zaś w jej życiu pragnienia udziału w zbrojnym powstaniu, oko w oko z trupią czaszką. Sanitariuszka, poetka, czy wiedziała, co robi, wybierając szkołę pielęgnarską?

Nie dowiem się też już niczego od Zygmunta Stanisława Nizioła, pseudonim „Żyłek”, kuzyna, który walczył na Mokotowie, podobnie jak wyżej wymieniona. Jemu dane było przeżyć. Jak to „całe życie”, które potem miał przed sobą, wyglądało? Zmarł w 2008 roku. Nie zdążyłam spytać. Krzysztof Nizioł, rodzic, genealog, który odkrył kuzyna-powstańca, może jeszcze dotrze do tej historii. Nie przekażę jednak „Żyłekce” informacji,

że myśl o nim dodawała mi sił podczas biegu, chociaż nie te same ostrzały nam towarzyszyły.

Czy coś łączy Krasnystaw z powstaniem warszawskim? Czy ktoś przystanął w godzinę W? Tego dnia byłam w Bieszczadach. W Cisnej deszcz nie padał, ale zachmurzyło mnie tempo samochodów i przechodniów o 17... Jak poza Warszawą przeżywa się ten dzień? W grupie, w samotności? I czy w ogóle?

Dobiegłam z mało zawodowym czasem. Było ciężko, bo zabrałam ze sobą obładowany plecak - dzieciństwa i dorastania w Krasnymstawie, rodzinnego, wiekowego powiązania z kuzynem powstańcem 44 roku. W dialogu przeszłości z teraźniejszością - stowarzyszeniem Grupa Marki 2020 i moją siedmioletnią próbą zadomowienia w tym mieście, Ząbkami, w których zaczęła się przygoda z bieganiem, Warszawą, która tak jak niegdyś powstańców, otacza dziś ramionami wszystkich dwudziestolatków, a o tamtych chce co roku przypominać. To był bieg ku pamięci miejsc i osób. Z wdzięcznością tacie, Izabeli Antosiewicz, społeczniczce z Wesolej, która zaraziła mnie pasją biegania, Marzenie Malickiej, mojej współlokatorce, która oswoiła dla mnie ścieżki ząbkowskiego lasu.

Połączyłam w sobie tego wieczoru rok 1944 i 2010. Lubelszczyznę i Mazowsze. Kresy i Centrum. Pokolenie Kolumbów i XXI wiek. Może to miasto o półrusskiej nazwie tak mnie wychowało? Może ono jest ojczyzną uparciuchów i zuchwalców, domem Andersenowskich małych syren - osobowości pogranicza? Może ono zna odpowiedzi na pytania? Zrozumiałoby powstańców.

Aleksandra Nizioł

Wiesław Bojarczuk

Radecznicza, jakiej nie znamy

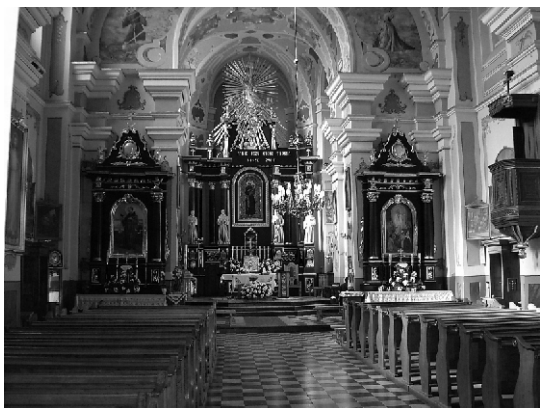
I Miejsce kultu

Mało który święty cieszy się wśród wiernych taką popularnością jak św. Antoni Padewski. Niemal w każdej diecezji znajdziemy kościół pod jego wezwaniem, natomiast bazylika lub katedra bez ołtarza lub przynajmniej figury św. Antoniego to niezwykła rzadkość. Również w kościele pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, w nawie bocznej po lewej stronie jest ołtarz z jego odnowionym wizerunkiem. Kult św. Antoniego rozwinął się bardzo szybko już w I połowie XIII w. i to nie tylko w Italii, ale w całym chrześcijańskim świecie. Ku czci świętego powstało wiele bractw i kilka zakonów. Św. Antoniego jako swojego

Laskami słynący obraz św. Antoniego w ołtarzu sanktuarium w Radeczniczy



patrona uznają mieszkańcy Lizbony, górnicy, małżonkowie, narzeczeni, położnice, ubodzy. Wzywano św. Antoniego jako orędownika w przypadku bezpłodności, w sprawach rodzinnych, podczas zarazy bydła. Najbardziej jest nam znany jako patron ludzi i rzeczy zagubionych. W ikonografii ukazuje się św. Antoniego w ciemnym habicie franciszkańskim symbolizującym ubóstwo, pokorę i pokutę. Do charakterystycznych atrybutów należą: książka (symbol nauki) i lilia (niewinność). Często św. Antoni jest ukazwany z Dzieciątkiem Jezus. Liturgiczny obchód ku czci św. Antoniego przypada na dzień 13 czerwca.



Aby powierzyć św. Antoniemu swoje prośby, troski i modlitwy, niekoniecznie trzeba wyjeżdżać do włoskiej Padwy - miejsca pochówku, a zarazem ogromnej bazyliki ku jego czci. Wystarczy wybrać się do niedalekiej **Radeczniczy** (ok. 50 km od Krasnegostawu), aby tam znaleźć ślady jego orędownictwa i duchowej obecności potwierdzonej przez Kościół. Otóż właśnie tam, 8 maja 1664 roku na tzw. Łysej Górze św. Antoni objawił się Szymonowi Tkaczowi, mówiąc do niego te słowa: *Jam jest św. Antoni. Mam to z woli Najwyższego Pana, abym tobie powiedział, iż na tym miejscu*

Chwała Boga Najwyższego odprawiać się będzie. Przeze mnie chorzy, ślepi, chromi i różnymi dolegliwościami utrapieni znajdować i otrzymywać będą pociechy swoje. Chorzy zdrowie, ślepi wzrok, chromi chód a zgoła wszyscy uciekający się na to miejsce, bez łaski nie odejdą.

Radecznicza z dnia na dzień stała się miejscem ożywionego kultu świętego. Początkowo, za zgodą bpa Mikołaja Świrskiego, na górze objawień wzniesiono drewnianą kaplicę i mały klasztor. Opiekę nad nim gwarantowali biskupi, sejm Rzeczypospolitej, a nawet sam król Jan III Sobieski. Później bernardyni postanowili wznieść trwały, murowany kościół i klasztor oraz rozbudować sanktuarium. W 1695 r. konsekrowano piękną barokową świątynię górującą nad całą okolicą. Największy rozwój ruchu pielgrzymkowego, a tym samym także wzrost popularności św. Antoniego i rozgłos Radeczniczy, przypada na lata 1815-1869. Wówczas to odpusty gromadziły kilkudziesięcioletnie rzesze pielgrzymów, a sama Radecznicza zyskała miano „lubelskiej Częstochowy”. Kilka lat po upadku powstania styczniowego, w roku 1869, władze carskie zamknęły klasztor. Sanktuarium nie funkcjonowało jako instytucja katolicka przez 50 lat. W czasie zaboru rosyjskiego świątynię użytkowali początkowo unicy, a później był tu żeński zakon prawosławny. Barokowe organy zostały przeniesione do kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie i po zabiegach konserwatorskich służą w nim do dnia dzisiejszego. Rekuncyliacji świątyni dokonano jeszcze w trakcie trwania I wojny światowej, w dzień odpustu - 13 czerwca 1916 r. W 1919 r. do Radeczniczy wrócili bernardyni, którzy przystąpili do przywracania sanktuarium pierwotnego blasku. Ożywiona działalność bernardynów przetrwała okres okupacji i została przerwana dopiero przez władze komunistyczne w 1950 r.



II Miejsce walki o wolność

Niewielu mieszkańców Lubelszczyzny kojarzy Radecznicę jako miejsce, gdzie w czasie drugiej wojny światowej i tuż po jej zakończeniu ogniskował się ruch oporu, zwłaszcza działalność II Inspektoratu Zamojskiego AK, Związku Walki Zbrojnej, a także organizacji Wolność i Niezawisłość. W rzeczywistości była to działalność w obronie wolności i niepodległości państwa i narodu polskiego. O roli klasztoru w Radecznicy jako lokalnego centrum konspiracji niepodległościowej od 1939 r. do 1951 r. zdecydowały przede wszystkim osobowości dwóch ludzi - bernardyna o. Józefa Płonki, gwardiana, ps. „Czarny”, oraz kpt. Mariana Pilarskiego, ps. „Jar”, legionisty, żołnierza Września, a następnie dowódcy oddziałów konspiracyjnych AK, zamordowanego przez komunistyczne władze w 1952 roku. Praktycznie od 1941 r. klasztor był punktem prasowym antyhitlerowskiego podziemia. Stąd rozkazy nadchodzące z Zamościa i Lublina były kolportowane w teren. Od 1942 r. w Radecznicy działało centrum edukacji podziemnej na poziomie podstawowym i gimnazjalnym, a tajne komplety koordynował ojciec Wacław. Zakonnik objął opiekę duchową nad wszystkimi partyzantami Inspektoratu Zamość AK, a więc działającymi na rozległym terenie powiatów: zamojskiego, biłgorajskiego, hrubieszowskiego i tomaszowskiego. Często gościem bernardynów z Radecznicy był legendarny cichociemny mjr Hieronim Dekutowski „Zapora”, jedna z kluczowych postaci podziemia antyniemieckiego i antysowieckiego na Lubelszczyźnie, zamordowany przez komunistów w 1949 roku. Często gościem radecznickiego klasztoru był także inspektor zamojskiej AK, mecenas Władysław Siła-Nowicki.

Po zakończeniu działań wojennych Radecznica stanowiła miejsce działalności organizacji WIN, dla której klasztor stanowił zawsze niezawodną ostoję. Tu odbywały się odprawy i ukrywano dokumentację dowództwa. To właśnie za swe patriotyczne zaangażowanie radecznicy bernardyni zapłacili wysoką cenę. W czerwcu 1950 r. miały miejsce wydarzenia, które niektórzy nazywają drugą kasatą zakonu. Nocą funkcjonariusze UB wtargnęli do klasztoru i aresztowali zakonników pod zarzutem działalności antypaństwowej, plombując jednocześnie pomieszczenia klasztorne. W pokazowym i szeroko nagłościonym procesie przed Sądem Wojskowym w Lublinie zapadły surowe wyroki, które w 1956 roku zostały uchylone, a skazani ojcowie zrehabilitowani. Po okresie ostrych represji stalinowskich zakonnicy pracowali nadal, ale w maksymalnie okrojonych pomieszczeniach.

III Szpital

Aby osłabić pozycję bernardynów i zachować pozory racjonalnego działania, władze komunistyczne postanowiły umieścić w klasztorze szpital psychiatryczny. 2 sierpnia 1950 r. w nocy, kilkoma samochodami ciężarowymi pod eskortą funkcjonariuszy UB, od strony Frampola, z Popkowiec przywieziono 150 chorych, których umieszczono w budynku byłego gimnazjum serafickiego, w salach nieprzystosowanych do tego i w warunkach urągających wszelkim wymogom. Szczególnie fatalne były warunki sanitarno-higieniczne: brakowało sanitariatów, łazienek, bieżącej wody, sale ogrzewano piecami kaflowymi, pacjenci byli kąpieni jeden raz w miesiącu. Oddział w Radecznicy był podporządkowany Państwowemu Szpitalowi dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Abramowicach. Od początku istnienia szpital borykał się z ogromnymi problemami finansowymi i kadrowymi. Psychiatria traktowana była jako zło konieczne, problem wstydlivy, spychany często do odległych i małych miejscowości, takich jak Radecznica. Reakcja miejscowej ludności początkowo nie była przychylna. Z biegiem czasu ich nastawienie się poprawiło, szpital stał się zakładem dającym zatrudnienie miejscowej ludności. W roku 1955 personel szpitala zasilili siostry zakonne - józefitki, które były doskonale wyszkolone i całkowicie oddane chorym, stanowiły podstawowy trzon opieki pielęgniarskiej. W 1963 r. szpital rozpoczął prace inwestycyjne, modernizacyjne i remontowe, które sukcesywnie są prowadzone do dzisiaj.

Nie sposób dzisiaj pominąć stosunków szpitala z klasztorem Ojców Bernardynów, które można uznać za dobre. Pamiętajmy, że szpital działał w określonej sytuacji politycznej, praktycznie bez samodzielności i każdy zamiar przekazania obiektu dyrektor musiał uzgadniać i uzyskać zgodę ówczesnych władz wojewódzkich, a nie zawsze było to łatwe. PRL-owskie dzieje klasztoru sprawiły, że w świadomości mieszkańców Lubelszczyzny, Radecznica do dziś kojarzy się bardziej ze szpitalem psychiatrycznym niż ośrodkiem kultu św. Antoniego.

IV Czasy współczesne

Po przemianach ustrojowych, jakie zostały zapoczątkowane w Polsce 4 czerwca 1989 roku, sanktuarium św. Antoniego w Radecznicy zaczęło powoli odzyskiwać dawną świetność. Szpital psychiatryczny pozostał w Radecznicy, ale swoją siedzibę przeniósł na drugą stronę ulicy Klasztornej, oddając prawowitym właścicielom pomieszczenia klasztorne. Rozpoczęła się restauracja obiektu.

Pech chciał, że latem 1995 r. odnowiony z wielkim trudem kościół, ołtarz i obraz św. Antoniego uległy pożarowi. Zniszczone zostało wnętrze i organy. Nie zniechęciło to jednak ani wiernych, ani oddanych sprawie bernardynów. W bardzo krótkim czasie wnętrze świątyni ponownie odbudowano i odmalowano. Na swoje miejsce powrócił kultowy obraz przedstawiający św. Antoniego, pędzla krakowskiego malarza Jerzego Kumali, a także obrazy dokumentujące historię objawień. W ołtarzu głównym nad obrazem widnieje fragment responsorium ku czci świętego w języku łacińskim *Si quaeris miracula*, czyli *Jeśli szukasz cudów*. Stanowi on początek modlitwy (pieśni) rozpoczynającej się od słów:

*Jeśli szukasz cudów, idź do Antoniego
Wszelkich łask dowody odbierzesz od niego
Za jego przyczyną chorzy zdrowo wstają
Wszelkie trudy nikną, czarty uciekają...*

Tak więc w chwili obecnej w Radecznicy, na miejscu objawienia, pośród pięknych krajobrazów malowniczej scenerii Roztocza, stoi odnowione sanktuarium św. Antoniego Padewskiego poświęcone w 1995 r. przez bpa J. Śrutwę. Wprost z ulicy prowadzą do niego drewniane schody zbudowane ze 100 stopni, na które wchodzi się przez stylizowany portal. Wejście do kościoła zdobią nowe schody z piaskowca. W chwili obecnej trwa renowacja elewacji zewnętrznej finansowana z funduszy unijnych. Po zwiedzeniu zespołu klasztornego można pospacerować po dawnym parku klasztornym, gdzie natkniemy się na kaplicę św. Franciszka z 1926 r. oraz trzy kaplice murowane z czasów przedkasacyjnych, wyremontowane w 1982 r. Nieco dalej, obok pobliskiej kapliczki na wodzie z 1824 r., z cudownego źródła można zaczerpnąć wody, za sprawą której wielu chorych odzyskało zdrowie. W sąsiedztwie kościółka, na niewielkiej wysepce na stawie, stoi figura św. Antoniego. Biją tu silne źródła z podłoża wapiennego; wśród wodorostów pływają ryby.

Warto się tam wybrać na odpust (13 VI), pielgrzymkę, wycieczkę lub wstąpić, będąc przejazdem w drodze do Szczepieszyna, Frampola lub Zwierzyńca, aby w ciszy radecznickiego sanktuarium, za wstawiennictwem świętego prosić Boga o potrzebne łaski, a przy okazji podziwiać tę barokową perełkę Lubelszczyzny.

Wiesław Bojarczuk

Mariusz Kargul

Udział Polaków w kampaniach napoleońskich

Tematyka wojen i kampanii napoleońskich oraz udziału w nich przedstawicieli naszego narodu, jest ze zrozumiętych względów bardzo obszernym zagadnieniem, a co się z tym wiąże - trudnym do wyczerpującego i dokładnego przedstawienia w ramach niniejszego referatu. Jego objętość pozwala jedynie na zasygnalizowanie najważniejszych wydarzeń, a także poruszenie najbardziej istotnych (z naszego punktu widzenia) kwestii. W skali czasowej mamy tutaj do czynienia „tylko” z okresem liczącym kilkanaście lat, ale analizując przebieg zdarzeń historycznych, ich skalę, zakres oraz znaczenie dla dziejów całej Europy, stajemy przed niełatwym zadaniem właściwej selekcji ogromnej wprost ilości materiału faktograficznego w danej dziedzinie. Interesująco i trafnie wypowiedział się tutaj A. Nieuważny, pisząc iż: *Niemal każdy, kto podejmuje temat napoleoński, czuje obowiązek usprawiedliwić się we wstępie z wyboru tematu. Jeszcze jedna książka o Napoleonie? - pada retoryczne (i obłudne) pytanie. Przecież w 1990 r. kompetentne niewątpliwie służby British Library naliczyły dokładnie 787 457 książek i artykułów o Bonapartem i wszystkich aspektach epoki, napisanych po jego śmierci.*

Jednym z najważniejszych aspektów życia i działalności polityczno-militarnej „bohatera wieku”, jak mówiono wówczas o Napoleonie, były prowadzone przez niego kampanie wojenne. Jak powszechnie wiadomo zmieniły one, czy wręcz zrewolucjonizowały, dotychczasowy sposób prowadzenia wojen. Stare, dobre metody a la Fryderyk II, miały się nijak do tego, co na pola walki wprowadził Bonaparte. Dowódcy, zwłaszcza ci „starej daty”, którym przyszło się z nim zmierzyć, nie posiadali się (szczególnie na początku jego kariery) z irytacji, którą to wywoływał wielce zdumiewający fakt, że przecież... tak się nie walczy!

Patrząc z ogólnej perspektywy, należy stwierdzić, że kampanie - najpierw „zwykłego” generała, później konsula, a na końcu cesarza Francji - służyły przede wszystkim realizacji określonych celów politycznych. Wojna była dla niego, podobnie jak i dla jednego z największych teoretyków wojskowości - K. Clausewitza, „polityką prowadzoną za pomocą innych środków”. Napoleon nie miał od samego początku co do tego żadnych złudzeń. Mieli je tylko ci, którzy wiązali z nim swoje nadzieje na wolność, niepodległość, czy nowy ład społeczny. Naprawdę, należałoby w tym miejscu wyrazić wielkie zdumienie, gdyby w ich gronie zabrakło na przykład Polaków.

Jak pisze T. Rawski - w połowie lat 90. XVIII w. miało miejsce unicestwienie Rzeczypospolitej, najpierw fizyczne w 1794 r., później prawnomiędzynarodowe - w latach 1795-1797. Ten akt rozboju międzynarodowego spowodował z jednej strony głęboki kryzys moralny społeczeństwa polskiego (najgroźniejszy w jego historii), z drugiej - zrodził działania mające na celu odzyskanie niepodległego bytu. Zasadnicze miejsce zajmowało tu odtworzenie narodowej siły zbrojnej i podjęcie bezpośredniej walki o niepodległość.

Okazji ku temu, w tak burzliwym dla całego kontynentu okresie przełomu XVIII i XIX stulecia, było aż nadto. Dla jednych Napoleon Bonaparte (31 VIII 1769 - 5 V 1821) był bowiem „grabarzem” rewolucji francuskiej, a dla drugih - jej kontynuatorem lub pełnoprawnym spadkobiercą. Według N. Daviesa - wszystko, co miało miejsce pomiędzy 1789 a 1815 rokiem, można podzielić na trzy główne stadia (fazy):

- podczas pierwszej fazy, trwającej przez pięć lat, od 1789 do 1794 r., tempo rewolucji francuskiej rosło, osiągając kolejne stopnie radykalizacji, aż do momentu, w którym zmierzono z powierzchni wszystkie instytucje poprzedniego ładu społecznego i politycznego;
- w drugiej fazie, w latach 1794-1804, rewolucja wyraźnie zwolniła tempo, co tutaj najistotniejsze - w listopadzie 1799 r., po zamachu stanu z 18 brumaire'a, dokonanym przez Napoleona Bonaparte, ustanowiono trzyosobowy Konsulat, zatwierdzony na mocy powszechnego plebiscytu, w którym faktyczną władzę sprawował tylko Pierwszy Konsul (w maju 1802 r. przyznał sobie ten tytuł dożywotnio);
- w trzeciej fazie, czyli w okresie cesarstwa (1804-1815), rewolucja znalazła stabilizację, angażując się w uprawianie kultu Napoleona I i ustalanie nowego ładu na znacznych obszarach Europy.

Przebieg wojen rewolucyjnych opisuje się często w odniesieniu do trzech wielkich koalicji, zawiązanych przeciwko Francji w latach 1793-1796, 1799-1801 i 1805-1814. „Jest to mylące - po części dlatego, że wszystkie te koalicje wykazywały tendencje do szybkiego rozpadu, a po części - ponieważ walki często nie ustawały podczas interwałów oddzielających poszczególne koalicje. Interesy kontynentalnych mocarstw, które tworzyły szkielet sił koalicyjnych - Austrii, Prus i Rosji - nie zawsze były zbieżne z interesami głównych inżynierów koalicji, czyli Brytyjczyków (...)” - dodaje N. Davies.

Po raz pierwszy Polacy wzięli udział na szerszą skalę w kampanii napoleońskiej, która była notabene pierwszą na tyle poważną dla przyszłych losów Napoleona - w **kampanii włoskiej 1796-1797**. Została ona wymierzona przez rządzący wtedy Francją pięcioosobowy Dyrektoriat przeciw-

ko posiadłościom Austrii, już odizolowanej na skutek upadku jej koalicyjnych partnerów. Została odnotowana jako debiut na międzynarodowej scenie generała Bonapartego. Zastosował on po raz pierwszy zasadę izolowania, a potem rozbijania kolejnych korpusów przeciwnika. Już dwa lata wcześniej opracował plan tej kampanii, i teraz - po pewnych poprawkach - zaczął go realizować. Czynił to na tyle skutecznie, że w kwietniu 1796 r. rozpoczął zwycięski pochód przez północną Italię, aby po serii spektakularnych wyczynów jego wojsk (Montenotte, Lodi, Arcole, Mantua), podpisać 18 kwietnia rozejm w Loeben, a 17 X 1797 r. - traktat pokojowy z cesarzem Franciszkiem w Campo Formio.

Polacy zaznaczyli swą obecność poprzez Legiony Polskie gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Powstały w 1797 r., a więc w trzy lata po upadku państwa, w ramach systemu rewolucyjnej armii francuskiej. Były one też pierwszym wojskiem polskim utworzonym na obczyźnie, po uprzedniej katastrofie na terenie kraju, a także pierwszą „Polską poza Polską”. Legiony posiadały status korpusu posiłkowego świeżo utworzonej przez gen. Bonaparte Republiki Lombardzkiej. W 1799 r. została ponadto zorganizowana przy armii reńskiej Legia Naddunajska dowodzona przez gen. Karola Kniaziewiczę.

Napoleon potępiał niesprawiedliwość rozbiorów i obiecywał poparcie sprawy polskiej. Na razie rozejm w Loeben i pokój w Campo Formio nie posuwały dalej sprawy, Legiony tymczasem umacniały się organizacyjnie. W okresie wielkich nadziei na aktywizację sprawy narodowej przybył w 1797 r. do Włoch Józef Wybicki. Skomponował on wówczas w Reggio Emilia *Pieśń Legionów Polskich we Włoszech*, która stała się później polskim hymnem narodowym, a w owym czasie stanowiła program działania i walki. Niestety, pokój w Campo Formio zamknął Polakom drogę do kraju. „Zachowało się jednak Wojsko Polskie (...) przy Republice Lombardzkiej, która przekształciła się w Transpadańską, a następnie 29 czerwca 1797 r. stała się częścią Cysalpińską” (T. Rawski).

Natomiast w **kampanii włoskiej 1800 r.**, której punktem kulminacyjnym była bitwa stoczona 14 VI pod Marengo, gdzie losy armii Bonapartego uratował praktycznie w ostatniej chwili gen. Desaix (poległ na polu bitwy), Polacy wykazywali się kolejnymi dowodami poświęcenia i męstwa, lecz pokój podpisany 9 II pomiędzy Francją a Austrią w Luneville znowu przekreślił polskie nadzieje na wolność. Wyjątkowym ciosem dla Legionów, które wtedy liczyły już ok. 9 tys. ludzi (żołnierzy i oficerów w piechocie, jeździe i artylerii), była tajna klauzula, w której Napoleon odżegnywał się od popierania Polaków w zamian za podobne stanowisko w stosunku do rojalistycznej emigracji francuskiej.

Doprowadziło to do kryzysu wewnątrz niewygodnych teraz dla Napoleona Legionów oraz do ich rozproszenia przez niego. Dużą część (ok. 6 tys. ludzi) wysłał w 1802 r. na wyspę San Domingo (Haiti) do walki z murzyńskimi powstańcami, około 4 do 5 tys. pozostało z J.H. Dąbrowskim w Republice Cisalpińskiej. Jak pisze B. Szyndler: *„Spośród 5 280 legionistów z obu brygad, którzy znaleźli się na wyspie, 4 000 zginęło w morderczych walkach z tubylcami bądź zmarło na żółtą febrę; wielu więzionych w straszliwych warunkach pod pokładami pontonów padło z wycieńczenia w niewoli brytyjskiej, około 500 Anglików wcielili do 50. regimentu pieszego. Do dymisji podał się m.in. generał Kniaziewicz.*

A. Czubiński i J. Topolski dodają, że rozwianie się nadziei na szybki marsz przeciw Austrii nie oznaczało dla Legionów bezczynności. Używał ich wówczas Napoleon do walki z Republiką Wenecką, z państwem papieskim czy reakcyjnymi Burbonami w Neapolu. Wielkie straty poniosły w walce z Austriakami i Rosjanami w północnych Włoszech, gdzie wkroczył Suworow. Resztki legionistów wcieliła Francja bezpośrednio do swej armii.

Obydwie kampanie włoskie oddziela chronologicznie **kampania egipska** z lat 1798-1799, która została pomyślana przez Dyktatoriat jako sposób na zniszczenie brytyjskiej supremacji kolonialnej i handlowej. Zakończyła się dla Francji niepowodzeniem, a tuż po powrocie z niej Bonaparte dokonał udanego zamachu stanu. Najsilniejszym polskim akcentem jest z pewnością udział w niej Józefa Sułkowskiego (1773-1798), „oficera największych nadziei” jak się o nim wyrażano, który zaczął wyrastać na jednego z najlepszych i najdzielniejszych oficerów Napoleona, lecz kres wszystkiemu położyła jego śmierć na ulicach Kairu w trakcie tłumienia antyfrancuskiego powstania Arabów.

Wyłaniającą się konsekwentnie hegemonię Cesarstwa Francuskiego starały się złamać siły trzeciej koalicji (Anglia, Austria, Królestwo Neapolu, Rosja i Szwecja), co doprowadziło w efekcie do **kampanii 1805 r.**, dodajmy, że zakończonej zwycięstwem Napoleona pod Austerlitz („bitwa trzech cesarzy” 2 XII) i zawarciem pokoju 25 XII w Preszburgu (Bratysławie). Według wielkiego znawcy tematu i epoki, R. Bieleckiego, składała się ona z dwóch faz - manewru oskrzydłającego, wykonanego przez Wielką Armię znad brzegów kanału La Manche aż po Bawarię, co doprowadziło do okrążenia austriackiej armii Macka w Ulm i zmuszenia jej do kapitulacji, oraz z pościgu za cofającą się armią rosyjską Kutuzowa i bitwy pod Austerlitz (obecnie Stawków) na Morawach.

Pada jednak pytanie: czy Polacy tam walczyli? R. Bielecki odpowiada, że istniały wtedy tylko dwie jednostki polskie - pozostałość Legionów - a mianowicie dawna 1. półbrygada, zmieniona na pułk piechoty polskiej, oraz regiment ułanów A. Roźnieckiego. W wojnie przeciwko trzeciej koalicji oba te oddziały walczyły we Włoszech, gdzie piechurzy wstawili się 23 listopada pod Castelfranco, przyczyniając się do rozbicia austriackiego korpusu ks. Rohana. W armii francuskiej pod Austerlitz służyło jednak kilkudziesięciu oficerów polskich. Znamy nazwiska niektórych z nich, którzy przydzieleni zostali do sztabów, m.in. jako tłumacze.

Z kolei **kampania 1806 w Prusach**, oceniana jest jako najznakomitsza ze wszystkich kampanii Napoleona. W ciągu dwóch tygodni zdołał on rozbić armię przeciwnika, a w ciągu miesiąca zajął Berlin i większość twierdz. Takich sukcesów nie udało mu się uzyskać w żadnej innej wojnie. To właśnie wówczas miały miejsce wielkie i słynne bitwy pod Jeną i Auerstedt (14 X) oraz oblężenie Magdeburga (20 X-8 XI).

Patrząc z polskiego punktu widzenia, o wiele ważniejszą wydaje się być jednak **kampania 1806-1807 w Polsce** czyli wojna przeciwko Rosji i Prusom, nazywana też „pierwszą wojną polską”, prowadzona po klęsce armii pruskiej, a zakończona zwycięstwami Napoleona m.in. pod Pruską Łławą (7-8 II 1806 r.) i Frydlandem (14 VI), oraz podpisaniem pokoju w Tyłży (7 i 9 VII).

Napoleonowi chodziło przede wszystkim o pełne ugięcie Prus poprzez ponowne zorganizowanie (na jesieni 1806 r.) polskiej siły zbrojnej. Wtedy padły te słynne słowa: *Obaczę, jeżeli Polacy godni są być narodem. Idę do Poznania: tam się pierwsze moje zawiązą wyobrażenia o jego wartości, albo: Skoro obaczę 30 000 waszych pod bronią, ogłoszę zaraz niepodległość narodu, a żadna przemoc już jej nie wzruszy.* Wystarczyły mgliste nadzieje na podjęcie sprawy polskiej, by w Wielkopolsce (zaborze pruskim) wybuchło powstanie wszystkich warstw ludności. Błyskawicznie zorganizowano polską administrację, usuwając pruską, nie szczędzono nakładów na zorganizowanie armii polskiej, tak że już na wiosnę 1807 r. polskie formacje liczyły właśnie około 30 tys. żołnierzy. Dowództwo nad wojskiem powierzono generałom J.H. Dąbrowskiemu i J. Zajączkowi oraz ks. J. Poniatowskiemu.

Oddziały sformowane w Wielkopolsce walczyły na terenie Pomorza Gdańskiego i Zachodniego, biorąc udział w wyzwaniu tych ziem. Walczyły także na terenie Górnego i Dolnego Śląska (m.in. w bitwach o Kłodzko, Wałbrzych, Gliwice). Wielka aktywność Polaków w powiązaniu ze zwycięstwem Napoleona w wojnie 1806-1807 r. -

szczególnie po zwycięstwie nad Rosją w bitwie pod Friedlandem 14 VI 1807 r., w której zdążył wziąć udział przybyły spod Gdańska J.H. Dąbrowski - sprawiły, że sprawa polska wyraźnie wystąpiła w traktacie francusko-rosyjskim w Tyłży. W drodze kompromisu, mając na uwadze osłabienie Prus, utworzono niezbyt rozległe (104 tys. km² i 2,6 mln ludności) państwo pozostające pod protekcją Napoleona, nazwane Księstwem Warszawskim.

Jak trafnie ujęli to A. Czubiński i J. Topolski, oznaczało ono „częściową odbudowę Polski i uzyskanie własnego państwa, co zmieniało w sposób zasadniczy dotychczasową sytuację Polaków. Oznaczało ogromny wzrost popularności Napoleona na ziemiach polskich, która doprowadziła do wykształcenia się mitu napoleońskiego. Napoleon zyskiwał równocześnie gotowego do każdej ofiary sojusznika”.

Ta bezgraniczna wprost ofiarność zaprowadziła więc polskich żołnierzy także na pola bitewne **wojny hiszpańskiej** (kampanii hiszpańskich), prowadzonej na Płw. Iberyjskim - w Hiszpanii i Portugalii - od jesieni 1807 do wiosny 1814 r., nazywana przez Francuzów „wojną w Hiszpanii” (*la guerre en Espagne*), przez Hiszpanów „wojną o niepodległość” (*la Guerra de Independencia*), a przez Anglików „wojną półwyspową” (*peninsularwar*).

Już od 1808 r. zaczęły przybywać tam wojska polskie. Jak pisze wybitny historyk wojskowości gen. M. Kukiel - najpierw Legia Nadwiślańska (dawniej polsko-włoska), trzy-, a później cztery pułki piechoty i pułk ułanów, następnie trzy pułki piechoty „warszawskie”, ponadto pułk lekkokonnny gwardii cesarskiej. Od razu pułki nadwiślańskie wzięły udział w operacjach w Aragonii, w pierwszym krwawym, ale bezskutecznym oblężeniu Saragossy, później - w listopadowej kampanii cesarza - przyczyniając się do zwycięstwa pod Tudelą i powtórnie idąc na Saragoosę.

Natomiast lekkokonni gwardii, pamiętną szarżą jednego szwadronu w wąwozie Somosierra w górach Guadarrama, otworzyli Napoleonowi drogę do Madrytu (30 XI 1808 r.). W 1809 r. pułki Księstwa Warszawskiego odznaczyły się świetnie pod Almonacid i Ocania. Polacy wzięli poza tym udział w dziesiątkach walk, z których warto wymienić obronę i odsiecz fortu Fuengirola (1810), gdzie parę polskich kompanii pod dowództwem kpt. Młokosiewicza i szefa bat. Bronisza rozbiło silny brytyjski desant, a jego dowódcę, lorda Blayneya, ze znaczną częścią jego korpusu, wzięło do niewoli, oraz bitwę pod Albuhera (1811), gdzie szarża ułanów nadwiślańskich wniosła niemal do szczytu dzielnie walczącą brygadę piechoty angielskiej. „W walkach tych wojska nasze, choć poniosły ofiary, i to w walkach za obcą sprawę, (...) kompensowały to wspianiałym wyrobieniem bojo-

wym i sławą żołnierską. Natomiast zabrakło tych kilkunastu tysięcy doborowego wojska w Księstwie, gdy spadł na nie w roku 1809 najazd austriacki” - pisze M. Kukiel.

Właśnie, **kampania 1809 r.** (zwana też wojną 1809 r.) przeciwko Austrii, to pierwsza, w której Napoleon miał poważne problemy z odniesieniem zwycięstwa, zapowiadająca jego późniejsze klęski. Pod względem taktyczno-operacyjnym przebieg kampanii 1809 r. na głównym niemieckim teatrze wojny da się podzielić na trzy etapy: manewr na Landshut (21 IV), marsz na Wiedeń, bitwę pod Aspern i Essling (21-22 V) oraz walną batalię wygraną przez Napoleona pod Wagram (5-6 VII). W kampanię 1809 r. zaangażowali się, tak jak w żadną z dotychczasowych, Polacy. Pomocniczy teatr działań, rozciągający się na ziemiach Księstwa Warszawskiego i austriackiej Galicji, zaważył istotnie na przebiegu walk pod Wiedniem.

Armia Księstwa zdała swój militarny egzamin w konfrontacji z Austrią, która, korzystając z tego, że Napoleon przerzucił znaczną część wojsk polskich do Hiszpanii, zdecydowała się na niespodziewany atak. Jednak doskonale dowodzona przez ks. J. Poniatowskiego (ministra wojny w Księstwie) 12-tysięczna armia polska obroniła się skutecznie przed dowodzoną przez arcyksięcia Ferdynanda d'Este armią austriacką. O kampanii zadecydował zażarty bój pod Raszyńem (19 IV), w którym poległ m.in. „grenadier-filozof” płk Cyprian Godebski. Honorowa ewakuacja Warszawy przez ks. Poniatowskiego potraktowana została początkowo jako klęska, ale w efekcie umożliwiła mu wszczęcie dalszej walki w Galicji, co zaowocowało zajęciem Lublina, Sandomierza i Zamościa (20 V), a także Lwowa i Warszawy (2 VI), gdy tymczasem Austriacy próbowali bezskutecznie zająć Wielkopolskę. 12 VI do akcji włączyli się po ich stronie także Rosjanie, którym przyznano później obwód tarnopolski. Rozszerzenie granic Księstwa Warszawskiego uznane zostało natomiast w traktacie pokojowym z Austrią w Schönbrunn, zawartym po zwycięstwie Napoleona pod Wagram (5-6 VII), które przerwało działania wojenne.

Niezwykle istotną oraz brzemienną w bardzo złe dla Polaków skutki okazała się kolejna kampania - **kampania 1812 r.**, czyli wojna z Rosją, zwana także „drugą wojną polską”, wyprawą na Moskwę albo kampanią rosyjską. Stanowiła punkt zwrotny w prowadzonych przez Napoleona wojnach. „Nigdy jeszcze do tej pory cesarz nie zmobilizował tak znacznych sił. Mówiło się nawet, że poprowadził całą Europę przeciwko Rosji. Nigdy też teatr działań militarnych nie był tak rozległy - od wybrzeży Bałtyku po Wołyń i od Niemna po Moskwę” (zaznacza R. Bielecki). Po raz pierwszy Bonaparte zastosował wówczas nowy szczebel organizacyjny, tj. grupę korpusów.

W kampanii roku 1812 po stronie francuskiej wystąpiło 12 korpusów (5 - 36 tys. dowodził ks. Poniatowski), liczących łącznie 600 tys. żołnierzy, 150 tys. koni i 583 działa. W tej masie wojsk było ponad 100 tys. Polaków, którzy po Francuzach (155 tys.) stanowili najliczniejszy kontyngent narodowościowy. Wojnę wypowiedziano Rosji 21 VI, a 5 IX stoczono niezwykle krwawą bitwę pod Borodino, 14 IX zajęto Moskwę (niemal od razu zaczęły trawić ją liczne pożary), 19 X nastąpił początek odwrotu Wielkiej Armii spod Moskwy, a już w dniach 26-29 XI - niezwykle dramatyczna przeprawa przez Berezynę. We wszystkich tych wydarzeniach Polacy dawali przykłady niezrównanego poświęcenia i bohaterstwa. Jako jedyni uratowali wszystkie swoje działa (i honor), dając cesarzowi skuteczną ochronę do samego końca, czyli do 5 XII, kiedy opuścił definitywnie swoją Wielką Armię w Smorgoniach i skierował się w stronę Paryża, aby ratować coraz bardziej chwiejne położenie całego imperium. Około 3/4 armii polskiej pozostało na polach bitew kampanii rosyjskiej. Resztę armii zorganizował ponownie ks. Józef Poniatowski, wierząc nadal w gwiazdę Napoleona.

Jak zauważa J. Skowronek, kampania 1812 r. nie oznaczała wcale końca wojny. Z neutralnością Prus zastąpioną rychło sojuszem rosyjsko-pruskim, z przekroczeniem granic Księstwa Warszawskiego przez armię carską od pierwszych dni 1813 r. zaczynała się następna kampania tych gigantycznych zmagani, **kampania roku 1813**. Była najdłuższa ze wszystkich, jakie prowadził Napoleon i różniła się zasadniczo od poprzednich. Klęska wyprawy na Moskwę spowodowała, że runął mit niezwyciężoności Wielkiej Armii, a poza tym - ogromne straty w ludziach, koniach i sprzęcie. Brakowało doświadczonych żołnierzy i oficerów, a trzon nowej Wielkiej Armii stanowili rekruci.

Nie zagłębiając się w szczegółowy przebieg całej kampanii należy stwierdzić, że przeciwnicy cesarza zaczęli wykorzystywać jego własną taktykę walki przeciwko niemu, a ponadto - zwyciężać jego marszałków i generałów, jeżeli on sam nie dowodził w danej bitwie. W dramatycznej, jesiennej części kampanii Polacy bili się z najwyższą zaciętością. Wyznaczono im rolę niewspółmierną z ich liczbą (ok. 21 tys. w trzech korpusach, nie licząc ok. 14 tys. w oblężonych fortecach, które broniły się do końca roku). Kulminacyjnym punktem była tutaj „bitwa narodów” stoczona pod Lipskiem w dniach 16-19 X 1813 roku.

Polacy stracili w niej wodza, który był ich duszą i natchnieniem, 10 tys. zabitych, rannych i jeńców, 300 oficerów poległo lub odniosło rany. Król Fryderyk August (władca Saksonii i Księstwa Warszawskiego) również został jeńcem sprzymie-

rzonych. Ocalała garść wojska nie podlegała już polskiej władzy państwowej. Jak pisze J. Nadzieja „Po śmierci ks. Poniatowskiego (...) wśród żołnierzy zapanowało zwątpienie w celowość dalszych wysiłków. Gwiazda cesarza gasła, nie błyszcząc już jasnym światłem zwycięstw. W tych bardzo ciężkich chwilach gen. dyw. Michał Sokolniki, z tytułu starszeństwa objął dowództwo nad wojskiem polskim”. Reasumując, „bitwa narodów” stoczona pod Lipskiem w październiku 1813 r. położyła kres hegemonii Francji w Europie, wyzwoliła ziemie niemieckie spod władzy Napoleona; stało się to swego rodzaju preludium do klęski cesarza w roku następnym.

Rozegrała się wówczas **kampania 1814 r.**, zwana też kampanią francuską (*campagne de France*), która była bezpośrednią kontynuacją poprzedniej. W XI 1813 wojska zwycięskiej koalicji w sile 250 tys. żołnierzy, przeszły na prawy brzeg Renu. W Italii ks. Eugeniusz Beauharnais zmuszony był ustępować pod naporem Austriaków. Wojska francuskie wycofały się z całej niemal Hiszpanii - na północ od Pirenejów, gdzie starały się powstrzymać dalszy marsz armii Wellingtona (późniejszego księcia Waterloo), złożonej z pułków angielskich, hiszpańskich i portugalskich.

Resztki oddziałów polskich (pozostało np. zaledwie 40% generałów) odbyły chlubnie całą kampanię 1814 r. Był tam także Aleksander hr. Fredro, autor m.in. niezrównanego świadectwa tej epoki, któremu nadał wiele mówiący tytuł „Trzy po trzy”. W czasie bitwy pod Arcis-sur-Aube (20 III), w zamęcie walki z trzykrotnie silniejszym przeciwnikiem, Napoleon schronił się w czworoboku piechoty Pułku Nadwiślańskiego. A. Nieuważny pisze, iż „Wielokrotnie, między innymi pod Montmirail, szarżowali w kampanii 1814 r. szwoleżerowie gwardii, których pozostali przy osobie Napoleona aż do końca, do podpisanej w pierwszych dniach kwietnia abdykacji. Polacy odznaczyli się też przy obronie Soissons”.

Na mocy układu z 11 IV 1814 r. niedawny władca połowy Europy otrzymał w dożywocie leżącą u wybrzeży Włoch małą wyspę Elbę. Pozwolono mu zabrać tam m.in. konny szwadron polskich szwoleżerów pod komendą pułkownika Pawła Jerzmanowskiego. Aż do lutego 1815 r. „szwoleżerowie pełnili zapewniającą im miejsce w legendzie, ale beznadziejnie nudną służbę na wysepce nazywanej przez cesarza *połem kapusty*, a Jerzmanowski działał w sprzysiężeniu przygotowywującym powrót Napoleona na kontynent” (A. Nieuważny).

Mamy tutaj na myśli ostatnią, a zarazem najkrótszą z wojen prowadzonych przez Napoleona - **kampanię 1815 r.** - która trwała tak naprawdę tylko cztery dni. Po ucieczce 26 II z Elby i powrocie

20 III do Paryża cesarz energicznie zabrał się do rozbudowy armii. „Zdawał sobie sprawę, że podjęcie rokowań ze sprzymierzonymi jest na razie niemożliwe i aby doszło do takich negocjacji, musi odnieść kilka przekonywujących zwycięstw w polu” (R. Bielecki).

Udział Polaków w okresie Stu Dni, tj. ostatniej odsłonie epopei napoleońskiej, nie mógł być - jak twierdzi A. Nieuważny - po odejściu niedobitków armii Księstwa z Francji do kraju, znaczący. A jednak ponad 1 000 z nich wzięło udział w tej kampanii, a nieodstępni towarzysze Napoleona, szwoleżerowie, uczestniczyli 15 i 16 VI w walkach pod Quatre-Bras, aby dwa dni później (18 VI) pójść pod Waterloo w sławnej szarży, która zmiołła ciężką jazdę angielską. Ostatnie polskie wystrzały w służbie Napoleona padły w końcu czerwca 1815 roku, podczas krótkiej obrony Paryża. Co prawda armia francuska liczyła tu jeszcze 60 tys. żołnierzy. Kampania 1815 dobiegła jednak końca, Napoleon bowiem zdecydował się

Ten, jakże pobieżny przegląd najważniejszych wydarzeń związanych z udziałem Polaków w kampaniach napoleońskich udowadnia po pierwsze fakt wielkiej ofiarności i lojalności naszego narodu wobec cesarza, a po drugie - bezmiar łez, potu i krwi przelanej za niego na niezliczonych polach bitew. Kiedy było trzeba, Napoleon kokietował i wabił czarem wielkich obietnic, aby potem ich nie dotrzymać. Kiedy indziej grał uczuciami i przywiązaniem naszego narodu w tylko sobie wiadomych celach. Pozostała po nim wielka legenda i wielki zawód niespełnionych marzeń o wolnej i sprawiedliwej Polsce. Nie da się jednak w żaden sposób ukryć faktu, że przez tyle lat po upadku i śmierci Napoleona, żyła w świadomości polskiego społeczeństwa (i zapewne w jakiś sposób funkcjonuje w nim nadal) pamięć i tradycja o cesarzu, jego najwierniejszych sojusznikach i wojsku, które było w tym na polu mitycznym rozumieniu, niemal „bez skazy i zmayı”.

Mariusz Kargul

Lucjan Cimek

Ruch ochrony przyrody w II Rzeczypospolitej

W okresie zaborów sprawami ochrony przyrody na ziemiach polskich zajmowali się sporadycznie niektórzy przyrodnicy indywidualnie, bądź niektóre organizacje naukowe, zawodowe i krajoznawczo-turystyczne. Pionierami w tej dziedzinie byli ks. dr Eugeniusz Arnold Janota i profesor zoologii na Uniwersytecie Jagiellońskim - Maksymilian Nowicki. Oni pierwsi podjęli walkę o uratowanie od zagłady kozicy i świstaka. To dzięki nim sejm galicyjski w 1869 r. uchwalił ustawę o ochronie świstaków i kozic w Tatrach, wyprzedzając prawie cały świat na tym polu.

Po wydaniu w 1869 r. ustawy o ochronie kozic i świstaków, Towarzystwo Naukowe Krakowskie zorganizowało straż górską. Pierwszymi strażnikami zostali kłusownicy - Jędrzej Wala (starszy) i Maciej Sieczka, którzy z równym zapałem, jak przedtem kozice, teraz tropili kłusowników i niemało przyczynili się do uratowania tych zwierząt. Jędrzej Wala z dumą nawet opowiadał, jak to dzięki niemu wzrosła liczba kozic w Tatrach Polskich. Towarzystwo nie miało jednak pieniędzy. Strażników górskich zaczęli opłacać z własnej kieszeni Eugeniusz A. Janota i M. Nowicki. Później obowiązek ten przejęli na siebie właściciele Zakopanego.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, ochrona przyrody weszła w zakres działalności

państwa. Już w 1919 r. ukazało się rozporządzenie ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego o ochronie niektórych zabytków przyrody. W tym samym roku została powołana Tymczasowa Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, jako organ doradczy ministra, przemianowana w 1925 r. na Państwową Radę Ochrony Przyrody (PROP). Rada liczyła 30 członków, a na jej czele stał delegat ministra.

O rozszerzeniu się idei ochrony przyrody wśród szerokich rzesz społeczeństwa świadczy fakt, że działało czynnie na tym polu 36 samodzielnych organizacji. Należy tu wymienić towarzystwa: Przyrodników, Krajoznawców, Tatrzańskie, Leśne, Dendrologiczne oraz związki: Harcerstwa, Ziem Górskich, Łowiecki, ponadto Instytut Geologiczny, Komitet Zielarski, a przede wszystkim powołana w 1928 r., z inicjatywy PROP, Liga Ochrony Przyrody.

Państwowa Rada Ochrony Przyrody doprowadziła w 1934 r. do uchwalenia przez sejm ustawy o ochronie przyrody. Nie zdążyła jednak wykorzystać możliwości, jakie ta ustawa dawała, gdyż w połowie 1935 r. na znak protestu przeciwko budowie kolejki linowej na Kasprowy Wierch, ustąpił ze stanowiska delegata ministra prof. Władysław Szafer, a członkowie rady złożyli swe mandaty, natomiast nowa rada nie została już powołana. W 1936 r. nastąpiło otwarcie napowietrznej kolejki linowej z Kuźnic, przez Myślenickie Turnie, na Kasprowy Wierch. Odchodziła w przeszłość pierwotność przyrody górskiej. Łatwość dostania się na grań skurczyła Tatry i zalała je tłumami turystów.

Najbardziej widocznym przejawem działalności ruchu ochrony przyrody w okresie międzywojennym było tworzenie parków narodowych, rezerwatów, ochrona pomników przyrody oraz ginących i rzadkich gatunków fauny. Szczególną rolę w tej dziedzinie odegrał Zakład Doświadczalny Lasów Państwowych, od 1937 r. - Instytut Badawczy LP. W jego ramach w 1934 r. został utworzony oddział rezerwatów pod kierunkiem inż. Józefa Kostyrki. Współpracownikiem J. Kostyrki był Wacław Niedziałkowski, późniejszy profesor urządzania lasu w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, autor pierwszych wytycznych urządzania gospodarstwa rezerwatowego, zastosowanych następnie przy urządzaniu parków narodowych w Białowieży, Pieninach i Tatrach.

Instytutowi Badawczemu LP od 1 maja 1934 r. podlegały sprawy ochrony przyrody na terenie lasów państwowych. Tworzone w ich obrębie parki narodowe były określane początkowo jako samodzielne „jednostki administracyjne szczególne”. Do takich jednostek należały: park narodowy w Białowieży, utworzony w 1921 r. jako wydzielone nadleśnictwo o powierzchni ponad 4500 ha, przekształcone w 1925 r. we właściwy park narodowy, oraz park narodowy w Pieninach, utworzony w 1932 r. po wykupie przez skarb państwa 736 ha gruntów od prywatnych właścicieli. Ten ostatni, jako jednostka o szczególnym charakterze, został proklamowany jako pierwszy w Europie Międzynarodowy Park Natury, obejmujący również Słowacki Rezerwat Przyrodniczy. Jednostką organizacyjną szczególną był również Zarząd Lasów Podhalańskich, powołany w 1934 r. do administrowania obszarami, z których w przyszłości miały powstać parki narodowe w Tatrach i na Babiej Górze. Realizacja trzech górskich parków narodowych, położonych w paśmie Karpat, była punktem wyjściowym zapoczątkowanej w latach dwudziestych ubiegłego wieku współpracy Polski i Czechosłowacji w dziedzinie ochrony przyrody.

Na Lubelszczyźnie, botanik, prof. Tadeusz Ignacy Sulma proponował w 1933 r. zabezpieczenie buczyn skierbieszowskich poprzez tworzenie rezerwatów. Wnioski Profesora nie zostały jednak zrealizowane, ze szkodą dla ochrony i regeneracji buka w obrębie Działów Grabowieckich. Utworzono natomiast w 1934 r. rezerwat przyrody, pn. „Bukowa Góra” w pobliżu Zwierzyńca, na terenie lasów Ordynacji Zamojskiej.

Ponadto utworzono w Polsce wiele innych rezerwatów, z których część stała się załącznikiem przyszłych parków narodowych: Świętokrzyskiego, Ojcowskiego, Wielkopolskiego i Kampinoskiego. Szczególnym osiągnięciem na skalę międzynarodową, było restytuowanie żubra i uchronienie tego gatunku od całkowitej zagłady. Do wybuchu drugiej wojny światowej Polska posiadała już 30 żubrów. Utworzono dla nich zwierzyniec w Białowieży - dla żubrów czystej krwi białowieskiej, oraz w Pszczynie, Smardzewicach i Niepołomicach - dla mieszańców.

Podjęto również prace nad restytuowaniem tarpana leśnego (w Białowieży), a także objęto ścisłą ochroną bobry, łosie, niedźwiedzie oraz niektóre rzadkie gatunki ptaków - w tym wszystkie drapieżne (1938).

W Polsce międzywojennej leśność kraju wynosiła 22,2 proc., a leśnictwo stanowiło bardzo ważny pod względem fiskalnym dział gospodarki krajowej. W bilansie dochodów państwa z całego handlu zagranicznego wpływy z eksportu drewna znajdowały się na pierwszym lub drugim miejscu - na przemian z zyskami z eksportu węgla. W zasadzie tylko w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego węgiel zajmował czołową pozycję.

Natomiast ruch ochrony przyrody rozwijał szeroką działalność naukową, popularyzatorską, organizacyjną i społeczną. Eksploatacja kopalni, pozyskanie surowca drzewnego, czy też budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego przebiegała zgodnie z wymogami i poszanowaniem środowiska. Nie kopiowano bałwochwalczo obcych rozwiązań i wzorów, lecz tworzone nowe idee i poglądy na ochronę przyrody z myślą o przyszłych pokoleniach.

Lucjan Cimek

Wojtek Mięzał

Nauvoo - miasto mormonów część II

Wobec powszechnej wrogości do mormonów, plany przeniesienia ich wspólnoty z Nauvoo snuł jej założyciel Joseph Smith już w roku 1842. Rozmawiał o tym wielokrotnie z radą dwunastu „apostołów”, wśród których obecny był jego następca i patriarcha - Brigham Young. Wyczuwając nadchodzące niebezpieczeństwo,

razem przygotowywali ludzi do ewentualnego opuszczenia Illinois. Kowale i kołodzieje sporządzili kilkadziesiąt maszynowych wozów zdolnych do pokonania ówczesnych bezkresów Zachodu. Dostali szansę od losu dopiero 24 lutego 1846 roku, gdy rzeka była na tyle skuta lodem, że można było przejechać na przeciwny brzeg do stanu Iowa.

W miasteczku pozostała tylko niewielka grupa mormonów, a wśród nich Emma Smith, wdowa po zamordowanym w międzyczasie proroku - Josephie, o czym pisałem w pierwszej części.



Początkowo zatrzymany został też, z polecenia władz wojskowych, John Browning - najlepszy rusznikarz tamtych czasów, wynalazca broni wielostrzałowej, późniejszy posiadacz chyba największej liczby patentów dotyczących wynalazków swoich, a następnie dokonywanych ze swoim synem w dziedzinie rusznikarstwa. Trwała wówczas wojna z Meksykiem i nikogo nie obchodziły dalsze losy uchodźców, a Browning był zbyt drogi dla walczącej armii i toczącej się batalii, po której Stany Zjednoczone dopisały sobie spory szmat ziemi, zagarniętej sąsiadowi z Południa. Mormoni musieli pozostawić również nieukończoną i coraz częściej dewastowaną świątynię. Rozkradano resztę materiałów budowlanych, spalano drewniane konstrukcje, aż dzieła całkowitego zniszczenia dokonało potężne tornado. Po monumentalnej budowlu pozostały stosy gruzów... Ale to już miało miejsce w kilka lat po wygnaniu.

Tymczasem podczas przeprawy przez rzekę, pod kołami ciężkiego od ładunku wagonu należącego do Brigham Younga załamał się łód. Kilku mężczyzn rzuciło się na ratunek tonącego pojazdu, którego koła utknęły w przerębłach. Jednym z nich był siostrzeniec Younga. Po wydostaniu się na ląd i ciężkiej kilkudniowej podróży, zapadł na zapalenie płuc spowodowane kąpielą w lodowatej wodzie i 18 marca 1846 roku zmarł w wieku zaledwie trzydziestu lat. I to właśnie jego nazwisko widniało między wieloma innymi, którym nie dane było dojść do celu. Umieszczono je po prawej stronie Rotundy przy końcu ulicy Parley.

Zazwyczaj podczas naszych wyjazdów, w miejscach zupełnie niespodziewanych udaje się napotkać polskie nazwisko. Od dawna ciekawiło mnie na przykład pochodzenie nazwy miejscowości w odległym stanie Maine, z której pochodzi znana od bardzo dawna, woda mineralna „Poland”. Przejeżdżając tego roku przez Maine, gotów byłem zjechać z wyznaczonej drogi, aby wstąpić do tego miasteczka. Po wnikliwych poszu-

waniach okazało się, że takie imię miał wódz lokalnego szczepu Indian. A więc jego swojskie brzmienie było zwykłym przypadkiem.

Jednak zmarły w drodze siostrzeniec Younga z Indianami nie miał nic wspólnego. Urodzony w Nowej Anglii z ojca o nazwisku James Little używał też drugiego imienia, które brzmi dokładnie tak samo jak nazwisko słynnego rycerza herbu „Janina”, starosty krasnostawskiego - Sobieskiego. Zaś pełne nazwisko dzielnego mormona, które zwróciło moją uwagę brzmi **Edwin Sobieski Little**! Skąd i dlaczego pojawiło się za oceanem? Na razie nie wiem.

Rankiem kolejnego dnia wyjeżdżamy poznać odpowiednik, przynajmniej z nazwy, naszej nadwiślańskiej stolicy. Jak można się domyśleć, wcale nie wygląda po warszawsku. Główna ulica **Warsaw** nad Missisipi wprawdzie nosi ślady dobrobytu, ale tak odległego, jak czas, kiedy z parostatków pływających po tej rzece, mierzono głębokość wody, miarą zwaną „Twain”. Znany pisarz zapożyczył nawet to słowo, pozostawiając je jako swoje nazwisko. Miasteczko zaczyna przypominać tzw. „miasto duchów”, a mormoni twierdzą, że to kara za krzywdy, jakich doznali od redaktora „Warsaw Signal” i podburzanej przez niego tłuszczy (czyt. część pierwsza). Wyjeżdżamy stamtąd bez żalu, aby wstąpić na kilka godzin do miasteczka Carthage. Do miejsca, gdzie przed stu sześćdziesięcioma siedmioma laty zginęli bracia Smith. Właścicielami budynku są obecnie mormoni i tutaj znowu zastajemy starannie utrzymaną ośrodek dla zwiedzających i przewodniczkę-misjonarkę. W domu pojawia się dopiero późnym wieczorem.

Wróćmy jednak do exodusu mormonów. Wygnańcy po ponad czterech miesiącach ciężkiego marszu z Nauvoo dotarli w okolice dzisiejszego Omaha w Nebrasce, pokonując 430 kilometrów. Zatrzymali się na tzw. zimowe kwatery składające się z drewnianych chat i ziemianek. Ciężkie warunki mieszkalne i pogodowe, niedobór witamin i marne wyżywienie sprawiły, że od połowy września 1846 do maja 1848 roku umiera tam 359 osób, głównie z powodu szkorbutu, malarii i gruźlicy. Ale prawie wszyscy starali się znosić te doświadczenie z ciętą wiarą, że jest to tylko następny przystanek na drodze do Ziemi Obiecanej. Obiecanej przez Boga, kiedyś ustami Smitha, teraz - Younga. Człowieka, na którego edukację składały się dwa lata szkoły i spory bagaż życiowych doświadczeń, jak sam twierdził, posłannika Boga na ziemi. W tych trudnych momentach potrafił on jednak wraz z grupą swoich doradców doprowadzić do powstania 500-osobowego, ochotniczego batalionu mormonów, którzy już w 1846 roku wymaszerowali do Kalifornii, aby wspomóc U.S. Army w wojnie z Meksykiem. Young podtrzymuje na duchu obecnych już na kwaterach i wciąż nadchodzących

następnych uchodźców, organizuje bardzo sprawne i przemyślnie grupy pionierów, przed którymi stoją do pokonania trudy przemarszu na odcinku tysiąca sześćset sześćdziesięciu kilometrów w ciągu około czterech miesięcy.

Przed kilku laty, jadąc do Oregonu i Kalifornii udaliśmy się śladami mormonów. Dzisiaj większość odcinków szlaku „oregońskiego”, z którego w dużej części skorzystali, leży na terenach prywatnych, często na wielotysięcznohektarowych terytoriach, zwykle pastwiskach zamkniętych ogrodzeniami z największego wynalazku Dzikiego Zachodu - drutu kolczastego. Ale zdarzały się odcinki, które mogliśmy przejechać równolegle do tamtej trasy, jak na przykład wzdłuż rzeki Platte. Kowboje mówili: „za szeroka, żeby przeskoczyć, za płytka żeby przeorać”. Dzisiaj, jadąc niezbyt pospiesznie wzdłuż jej brzegów, w ciągu godziny można przebyć około siedemdziesięciu kilometrów. Na przejście pieszo tego samego odcinka mormoni potrzebowali aż tygodnia. Grupy szły w pełni zorganizowane, z podziałem do poszczególnych zadań, z osobą do sporządzania dziennych zapisów i z liczeniem przebytych mil łącznie. Już w jednej z pierwszych grup, znudzony monotonią liczenia obracającego się koła wozu, według którego miał wyliczać przebyty dystans, człowiek wpada na pomysł wykonania mechanizmu, który będzie to robił za niego. Pomysł zostaje zrealizowany, później liczniki o mechanizmach z drewnianymi kołami zębatymi wyręczają ludzi.

Od początków powstania ruchu mormonów w świat wysyłani byli misjonarze i to właśnie ich działanie sprawiło, że napływały coraz większe rzesze wyznawców z Europy. Wielu z nich przemierzało trasę do Utah, ciągnąc lub pchając małe drewniane platformy na wysokich kołach, mogące pomieścić najbardziej potrzebne narzędzia i często również małe dzieci. To właśnie taką scenę przedstawia pomnik poświęcony tym dzielnym ludziom, umiejscowiony obok imponujących świątyń - i tej pierwszej, i tej chyba największej na świecie w centrum pięknego Salt Lake City.

W latach 1847-1869 Szlak Mormonów przeszedł **siedemdziesiąt tysięcy** ludzi, a od 1869 (o ironio!) rozpoczęła się era transkontynentalnej kolei żelaznej. Jednym z wielu dzieł stworzonych przez edukowanego przez dwa lata Younga, oprócz pięknego miasta, jest założony przez niego uniwersytet, największe na świecie zbiory genealogiczne, przepiękna biblioteka, centrum konferencyjne z salą mogącą pomieścić czternaście tysięcy ludzi i... pustynia, na której powstał stan, którego był pierwszym gubernatorem.

Mormoni, jako społeczność, to temat na obszerną książkę. Osobiście nie przywiązuję wagi do jakichkolwiek uprzedzeń związanych z ich prywatnym życiem. To, że nieliczni z nich wciąż

praktykują wielożenstwo nie bulwersuje mnie, przynajmniej do czasu, kiedy nie będę zmuszany łożyć na tę społeczność. A na to się nie zanoszi, w przeciwieństwie do sytuacji, gdy bez pytania funduje się z moich podatków kolejne nowe domy, kupony żywnościowe, luksusowe cele w więzieniach itp. dla coraz bardziej rozbestwionej grupy społecznej (wszyscy domyślają się kogo mam na myśli), z której wielu nigdy w życiu nie splamiło się pracą na przestrzeni kilku pokoleń, których kobiety często mają gromadę dzieci, każde z innym partnerem, a co ciekawsze - nie wiadomo jeszcze z którym. (W Polsce w ostatnich latach mieliśmy także głośny przykład, gdy matka publicznie nie potrafiła wskazać ojca swojego potomstwa). Dzieci mormonów zazwyczaj są wzorowo wychowywane, edukowane i raczej mogą być przykładem dla innych. Nie należy oczywiście brać pod uwagę odosobnionego zdarzenia sprzed kilku lat, kiedy okazało się, że nieletnie zostawały matkami - mowa o przypadku z Teksasu. Byli to odszczepieńcy głównego Kościoła, sekta nieodpowiedzialnych ludzi, którym i tak w końcu oddano dzieci, nie znajdując podstaw do zatrzymania, gdyż były wychowywane w nienagannyh warunkach sanitarnych.

Ostatnio pisała do nas nasza szkolna koleżanka Iwona Haładyj, że była kiedyś w Stanach z grupą artystyczną, w której brał udział jej syn. Po występach w Utah zakwaterowania udzielili im właśnie mormoni. Do dzisiaj bardzo mile ich wspomina. My natomiast byliśmy chyba z pięć razy w Utah i oby jeszcze więcej, chociażby dlatego, że w tak trudnej do życia krainie można podziwiać rękę naprawdę dobrego gospodarza.

Przed chwilą próbowałem urozmaicić zakończenie tych kilku słów przykładem jakichś znanych nazwisk spośród mormonów, najpierw zrobiłem to za pomocą polskiej wyszukiwarki z rezultatem zerowym, natomiast amerykańska wyszukiwarka wyświetliła mi tyle stron, że zakończył tylko jednym nazwiskiem, które może się komuś przypomnieć - **Willard Mitt Romney**, biznesmen, były gubernator Massachusetts, w ostatniej kampanii kandydat na prezydenta USA, który niestety odstąpił. A mogło być inaczej!

PS

Po mormonach do Nauvoo trafiła grupa nawiedzonych fanatyków wierzących w komunę. Byli to ikarianie. Chyba tyle warci, co komuna.

A co ze świątynią? Otóż w dwa lata po podpaleniach, 27 maja 1850 roku została doszczętnie zniszczona przez tornado. Następnie trzeba było blisko 150 lat, aby 4 kwietnia 1999 roku podjęta została decyzja o jej odbudowie. Po pół roku rozpoczęto przygotowania, a 5 listopada 2000 roku wmurowano kamień węgielny. Uroczystość

zakończenia prac i oddania jej do użytku miała miejsce w dniu i godzinie rocznicy śmierci Josepha Smitha 27 czerwca 2002 roku (a więc zaledwie po dwu latach od rozpoczęcia budowy!!!). Świątynia zbudowana została w tym samym miejscu co jej poprzedniczka. Jako budulca użyto kamienia wapiennego ze złożu w Alabamie. Budynek osiągnął długość 40 metrów, szerokość - 27 m i wysokość - 49 m, natomiast ogólna powierzchnia wyniosła 5000 m² zawarta na pięciu kondygnacjach - jedna pod- i cztery naziemne).

Jest jedyną świątynią mormonów posiadającą wieżę z dzwonnica, trzecią w Chicago, a w ogóle sto trzynastą.

Podsumowanie:

1) Sama motywacja wędrówki na zachód była unikalna i inna od pozostałych. Mormoni nie szli po złoto, ziemię czy dla przygody. Im chodziło o znalezienie miejsca, gdzie mogliby wreszcie poczuć prawdziwą wolność dla swojej religii.

2) Idąc na zachód, dokonywali napraw i ulepszeń „szlaku” oraz budowali miejsca służące do pomocy kolejnym wędrówcom. Zbudowali sieć promową na rzekach, przy tym zarabiali na przeprawach, pobierając za nie pieniądze od niemormonów. Wzdłuż szlaku zakładali poletka uprawne, z których zbiory służyły jako rezerwa pokarmu dla potrzebujących. Idąc, prowadzili badania topograficzne, opisy flory i fauny.

3) Po roku 1849 założona została Fundacja Emigracyjna, która asystowała w pracach misjonarzy na terenach wschodnich Stanów Zjednoczonych i Europy. Zasiloną przez Kościół i datki prywatne dla udzielania pożyczek na podróż i początki nowego życia w Utah. Emigrant podpisywał umowę, w której zobowiązywał się spłacić dług w chwili kiedy będzie już go na to stać.

4) Ręczne wózki (Handcarts) były produkowane przez dziesiątę firm i były używane w latach 1856-1860 przez około 3 000 emigrantów. Podróżując z wózkiem, pieszy mógł pokonać do czterdziestu kilometrów dziennie (wagon mógł przebyć 15 do 22 kilometrów dziennie).

5) Na szlaku zmarło sześć tysięcy osób!!!

Wojtek Mięzał



Grażyna i Wojtek Mięzałowie

Literatura i rzeczywistość

Miasteczko Hannibal w USA. I dzisiaj wszyscy chętnie zostawiają swój ślad na płocie przy domu, w którym mieszkał Tom Sawyer. Nasz korespondent Wojtek Mięzał także próbuje się wczuć w rolę bohaterów najpopularniejszych powieści Marka Twaina.



Poniżej internetowy adres kamery skierowanej w tym kierunku. Aby było dowcipniej zamontowana została na domu książkowej „narzeczonej” Tomka - Becky. W głębi obrazu widoczna Missisipi.

<http://earthcam.com/marktwain/#>

Eliza Bogusz-Wójcik, Bartosz Wójcik

Chińskie wspomnienia

1. Tytułem wstępu (I)

Jako osoby blisko związane - rodzinnie, zawodowo i towarzysko - z Krasnymstawem, w niedawnym miesiącu - marcu 2010 r. udaliśmy się w egzotyczną podróż do stolicy wschodnioazjatyckiego tygrysa - Pekinu (ang. *Beijing*). Ogrom wrażeń wszelakiego rodzaju, które pozostały po tej wycieczce zasługuje zaś, by podzielić się nimi z czytelnikami właśnie na łamach krasnostawskiego, wielce zasłużonego „Nestora”.

2. Tytułem wstępu (II)

Tytułem wstępu rzec trzeba, iż podróż do Chin, mająca charakter zorganizowanej wycieczki, trochę kosztuje. My jednak mieliśmy to szczęście, że w samym Pekinie mamy „swojego człowieka” - siostrę autora Magdaleny. Przebywa tam ona z nadania swojej uczelni - School of Oriental and African Studies (SOAS) w Londynie, gdzie studiuje namiętnie już drugi rok na kierunku - a jakże - sinologii. Szkoła ta przewiduje w ramach swojego programu nauczania, że cały drugi rok danego kierunku studenci spędzają w państwie, o którym się uczą. W przypadku Magdaleny padło więc na Chiny i - na szczęście - na Pekin, bo ponoć niektóre szkoły mają w zwyczaju wysyłać swoich sinologów na głęboką chińską prowincję... Tak czy inaczej, bazę do wyprawy mieliśmy. Magdalena zajmuje bowiem (wraz z trojgiem innych studentów) cały duży apartament w mrówkowcu w sercu stolicy, dysponując powierzchnią ok. 100 m² - co na warunki chińskie jest rozmiarem iście królewskim.

3. Przygotowania

Teraz wystarczyło przystąpić do załatwiania formalności - a trochę tego jest. Przede wszystkim, co oczywiste, trzeba mieć paszporty. My ich nie posiadaliśmy, jednak jak się okazało Lubelski Urząd Wojewódzki stanął na wysokości zadania i „czerwone książeczki” uzyskaliśmy już po trzech tygodniach. Dalej zabukowanie lotu - rzecz prosta w obecnych czasach dzięki Internetowi i stronom pokazującym tanie połączenia i także bilety. Na jednej z takich witryn znaleźliśmy właśnie bardzo atrakcyjną ofertę, i to Lufthansy - bilet dla dwóch osób w obie strony w kwocie obecnej jednej średniej krajowej. Jak na lot długości 8000 km to naprawdę niewiele... Niestety, Polska nie ma bezpośredniego połączenia z Chinami - trzeba latać przez Holandię albo Niemcy. Nam przypadło to drugie. Sama podróż wydawała się prosta - lecimy 2 godziny do Monachium, tam 4-godzinna przerwa, potem 9 godzin do Pekinu - i *voilà!* Po dwóch tygodniach na miejscu, miała się odbyć po-

dobna sytuacja, tyle że oczywiście w drugą stronę.

Na tym jednak nie koniec formalności - otóż aby znaleźć się na terytorium Chińskiej Republiki Ludowej trzeba posiadać jeszcze dwie rzeczy, mianowicie: potwierdzenie rezerwacji hotelu na cały czas pobytu oraz chińską wizę. Z tym pierwszym nie było w zasadzie problemów - wiedzieliśmy, że i tak będziemy mieszkać u Magdaleny, wystarczyło więc znaleźć hotel, zarezerwować sobie pokój i... nigdy się w nim nie pojawić. Drogie hotele w Pekinie żądają, co prawda pewnej opłaty za rezerwację, jednak dość szybko - i nie bez pomocy Magdaleny - znaleźliśmy hotel młodzieżowy o wdzięcznej nazwie „*Happy Dragon Hostel*”, którego pracownicy z miłą chęcią zabukowali nam pokój na całe dwa tygodnie - za darmo. Wystali nawet potwierdzenie na e-maila, z obowiązkową czerwoną pieczęcią.

Tak uzbrojeni zjawiliśmy się pod ambasadą chińską w Warszawie - a tym, którzy rozważają podróż do Chin trzeba wiedzieć, iż jest ona otwarta tylko 3 razy w tygodniu po 2 godziny. Co z tego wynika? Ano to, że na kilka godzin przed otwarciem okienek tworzy się już spora (zależnie od pory roku, kilku- albo kilkudziesięciocisobowa) kolejka, w znacznej mierze złożona ze „staczy”, składających nierzadko po kilkadziesiąt wniosków o wize... Trafić za takim w kolejce to przekleństwo. Dzielnie jednak o godzinie 6 rano zgłosiliśmy się pod ambasadą (którą otwierano o 9) - i byliśmy pierwsi! Jeszcze tylko 3 godziny stania - i wnioski złożone... a po trzech dniach - paszporty wraz z wklejoną wizą odebrane. Podróż należało zacząć.

4. W drogę

Wylot oczywiście z Okęcia, via Monachium do Pekinu... lecz tu czekało już nas pierwsze niemiłe (i niestety, nie ostatnie) zaskoczenie. Otóż na kilkadziesiąt lotów tego dnia, jeden został odwołany. Wiadomo już który - oczywiście nasz... ot, prawo Murphy'ego w pełnej krasie. Po interwencji w biurze Lufthansy przebukowano nas jednak na lot przez Frankfurt, z tą jednak różnicą, że czas pomiędzy przylotem do tego miasta a odlotem do Pekinu skurczył się do godziny... miało to swoje skutki, o czym później.

Teraz jednak przyszedł czas na odprawę paszportową, bagażową, celną itp., zakończoną przejściem do strefy bezcłowej. I tu zaskoczenie przeczące powszechnemu przekonaniu - znaczna część towarów w tzw. bezcłowiec jest droższych niż w normalnych sklepach! Autorzy sprawdzili to - z uwagi na posiadanie małych dzieci - na klockach lego.

Na lotnisku zaobserwowaliśmy jeszcze jedną ciekawą rzecz - otóż praktycznie tylko na Okęciu megafony lotniskowe z niewyraźnie mówią-

cymi paniami „gadają” prawie non stop! Na innych lotniskach panuje w zasadzie cisza „radiowa”, tutaj jednak panie opowiadały o właśnie odlatującym samolocie, wzywały ostatnich pasażerów oraz robiły setki różnych rzeczy - wszystkie w zasadzie na granicy zrozumienia przez słuchających. Kto oglądał „Misia” i sceny na Okęciu, ten wie, o czym mowa... to skojarzenie nasunęło nam się samo, gdy w pewnym momencie spikerka zagała po angielsku: „*Passenger Stanisław Jakiś tam, please...*” (i tu już nie dało się zrozumieć, o co pani prosi pana Stanisława).

Wreszcie lot - krótki, przyjemny, małym, bo chyba 100-osobowym boeingiem. Kto latał, ten zna uczucie towarzyszące rozpędzaniu się samolotu na pasie startowym i startowaniu (w zasadzie miłe) oraz schodzeniu do lądowania i samemu dotknięciu pasa (w zasadzie przeciwne). Oto jednak we Frankfurcie okazało się - o czym wspomniano wcześniej - iż niecała godzina dzieli nas od odlotu do Pekinu, a jeszcze mniej - od tzw. *boarding time*, a więc czasu ostatniego wejścia na pokład maszyny. Ponieważ prawo Murphy'ego towarzyszyło nam nadal, okazało się do tego, że terminal i bramka przypisane naszym chińskim biletom znajdują się - oczywiście! - po drugiej stronie lotniska. Należało więc cały port w zasadzie przebiec - a jest on bardzo duży, w zasadzie pomieściłby kilka naszych Okęć. Widzieliśmy ludzi z obsługi lotniskowej, którzy po korytarzach poruszali się rowerami czy małymi skuterami. Na czas jednak zdążyliśmy - wielki boeing 747 (słynny „*jumbo jet*”) czekał.

Sam zaś lot do Chin - cóż, wydawałoby się, że wielki samolot to wiele miejsca wewnątrz. Nic bardziej błędnego - 400 osób stłoczonych niczym w podmiejskim pekaesie... poza *business class*, oczywiście. Na szczęście część trasy przypadła w nocy, więc lot minął stosunkowo szybko.

5. The Beijing Airport

Wreszcie - jak mówią piloci - „*touch down*” i jesteśmy na chińskiej ziemi. Wylądowaliśmy rankiem, około 10.30. Rozmiary lotniska - po wyglądzie pasów startowych i miejsca do kołowania - już możemy ocenić na gigantyczne. Wchodzimy do terminala międzynarodowego, i tu pierwsze chińskie zaskoczenie - jest pusty. Ogrom hali jeszcze bardziej to podkreśla. Nie znaczy to bynajmniej, że Pekin nie jest uczęszczanym turystycznie czy biznesowo miastem. Po prostu to wszystko jest takie wielkie, że nawet znaczna ilość ludzi rozciąga się wewnątrz budynku. Ten międzynarodowy terminal (o numerze 3) został zaprojektowany przez słynnego zachodniego architekta Normana Forstera i zbudowany na olimpiadę w 2008 r. - i jest, podobno, największym pojedynczym terminalem lotniskowym na świecie.

Nie ostatnia to zresztą rzecz, co do której naocznie przekonał się, że jest „naj” w jakiejś dziedzinie na ziemi - i mieści się oczywiście w Chinach. O rozmiarach samego lotniska świadczy nawet to, że port ma własną kolej, która służy do przemieszczania pomiędzy poszczególnymi jego częściami.

Najpierw jednak obowiązkowe przejście przez bramkę „zdrowia” - mierzącą automatycznie temperaturę ciała przechodzącego (względnie sanitarne) oraz wizyta przy okienku administracyjno-meldunkowym. Niby nic strasznego, wiedzieć jednak należy, iż sprawdzenia danych w tym okienku dokonuje oficer chińskiej służby bezpieczeństwa - w skrócie, z angielska PSB (*Public Security Bureau*, Biuro Bezpieczeństwa Publicznego). Jemu też należy przedstawić, gdzie będzie się mieszkało na czas pobytu - my oczywiście dalej uparcie obstawaliśmy przy *Happy Dragon Hostel*, co miało później swoje znaczenie... nie uprzedzamy jednak faktów. Po przybiciu obowiązkowej pieczęci możemy ocenić pracę oficera - przed jego okienkiem znajduje się bowiem mały automat z przyciskami, na których namalowane są „bużki” o różnym stopniu zadowolenia. Oczywiście zgodnie nacisnęliśmy (każde dla swojego oficera) „bużkę” odzwierciedlającą zadowolenie najwyższe.

Teraz do pociągu, a po upływie kilku chwil - po odbiór bagaży. Magdalena miała na nas czekać w hali głównej. Przedtem jednak - wymiana pieniędzy. Ponieważ zaopatrzeni byliśmy w dolary i euro (a tym w zasadzie nie da się nigdzie w Pekinie płacić), potrzebowaliśmy lokalnej waluty, oficjalnie zwanej juanami bądź RMB (czyt. *žen min bi*, chińska waluta ludowa). Potocznie o pieniądzach mówi się zaś *kuai*, tak jak u nas zamiast „złoty polski” powiadamy „złotówka”, „zet” czy „pe-el-en”. Na lotnisku znajduje się obowiązkowy kantor, którego pracownicy, ku naszemu zdziwieniu, nazywali się Kevin i Wendy. Przy czym oczywiście byli stuprocentowymi Chińczykami. Później dopiero zostaliśmy uświadomieni przez Magdalенę, że z uwagi na fascynację zachodem młodzi pekińczycy czy mieszkańcy innych metropolii chętnie przybierają - do użytku zewnętrznego, oficjalnie nadal nazywają się po chińsku - imiona anglojęzyczne czy w inny sposób „zwesternizowane”. Sama wymiana pieniędzy uświadamia nam, dlaczego - w takim przyziemnym wymiarze - Chiny to nadal komunistyczny, czy też jak chcą niektórzy - autorytatywnie rządzony kraj. Pojawiają się także wspomnienia z nieodległe przecież panującego, naszego ustroju. Otóż ta właśnie wymiana pokazuje nam, iż Chinami nadal rządzi biurokracja, uwielbienie dla „papierologii” i porządku w dokumentach. Wymiana pieniędzy,

która w polskim kantorze zajęłaby nam 3 minuty, tutaj rozciągnęła się do ponad pół godziny. Trzeba okazać paszport, pozwolić pracownikowi (mnie obsługiwał Kevin) spisać z niego wszystkie dane, podpisać siedem różnych oświadczeń, czekać na sprawdzenie oryginalności banknotów, czekać dalej - tym razem na zgłoszenie wymiany znacznej ilości gotówki do centrali, a wreszcie pobrać grube pliki RMB oraz mający chyba z metr długości paragon, na którym opisana jest cała droga wymiany, z kilkoma pieczętkami oczywiście. Ustroje totalitarne lubują się chyba w takich biurokratycznych żonglerkach, w nich dodatkowo znajdując sposób na kontrolowanie każdego zycinka życia ludzkiego. W każdym razie, po potrąceniu obowiązkowych 50 RMB za usługę wymiany, w końcu dysponujemy chińską walutą. Na każdym banknocie, niezależnie od nominału, króluje jedna twarz - ukochanego przewodniczącego. Jak się później okaże, Mao jest tu otoczony normalnym kultem jednostki, tak jak kiedyś Stalin czy pokrewni jemu satrapowie. Dopiero po wszystkich przechodzimy do hali głównej, gdzie oczekuje nas - lekko już poddenerwowana Magdalena. Razem wychodzimy na spotkanie Pekinowi.

6. Pierwszy dzień

Tutaj jednak, mając za plecami wejście do lotniska, okazuje się, że tak łatwo Pekin nie chce się z nami spotkać. Lotnisko bowiem położone jest sporo poza miastem, mniej więcej 15-20 km. Do samej stolicy dojeżdża się specjalną linią metra, albo też wszechobecnymi taksówkami. Magdalena, jak przystało na naszego przewodnika i bądź co bądź sinologa, wybiera taksówkę. Gros pekińskich taksówek należy do państwowych korporacji, wzorem zachodnim wozy pomalowane są na żółto lub pomarańczowo. Pakujemy bagaże do jednej z nich, wsiadamy i w drogę. Taksówka nie różni się wiele (a oczekując egzotyki, nastawieni jesteśmy na wyłapywanie różnic kulturowych i społecznych) od rodzimych, poza tym wszakże, iż licznik włącza się przyciskiem umieszczonym przy głównym lusterku, pasażera z przodu oddziela od kierowcy metalowa ścianka (do wysokości ramienia mniej więcej), a lewa część deski rozdzielczej pojazdu oklejona jest rozmaitymi certyfikatami, pozwoleniami, skanami dokumentów ze zdjęciem kierowcy - wszystkim tym, co w Chinach niezbędne jest, aby wozic pasażerów.

Wreszcie jedziemy - pogoda ładna, wietrznie (jak się okazuje, to stała cecha pekińskiej aury), dość słonecznie, choć zimno. Poruszamy się autostradą, wraz ze zbliżaniem się do centrum miasta rosną wieżowce, ulice mają coraz więcej pasów, mnóstwo budów z dźwigami. Zorganizowanie olimpiady w 2008 r. nałożyło na Pekin

obowiązek „zanglicyzowania” miasta, a więc dodania - gdzie się tylko da - pod napisami chińskimi tłumaczeń angielskich. Stąd też wiemy, że za chwilę skreślimy np. w Xinhua Ave., a potem pojedziemy 4-th Ring Road. Tutaj ciekawostka - ponieważ Pekin jest przeogromny terytorialnie, ulice określa się nie tylko nazwą, ale także opisem jej „wielkości” (aleja, droga, mała droga, dróżka itp.) oraz stosunkiem do kierunków świata (północna, południowa, środkowa, wewnętrzna itd.). Teoretycznie miało to rozjaśnić obraz drogowy miasta - w praktyce natomiast bardzo go zaciemnia. Zdarza się bowiem, że ulice oddalone od siebie o kilometry noszą tę samą nazwę, tyle tylko, że jedna jest np. Weiwei zachodnia, a druga - Weiwei południowa. Taksówkarze jednak na ogół sobie z tym radzą. Samo miasto zaś wygląda dosyć zachodnio - nie różni się wiele np. od Nowego Jorku czy Chicago, za wyjątkiem oczywiście drobnych ukłonów w stronę tradycyjnej chińskiej architektury, no i napisów w „mrówkowym”, czy „robaczkowym” alfabecie.



Nasza ulica nazywa się Xizhimen Beidajie (czyt. sidzhimen bejdtaa-dzie), co oznacza „północna duża ulica Xizhimen” i położona jest blisko serca miasta. Nie piszemy centrum miasta - bo tu takiego nie ma. Klasyczne „downtown” rozpada się na poszczególne skupiska placów, parków i dużych, istotnych budynków. Czegoś takiego jak stare miasto czy rynek w zasadzie nie ma, rolę pewnego punktu orientacyjnego pełni plac Tiananmen - jako największy plac w Pekinie (mało tego, największy plac na świecie!). W każdym razie jesteśmy



Kamery placu Tiananmen

na naszej ulicy, za 20-kilometrową podróż zapłaciliśmy 80 RMB - a więc ok. 30 zł (1 RMB to mniej więcej 40 groszy). To dopiero początek przekonywania się, że rzeczy tanie - w Chinach są bardzo tanie. Ale po kolei. Magdalena zamieszkuje na ogrodzonym, strzeżonym osiedlu mrówkowców - bo innych w zasadzie budynków mieszkalnych tam nie ma. Jest trochę starszych bloków, niższych, 5-6-piętrowych, królują jednak 20-30-piętrowce. Domki jednorodzinne widzieliśmy podczas całego pobytu tylko raz, niedaleko zoo, i wedle słów naszej przewodniczki miały to być domy partyjnej wierzuszki. Bloki mieszkalne też wyglądają jak w Polsce, poza tym może wyjątkiem, iż każde mieszkanie ma klimatyzację (w Pekinie są ponoć straszne upały w lecie). Za każdym oknem na każdym piętrze znajduje się więc półeczka, na której stoi sobie wiatrak klimatyzatora. Wesole zaskoczenie (kolejne...) czeka nas natomiast w windzie - otóż blok ma trzy poziomy piwnic, natomiast brakuje mu parteru (od razu jest 1. piętro), a także piętra 4., 13., 14. i 24. Po piętrze 12. znajduje się od razu 15. Wynika to ponoć z przesądności Chińczyków co do liczby 4 oraz 13 (nawet tutaj w to wierzą). Magdalena zamieszkuje na piętrze 15, co po zliczeniu, w rzeczywistości daje 11.



Jak dojechać na 24 piętro?

Tego dnia - po odespaniu podróży (dopadł nas tzw. *jet lag*) oraz rozmieszczeniu się w pokoju Magdaleny (gdzie śpimy, jak przystało na gości, na dmuchanym materacu), czas na pierwsze rozpoznanie terenu. Z ładnego, przestronnego mieszkania (wyposażenie w zasadzie jak w Polsce) ruszamy na poszukiwanie pierwszych kulinarnych wrażeń. Po drugiej stronie ulicy znajduje się duże centrum handlowe z supermarketem - ot, jak krasnostawska Panorama z Tesco. W Pekinie jednak, z uwagi na nieustający brak miejsca, nie buduje się wielkich hal na centra handlowe. Zazwyczaj umieszczane są w wielopiętrowych budynkach lub też w podziemiach biurowców. Nasze centrum, z supermarketem o wdzięcznej nazwie „Bon Jour”, należy do drugiej grupy. Pierwsze kroki kierujemy do miejsca, które na cały czas pobytu stanie się naszym „żelaznym punktem” wypraw - a mianowicie do jadalni, zwanej tutaj (także z angielska) „food court”. Wygląda to tak, iż dookoła centralnej przestrzeni z krzesłami i stołami rozlokowane są stoiska, okienka, punkty z jedzeniem, każdy specjalizujący się w czymś innym. Na jednym stoisku kupimy pierożki nadziewane czym tylko nam się podoba, inne serwuje zupy, jeszcze inne - wyroby z ciasta, nawet przypominające niekiedy kawałki pizzy. Ceny - śmieszne. W naszej jadalni wystarcza 4-5 zł (po przeliczeniu), aby najieść się do syta, napić i jeszcze wziąć do domu.



Przysmak - smażone w całości krewetki

W tym miejscu warto jednak podzielić się dwoma refleksjami. Po pierwsze, jedzenie chińskie jest bardzo dobre, sycące, choć zawsze ostre, mocno przyprawione (co zapewnia świetną przemianą materii), zawsze nakładane w olbrzymich porcjach. Wstyd przyznać, ale wróciliśmy trochę „przytyci”. Po drugie jednak, stopień rozwoju chińskiego społeczeństwa, jeżeli chodzi o codzienną kulturę, higienę i estetykę, jest dla Europejczyka mocno zdumiewający. Praktycznie

wszędzie (a więc i w naszej jadłodajni) można palić - a Chińczycy palą w znacznej większości. Do normalnego, nikogo nie dziwiącego zachowania należy plucie na ziemię (chodnik, ulicę). Jedzenie, które spadnie na stół czy podłogę albo tam się rozleje, zostawia się - ktoś to przecież kiedyś posprząta. Ośmi z ryby pluje się - a jakże, na stół. Jedzenie często produkuje się (szczególnie, jeśli jemy u kioskarza na ulicy) tymi samymi rękoma, którymi przyjmowało się pieniądze lub zasłaniało usta przy kaszleniu. Do tego wszędzie, ale to wszędzie panuje tłok - cóż, nie na darmo Chińczyków jest 1 mld 300 mln, z czego 17 mln w samym Pekinie (oficjalnie, należy jeszcze doliczyć kilka milionów nielegalnych). Obojętnie, czy jesteśmy na ulicy, w sklepie, w knajpie, metrze, muzeum, zwiedzając zabytek - zawsze towarzyszy nam znaczna ilość ludzi. Przez to Pekin kojarzy się z takim ludzkim „mrowiskiem”.

Po pierwszym dniu już wiemy - stolica Chin nie jest miastem, o mieszkaniu w którym można marzyć, i wyprawa do którego jest wycieczką życia. I to jest to nasze kolejne przykre zaskoczenie. Przede wszystkim, to miasto nie jest ładne. Przypomina raczej polskie blokowisko z lat 80., oklejone banerami, neonami i reklamami - i rozdmuchane do gigantycznych rozmiarów. Spod ładnej, kolorowej i nęcącej światłkami kapitalistycznej fasady wyziera komunistyczny brud, tandeta i bylejakość. Do tego dochodzi jeszcze pogoda, choć o tym przekonaliśmy się później. Pekin spowija bowiem wszechobecny smog, który na dwa tygodnie naszego pobytu ustąpił tylko dwukrotnie, odsłaniając czyste niebo i słońce. W smogu wszystko wydaje się szare, zamglone, niewyraźne. Nie trzeba mówić, że wpływa to także na kondycję psychiczną. Do tego te masy ludzkie, niekonieczne ładnie pachnące (Chińczyk nie poci się, ale także - zwłaszcza starszy - nie przepada za myciem). Jak niżej będzie jeszcze napisane, nawet chińska egzotyka w Pekinie, zwłaszcza jeśli chodzi o zabytki, jest jakaś zduszona, ujednolicona, poddana rygorom.

Póki co, jednak jesteśmy w tym mieście, i trzeba jakoś przetrwać te dwa tygodnie. Dobrze przy okazji, że mamy Internet. Czas teraz na:

7. Zwiedzanie

W ciągu kolejnych dni nasza aktywność turystyczna rozdwaja się - z jednej strony, głupio być w Pekinie i mimo wszystko czegoś nie zwiedzić, z drugiej jednak - podchodziliśmy do tego wyjazdu stricte „komercyjnie”, licząc na duży łup „zakupowy”. I nie przeliczyliśmy się. Najpierw jednak słów kilka o części „widokowej”. Przy czym skupimy się tutaj bardziej na refleksjach i odczuciach, niż na samym opisie zabytków - to można znaleźć przecież w Internecie czy przewodnikach.

Paradoksalnie, miejsc do obejrzenia w Pekinie wcale nie jest tak bardzo dużo, pomijając oczywiście sytuacje, gdy ktoś pragnie obejrzeć każdą, nawet niewiele znaczącą świątynię i zabyteczek. Te zabytki, które są, nie zapierają jednak dechu w piersiach (może poza wyjątkami). Przyłożyła się do tego sama komuna, która w pewnym stopniu przygniotła wartość zobaczenia miejsca. Stare, zabytkowe budynki odnowiono bowiem w ten sam sposób, używając podobnych zdobień i wzornictwa, a nawet - nierzadko - tego samego odcienia farby.



Zabytkowe
- ponoć -
wzornictwo

Nie trzeba nawet pisać, że znacząco wpływa to na walory poznawcze. Cóż bowiem z tego, że Zakazane Miasto, a więc wielki, kilkunastohektarowy kompleks budynków pałacowych, z których cesarze rządili Chinami powstał w XIV w., a buddyjska świątynia Lamy w XVIII w.? Obydwa kompleksy wyglądają bardzo podobnie - oto zasługa komunistycznej renowacji. Wrażenie autentyczności leży.



Wieczne Miasto z lotu ptaka



Zakazane Miasto



Tylne bramy Zakazanego Miasta



Mao strzeże Zakazanego Miasta

Choć oczywiście generalizować nie można. Wielkie wrażenie robi np. znajdujący się wspomnianej świątyni Lamy posąg Buddy - wysokości 26 m, wyrzeźbiony z jednego kawałka drzewa sandałowego, za co w 1991 r. wpisano go do Księgi Rekordów Guinnessa. Równie majestatycznie wygląda plac Tiananmen, trzykrotnie większy od placu Czerwonego w Moskwie. Wrażenie buduje przestrzeń, symbolika miejsca, a także okoliczności jego obecnego zagospodarowania - w kontekście politycznego ustroju chińskiego. Otóż bowiem każda z wielkich latarni, jaka oświetla plac, dosłownie obwieszona jest kamerami, obserwującymi pilnie każdy zakątek przestrzeni. Na centralnych latarniach naliczyłem po 7-8 kamer. Tiananmen również jest zatłoczony, lecz wrażenie „robi” fakt, że wszyscy ludzie, przyjeżdżający tu z najdalszych zakątków Chin, pragną obejrzeć miejsce proklamowania przez Mao powstania ChRL w 1949 r., nie zaś miejsce słynnej masakry w 1989 r. - bo o niej już mało kto teraz wie. Propaganda robi swoje: doczytałem się, że gdy obecnym chińskim studentom pokazano słynne zdjęcie człowieka w białej koszuli z reklamówką w dłoni zatrzymującego czołg na Chong'ang Dajie (czternastopasowa - tak! - aleja przylegająca do Tiananmen), nikt nie wiedział, czego dotyczy przedstawiona sytuacja, ani kiedy i gdzie się zdarzyła. Na Tiananmen znajduje się też obelisk ku czci rewolucji, który Chińczycy oglądają, jako że postawił go w 1958 r. Mao, a Europejczycy - ponieważ w 1989 r. stał się on ostatnim bastionem oporu studentów na placu.

Z innej beczki, rewelacyjnie wygląda także kompleks olimpijski - wielka, otwarta przestrzeń (z której podobno, aby ją stworzyć, wysiedlono osiedle wielkości Lublina i o podobnym zaludnieniu), zabudowana obiektami sportowymi. W tym dwoma najśłynniejszymi - a więc Stadionem Olimpijskim zwanym Ptasim Gniazdem (rzeczywiście rewelacja i architektoniczna rewolucja, ogromny, pojemność blisko 100 000 miejsc) oraz Narodowym Centrum Pływactwa, potocznie Kostką Wody. To tam, w budynku pokrytym fioletową ni to skórą ryby, ni to bąbelkami powietrza, w 2008 r. Michael Phelps bił kolejne rekordy świata na basenie.



Olimpijskie widoki

Fajnie prezentuje się, o dziwo, Muzeum Wojska Chińskiego - wielkości jakichś dwóch warszawskich muzeów narodowych. Oczywiście króluje militarna propaganda i gloryfikacja ustroju oraz bojowników o jego powstanie, jednak całość ogląda się świetnie. Można nawet, za małą dopłatą, pobawić się symulatorem czołgu, wsiaść do prawdziwego pojazdu pancernego, a nawet zmienić się w wojaka obsługującego działko przeciwlotnicze. W kwestii muzealnej Chińczycy są jednak dużo lepsi od nas - w MWCh byliśmy w środku tygodnia koło południa, a ludzi było mnóstwo. Nie byli to poza tym sami starzy weterani chcący powspominać waleczne dzieje, ani nawet wycieczki szkolne. Nie, do muzeum broni przychodzą młodzi ludzie z dziećmi, dużo młodzieży, małżeństwa - wszyscy. „Rozwalający” był widok dwóch nastolatków, robiących różowymi komórkami zdjęcia czołgom. Atrakcyjna oferta, elementy interaktywne, duża sala z pamiątkami (nawet imitacja klocków LEGO w konwencji militarnej) plus oczywiście propaganda - sprawiają, że muzea tego typu nie są martwe, jak u nas. Odwiedziłem także Muzeum Policji - o wiele bardziej kameralne, a jednak wrażenia podobne.



Woskowy Mao i towarzysze

Cóż poza tym? No oczywiście Wielki Mur, być w Chinach i go nie widzieć to jak w Paryżu ominąć wieżę Eiffla. Wkoło Pekinu jest kilka stanowisk do zwiedzania tego cudu świata, my wybraliśmy najbardziej spektakularne, jeśli chodzi o widoki (*Badaling Great Wall*), ale również - co miało swoje reperkusje - najbardziej dostępne turystycznie i przez to najbardziej oblegane. Znajduje się to w odległości 70 km od Pekinu, które należy pokonać autobusem. W jedną stronę szczęśliwie był to pojazd o podobnym komforcie, co nasze pocziwe pekaesy, z powrotem, niestety, trafił nam się autobus, których w Polsce używa się do jazdy w mieście: praktycznie bez siedzeń, tylko miejsca stojące z uchwytyami. Dwugodzinna podróż w takich warunkach nie należy do komfortowych, a jechaliśmy oczywiście w tłoku. Kolorytu dodawała ubrana na niebiesko konduktorka, przepychająca się dzielnie całą drogę po całym autobusie i wypisująca ołówkiem bilety. Sam Mur zaś - rzeczywi-

ście daje bardzo malownicze widoki, zwłaszcza gdy osiągniemy szczyt łańcucha górskiego, którego grzbietem biegnie. W oddali widać nawet równinę, na której położony jest Pekin. Czyste, bezsmogowe powietrze, przejrzysty widok dalszych wzniesień i płaczących się po nich innych odnóg, nitek Muru - to naprawdę warto jest zobaczyć. Ale jak to w Chinach bywa, nic nie jest takie różowe, żeby nie mogło być trochę szare. Żeby wejść na szczytowy fragment muru i napawać się wspomnianymi widokami, należy wpierw zaliczyć dwu-, trzygodzinny spacer, a raczej wspinaczkę w górę Muru. Jest to dość duży wysiłek, zważywszy, że stromizna jest znaczna, a góry do małych nie należą. Co więcej, Mur nie ma wykutych stopni,



Zgubna potęga Wielkiego Muru



W górę w górę Wielkiego Muru

więc o wiele trudniej jest się wspiąć po - nierzadko oblodzonych, zwłaszcza w cieniu - powierzchniach. Na deser zaś trzeba sobie jeszcze zostawić opis ścisku, w którym się trzeba wspiąć (w okresie wakacyjnym ponoć nie trzeba nawet przebierać nogami, strumień ludzki sam niesie). A Chińczycy - czy w wieku mocno podeszłym, czy też rodzice z malutkimi dziećmi - obierają sobie za punkt honoru zwiedzić cały fragment Muru w danej miejscowości. Wyobraźcie więc sobie wspinaczkę po śliskiej podłodze, nachylonej pod dość znacznym kątem, w nieprzebranym tłumie, mając przed sobą starszkę lub małe dziecko - gdzie wyobraźnia od razu podsuwa widok tegoż potykającego się i lecącego w dół, ciągnącego ludzką lawinę jak w jakichś kreskówkach. Na szczęście - ale o tym nie wiedzieliśmy na początku - na szczyt Muru można wjechać i z niego zjechać kolejką linową, co skwapliwie wykorzystaliśmy do powrotu na twardy grunt.

Pewnego dnia, gdy zastała nas w Pekinie burza piaskowa (tzn. nie sama burza, a jedynie piasek nawiany znad pustyni przez burzę), zrezygnowaliśmy ze zwiedzania na otwartym terenie (a na ten dzień zaplanowane było Zakazane Miasto) i udaliśmy się jeden przystanek metrem do pekińskiego zoo, położonego na jednym terenie wraz z ogromnym oceanarium. O ile zoo nie różni się wiele od polskich (i to także w negatywnym znaczeniu), tak oceanarium jest na najwyższym poziomie. Duże, kolorowe, bogate w zbiory (np. manty, wielkie żółwie, płaszczki, piranie, delfiny), nastawione - także komercyjnie - na klienta. Codziennie przeprowadzane są różnego rodzaju pokazy - my trafiliśmy na show fok i delfinów. Odbywa się to w wielkim, mieszczącym może z tysiąc osób amfiteatrze (oczywiście wypełnionym po brzegi), przy akompaniamencie przebojowej, tanecznej muzyki... zabawa pierwsza klasa. Wesoły był widok tysiąca Chińczyków z dziećmi klaszczących w rytm muzyki razem z fokami i podkreślających wrzaskiem każdy udany numer. W tym miejscu warto także wspomnieć, że - paradoksalnie - reguła jednego dziecka w rodzinie sprzyja umocnieniu więzi wewnątrz tejże. Zasada ta obowiązuje tylko wśród etnicznej większości - ludu Han, który i tak liczy około 90% społeczeństwa. Są od niej także pewne wyjątki. Jednak jedno dziecko na całą rodziną sprawia, że jest ono rozpieszczane do granic możliwości, a poza tym ma cały zastęp wychowawców - rodziców, dziadków, ciotce. W miejscach rozrywki dla dzieci (takich jak np. oceanarium) normalny jest widok rodziny o modelu co najmniej 2 + 1 + 2 (dziadkowie), czasami jeszcze + 2 (druzdy dziadkowie).

Wspomnieliśmy o jednym przystanku metra, którym dostaliśmy się do zoo. Otóż transport nie do końca jest mocną stroną Pekinu. Praktycznie każdy jego środek ma wady: metro - niewiele linii, a przez to zatłoczone (9 linii na 17 mln mieszkańców, gdy np. Nowy Jork ma 28 linii na 9 mln mieszkańców), taksówki - trzeba stać w korkach, a kierowcy, widząc obcokrajowca, wykorzystują jego nieznamość miasta i często wiozą go dłuższą trasą, autobusy - wady obydwu powyższych, a więc korki i ściski. Z tego wszystkiego jednak najlepsze (bo najszybsze) jest metro, na całkiem zachodnim poziomie. Jest też doskonale oznaczone (także po angielsku), wobec czego po paru dniach sami, bez przewodnika, byliśmy w stanie poruszać się po całym Pekinie.

Stolica zapewnia też rozrywki nocne - nam udało się w jedną sobotę zawitać do modnego, młodzieżowego klubu o nazwie Banana. Tutaj też króluje moda zachodnia, choć jest szereg różnic. W szatni np. obsługa ładuje ubrania do plastikowych worków z odpowiednimi numerkami, a klient musi (biurokracja!) podpisać szereg kwitków potwierdzających, że oddał odzienię do szatni. Na sali tanecznej muzykę puszcza nie jeden DJ, a trzech.

Oprócz muzyki (miks elementów zachodnich z chińskimi przebojami), co pewien czas rozmaici wokaliści (często przebrani) dają show na żywo, choć muzyka leci z playbacku. Klubowicze zaś... w klubach, i ogólnie w miejscach rozrywki nie ma czegoś takiego, co z angielska nazywa się *dress code'em*, a więc pewnymi zasadami ubierania się stosownie do miejsca, w którym się przebywa. W klubie widzieliśmy ludzi w koszulach flanelowych czy swetrach, w ekskluzywnych restauracjach nierzadko można było dostrzec Chińczyka od stóp do głów w dresie. Nikogo to nie razi oczywiście, taki zwyczaj.

Podsumowaniem naszej działalności turystycznej był wypad do tradycyjnej chińskiej opery, umieszczonej - o dziwo - w holu jednego z hoteli. Tu też jest inaczej niż w Polsce (pomijając sam występ). Widownia podzielona jest na dwie części - tańsze miejsca są z tyłu i wyglądają tak jak w teatrze czy kinie (a więc rzędy foteli). Z przodu jednak są stoliki jadalniane otoczone krzesłami, gdzie bogatsi widzowie zasiadają do kolacji czy nawet filiżanki herbaty i w ten sposób podziwiają przedstawienie. Wkoło uwijają się kelnerzy. W czasie samego show można rozmawiać, robić zdjęcia czy kręcić kamerą. Po obu stronach sceny są wielkie telebimy, na których po angielsku na bieżąco tłumaczone są dialogi aktorów. Dzięki temu możemy podążać za fabułą - choć szczerze mówiąc jest ona na ogół na tyle nieskomplikowana, że to można sobie darować. W operze chińskiej chodzi raczej o kostiumy, makijaże, barwę śpiewu, a także - o dziwo - o liczne popisy akrobatyczne, niektóre rodem z Matrixa, nagradzane rzesistymi brawami.

8. Zakupy

Nie samym rozrywkami i zabytkami człowiek żyje, a nam chodziło także o obłowienie się dobrami materialnymi. W Pekinie okazji po temu jest mnóstwo. Poczynając od zwykłych sklepów, przez ogromne centra handlowe, po targowiska dla turystów. Ponieważ nadal przebywamy w krainie chińskiej gigantomanii, w Pekinie znajdują się całe dzielnice handlowe, wypełnione po brzegi sklepami. Wyobraźcie sobie np. centrum handlowe na wzór choćby lubelskiej Plazy - tyle tylko, że ma 10 pięter. Potem postawcie obok siebie kilka takich centrów. Co otrzymamy? Pierwszą z brzegu ulicę handlową, np. Xidan. Najśmieszniejsze jest to, że takie centra na ogół stoją dość puste. Przeciętni Chińczycy po prostu tam nie kupują - ceny są zbliżone do europejskich, a średnia miesięczna płaca nie przekracza 2 000 RMB (ok. 800 zł). Centra są dla dzieci dygnitarzy i przedstawicieli „prywatnej inicjatywy” czy biznesu. W innej dzielnicy handlowej, o nazwie Sanlitun, mieści się największy pojedynczy sklep Adidasa na świecie - chyba sześciopiętrowy.



Dzielnica handlowa

My jednak postawiliśmy na targowiska dla turystów - Silk Street Market i Yashow Clothing Market. Nie są to jednak targi w polskim znaczeniu tego słowa. Każdy z nich to normalna, sześciopiętrowa budowla. Na każdym poziomie znajdują się stoiska oferujące to, co akurat podporządkowane jest danemu piętru. Jest więc poziom z wyrobami ze skóry, poziom kobiecej, dziecięcej, z torebkami, piętro krawców czy też piętro zegarków, elektroniki i souvenirów. Oczywiście gros towarów to podróbki znanych marek, ale dobrej jakości (i ciężkie do rozpoznania jako nieautentyczne). Jak torebki, to oczywiście Louis Vuitton, Prada, Valentino, Chanel i inne. Jak bluzy, to Adidas, Nike, Abercrombie&Fitch. Jak zegarki, to Rolex i Omegi. O wszystko przy tym trzeba się targować, używając angielskiego, rąk i podręcznych kalkulatorów sprzedawców. Targowanie to cała zabawa - średnio na jeden zakup trzeba poświęcić około pół godziny. Działa też stary trick z udawaniem, że straciło się zainteresowanie i odchodzi się ze stoiska. My bawiliśmy się także w grę „dobry-zły”, kiedy jeden kupujący udawał, że nic nie rozumie i jest bardzo skąpy, natomiast drugi działał w jego imieniu i był jego łącznikiem ze sprzedawcą, rzucając teksty w rodzaju: „ja bym to kupił za twoją cenę, ale sam rozumiesz, to nie dla mnie, to dla niego, a on nie chce innej ceny”. Taką taktyką można jednak zbijać ceny nawet kilkukrotnie, kupując w ten sposób np. torebkę za 70 zł, a zegarek za 30 zł.

9. Refleksje

Choć może to zabrzmieć trywialnie, Chiny naprawdę są krajem kontrastów. Z uwagi na wprowadzenie kapitalistycznej gospodarki powstała klasa wyższa, nielicząca się z pieniędzmi i rozbijająca najdroższymi samochodami, a jednocześnie dużo jest biedoty i żebraków. Przy czym biedota też ma dziwne oblicze - widzieliśmy dzielnice slumsów, w których każda buda i sklepiony z blachy domek miały antenę satelitarną i klimatyzację.

Do tego nadal czuć, że to państwo w pewnej mierze totalitarne. Policji, co prawda, za dużo na ulicach nie ma, jednak wszędzie, ale to dosłownie wszędzie porozwieszane są kamery. I wiemy, mamy podskórną pewność, że nie są to atrapy (jak co niektóre w Polsce), że za każdym szklanym okiem kryje się prawdziwy człowiek, śledzący na monitorze przydzielony mu wycinek miasta. Policja zresztą nie jest tu najistotniejsza. Liczy się PSB, chińska służba bezpieczeństwa, często działająca w cywilu. Dowiedzieliśmy się w Muzeum Policji, iż policja - a także, co ciekawe straż pożarna - to nie samodzielne organy, a jedynie podwidywały PSB.

Komunistyczna zasada pracy dla każdego sprawia przy tym, iż tworzy się (ale to pewnie w całych Chinach, nie tylko w stolicy) rozmaite, fikcyjne czy po prostu zbędne stanowiska pracy, tak aby każdy znalazł zatrudnienie. Np. na przystankach autobusowych i stacjach metra specjaliści pracownicy ustawiają ludzi w kolejki. W klubach i restauracjach dużo osób pracuje na etacie witającego gości. Do jednej sprawy kryminalnej przydziela się po trzech, czterech policjantów. Ma jednak to swoje plusy - remont drogi czy naprawa jakiegoś urządzenia użyteczności miejskiej trwa mgnienie oka, bo zajmuje się tym rzesza robotników.

Widać także, że cywilizacyjny postęp wymusza na Chinach pewien progres w dziedzinie kultury czy estetyki, ale nadal normą jest plucie na chodnik, charkanie, oglądanie się za obcokrajowcami czy wręcz gwizdanie na nich. Brak wspomnianego już *dress code'u*. Fascynacja technologią coraz bardziej upodabnia ten kraj do Japonii (przynajmniej w dużych miastach).

Być może takie, a nie inne odczucia wynikają z faktu, iż odwiedziliśmy tylko Pekin (i prowincję wokół niego). Stolica zaś wcale nie jest największym miastem (palmę pierwszeństwa dzierży Szanghaj) ani najbardziej rozwiniętym. Jest za to magnesem przyciągającym olbrzymie skupiska biedoty wiejskiej, liczącej na poprawienie swego losu w mieście. To ona właśnie w dużej mierze kształtuje obraz stolicy. Jak nas zapewniano, Szanghaj i Hongkong chociażby są o wiele bardziej zwesternizowane, cywilizowane, i wszyscy mówią w nich po angielsku (w Pekinie prawie nikt).

Stolica zaś - nadal walczy pomiędzy starym a nowym, pomiędzy kulturą XXI w. a zwyczajami nieokrzesanych ludzi z głębokich stepów, pomiędzy kapitalizmem postindustrialnym a archaicznym socjalizmem (czy komunizmem) w wydaniu biurokratyczno-ojczyzniano-betonowym, pomiędzy wolnością gospodarczą a niewolą intelektualną i społeczną.

10. Powrót

Te refleksje nasuwały się nam tym wyraźniej, im bliżej było do naszego odlotu do Europy. Jedną z nich, dotyczącą PSB, dotknęła nas

tym mocniej, iż - wedle lokalnego prawa - podpadliśmy tej szacownej instytucji (i to jest właśnie to, o czym wspominaliśmy na wstępie). Otóż chińskim wymogiem jest, by każdy obcokrajowiec, który zatrzymuje się nie w hotelu, a np. na prywatnej kwaterze, w ciągu 24 godzin po przylocie zameldował się w lokalnym biurze PSB. Służba musi bowiem wiedzieć, gdzie mieszkać będą osoby będące obiektem - przynajmniej potencjalnie - jej zainteresowania. My oczywiście tego nie uczyniliśmy, po części z roztargnienia, a po części z faktu, iż wymagałoby to od nas uruchomienia - a jakże - całej maszyny biurokratycznej, łącznie z ciągnięciem do biura najemcy Magdaleny, a więc faktycznego właściciela naszej „noclegowni”. Na drżących nogach podchodziliśmy więc do okienka PSB na lotnisku, czekając tylko, kiedy ktoś wyciągnie nam to przeoczenie. Na szczęście albo służba lotniskowa nie jest podpięta do sieci krajowej, albo też oficerowie nie przywiązali do tego takiej wagi jak my - w każdym razie puszczono nas dalej. Na miękkich już nogach zaliczyliśmy kolejnej odprawy i oczekiwanie na samolot.

Wreszcie, nie bez ulgi, lecz bez żalu, oderwaliśmy się od chińskiej ziemi. Procedura lotu powtórzyła się, teraz w odwrotną stronę. 10 godzin do Frankfurtu, 2 godziny przerwy, 2 godziny do Warszawy, *touch down*. I wrażenie wielkiej pustki w stolicy, jakby była wymarła. Ale nie, to tylko z czasem ustępujące przyzwyczajanie do tłumu i ścisku w Pekinie...

Teraz możemy już tylko chwalić się pobytem w Chinach i opowiadać, jak tam naprawdę jest - nawet na łamach „Nestora”. Chwalić się to może złe słowo, wyjazd ten trzeba potraktować raczej w charakterze przeżycia, doświadczenia, ale nie - wielkiej przygody. Było ciekawie, ale nie - olśniewająco czy zdumiewająco. Jeżeli ktoś ma w planach Chiny, polecamy. Lecz z umiarem...

Eliza Bogusz-Wójcik
Bartosz Wójcik

DO PRZYJACIÓŁ „NESTORA” DOŁĄCZYLI:

1. Krystyna Mojska
2. Irena Zaraza
3. Radosław Chmielewski
4. Marek Kiciński

Bei Dao

(dost. „Północna Wyspa”,
ur. 1949 w Pekinie,
prawdziwe nazwisko
Zhao Zhenkai, członek
jednej z najważniejszych
grup poetyckich w komu-
nistycznych Chinach -
„Mglisti Poeci”,
popierającej ruchy pro-
demokratyczne i potę-
pionej przez władze)



Polowanie

Nauczycielka odeszła dawno temu
lecz fragmenty jej pamiętnika
to nadal łącznik
przez korytarze wiecznej ewolucji
cała klasa ściga króliczka
kto obedrze go ze skóry?

tylne wyjście prowadzi do lata
którego nie zetrzesz gumką
kropkowane linie przechodzą w blask
dusza króliczka leci nisko
szukając nowego wcielenia

to opowieść, sprzed wielu lat
ktoś nadstawia uszu

ukradkowe spojrzenie na niebo
a my wilcze szczenięta na czerwonej lampie
już dorosiliśmy

Pora sucha

Najpierw jest wiatr z domu
ojciec lecący jak ptak
ponad rzeką sennej mgiełki
nagle zmienia kurs
lecz ty już toniesz w mgle

powiedzmy budzi się pamięć
jak nocne niebo w obserwatorium
obcinasz paznokcie
zamykasz drzwi otwierasz
ciężko rozpoznać przyjaciół

dopóki listy ze starych czasów
zupełnie gubią swe cienie
o zmierzchu nasłuchujesz uważnie
nowego miasta
zbudowanego przez kwartet smyczkowy

Yang Lian

(ur. 1955 w Szwajcarii,
członek „Mglistych Poetów”)



Śmiertelna pułapka

Potrzebujesz poza światem na ścianie nic nie ma
wiecznie odeszły ogród odbicie twego najskrytszego serca
potrzebujesz tych oczu wpatrzonych w
ciebie wybierz te, które najłatwiej zapomnieć
zaczynij zapominać

strach lękasz się codziennej ciszy o twarzy wróbla
przemoc trwa od czwartej do szóstej po południu
obgryziona do czysta kość zostaje w tyle za muzyką
stukanie na polu
nikt nie wie czy w tej chwili nie dzwoni ci w uszach

ty też tego nie wiesz potrzebujesz tylko pustki pokoju
od życia ucz się bycia nieczułym dla siebie
od słońca ucz się śledzenia prawdziwego
lecz nieosiągalnego umierającego dnia
poza blaskiem słońca wszystko to łyż
imię ogrodu zapomniane nim wypowiedziane

Londyn

rzeczywistość jest częścią mojej natury
wiosna zgodziła się na wylew zieleni znów umarłych
ulic pogódź się, że pogrzeby czarniejsze
a jednak ukwiecone
czerwone budki telefoniczne w deszczu jak ostrzeżenie
czas jest częścią organów wewnętrznych ptasi śpiew
otwiera pordzewiałe twarze na ławkach
oczami nocy patrzą na przedłużający się wypadek
w powietrzu
kiedy jeszcze następny dzień jest zasłonięty Londyn

zapaść całe me szaleństwo zliżać piankę z ciemnego piwa
odgłos dzwonu wibruje w małym ptasim mózdzku
jak ponury wiersz niepotrzebny
miasto jest częścią słowa najstraszniejszą częścią mnie
pokazuje moją małość akceptuje
niebieska zapleśniła poszewka z owczej wełny za oknem
pamięć owczego mięsa starannie związana
ze swą śmiercią umieranie spokojne w zbliżeniu
gdy pomiędzy stronami gazety jest grób
za grobem jest ocean

Zheng Min

(ur. 1920 w Minhou, razem z ośmioma innymi
poetami - członkini grupy poetyckiej
„Dziewięć Liści”)

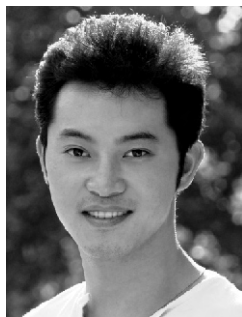
Kiedy kroczę tą ścieżką

Kiedy kroczę tą ścieżką
duchy kręcą się wokół mych stóp
me ciało drży, nie z zimna
lecz ponieważ ujrzałam płonące spojrzenie
Gwiazdy młodości nie powinny stygnąć tak szybko
twoje bujne czarne włosy
czy może to już popiół
te jasne czerwone usta
czy może już cała krew odeszła
twoje członki pełne wiosny
dziś już rozdarte przez wiatr
bez popiołu dla kości, bez tabletki dla duszy
Ach! Życie dane przez opatrność
w końcu staje się okropnym złośliwym nieporozumieniem
lecz świadomość kilku drgań
kto zwróci gałęzi jabłko
upadłe przez wiatr i deszcz, zwróci nam
czułe policzki wiosennej zieleni, zwróci matkom
płód, który kiedyś wiercił się w brzuchu?
Tego roku znów zielone liście przechodzą w cień
różane krzewy rosną dziko ponad płoty
różane czerwienie, jaśminowe biele
jasne żółcie i głębokie purpury dzikiego kwiecia
wszystkie nadchodzą jak zazwyczaj
tylko dźwięk twych kroków
dochodzących z głębokiej ciemnej nocy
ze snów o tobie

Lękam się kroczyć tą ścieżką
lecz nie mogę oprzeć się twym wezwaniom
już kiedyś szłam stąd do uwolnionego ciebie
moje ciało nabrzmiało w ból
krew przestaje krążyć, zostawiając w tyle
poblądle i białe oczekiwanie trupów
tylko tyle: oczekiwanie, oczekiwanie
które cicho rośnie
jak grzyb w mroku.

Yi Sha

(ur. 1966 w Chengdu,
profesor literatury na
Uniwersytecie w Xi'an)



Słonecznik w łazience

Leżąc w wannie
moknąć w gorącej wodzie
w kształcie hipopotama
lecz z uczuciem Boga

Dźwięk jakiegoś ruchu
przyciągnął moją uwagę
alarm: ponad głową
słonecznikowy
wylot prysznica „skrzyp, skrzyp...”
obraca się do jedyne go źródła światła
w łazience,
do lampy.

W mgnieniu oka,
mojego własnego oka
zrobiło mi się lodowato
hipopotam w szoku
wyskoczyłem z wody
czerwony nagi mężczyzna
wybiegł z łazienki
nikt nie rozumiał
co go napotkało
że tak się przestraszył.

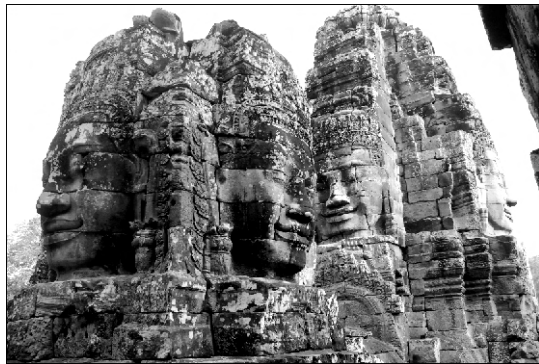
(tłum. wszystkie - Magdalena Wójcik)



Wiesław Krajewski

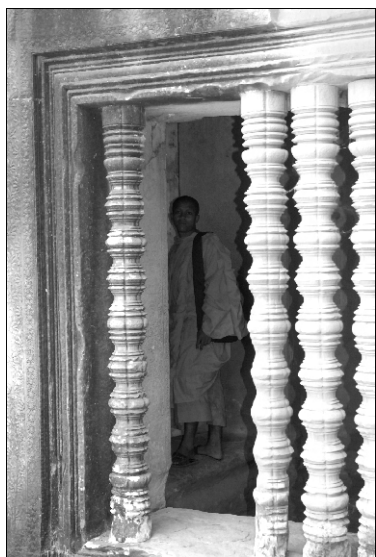
Angkor Wat - cudo świata

Cofnijmy się do wieku X-XII. W krainie nad Wisłą dopiero co minęły czasy mitycznego króla Popiela. Polska wtedy dopiero co zaczynała wpisywać się na karty historii. Dopiero co powstawały większe osady, grody, miasta. Były wtedy w ogóle jakieś miasta? Nawet Gniezno, pierwsza stolica uzyskała prawa miejskie dopiero w XIII wieku. Ludność całego kraju Mieszka to zaledwie ok. milion osób. A jak było w bardziej ucywilizowanej, Zachodniej Europie? W sumie to też dość mizernie. Paryż liczył w X wieku zaledwie 20 000 mieszkańców, Londyn - kilkanaście tysięcy. A ja (ostatnio) byłem w mieście (niestety, tylko w jego ruinach), które w tych czasach zamieszkiwało... milion (!) osób. To Angkor w Kambodży. Ocenia się, że była to największa metropolia ówczesnego świata, aż do czasu rewolucji przemysłowej. I to prawda. Kiedy się zwiedza cały kompleks Angkor, widać całą potęgę imperium władców Kambodży obejmującego większą część Indochin. Król Dżajawarman II założył miasto w 802 roku. Wkrótce rozrosło się ono do gigantycznych rozmiarów. Nie było ono podobne do naszych miast. Ludzie żyli tam w drewnianych chatkach, rozsianych pośród pól ryżu. Nic z nich nie zostało, ale świątynie, jakie wznosili nie mają sobie równych nigdzie indziej na świecie. Do dziś uchodzą za jedno z najwspanialszych budowli sakralnych. Największa z nich to Angkor Wat - świątynia buddyjska, poświęcona z początku hinduistycznemu bogu Wisznu. Budowało ją 50 tysięcy robotników i 5 tysięcy rzemieślników. Niektórzy szacują ich liczbę na 100 tysięcy. Trudno sobie wyobrazić tak gigantyczny plac budowy. Świątynia posiada liczne wieże, z których największa wyrasta na 65 metrów. Niezwykła architektura, niezwykle zdobienia, niezwykle płaskorzeźby. Wyjątkowa sztuka średniowiecznych Khmerów. Trochę mniejsza i młodsza, ale tak samo urzekająca swoim pięknem jest świątynia Bajon.



Świątynia Bajon.

Słynie ona ze swoich 54 wież zdobionych potężnymi wizerunkami 216 męskich twarzy o nieco zagadkowym uśmiechu, spoglądających w każdą stronę świata - twarzy Buddy, a w rzeczywistości - podobiznami króla Dżajawarmana VII. Na niektóre wieże wchodzi się po tak stromych i wąskich schodach, że wygląda to tak, jak by się szło po drabinie. Wszędzie mnóstwo turystów, a wśród nich wyróżniają się pomarańczowo odziani mnisi buddyjscy.



Mnich w Angkor Wat.

W Angkor teraz nikt nie mieszka. To miasto wymarłe. Warunki klimatyczne, a może i inne przyczyny sprawiły, że w XIV wieku ludzie zaczęli opuszczać ten teren i przenosić się na południe, w okolice Phnom Penh, gdzie też przeniesiono stolicę. O mieście zapomniano, a z czasem porosła je dżungla. I tu zwiedzamy coś niebywałego. Wchodzimy do dżungli i nagle widzimy jakby zagubioną świątynię Ta Prohm, zwaną przez turystów po prostu „świątynią w dżungli”.



Angkor Wat.

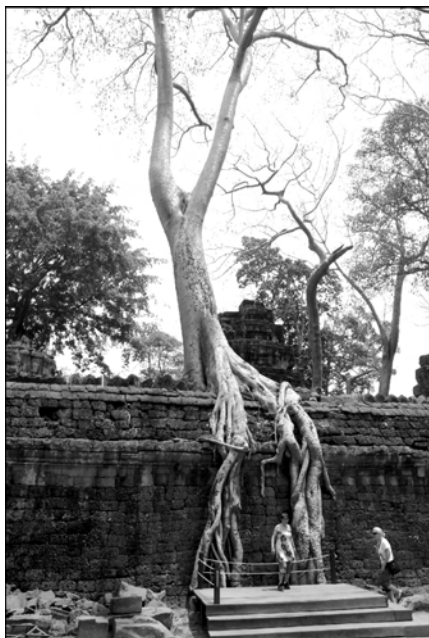


Jedna z kamiennych głów w świątyni Bajon.



Świątynia Ta Prohm.

Ciszę zagłusza przenikliwy dźwięk cykad. Czujemy się jak odkrywcy. Wielkie, grube mury, a na nich ogromne drzewa. Ich poskręcane korzenie otaczają je z każdej strony, wplatają się w każdą szczelinę, obejmują rozsypujące się już kamienie z góry i z dołu, i z każdego boku, a rosnąc - rozsadzają je, potęgując proces niszczenia. Drzewa rosną nie tyle na murach, co przerastają je na wskroś. Nieprawdopodobny widok. Cudo świata.



Angkor Wat odkrył dla Europejczyków francuski botanik Henrie Mouhot w 1869 roku. W 2010 roku dla Czytelników „Nestora” odkryłem go ja

Wiesław Krajewski

Order Nestorii

Od 2008 roku redakcja corocznie przyznaje *Order Nestorii*, premiując bezinteresowną i wartościową pracę na rzecz ziemi krasnostawskiej w dziedzinach artystycznych lub naukowych. Nagradzane są osoby, których działania wpłynęły na rozwój społeczny i kulturowy, na umocnienie walorów patriotycznych środowiska oraz powstały w obronie spuścizny historycznej i artystycznej.



Autor projektu:
Edward Krzysztof Rogalski

Honos honestum decorat - wysoka godność zdobi człowieka szlachetnego.
Vita brevis, ars longa - życie krótkie, sztuka długa.

Odznaczeni **Orderem Nestorii** :

NESTOR 2008
dr Józef Zięba



NESTOR 2009
dr Kazimierz Stolecki



Decyzją Redakcji Czasopisma Artystycznego
Nestor, tytuł

NESTOR 2009

oraz

Order Nestorii

otrzymuje

dr Kazimierz Stołeczki

za stworzenie strony internetowej o tematyce historycznej, pomocnej wielu uczniom, studentom i pasjonatom, opracowanie na tej podstawie pierwszej monografii rodzinnego miasta oraz wydanie jej własnym nakładem w formie książkowej zatytułowanej *Krasnymstaw. Rys historyczny*.

Kazimierz Stołeczki urodził się 19 marca 1948 roku w Krasnymstawie. Jego ojciec pracował w inspektoracie PZU. Matka nie pracowała zawodowo. Ma siostrę Marię, żonę Marię, czworo dzieci i wnuki.

Szkołę Podstawową nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie ukończył w 1962 roku, a Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie - w roku 1966. Studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej ukończył w roku 1971 z tytułem magistra inżyniera w specjalności technologii chemiczna nieorganiczna. Przewód doktorski „*Badania procesu uwodornienia benzenu*”, przeprowadził w Instytucie Nawozów Sztucznych i Zakładzie Technologii Chemicznej Wydziału Chemii UMCS pod kierunkiem prof. dr. hab. Tadeusza Borowieckiego, Puławy Lublin 2006. *Uroczysta promocja doktoratu odbyła się 26 czerwca 2007 r.*

Od roku 1971 do dzisiaj pracuje w Instytucie Nawozów Sztucznych w Puławach, początkowo w dziale dokumentacji naukowo-technicznej, a następnie w Zakładzie Katalizatorów. Obecnie jest adiunktem, kierownikiem Pracowni Badań Kinetycznych w tym Zakładzie.

Specjalizuje się w pomiarach aktywności katalizatorów przemysłowych stosowanych do procesów składających się na technologie wytwarzania wodoru i gazu syntezowego oraz syntezy amoniaku i metanolu, a także niektóre procesy uwodornienia (uwodornienie benzenu).

Jego dorobek zawodowy obejmuje publikację ponad 50 artykułów naukowych w czasopismach krajowych i zagranicznych (w tym 30 artykułów opublikowanych w czasopismach z tzw. Listy Filadelfijskiej). Ponadto w dorobku ma około 10 patentów oraz ponad 170 wystąpień na konferencjach krajowych i międzynarodowych, a także współudział w kilkunastu wdrożeniach prac badawczo-rozwojowych oraz w grantach badawczych i wdrożeniowych.

Interesuje się genealogią rodzinną i historią rodzinnego miasta. Przyjemność sprawiało mu chodzenie po górach (do wysokości 1725 m n.p.m.).

Małgorzata Biernat-Świtoniak - olej



Stajnia Piekło

- jazdy, przejazdki konne, wyjazdy terenowe
- treningi sportowe (zawody, odznaki)
- trening koni (sportowych, rekreacyjnych)
- przejazdki bryczka, wesela, kuligi
- imprezy okolicznościowe, firmowe, klasowe



Założkiew 20
tel. 509 130 562
668 806 399

www.stajnia-pieklo.w8w.pl

Twoje konto z prezentami

nagrody za ponad 1.750.000 zł!

254 TELEWIZORY
LCD SHARP



528
LAPTOPÓW
DELL

16x
CHEVROLET
SPARK

Założ konto
w Banku Spółdzielczym
lub w banku BPS
i wygraj Super
prezent!



Szczegóły:

www.twojekontozprezentami.pl

w placówkach Banków z Grupy BPS
oraz pod numerem infolinii: 0 801 033 010



Grupa BPS

Banki Spółdzielcze i Bank BPS

Sprzedaz promocyjna
trwa od 1 września
do 31 grudnia 2010 roku

www.GrupaBPS.pl

Założ rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy (ROR)
w jednym z banków spółdzielczych z Grupy BPS
lub w Banku BPS i weź udział w loterii

By wziąć udział w loterii wystarczy:

1. Posiadać rachunek ROR (umowa powinna trwać minimum do dnia losowania - 6.1.2011r.)
2. Od momentu założenia rachunku do stycznia 2011r. mieć wpływ na rachunek w wysokości minimum 500 zł miesięcznie
3. Nie posiadać na rachunku niedozwolonego debetu
4. Odebrać promocyjny kod od pracownika placówki bankowej biorącej udział w loterii



5. Wysłać SMS-a z kodem promocyjnym pod numer 7036 lub zarejestrować kod na stronie www.twojekontozprezentami.pl

W przypadku wygranej oczekuj na telefon
oraz list informujący o zdobyciu nagrody

Zapoznaj się z regulaminem loterii dostępnym
na www.twojekontozprezentami.pl lub w placówce bankowej
biorącej udział w loterii

**BANK SPÓŁDZIELCZY
KRASNYSTAW**
ul. Mostowa 25
tel. 82 576 17 18
www.bskrasnystaw.pl



Grupa BPS

Banki Spółdzielcze i Bank BPS



www.GrupaBPS.pl

Zapraszamy do naszych placówek

Krasnystaw, ul. Mostowa 25 - 82-576-27-65/82-576-09-32,

Krasnystaw, ul. Plac 3-go Maja 29 - 82-576-54-36,

Krasnystaw, ul. Okrzei 25 - 82-576-19-98,

Krasnystaw, ul. M. Konopnickiej 4 (budynek Urzędu Gminy Krasnystaw) - 82-576-72-02,

Krasnystaw, ul. Sobieskiego 3 (budynek Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie) - 82-576-67-66,

Krasnystaw, ul. Rzeczna 5 (budynek Urzędu Skarbowego) - 82-576-00-15,

Siennica Nadolna 15C - 82-577-06-11,

Siennica Różana 259C - 82-575-92-15,

Rudnik 71 - 84-684-13-53,

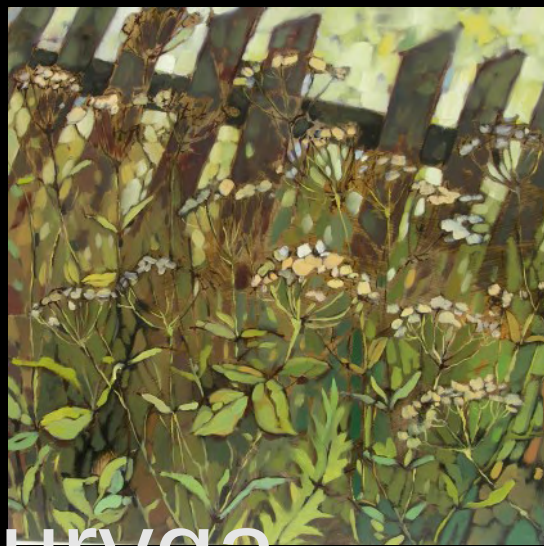
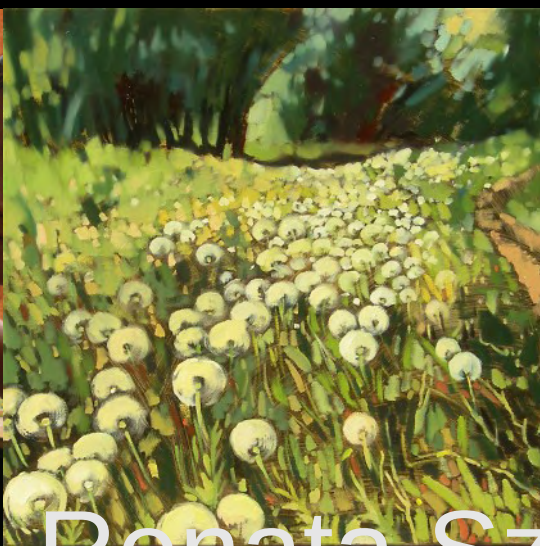
Turobin, ul. Piłsudskiego 2 - 84-683-33-59,

Gorzków, ul. Główna 11 - 84-683-83-72,

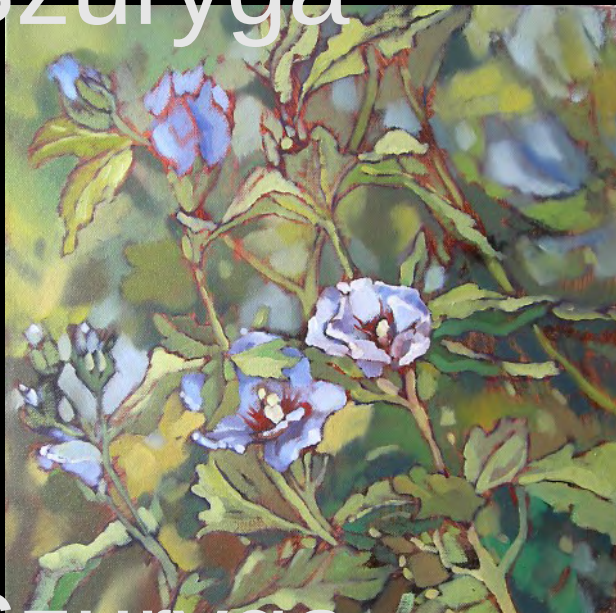
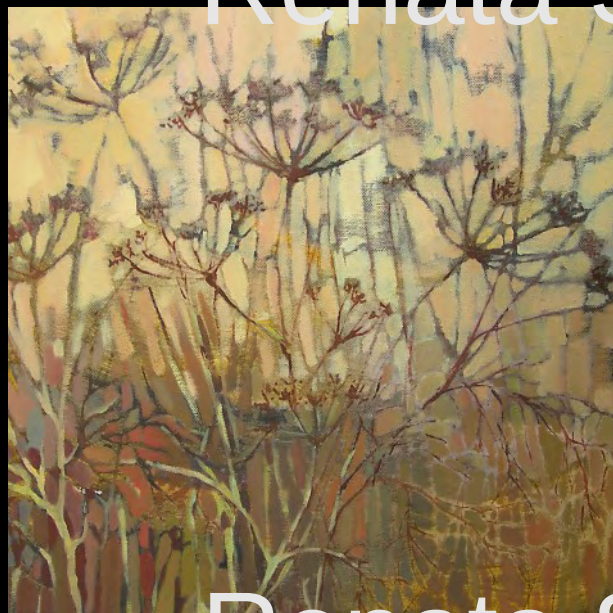
Fajslawice 106 - 81-585-30-40,

Łopiennik Nadrzeczny 3 - 82-577-33-38,

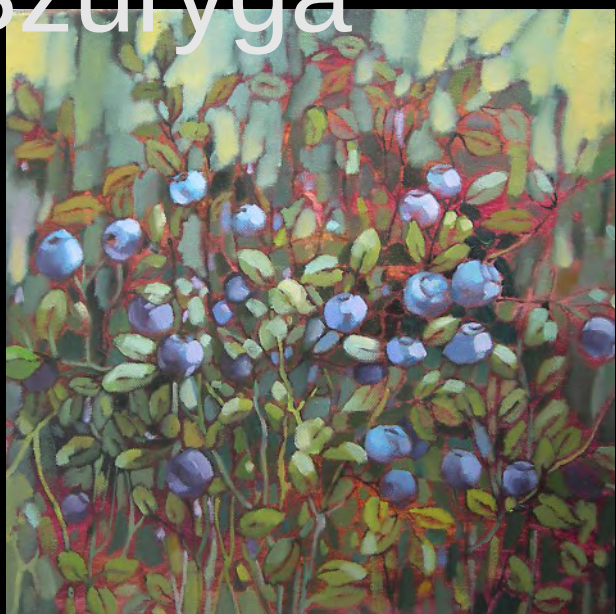
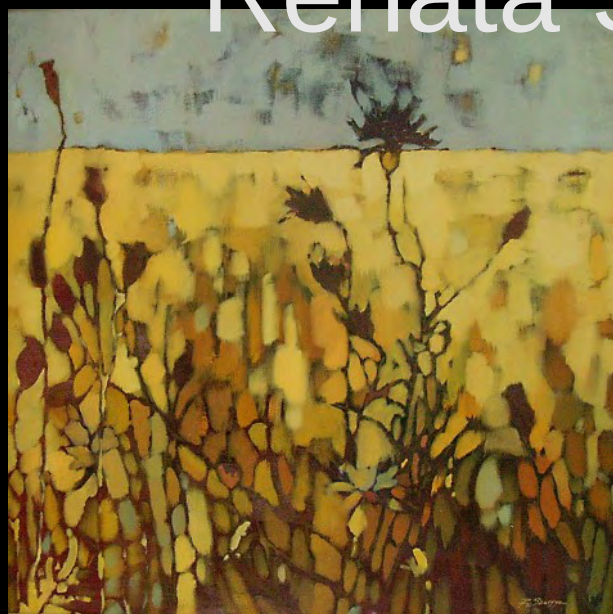
Żółkiewka, ul. H. Żółkiewskiego 10 - 84-683-16-66



Renata Szuryga



Renata Szuryga





Renata Szuryga

Urodzona 15 czerwca 1972 roku w Świdniku. W 1992 r. ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, 1993-1998 studia na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie na Wydziale Artystycznym. Dyplom w pracowni profesora Adama Styki pod kierunkiem adiunkta II stopnia Jacka Wojciechowskiego.

Obecnie instruktor plastyki Działu Artystycznego w Miejskim Ośrodku Kultury w Świdniku. Oprócz malarstwa zajmuje się grafiką, fotografią i rysunkiem.

Liczne wystawy zbiorowe i indywidualne w kraju i zagranicą.

Galeria jednego obrazu

